



L. p. 478.

Ed. XVI. 6.

94
1548



~~Ex bibliotheca
Novitatis Paphlensis
Prov. Hyacinthi
Ord. Praed.~~

Nr. 187.

BAJKI
FRASZKI, PODANIA

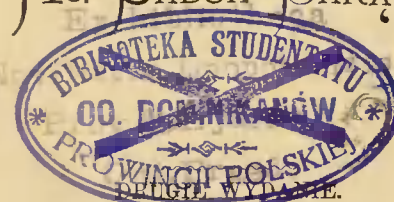
PRZYSŁOWIA

i

PIEŚNI NA RUSI.

Zebrał

Ks. SĄDOK BARĄCZ.



Kosztem Prenumeratorów.

*Biblioteky Księstwa Księstwa
Lwów. Orzechów*

L W Ó W.

Z DRUKARNI ANNY WAJDOWICZOWIEJ (przedtem POREMBY)
pod zarządkiem Szczyńskiego Bednarskiego.

1886.



27568

5.5

Araturda. Ostrorog, Wojewoda poznański, zaciągawszy znaczny dług u szlachcica pewnego, wcale się nie troszczył uiszczeniem winnej należności. Kilka razy przypominał mu się szlachcie, a że to był pan znakomity, przeto wszelkie starania uboższego szlachcica były bezskuteczne. Już był postanowił nie upominać się więcej u twardego pana swej ubogiej sumki, gdy w tem przypadkowo przybył do niego pewny wyjadacz, który straciwszy własny swój mająteczek, puścił się na włóczęgę. Był to słynny pieniacz i rębajło, cokolwiek na jedną nogę utykał, bez trzech palców i jedno-oki. Twarz miał haniebnie pokierszowaną, a do tego jeszcze wąsy sumiaste czyniły go prawdziwym straszylem. Wszystkie te bliźny odniósł on po części od Tatarów, po części zaś od zwadliwych przeprawek z bracią szlachtą.

Po zwykłym przywitaniu i smacznej przekąsce, rozpoczął przybysz pogadankę o pieniactwie, jako ulubionym swym przedmiocie. A gdy wpadł w zapał i wychwalał swoją zręczność w sprawach pieniężnych z najtwardszymi dłużnikami, zwierzył mu się gospodarz, że ma dług u Wojewody poznańskiego, którego odebrać nie może.

Mater Dei! co też wasze mówisz, zawołał przybysz uradowany taką nowiną, gdyż to właśnie była woda na jego kamień. Czy podobna tak obojętnie siedzieć? Ja bym samemu Lucyperowi wydarł z gardła, gdyby mi co był winien. Pozwól że mi panie bracie pochodzić koło tej sprawy, ostatnie oko moje stawiam, jeżeli nie wydobędę od niego tej krwawo zapracowanej sumki waścinej.

Wolno wam panie bracie robić co się podoba, lecz uważajcie, że to nie lada orzech, którego wam zgryźć potrzeba, a jeżeli wam się uda niebezpieczna ta wyprawa, niech będzie waszą połowa należącej mi sumki.

Otóż udam się w podróż i obaczę, czy pan Wojewoda ma w samej rzeczy ostre rogi. Jak mówił, tak też zrobił. Przed wschodem słońca już był na nogach i po krótkim śniadaniu poczwałował na dobrym podjezdku do pana Ostroroga. A że to było tylko dwie mile drogi, przeto dosyć wczesnie stanął u celu swej podróży. Wpadając obces na dziedziniec pałacowy, zatrzymał się u słupa, na którym były trzy kółka dla przypinania konia, na którym podróżny przybywał. Kółko żelazne było dla chłopów, srebrne dla szlachty, złote zaś dla magnatów, poczem też poznawano gości konno przybywających. Ale bohater nasz, aby zaraz na samym wstępie cały dwór zainteresować sobą, przedzierżgnąwszy trzęzł przez wszystkie trzy kółka, dążył swobodnie ku pałacowi. Właśnie wtedy stał w oknie Wojewoda i przypatrywał się pilnie nieznanemu i wysłał pachole w celu powzięcia jakiej wiadomości o przybyłym gościu. Lecz pachole z niczem powróciło. No któż tam taki? zawołał niecierpliwie Wojewoda.

Nie wiem, przybyły nie chciał ze mną gadać.

Do którego kółka przyczepił konia? przecie musiałeś widzieć.

Panie! przez wszystkie trzy kółka trzęzł przewiązał.

Oho! to zawadżaka jakiś, jednooki, kulawy, to istny Asmodeusz. Zawołać mi marszałka i podstarości, niech tu przyjdzie, bo to jak uważam, na sucho się nie obejdzie.

Cały dwór pospieszył na pokoje pańskie, a nawet panny respektowe i nierespektowe, ot tak sobie niby panny weisnęły się do salonu dla dogodzenia swej zbytecznej ciekawości. Nareszcie wszedł nasz bohater i na znak powitania magierką dokoła machnąwszy, zagaił poselstwo swoje od następujących wyrazów: Jaśnie wielmożny Wojewodo! Kiedy się zółcią i octem wymacerowanej pamięci liczne stawiają i bykują serwadrony, trudno uie suspirować z Enceladem, taka albowiem jest terazniejszych czasów wydestelowana stablatura, że na

sztafirowanych tylko fantazyach regrandyzować się musi, a prawie, jako się domyślam, cały świat teraz na figlach wisi. Gdzie owe dawne dziedzierzysto ufortelowane fortece, w których teraz niemasz i ładunka, które to na stoporeczonym wierchołku zaglądały do nieba, wszystko to starożytność, jako w owych dodonejskich drzewach robak z ziemią zrównała. Tobym ja słusznie terazniejszym przypisał czasom, co tam cymbalista krokodylowi na cynamonowym drągu namalowanemu przydał. Napatrzeć się to było owych bohaterów totumfackich, junaków z fordymentem, którzy to ostrym bułatem albo szcerbatym na Propentydy straszdyłach demeszem, dobrze nieprzyjacielskie karki kiereszowali w pień, a dziś pod sobolem i wilkiem, zajęcze ukrywa się serce. Zażywaliśmy pokoju i konwersacyi, każdy przecie, czy ubogi czy bogaty, kontent był ze swego, cóż kiedy nastąpiła owa niefortunna odmiana, że każdy teraz ma swego mola, co go gryzie, ustawicznie w fasolach i rozsterkach się zostaje, a po dawnych czasów przysmakach, z odartych tylko substancyi drapaniny ugryzkami niefortuna zaprawia konfitury. Pieczone przedtem do gęby latały gołąbki, a teraz wszystko jako z kamienia idzie. Przedtem obszerne, rozłożyste płynęły lata, a nasze potomne wieki jako wyrodki przy nich zmały. Zawsze sobie w komperdymentencie życzliwych chęci bezpiecznie, specjalnie spacerował afekt, a teraz wszędzie laserowana nieszczerością życzliwość i jakimsi nieukontentowania blejwasem, albo cynobrem, tu się więc maże, tu się zaś pisze. Dawniej verbum nobile krępowało szlachcica, stał przy niem sierzysto, choćby na samej piekła pieczarze, a dziś zabrawszy manatki, jako szuszwałek wynosi się od nas precz. Ale stój! przebóg! dokąd cię szalona myśl unosi? jeszcze ręka nasza nie skureczyła się i szablica z pochwy błysnie, potrafić uskromić dzikie twe zapędy. W tej samej sferze Tadeusz Grzymalita pan na Hołobokach wysyłając mię Araburdę Kukufata w te prześwietne progi, przypomina się łasce waszej JWny Wojewodo, i zaleca poświęcać mu usługi moje dotąd, póki pożałowanie pożądane nie nastąpi. A gdy się spełnią życzenia pana Tadeusza Grzymality, naten-

czas urośnie sława Araburdy Kukufata, a wam JWny Wojewodo będzie za to sempiterna. Dixi.

Wszyscy okropnie wybałuszyli oczy na niego, gdyż na samym wstępie nie pochwalił Boga i prawił o rzeczach, o których nikt nie miał wyobrażenia. Jeden tylko Wojewoda, domyślając się o co rzecz idzie, odezwał się, mówiąc: Obaczym, kto kogo przemoże. Tymczasem wydał rozkaz, żeby pana brata we dworze pomieszczono. Służbie zaś osobno polecił, żeby mu różnemi sposobami dokuczała, ku czemu i sam niepospolicie przysposobił się. Pierwszego dnia powolna była służba rozkazom pańskim, do objadu zaproszonemu nie dali łyżki, o czem wiedząc Wojewoda, zawołał: Kiep ten, który barszczu nie zje. Kukufasio sierota pomiarkował, że jest celem szyderstwa, wziął chleb, wykroił sobie potężną łyżkę, zjadł barszcz i tryumfując odparł: Kiep ten, co łyżki swojej nie zje. Konfuzya spotkała wszystkich siedzących przy stole, gdyż nikt nie mógł łyżki zjeść prócz pana Araburdy. Lubo trafił na swego Wojewoda, jednak nie tracąc miny, chciał jeszcze przy końcu objadu z niego zażartować. A ponieważ Kukufasio siedział na szarym końcu, przeto z pełnym kielichem powstawszy, zawołał: Wiwat ten i tamten koniec. Na co powstawszy Araburda, rzekł: Dziękuję wam Wojewodo tym i tamtym końcem. Wielka zniewaga przerwała dalszą biesiadę, która miała być na niekorzyść gościa wyprawioną, każdy udał się do swego gabinecik, by odpoczął cokolwiek po objedzie. Na kolacyi nowa była historia z Araburdą. Zamiast krupniku, dano mu tylko czystą polewkę. Nie wiele myśląc, począł się rozbierać, już buty ściągnął, gdy Wojewoda zmieszany zawołał: co wasze robisz panie bracie?

A cóż myślę dać nurka, może jaką krupę ułowię.

Kazał mu tedy odmienić misę Wojewoda i dać prawdziwego krupniku. Nazajutrz zmieniła się postać rzeczy. Araburda znalazł łaskę w całym dworze, służba przyłgnęła do niego jak do brata. Najlepsze kąski jemu się dostawały, froncymercy nawet często powtarzały: przedziwny ten sobie Kukufasio. A na domiar zgorzenia w sam dzień piątkowy cała garderoba jak we młynie huczeć poczęła. Froncymercy głą się!

Gwałtu Kukufasio! śmieją się, piszcą, płaczą, krzyczą, świszczą, a stolki, stoły i ławy w największym ruchu tartas pomnażają. Nareszcie brzdęk! najpiękniejszy gąsiorek rozleciał się w drobne kawałki, woda się wylała i Kukufasio wyleciał z garderoby, a za nim posypały się przekleństwa: a bodajże cię wyniesiono, bodaj cię paraliż naruszył. Nie w smak to poszło Wojewodzie, że prawie cały dwór przeciw niemu rokosz podniósł. Podczas objadu, gdy Araburda smacznie rybę z ikrą zjadał, od niechęcenia odezwał się do niego: Panie bracie! zarybisz sobie żołądek. Niech i tak będzie, odpowiedział Araburda, ale pierwszy spust dla was, Wojewodo. Rubaszna konfuzya sprawiła powszechne mileczenie i przyczyniła się niezmiernie do zaspokojenia niezmyślnego apetytu Araburdy, który po objedzie wziął się jeszcze do sera. Ukroił jeden i drugi kawałek, i gdy do trzeciego się zabierał, wojewoda przemówił: Panie bracie! wszak to parmezan; dając mu do zrozumienia, że to nie ser pospolity, ale kosztowny. Tem lepszy i trzeci kawałek wpakował do gęby. Ale panie bracie, kto tego sera dużo zjada, ten struć się może.

To doskonale! dobrze że wiem o tem, mam ja towarzysza bardzo niegodziwego, chciałbym się go pozbyć, to go tym serem poczęstuję i resztę schował do kieszeni. Wojewoda ścisnął tylko ramionami i poszedł do swego gabinetu. Ale gdy się zdrzymał cokolwiek, strzał z rusznicy obudził go, i nie miłe na nim zrobił wrażenie. Spojrzał w okno, a tu drugi i trzeci strzał pada z domu pana marszałka, o zgrozo! w piątek odprawia się wesoła biesiada. Skaczą, wrzeszczą, tłuką, świszczą, ledwie domu nie rozwalą. Zgorzony Wojewoda udał się do domu marszałka i w miarę tego, jak się zbliżał, gasła wrzawa, lecz nie z bojaźni, broń Boże, siła trunku zamykała im gęby i z nóg jednego po drugim waliła. Gdy drzwi otworzył, wszyscy już leżeli prócz Araburdy. Marszałek z pod łóżka zawołał jeszcze: Kuku, i na tem skończył. Zawtórował mu jękający się podstarość: fa, fa, fasio, i głucha cisza nastąpiła.

Cóż to panie bracie, pobojuwisko? zawołał Wojewoda.

Ależ to lichota, odezwał się Araburda, po dwa kieliszeczki, wskazując na puhar półgarnceowy, wypili i już wszyscy

pokotem leżą. Ja dopiero co zakosztowałem, piłbym jeszcze, a tu nie ma z kim.

Wasze byś całą piwnicę wypił, jak widzę, rzekł rozgniewany Wojewoda i poszedł do pałacu. Już mu się przykrzyć począł Araburda, ale cóż miał robić, kiedy postanowił go z nieczem wykurzyć z domu swego. Z niemałym podziwieniem spostrzegł, jak na kolacyi całą misę kaszy zjadł Araburda, i szczęśliwa myśl przebiegła mu przez głowę: zapewne z drugiej misy zjeść nie potrafi. Wesoło tedy odezwał się: Wiesz co, panie bracie; jeżeli jeszcze jedną misę zjesz kaszy, to ci oddam dług pana Grzymalicy, a jeżeli nie zjesz, to baty weźmiesz i fora ze dwora, a to dzisiaj jeszcze.

Dlaczego bym nie miał zjeść, kiedy chodzi o wygranę. Proszę o kaszę, zawołał Araburda.

Podano tedy misę kaszy, którą jak najwyraźniej bez najmniejszego natężenia zjadłszy, dopominał się o zapłacenie długu. Ale Wojewoda nie chciał dać pieniędzy. Ha nu! jeżeli mi nie chcesz wypłacić długu, to ja ci twoją kaszę wrócę Wojewodo. I porwał misę i włożył palec w gardło. Ale Wojewoda przerażony tą obrzydliwością, rzucił mu worek pieniędzy. Szczeźnij, bierz i wynoś mi się precz, a to zaraz. Albo ja co ukradł, żebym się po nocy tłukł, jutro rano sobie wyjadę.

Twój Grzymalita mógł być przecie kogo uczciwego do mnie posłać, nie takiego oczaj....

Tak, pocziwych do pocziwych wyseła pan Grzymalita, a do Wojewody takiego jak ja oczajduszę. Oburzony Wojewoda śmiałą tą odpowiedzią, splunął tylko i poszedł do swego gabinetu, a nie mogąc się zemścić na nim, kazał koniowi jego ogon uciąć. Araburda, udając się na spoczynek, przeczuwał, że mu jakiego figla przy końcu wypłatają, przeto bardzo rano wstał, gdy jeszcze wszyscy spali i poszedł do stajni, gdzie z niemałym podziwieniem spostrzegł, że koń jego był bez ogona. Wnet znalazł nożyka i czterem koniom pańskim wargi poobrzymał, a sam wsiadłszy na konia, cichaczem wyniósł się ze dworu.

Szczęśliwa droga! zawołał z okna wielce uradowany, że mu się psota udała Wojewoda. A gdzie to waćcin rumak ogon stracił?

Śmiejecie się Wojewodo z mego podjezdka, rzekł Araburda, ale idźcie no do stajni, tam się lepiej ubawicie, gdy zobaczycie, jak się wasz cały cug śmieje z mego bachmata i zwinął chorągiewkę.

Powiadają też, że za czasów Stanisława Poniatowskiego ubogi szlachcic miał bardzo twardą sprawę z bogatym Ostrorogiem. Znępany niepowodzeniem przyszedł do Warszawy i wstąpił do traktierni chudopacholskiej. Tam wynurzał się z swego utrapienia i prosił, czyby mu kto nie napisał prośby do Króla. Wskazano mu studenta biednego, naprzeciwko pałacu na poddaszu mieszkającego. Z wielką moczolą wydrapał się do niego szlachcic i przedstawił mu całą sprawę, który wcale nie namyslając się, wziął arkusz papieru i napisał: *Candelatissime Rex!* Dura crura, volunt eripere regia jura, i podpisał klienta, który wzięwszy do rąk podanie, powiada: Król z tego mądry nie będzie. Nic nie pytaj! jeno idź do Króla z tem podaniem, czy nie wiesz, że dowcip w porę użyty, zawsze na wielkich panach dobrze oddziaływa? Podaje Królowi prośbę, a Król domyslając się jakiejś awantury, kazał przywołać studenta z poddasza i zapytał: co to znaczy: *Candelatissime Rex?* Nic innego, jak to: że widząc codziennie pałac oświetlony tak rześystem światłem, które służy mi do nauk codziennych tak skutecznie, iż nigdy świecy nie kupuję, sądziłem, że Najjaśniejszy Pan jesteś najświetlejszym człowiekiem na świecie; przeto użyłem tego tytułu: *Candelatissime Rex.* A cóż znaczy: *Dura crura, volunt eripere regia jura?* Tu począł wywodzić sprawę szlachcica z Ostrorogiem tak dobitnie i jasno, że Król wydał rozkaz, żeby rozstrzygnięto sprawę na korzyść szlachcica.

Po tym wyroku Król w łazienkach kazał wystawić kompas i prosił uczonych swoich biesiadników, żeby stosowny do tego zrobili napis. Smarzą tedy głowy uczeni nad wymyśleniem napisu. W oznaczonym dniu czytają szumne tytuły kompasu. Lecz niestety Królowi nie podobają się ich dowcipy. Zawołajcie mi powiada, studenta z poddasza. Wszyscy osłupieli, a gdy niepoczesną figurę paupra ujrzeli, oczy wytrzesz-

ezyli. Król nie dając się zbić z toru, pyta paupra, co to jest? Kompas Najjaśniejszy Panie. Czy nie wiedziałby ty jaki stosowny napis do niego? Wiem! Lux perpetua luceat ei! Na to śmiech powstał homeryczny. Bo też i prawda, powiada Król uradowany, co wart kompas bez światła?

Barszcz. W pewnym mieście był księgarz imieniem Barszcz, który bardzo źle obchodził się z chłopcami w sklepie, nazywając ich rurami. Raz przecie trafiła kosa na kamień. Przybył do handlu chłopak walny, nie dbający wcale o względy pana Barszcza, który zwłaszcza zaciągnawszy długi u rodziców jego, od łaski młodzieńca tego zależał. Pewnego razu, podając książki księgarzowi, pomylił się, zamiast kazań Wronicza, podał bajki Krasickiego. A jaki z waćpana rura! zawołał Barszcz rozgniewany. Na co mu chłopak bez wszelkiej ogródki odpowiedział: „Kiep barszcz bez rury“.

Bibułka. Szewc Antoni był dobrym majstrem, ale też opojem nie małym, przez co pozyskał przydomek: „Bibułka“. Żona martwiła się bardzo swoją niedolą, gdyż najczęściej odbierała razy pociągacza. A że to była bardzo pobożna niewiasta, przeto udała się do Ojców Bernardynów po radę. Ojcowie podjęli się poprawy jej męża i kazali pijanego przynieść do klasztoru. Zrana przebudza się duch święty, przy nas szewc i według swego chwalebego zwyczaju poczyną nucić ulubioną piosnkę: Kasieczka! a gdzie moja flaszeczka? przez Boże męki, podajże mi do ręki, bo ja cierpię wielki ból, ból! Czy słyszysz Kasieczka? ty się nie ruszasz, ej jak cię kropnę, to ty zaraz mi wstaniesz.

Ave Maria! zawołał w tej chwili braciszek zakonny. a otworzywszy drzwi, powiedział: Niech jegomość idzie na medytację. Przeżegnał się szewc. Wszelki duch chwali Pana Boga, gdzie ja jestem? i począł ciekawie oglądać swoją chałupę. Lecz godzina nie minęła, wpada ojciec Gwardjan z ojcem Gaudentym Gwizdalskim, tegim chłopem, noszącym za cholewą kańczug potężny. Czemu jegomość nie był na medytacyach?

Ależ zmiłujcie się czcigodni Ojcowie, ja nie wiem gdzie jestem i co się ze mną dzieje, ja szewc Antoni.

Patrzcie, zawołał ojciec Gwardyan, jak się wyłgać chce niecnota. Wszakżeś ty dziesięć lat w zakonie, a teraz chcesz się łgarstwem ztąd wykręcić. A nu no ojcie Gaudenty! pociągnij go smyczkiem. Dobył ojciec Gaudenty smyczka, jak zacznie gwizdać po plecach, szewc wrzeszczy i piszczy jak dusza w czyście, a ojciec Gaudenty gwizda i gwizda. Nareszcie po trzydziestu gwizdonach zaprzestał, a ojciec Gwardyan zawołał: ubieraj mi się w habit.

Szewc rad nie rad przedzierzgnął się w habit i siedzi, maca się, czy to on? czy nie on? Ten sam Antoni, jeno pojąć nie może, jakim sposobem dostał się do klasztoru. Medytuje tedy: śniadania nie dali, nabili się do woli, — cóż to dalej będzie? W tem zadzwonili na objad. Idzie on z drugimi do refektarza, ale tam kazali mu na środku klęczeć i postawili przed niego kufel czystej wody i kawałek suchego chleba. Napił się wody i wstał z drugimi do modlitwy po objedzie. Podobnież było i na kolacy; ba, na drugi dzień ta sama historia, klęczeć każą przy wodzie i suchym kawałku chleba, a tu po brzuchu cygani krakowiaka wycinają. Widzi szewc, że źle koło niego, uprosił kuchtę klasztornego, żeby po kryjomu zaniósł list do jego żony. Wziął kuchta list, a ponieważ do wspólnej zmowy należał, przeto nie zaniósł listu do Antoniowej, jeno prosto do ojca Gwardyana. Z niesłychaną tedy furją wpada ojciec Gwardyan z Gaudentym Gwizdalskim. Jak ty śmiałeś niecnoto pisać list do cudzej żony? nie dosyć, że się wykręcić chcesz, ale jeszcze romanse rozpoczynasz w świętym zakonie. A nu no ojcie Gaudenty, dobądź smyczka, wyprzedź mu romanse z głowy. Ojciec Gwizdalski jak zacznie po swojemu gwizdać, szewc wrzeszczy, a on gwizdze. Wygwizdali mu tedy skórę należyte i zostawili na dalsze kontemplacje. Szewc, zbity, przemyśliwa nad sobą, jak by tu z klasztoru wy dostać się. Nareszcie nawinał mu się braciszek, który zdawał się podzielać jego utrapienie. Wypytuje się go, co tam słychać w mieście, czy żyje szewc Antoni? którego Bibułka nazywają. Opowiada mu tedy braciszek smalone duby o Bibułce, że żyje,

że mu się dobrze powodzi. że z Antoniową codziennie tłustego kapłona zjada. Westchnął szewc bardzo ciężko, padł na kolana i modlił się gorąco, żeby Bóg stan jego przemienić raczył. Modlitwa skutkowała, Ojcowie Bernardyni zwolnili nieco z ostrości, nie kazali klęczeć i cokolwiek więcej jeść dawali. Lecz nie odstąpili od wmawiania w niego, że jest Bernardynem, co też poparli surowym rozkazem, żeby się przygotował z kazaniem na pewną niedzielę. Szewc uczy się kazania. — Przychodzi niedziela, szewc lezie na ambonę, ale spostrzegłszy swoją żonę w ławce siedzącą, zamiast kazania, począł wołać najprzód po cichu: Antoniowa! a po tem głośniej: Antoniowa! Antoniowa! Bernardyni ściągęli go z ambony. A ty Iotrze, ty niecenoto, ty nam wstydu takiego narobiłeś. Nuż tedy paskami i kańczugiem garbować szewcowi skórę, — tak go zbili, że ledwie już dychał szewe nawiedzony, a poznawszy, że to Bóg zesłał karę za jego pijaństwo, modlił się znowu gorąco i przyrzekł, że żadnego trunku do ust nie weźmie. Rzeczywiście poprawił się, a gdy mocno razu pewnego zasnął, Bernardyni do domu odnieść go kazali.

Bieda. W zamożnem mieście Franio i Milka razem chodzili do szkoły, kochali się też bardzo, a gdy podrośli, odezwała się w nich inna skłonność: by to życie razem z sobą połączyć i nigdy się nie rozstawać. Ale Franiowi wypadło iść do wojska, czułe zatem było ich pożegnanie, przy którym, odmieniając pierścionki, przyrzekli sobie nie szukać innego związku, póki się wojna nie skończy. Lecz wojna bardzo długo trwała, — Franus nie wracał, a Milka miała już innemu oddać rękę. Właśnie wtedy, kiedy miało się odbyć wesele Milki, Franus uwolniony został od wojska i powracając, zobaczył straszną walkę między dwoma bocianami. Żal mu się zrobiło tych skrzydlatych junaków, i zawołał na nich: A czego wy się bijecie bociany? A oni mu odpowiedzieli: Ojciec nam odumarł, a my się nie możemy o spadek pogodzić. Uspokójcie się. ja was pogodzę i pogodził ich, a oni mu bardzo pięknie podziękowali za to, i jeden darował mu taki miecz, którym mógł całe wojsko pokonać, drugi zaś dał mu taką wodę, która

umarłych ożywiała. Z temi podarunkami przybył do swego miasta, w którym wielkie czyniono przygotowania do obchodu weselnego jego niegdyś narzeczonej. Z wielką trudnością dostał się do domu swojej Milki i pokazał jej pierścień, a ona go poznała i z wielkiego bolu umarła. Narzeczony oblubieniec z rozpaczyny dobył miecza i chciał Frania zabić, ale on dobywszy swego, którego mu bocian ofiarował, pokonał szczęśliwie rywala swego. A w domu wielka trwoga opanowała umysły krewnych, którzy ogłosili: jeżeliby kto Milkę do życia powołał zdołał, tego też ona będzie. Wnet zjawił się Franus i dał jej wody od bociana darowanej napić się, a Milka ożyła i wesole bardzo odprawiły się między nimi gody. Byli więc razem bardzo szczęśliwi, gdyż do tego mieli także znaczny majątek.

Pewnego razu poszedł Franus w pole doglądać robotników, aż tu zjawia się jakaś pani od stóp do głowy czerwono ubrana i pyta go, kiedy życzy sobie doznać biedy, czy za młodu czy na starość? Zesmutniał Franus na takie zagadnięcie, ale myśląc sobie, jeżeli jest taka wola Boża, żeby człowiek cierpiał, to już wolę ja za młodu mieć biedę, niżeli na starość. Taką też dał odpowiedź owej pani, która była rzeczywistą biedą. Pani zniknęła z oczów Franusiowi, który zasmucony powróciwszy do domu, opowiedział całe to zdarzenie Milei, pocieszając onę, że w biedzie będzie mógł przynajmniej pracować, żeby siebie i żonę swą utrzymać. Nazajutrz rzeczywista zawitała bieda: najprzód wszystko było wyginęło, a potem spaliły się wszystkie budynki z całym dobytkiem tak dalece, że nie mieli ani co jeść, ani czem przyodzierać się, a przy końcu, powykęcało Franusiowi ręce, że nie mógł na kawałek chleba zapracować. Wybrali się tedy oboje na pola wyglądać zmiłowania Bożego nad sobą. Kiedy zaś najbardziej głód im dokuczał, nadjechał jakiś pan, któremu Milka bardzo się podobała, a widząc, że to są żebracy, wprost odezwał się do Franusia: Słuchajno człowiecze, sprzedaj mi twoją żonę, ja ci dam dużo pieniędzy. Serce ścisnęło mu się od żalu, że będzie musiał rozłączyć się z swoją najukochańszą Milką, ale bacząc na to, że żona przy nim zmarnieje, przystał na kupno i otrzymał dużo pieniędzy. Przy pożegnaniu z Milką mocno się

rozpłakał, a tak zgłodzony i zbiedzony położył się i zasnął na pieniądzech. Lecz niestety! pieniądze nie uratowały go od nędzy, gdyż wtedy właśnie gdy spał, przyleciał kruk złodziej i wszystkie pieniądze mu zabrał. Przebudził się nieszczęśliwy Franuś, a tu już ani pieniędzy, ani żony nie było koło niego. Teraz dopiero rozpoczęła się prawdziwa bieda. Błąkał się tedy od domu do domu, od wsi do wsi, przez długi czas doznając wszystkich niedogodności losu. Po wielu latach cierpienia, przyszedł do tego miasta, gdzie był ów Pan, który kupił jego żonę. Dostał się do niego na służbę, poczem pan jego umarł i zapisał cały majątek Milci, która Franusia swego poznała i żyła z nim dotąd już bardzo swobodnie, a Franuś powtarzał to często wnukom swoim: że słodka jest rozkosz po odbytych cierpieniach biedy i nędzy.

Biedny Jaś. W mieście, którego założyciel na polach Cecory waleczną poległ śmiercią, a dziki Tatar z Turczynem w niewolę ujęty, wałem i murem otoczył; zjawił się pewnego poranku chłopczyzna ubogi, — i jakby ze snu nagle przebudzony, obracał się niespokojnie na wszystkie strony. Spoglądał ciekawie to na zamek, to na kościół; a z całego ruchu jego poznać było można, że tu nigdy nie był, że nie należał do żadnej rodziny miasta tego. Ale jak to w małej mieścinie i taki przybysz uwagę na siebie ściągnąć może, obstąpili go wnet ludzie i ze wszystkich stron nań wołali: zkad ty? czyj ty? — Lecz chłopczyzna spokojnie mileżał i ledwie tyle się dowiedziano, że się Jaś nazywał. Ale zkad przybył? jakim sposobem przy zawartych bramach dostał się do miasta? to zostało tajemnicą niedocieczoną. A co gorsza, że nikt nie okazał współczucia dla chłopczyzny opuszczonego, ale jeszcze oburzył się niejeden; inni odchodząc żegnali się nawet, jakby widmo przed sobą byli ujrzeli; bo Jaś niestety niewyciągał rąk do ludzi, a oczy jego nie wznosiły się jak dwie błagalnice, żebrząc przechodnia litości.

Tak to zwykle bywa, że mimowoli naszej, nie możemy utaić tego, co się wewnątrz nas dzieje; bo oko jest odbłaskiem duszy, wiernym obrazem usposobień naszych. Jeżeli serce

zranione boleje i od żalu ledwie nie pęka, trudno, żeby wtedy łza w oku nie zakręciła się; — jeżeli dusza skołatana i namiętności wzburzone, ledwie piersi nie rozsada, trudno, żeby wśród tej walki oko się niezaiskrzyło płomieniem złości lub nienawiści. Ale kiedy wewnątrz spokój i pomyślność jak wiatr chłodzący wśród upału słonecznego utwierdziły się, wtedy rozplamienia się twarz nasza i oko się śmieje, bo w duszy cisza swobodna, wesele niczem niezmacone. Takie były oczy Jasia, pełne szlachetnej dumy, zapowiadające przyszłe zwierzchnictwo nad drugimi. Za to też został sam jeden, jak wśród nieprzebytej pustyni, bez wszelkiej opieki. Dzień przepędzał w zamku, a noc na przyzbie pod strzechą żydowską. Z każdym dniem wzmagala się nędza jego, bo w zamku rzadko kiedy podano mu kawałek chleba, nikt się nie chciał zająć losem sieroty. Biedne dziecko, ugięte pod ciosem srogiej niedoli, wlekło się przez rynek, czasem tylko wstrzymywał się, gdy nań zawołano. Lecz niestety! przekonawszy się, że to obca matka swoje dziecię wzywa, by pospieszył do pieczętów matczynych, odwracał oczy i spuszczał na dół głowę, nie wiedzieć, czy go na ten widok wspomnienie jakie boleśne dręczyło, czy może nie pojmował głosu matki. — O, bo matka jest dla dziecka piastunem z nieba posłanym, ona w niem widzi cząstkę żywota swego; a kiedy dziecię się rozkwili i łzami zaleje, wnętrzości matki się wzruszają, wszystko porzuca i bieży, aby dziecię przytulić do łona swego.

Jaś pozbawiony tej najtkliwszej troskliwości, jaką inne dzieci były otulone, skurczony na przyzbie przepędził całą noc prawie bezsennie, bo noc była zimna i wilgotne przesunęło się powietrze. Rano ledwie zaszedł do zamku, aby się czem posilić. Dzień cały był pochmurny, a koło wieczora bardziej zasępiło się niebo i szum liści w pobliskim lesie zapowiadał gwałtowną ulewę. W samej rzeczy rozdarły się chmury i deszcz nawalny puścił się. Nikogo nie było widać na ulicy, tylko Jaś zgłodniały i przemokły, włókł się przez rynek do przyzby swojej, na której usiadłszy, dreszcz nieznośny przejął wszystkie członki jego; zaczął się trząść i rzewnemi zalewał się łzami, tłumiąc jednak w sobie łkanie, jako

gołębia wdychająca szemrać w sercu swoim, bo sierocie nawet łez ronić nie wolno. Ale służący zamykający okiennice, usłyszał płacz sieroty i powracając, rzekł do gospodarza domu: Panie! chłopczyna co od kilku dni sypia na przyzbie naszej, bardzo się trzęsie i płacze. — Każ mu tu wnieść, odpowiedział gospodarz. Jaś wezwany, wszedł do świetlicy i położył się na miejscu przez gospodarza wskazanem. Na drugi dzień, gdy po krótkim śniadaniu wybierał się do zamku, gospodarz uprzejmy przybliżył się do niego ze swoim jedynakiem. Zostań tu, będziesz się bawił z moim synem, który i w wzroście i w leciech tobie jest równy. Najchętniej przyjął Jaś takie wezwanie. Wnet zaznajomił się z swoim towarzyszem, którego miał być piastunem. Już dnia drugiego orzeźwiła się świetlica i pełno hałasu narobili dwaj chłopaki. Dalej zaczęli oba psoty nawet płać gospodarzowi — jedynak wyciągał papiery ze stolika ojcę, na których były rachunki pisane, a Jaś wycinał z tego różne figurki, ze strychu znosili descułki, gonty i strugali pałaszyki, noże i nżyce były nieustannie w ruchu. A gospodarz nie nie mówił, bo jedynak jego bawił się dobrze, i Jaś tak był wesół, jakoby nigdy niecierpiał, zapomniał, że niedawno trzął się od zimna i płakał zgłodniały. Tak to podobno i z nami się dzieje, kiedy nieszczęście jak ciężar nieżnośny zwali się na nas, wtedy dumamy i bolejemy; ale niechno gwiazdka nadziei zabłyśnie i szczęście zawita, zapominamy, żeśmy dopiero co płakali.

Lepsza dola. Około godziny czwartej z południa, jakiś niezwyčajny ruch panował między żydami. Jeden na drugiego kiwał, to za głowę się brali, — szkolnik to wołał to pukał, jakby na błagalną modlitwę jaką, a wszyscy zbierali się koło domu gospodarza, gdzie Jaś przybywał. Nareszcie zapukał jeden do okna, wołając: już jedzie! już jedzie! — Gospodarz ubrany w żupan świętalny, wybiegł na ulicę, a oto przybliżyła się budka żydowska, szarem płótnem pokryta i stanęła przed domem gospodarza, z której wysiadł starzec poważny i podając rękę każdemu, mówił: Szalomlak (pokój tobie). Tak tylko on mógł pozdrawiać, bo to był sławny i uczony Rabin, który ze szczególnej swej łaski przyjechał

zwieźć gminę miasta tego. Po przywitaniu, cały tłum zebrany, ruszył z Rabinem do bóżnicy drewnianej, do której wszedłszy, wnet zabrzmiały pieśni Hallel, pieśni najweselsze, które niegdyś Izrael w świątyni jerozolimskiej nucił Jehowie Panu swemu wdzięczność ukazując, i mnóstwo świeczek zajaśniało na znak uczczenia i radości. Po skończonem nabożeństwie i rozmowie duchownej, która prawie do nocy trwała, zaprowadzono Rabina do domu gospodarza. Wszedłszy do świetlicy, nagle wstrzymał się na rogu tejże, gdzie Jaś pod łachami żydowskiemi spoczywał już snem sprawiedliwych. Kto to jest Adoni? zapytał gospodarza.

Jest to ubogie dziecko, którem się wszyscy porzucali, jam z miłosierdzia przyjął go do domu swego.

Czy widzisz tę jasność, która z jego twarzy wychodzi, i ten złocisty promień, który jak tęcza różnobarwna otoczył skronie jego?

Ach widzę! rzekł zdziwiony gospodarz.

Jehowa imok (Bóg z tobą), ta tęcza jest to przymierze, jakie Pan raczył uczynić z domem twoim; — a ta jasność przepowiada, że z niego spłynie świetność bogactwa na ciebie i dzieci twoje. Szanuj tego chłopca, uważaj go za syna twego, i owszem suknia syna twego, niech będzie jego suknią, stół syna twego, niech będzie jego stołem, słowem, nie rób między nimi żadnej różnicy. A nadewszystko staraj się go wyćwiczyć w mądrościach naszych, niech zgłębia Talmud, księgę żywota naszego. A to wyrzekłszy, wznosił starzec ręce nad Jasiem, i jak niegdyś Arcykapłan Heli wtajemniczał młodego Samuela dla szczęścia ludu swego. Nazajutrz odjechał Rabin, a gospodarz uszczęśliwiony widzeniem tak wzniosłem, zaczął przebieierać Jasia na sposób żydowski. Jaś przebrany w żupanik czarny, otoczony względami pana swego, który siebie ojcem nazywał kazał, niewiedziało co się z nim dzieje. Nareszcie ukazano mu księgę dużą, z której miał się uczyć. Lecz aby mógł pojąć ważność takowej, przeczytał mu ojciec jego przybrany, z samego prawie początku rzeczy najważniejsze: Pytał Rabi Amel i Rabi Wida, które są sprawy Boże, tak Rabi Wida wyłożył i pisał: Jest godzin dniowych dwanaście; pierwsze trzy go-

dziny siedzi Bóg, uczy się Talmudu, w drugie trzy siedzi na dwóch stołkach i sądzi wszystek świat, a gdy widzi świat osadzony, wstaje z krzesła sprawiedliwości i usiada w krzesło miłosierdzia. W trzecie trzy godziny żywi świat od największego sorobora, aż do najmniejszego robaczka, który ciało porze. W czwarte trzy godziny siedzi i gra sobie z Lewiathan, która ryba tak wielka jest, że wszystek świat obeszła i aby nie rosła więcej, plusk swój w paszczkę włożyła. Pytał się Rabi Icek i Rabi Lewek, co Bóg czyni, aby się niefrasował? odpowiada: że siedzi i uczy Talmudu dzieci, które w pieluchach umierają i co nieuczeni.

Po takim wstępie szumnym, z którego przekonać się mógł, że kiedy Bóg sam się uczy Talmudu i dzieci gromadzi koło siebie, aby im wyklądać mądrości tej księgi, to trzeba będzie z całą pilnością chwycić się nauki i czynić dobre postępy dla pociechy dobroczyńcy swego. Nie zaniedbywał też ojciec pokazywać mu szelągki i uczyć, jak się postępuje od nich do Ortów, od tych do Talarów i Czerwonych złotych, które stanowią blask bytu dobrego. Jednak lepiej te rzeczy pojmował, niżeli Jaś, mało go to co obchodziło, zato też dokładniej zgłębiał Talmud; — z czego ojciec ułożył sobie przyszłą świetność domu swego: Mój syn będzie wielkim kupcem, a Jaś bardzo uczonym i mądrym, i wszyscy od wschodu aż do zachodu schodzą się będą, aby podziwiać rozum jego. Z tego względu gospodarz bardzo polubił Jasia, bo też chłopiec był usłużny, dobry i pracowity; jedyną rozkoszą jego było czasem zgromadzać dzieci i bawić się w żołnierkę, kontent był niezmiernie, kiedy mógł wywijać szabelką i w szyku bojowym nacierać na nieprzyjaciela, lub szturm przypuszczać do fortecy. — Gospodarz unosił się nad jego talentem, jednego wieczora ucztę nawet wyprawił znajomym swoim i wychwalał przed wszystkimi Jasia swego. Noc całą przepędził wśród słodkich nadziei, ale rano, gdy wszyscy powstali, Jaś nie wstawał, myśleli że zasnął, niespokojni zbliżyli się do łóżka jego; ale nawet miejsce po nim zastygło. Okrzyk się zrobił w świetlicy, wszyscy wybiegli szukać Jasia; lecz Jasia nikt nie widział, niewiedzieć gdzie się podział. Czekali do południa, Jaś

i na wieczór nie przybył, a smutek zajął duszę gospodarza i cały dom jego. Kilka dni minęło, ani wieści o Jasiu, przepadł jak kamień w wodę rzucił. Pierwszy Szabat był posepny i gospodarz zapłakał na oznakę wielkiego nieszczęścia, jakie dom jego nawiedziło, bo Jasia nie było za stołem jego. Mijały lata, o Jasiu najmniejszej nie było pogłoski, gospodarz już się uginał pod ciężarem lat, i co Szabatu dumał i płakał, wspomniawszy sobie Jasia, do którego się tak serdecznie był przywiązał. Nareszcie trzeba było żenić jedynaka i zostawić na swoim miejscu, gdyż chwila rozwiązania zbliżyła się. W samej rzeczy po ożenieniu syna, gwałtowna jakaś choroba rzuciła nim o łożo boleści; cierpliwie oczekiwał on momentu przejścia do Ojców, a ostatnie słowa: „Jehowa i Jaś“ skończyły na ustach starca znękanego.

Rozwiązanie. Okna zatętniały, strzał działowy rozległ się po mieście i cała działobitnia grać poczęła. Na ten odgłos odezwały się dzwony we wszystkich kościołach, a mieszkańcy miasta z wesołą twarzą zbierali się; jedni chorągwie nieśli, drudzy kwiaty i gałązki drzew trzymali w rękach i razem z kapłanami całej Kollegiaty, przebranymi w szaty kościelne ruszyli ku bramie warowni, by powitać Króla i Pana swego. Właśnie zbliżał się Król na czele orszaku swego, stanął przed bramą i skłonił głowę, aby kapłan pokropił święconą wodą, potem wziął krzyż, przycisnął do piersi i do ust przyłożył, który pocałowawszy, oddał rycerstwu swemu, aby oddało cześć Zbawcy rodu ludzkiego. Nareszcie wójt miasta podał na bogatym węzłowie dwa klucze złociste, których dotknąwszy się Król, rozkazał otworzyć bramy, i tak wjechał do miasta wśród śpiewu wesołego ludu i zewsząd wołania: „Niech żyje Król“. Prosto zaprowadzon był do Kollegiaty, do której wszedłszy, upadł krzyżem przed Królem królów i ukorzył się przed Panem Zastępów. Tak oddawszy przynależną cześć Stwórcy, wyszedł z kościoła i udał się do zamku, gdzie stanąwszy, przyjmował każdego z osobna, rozmawiał z każdym łagodnie, bo to był Król bardzo uprzejmy i ludzki. Po skończonem posłuchaniu, został się ze swoimi dworzanami, od których dowiadywał się o stanie przemysłowym miasta, o mieszkańcach,

jakie czynią postępy; nareszcie zapytał się, czy ten żyd poczciwy, co to miał dom naprzeciwko zamku, żyje jeszcze? Zaraz domyślili się, który by to był, gdyż znano go powszechnie z jego rzetelności i prawego charakteru. Już dawno umarł, odpowiedzieli, ale syn jego jednak żyje, ożenił się i dobrze się rządzi.

„Kaźcie mu przyjść do mnie“.

Na rozkaz Króla natychmiast posłano służbę zamkową do niego, aby nazajutrz o godzinie dziewiątej z rana stawił się przed Królem. Na tę wiadomość struchlał gospodarz, nie mógł ani pojąć, ani wytłumaczyć sobie to wezwanie królewskie. Niespokojnością miotany, przechadzał się po świetlicy i nie wiedział, że właśnie wybiła godzina szczęścia dla niego, że tęcza wyszła od zamku i jak wstęga różnobarwna otoczyła dom jego. Tak to w niepewnych zdarzeniach, wszyscy coś złego przeczuwamy, bo tylko do czasu tu jesteśmy i każda chwila przyspiesza zgon żywota naszego; dla tego też zbliżając się ku rozwiązaniu koniecznemu, na samą myśl przejścia wzdrygamy się, a każdy niespodziany wypadek na złe wykładamy sobie. Dla odwrócenia dręczącej myśli przywiązał gospodarz Tefilim do rąk i czoła, Talid włożył na głowę, aby się modlić Panu, i z taką rzewnością wymawiał każde słowo, jak nigdy — potem zaczął Psalm: „Zmiłuj się nademną Pannie! według wielkiego miłosierdzia Twego...“, a po każdym wierszu wołał: Jehowa! Jehowa! zmiłuj się nademną! Po takim wołaniu, uspokoił się nieco, bo modlitwa pokrzepia sprawiedliwego i udał się na spoczynek. Ale sen nie przychodził, często zrywał się w nocy, wiązał Tefilim do rąk i do czoła i wzywał miłosierdzia bożego. Noc całą przepędził bezsennie. Rano ubrał się w najlepsze szaty, po wierzchu wdział koszulę śmiertelną, na głowę włożył czapkę Hasidymów jako prawdziwy Husyta, Talit zaś zarzucił na czapkę, a tak przystrojony, z największym drżeniem stanął na pokojach królewskich.

Z gabineciku wyszedł Król, z największą uprzejmością zbliżył się do niego i wziął go za rękę. Co, niepoznajesz mię? Ja jestem Jaś, twój rówiennik.

Żyd spojrział mu w oczy i krzyknął: Aj waj, Jaś!

Tak jest, Jaś, Król odpowiedział, poznałeś go, tylko że Jaś wyrósł na Jana. Żyd ukląkł i drżał z trwogi, radości i podziwu. Król podniósłszy go, rzekł: Masz moją łaskę, wypuszczam ci w dzierzawę dobra królewskie, niech cię Bóg błogosławi i wszystko dobro niech się darzy w domu twoim; idź w pokoju.

Żyd wyleciał jak oparzony i roztrzącał tłumy ciekawych, którzy wypytywali się, co mu Król powiedział, na co nie odzywając się wcale, leciał do domu swego, gdzie go z bijącym sercem czekała żona jego. Zaczął się tedy uganiać jak człowiek pozbawiony zmysłów, wyskakiwać i wołać: Aj waj, Jaś, Król, a ja jego arendarz! No, to chwała Bogu, ale dla czego się tak szamotać i uganiać, wstrzymywała go tuląc do siebie żona. Uspokoił się, złożył suknie świąteczne i zaczął pisać, rachować, długo bardzo siedział za stołem, potem rozesał listy na wszystkie strony, a w krótkie wielki ruch zaczął panować w domu jego. Nie tylko żydzi, ale i chrześcijanie, szlachta nawet uboższa cisnęła się do niego, aby przez rówiennika pozyskać łaskę królewską. W kilku latach, gdzie był niegdyś domek drewniany, stanęła wspaniała kamienica. Gmina z gór i lasów królewskich zbudowała sobie okazałą bożnicę. Wszystkie prawie sprawy robiły się przez arendarza. Daremnie kupcy lwowscy uciekali się do Króla, żeby zatamował handel jego, nie to nie pomogło, bo rówiennik miał swoje przywileje. Cały dwór królewski otoczony żydami, Królowę nawet pomawiano, iż poszła na sposób żydowski i zaczęła frymarzyć dostojenstwem i urzędami krajowem, a kto wie do jakiego zawikłania jeszcze było to wszystko przyszło, gdyby także nie żyd, który podobno dojechał końca Królowi.

Któż to jest ten Król, ten rówiennik, i ten żyd, co przyspieszył zgon Królowi? Królem tym jest: Jan Sobieski; rówiennik jego: Bethsal ze Żółkwi, a Jonas lekarz przyboczny życie jego skrócił.

Powieść niniejsza osnutą jest na ustnem podaniu gminy żydowskiej w Żółkwi. Wszystkie podania ludowe są zajmujące, lecz jak rzadko zgadzają się z prawdą i rzeczywistością

zdarzeniami, niech i niniejsza okoliczność służy za dowód. Półtora wieku dopiero upłynęło od śmierci Sobieskiego, a już baśń ludowa odziała żywot jego w tak dziwną osłonę, cóż dopiero rzec o królach i bohaterach zamierzłych wieków? ileż tam rzeczywistej prawdy znajdować się może? Ale tak to zwykle bywa, im wyżej jaka postać stoi, tem w niepewniejszym dla oka ukazuje się widoku. Miałyżby pogromcy Turków, wybawcy tylu ludów, zasłaniającego całe prawie chrześcijaństwo pierśią swoją, tak wątpliwe być początki? Te zamki, pałace i domy jeszcze nie rozsypały się w grózy, w których dziecinne swe lata przepędzał, a miałyżby tak dziwne dzieje wplątać się w całość żywota jego? Jeżeli były wypadki, że cesarze i królowie przebierali się i w lichej czasem sukmanie chodzili za pługiem, lub służyli gdzie po dworach, to mieli przytem święte zamiary, chcieli oni przekonać się o stanie istotnym ludu swego, pragnęli zgłębić postępowanie wykonawców sprawiedliwości. Ale w przypadku według niniejszego podania, niema najmniejszego celu, ani prawdopodobieństwa. Wszakże znowu z drugiej strony, każde ludowe podanie, musi mieć jakąś rzeczywistą, choćby i najodleglejszą od istotnej prawdy podstawę. Nie tajną jest łaska i szczerobliwość Sobieskiego dla gminy żydowskiej w Żółkwi, równie jak i dla całego miasta; lecz takowe z innych i niedalekich wypływały powodów. Już to samo, że Żółkiew jest rodzinnym miejscem Sobieskich, tłumaczy nam hojność Króla dla miasta tego, azatem i dla gminy żydowskiej. Zresztą mogły być jeszcze inne, ale pewno nie te, jak je podanie ogłasza, owej królewskiej ku Starozakonnym skłonności przyczyny; — dość tu wspomnieć na żywot Kazimierza Wielkiego. Tak tedy nie jedna bajka z ust do ust przechodząc, staje się z czasem powszechną i zdarza się, iż nawet powagi historycznej nabiera. Nie wiem, czy zwrócił kto na to uwagę, że lud nasz wiele obcych podań przyswoił sobie. Żadnemu badaczowi przyrody nie przyszło jeszcze na myśl twierdzić, aby Północ była kiedy siedliskiem olbrzymów? — a przecież lud Naddniestrzański dziwy opowiada o wielkoludach, wskazuje miejsca nawet, gdzie spooczywają kości olbrzymów. Narody, których parł miecz

krwawy, lub sroga gniotła niewola, szukały na tej ziemi przytulku i schronienia; przynosiły one z sobą własne podania a te wplątały się do podań ludu naszego. Nie mówię, iżby każde ustne podanie wprost odrzucać, czyniąc to pozbawilibyśmy się poezji ludowej, ale co do historii, trzeba być niezmiernie ostrożnym, gdyż jeżeli pismom nawet nie zawsze wierzyć można, tem mniej podaniom ludowym.*)

Błazen. Było to wtedy, kiedy Adam do Ewy na zaloty chodził, pewien król trzymał błazna, który go rozweselał. Lecz gdy się postarzał, Król go odsunął od siebie i dał mu liche pomieszkanie z małą bardzo pensyjką, która na utrzymanie jego wystarczyć nie mogła. Myśli on tedy, jakiegoby jeszcze figla wypłatać i skłonić króla do poprawienia jego losu. Pół dnia strawił nad projektami; nareszcie powiada do swojej żony: wiesz ty co, jutro pójdziesz do królowy jejmości, przez drogę natrzyj sobie cebulą oczy i powiesz, że ja umarł. Rano idzie ona do królowy jejmości niby zapłakana, która ją zobaczywszy tak stroskaną, wnet zapytała: jak się masz moja kochana, co tam słyhać? Błaznica kłaniając się nisko, powiada: że się źle ma, gdyż mąż jej o dziesiątej godzinie w nocy życie zakończył. Biednaś ty moja błaznico, zawołała rozczulona królowa i dała jej 50 dukatów, żeby miała za co męża pochować. Przychodzi ona do domu z tryumfem, pokazuje dukaty, które wytumaniła od łatwowernej królowy. To dobrze, powiada błazen, teraz ja pójdę do króla i powiem żeś ty umarła. Idzie on do króla z miną bardzo żałosną i kłania mu się bardzo niziusienko. Jak się masz kpiarzu, cóż tam u ciebie słyhać? Krucho bardzo koło mnie, najjaśniejszy Panie, jeszcze do tego moja najdroższa Elżusia dziś rano Panu Bogu ducha oddała. Biednyż ty mój błaznie! zawołał król rozczulony, i dał mu 200 dukatów, żeby się miał czem pocieszyć po stracie swej małżonki.

Biegnie tedy uradowany błazen do domu i woła do żony: widzisz! ja lepiej utumanił króla, mamy więc 250 dukatów,

*) Drukowałem w Dzienniku literackim we Lwowie wychodzącym w roku 1854. numerze 7. str. 52.

to s'howajmy, a teraz położymy się oboje i udajmy umarłych, gdyż król niezawodnie zechce się przekonać o tem zdarzeniu. Leżą tedy próżniaki na ziemi pod białymi prześcieradłami z twarzami mąką przesypanemi, obok których płonął dymiący kaganek. Tymczasem w pałacu królewskim wielkie powstało zamieszanie. Królowa powiada, że błazen umarł, a król twierdzi przeciwnie, że błaznica umarła. Nareszcie postanowili oboje przekonać się naocznie o tym wypadku. Idą tedy oboje do domu błazna i widzą, że w samej rzeczy pomarli; zmówili więc pacierz za ich duszeczki, a król pyta się żony, niewiedzieć, które z nich prędzej umarło? Na co odezwał się błazen, ja prędzej umarł, miłościwy królu, a moja żona pierwiej umarła. A wstańcież mi zaraz oboje! zawołał król i darował im jeszcze 200 dukatów, ażeby bez figłów żyć mogli swobodnie.

Bracia. W pewnej wsi było dwóch braci: jeden bogacz, a drugi biedny. Bogacz gardził biednym i nie dał mu nawet zarobić u siebie. Biednego rozpacz ogarnęła do tego stopnia, iż chciał porzucić rodzinną wioskę i pójść do innej wsi w celu wynalezienia jakiego zarobku dla siebie. Ale nim się do tej podróży wybrał, jeszcze chciał pożegnać swego poczciwego dziedzica, któremu wszakże nie miał co podarować gdyż miał tylko jednego koguta. Niesie on tego ostatniego koguta i oświadcza panu, że pójdzie między ludźmi, aby życie utrzymać. Pan rozrzewniony tym widokiem, kazał mu odnieść koguta do kuchni i żeby sam za dwie godzin przyszedł do niego. Kucharz sprawił koguta i piecze na rożnie. Tym czasem chłopiek nadbiegł i patrzy jak lokaj się uwijał z talerzami, a wzięwszy upieczonogo całego koguta, kazał iść za sobą chłopowi do pokoju. Pan sadza chłopca do stołu, i każe mu dzielić koguta na siedm osób. Chłop myśli sobie, jak tu ich obdzielić jednym kogutem. Nareszcie biorąc się na figle, wziął nóż, a odkroiwszy głowę, położył dziedzicowi na talerz mówiąc: hołowa, hołowi; potem odciał szyjkę i położył na talerz dziedziczki mówiąc: szyja pry hołowi maje buty. Potem odciał skrzydełka i położył na talerz córek mówiąc: skryła pannam, szczyby krasneńko litały. Potem odciał nogi i po-

łożył na talerze synów mówiąc: Panyezam nohy, szczyby kripko bihały, a jołubeszczje zjist tołubyszczje, i poczał prawie całego koguta smacznie zajadać.

Podobała się panu obrotność chłopca, dał mu też tyle pieniędzy, że mógł dobre rozpocząć gospodarstwo, ku czemu także zapobiegliwość jego mocno się przyczyniła. W krótko nawet zamożność do chaty jego zawitała i ściągnęła życzliwość brata jego bogacza, któremu nie mogło się to w głowie pomieścić, jakim sposobem brat jego do takiego przyszedł majątku. Po wielu nagabywaniach, przyznał się brat uboższy, że ofiarowaniem koguta zjednał sobie łaskę u Pana. Idzie bogacz do domu i opowiada to żonie swojej, która namawia go, żeby zaniósł panu pięć kogutów, to będzie jeszcze bogatszym od brata swego. Usłuchawszy rady babskiej, niesie on pięć kogutów do pana, który zamiarkowawszy jego przebiegłość, kazał jak pierwiej upiec te koguty; a skoro były upieczone, kazał mu dzielić na siedm równych części, czego on uczynić nie mógł. Zawołano tedy jego brata, który wzięwszy dwa talerze położył na nich jednego koguta, mówiąc: Boh w Trójci probuwaje i postawił przed pana i żonę jego. Podobnież dał jednego koguta córkom i synom. Nareszcie przed siebie stawiając dwa koguty powiada: Boh w Trójci probuwaje. Znowu podobał się panu ten podział i pieniądze dostały się uboższemu, a bogacz z spuszezonym nosem wołał: propały kohuty!

Burda. Hrabia Hołobocki miał syna marnotrawnego, który za młodu nic nie robił, jeno w karty grał, pił i włóczył się po szynkach. Ojciec niemogąc sobie z nim poradzić, oddał go do wojska. Lecz i tam się źle sprawował, wszystko z siebie pozostawiał i przepił. Za te przestępstwa kilka razy karany, gdy żadnej nie obiecywał poprawy, wypędzony został z wojska. Otrzymałszy dymisję, niewiedział co z sobą zrobić i z czego utrzymać dalsze swe życie. Poszedł do swoich kolegów, aby mu poradzili, czego się chwycić miał. A oni mu powiedzieli, żeby został oszustem, czyli po prostu powiedziawszy szachrajem, żeby napisał do rodziców swoich donosząc im o swojej promocyi w wojsku. Napisał on, że został kapralem,

a rodzice posłali mu cokolwiek pieniędzy, które z podobnymi sobie urwiszami przetracił. Pisze on znowu, że został feldweblem. Rodzice znowu posłali guldeny, on i to przehulał. Pisze po raz trzeci, że został oficerem; rodzice z radości posłali mu dużo pieniędzy, żeby stosownie do swego pochodzenia uporządkował swoją garderobę. Miał tedy za co hulać przez cały rok boży. Lecz i to się wyczerpało, pisze on, że został kapitanem i potrzebuje nowych zasiłków pieniężnych. Jakoś te prędkie awanse obudziły podejrzliwość rodziców. Ej, czy też on nas nieoszukuje! pojedźmy do niego dla przekonania, czy to wszystko prawda, co on nam pisze o swoim szczęściu i dobrem zachowaniu się w powołaniu tak ostrem, a wymagającym zaparcia siebie samego. Jadą oni tedy, a stanawszy w tem mieście, z którego synalek listy wypisywał, pytają się, kto tu kapitanem? Na to otrzymali zatrważającą odpowiedź, że jakiś staruszek zajmuje to miejsce. Bardzo zmartwieni udali się do zajezdnego domu, i z okna spostrzegli swego syna zapitego, zasmarowanego i obdartego. Ręce tylko załamali na ten smutny widok, ale się do niego przyznać niechcieli i precz odjechali. Od wszystkich prawie opuszczony, zapamiętały Burda włoczył się przez długi czas po mieście jako straszdyłło przerażające dla każdego porządnego człowieka. Nareszcie przypadkowo wlaźł do traktyerni, gdzie zastał dwoje ludzi młodych zmagających się po francuzku. Mężczyzna pytał się, gdzie pani mieszka? A ona mu powiedziała, że na Szerokiej ulicy pod 25 liczbą domu na pierwszym piętrze. On powiada, ja przyjdę do pani dzisiaj o godzinie dziesiątej wieczor. A ona zezwoliła na to i rozeszli się. Burda rozumiejąc dokładnie język francuski, myśli sobie, czy nieudałaby mi się też sztuka zostać mężem tej pani, wyprzedzę ja tego panicza, wszak fortuna śmiałkom sprzyja.

Jak pomyślał, tak też zrobił. O dwie godzin wprzód poszedł do tej kamienicy i zapukał do drzwi. Panna sądząc, że to ten sam, z którym się zmagiała, puściła go do pokoju i świecy nawet nie zaświeciła, gdyż w pociemku daleko przyjemniej szła pogadanka. Burda pali jej francuzkie miłośne szmermele, a ona rada słucha. Nareszcie przychodzi tamten

umówiony i puka do drzwi. Ona się zmięszała bardzo, ale Burda nietracąc fantazyi powiada: może to ten obdartus przychodzi, co był w traktyerni, ale ja go poczęstuję, i drzwi otworzył i wylał mu cały ceber pomyji na głowę. Oblany adonis wyleciał jak oparzony, narzekając na cały ród niewieści, Burda zaś zamknawszy drzwi, dalej wysełał strzeliste afekta do nieznamomej panny. Całą noc przegawędzili najuprzejmiej. Ale rano postrzegłszy obok siebie takiego oczajduszę, przestraszona panna zawołała: Co ty tu robisz? z kąd przypytałeś, się do mnie? Burda nie wiele myśląc, padł jej do nóg, szczerze wyznał, że się synem hrabiego urodził, że przez karty przyszedł do takiej nędzy. Zlitowawszy się nad nim, dała mu dosyć pieniędzy, żeby natychmiast przebrał się i przyszedł oświadczyć się jej ojcu. Usłuchał on tej rady, poszedł do miasta, umył się, wyperfumował się, wystroił się, podpisał cokolwiek na fantazyę i udał się do ojca w celu pozyskania ręki panny nieznamomej. Wyśmienicie udała się swadźba, huczne były zaręczyny, a po nich daleko huczniejsze nastąpiło wesele. Postrzegł on po niewczasie, że się dostał w dobre ręce, że mu niepozwalano brykać, że jego żona nie należała do rodzaju kobiet, których słabemi nazywają, że namacalnie dawała mu dowody swej siły. Kręcił się tedy jak piskorz w rękach złapany, któremu ani łyknać, ani też w karteczki, zaglądnąć nie pozwolono. Rad nie rad tańczyć musiał tak, jak mu jego jejmość zagrała. Wszelako dobrze wywiczony w szkole szachrajstwa, wyczekiwał chwili, w którejby mógł urzeczywistnić swe zamiary. Jakoż postrzegł nadzwyczajnie dobry humor swej jejmości. Nuż tedy koło niej skakać. Moja lubciu! moje złoto! mój djamencie! królowo moja! pozwólże mi serce wyjechać na kilka dni do moich rodziców, których dawno nie widziałem. A jak to każdy człowiek, czy mężczyzna, czy kobieta, ma swoje chwile, w których mięknie; tak też i jego czcigodna połowica zmiękła i wyprawiła go bardzo szumno do rodziców. Dała mu kocz, cztery konie, lokaja, furmana w kosztownych liberjach i dużo pieniędzy na drogę. Jedzie on bundziuczno do domu i na noc zajechał do karczmy w której po pańsku się rozłożył, a nakarmiwszy siebie i sługi swoje,

udał się z nudów do świetlicy karczemnej. Tam zastał żyda, porządnie ubranego, który przechadzał się po świetlicy trzymając karty pod pachą. Wnet obudziła się w nim tlejąca namiętność, obces przyskoczył do żyda, wołając: czy umiesz ty grać w karty? Czemu nie, odpowiedział usłużny Izraelita i zasiedli oba za stół. Z początku żyd przegrywał. Ale gdy się rozpałił hrabia Burda, tak wszystko przegrał: pieniądze, konie, kocz, służba i odzienie wszystko to przeszło do żyda, on tylko został w koszuli i w niewypowiedzianem dolnem ubraniu.

Co tu teraz robić? boso niebyło poco wracać do żony, gdyż wiedział, że lubo wszyscy bają, że kobieta słabszem jest stworzeniem, że mu tego płazem niepuści; bał się tedy jak ognia tej słabości kobiecej. Wyniósł się więc cichaczem z karczmy udając się prosto do matki w tej nadziei, że biedna matka ulituje się nad nędzą swego syna. Jakoż wieczorem stanął w domu rodziców i weisnął się do kuchni. A gdy matka jego weszła, upadł jej do nóg i z płaczem wyznawał swe przewinienia. Biedna matka rozplakała się nad niedolą dzieckaswego i poszła do ojca z oznajmieniem powrotu syna. Ale ojciec nie chciał nawet słyszeć o nim. Lecz matka ubłagała go, że pozwolił mu stanąć u siebie za pastucha. Pasł tedy Burda kozy codziennie, a z nudoty wyuczył ich stawać rzędem i pozdrawiać przechodzących. Skoro jaki pan nadjechał, to on krzyknął na swoje kozy: haptacht! a kozy rzędem powstawały i łapki do góry podnosiły, za co też dostawał od panów po kilka groszy. Tymczasem żona czeka na niego, a niemogąc się doczekać, prosi ojca, żeby jej pozwolił odjechać do rodziców męża. Ojciec zezwala na wydalenie się córki, która wyjeżdżając, przebrała się po mężku i do tej samej karczmy na noc zajechała, w której męża jej spotkało takie nieszczęście. Zaraz poznała swego lokaja, który tam usługiwał i zawołała go po imieniu. Co ty tu robisz? Lokaj poznał po mowie swojej gospodynię i wyznał wszystko, co się z panem stało. Ona mu nakazała, żeby nie mówił i weszła do świetlicy, gdzie żyd porządnie ubrany przechadzał się z kartami pod pachą. Czy umiesz ty żydzie grać w karty? zapytała go na samym wstę-

pie. Czemu nie, i zasiedli oboje do kart. Jak zaczęli grać, tak żyd przegrał dużo pieniędzy i to wszystko, co od jej męża wygrał. Nazajutrz jedzie do tego miasta, w którym były rodzice jej męża. Z daleka gdy spostrzegł Burda karetę jadącą, krzyknął: haptacht! a kozy rzędem postawały i łapki do góry podniosły. Ona zatrzymała się i gdy się zbliżał Burda do karety, poznała go natychmiast, ale mu nic nie mówiła, jeno rzuciła mu kilka groszy do podartego kapelusza i dalej pojechała. Przybywszy do dworu rodziców, uprosiła sobie tymczasowo pomieszkanie w oficynach. Skoro się tylko urządziła, kazała dać wannę i nanosić wody na kąpiel. Najchętniej nosił wodę pastuch kozi, spodziewając się dobrej zapłaty. Gdy już kąpiel była gotowa, ona zamknęła drzwi, zapaliła świecę i przystąpiła do pastucha, mówiąc: Poznajesz mię? A on ze strachu konewki z rąk wypuścił. Zaraz mi się kładź! Położył się sierota, cóż miał robic? a ona jak mu sypnie po cesarsku 25 paliczek, tak poznał, że żona jego wcale nie należy do istot słabych. Teraz dalej do wanny. Wlazł on do wanny, wykapał się, przebrał się i przysiągł, że więcej kart do rąk nie weźmie. Nazajutrz poprowadziła go do pokoju rodziców, gdzie się im za synową przedstawiła, i była wielka radość w domu i szczęście zawitało w stadle małżeńskim, gdyż Burda dotrzymał słowa i nie grał całe życie w karty.

Chłop. Niewiasta skarżyła się przed drugą, że ma złego męża i wiele niegodziwości od niego ponosić musi, przyczem też radziła się, czy ma dać na mszę do św. Antoniego. Głupia! odezwała się na to kuma, niedawaj do świętego Antoniego, bo chłop za chłopem będzie ciągnął, ale daj do Matki Najświętszej.

Chłopiec. Był chłopiec mający wielkie upodobanie w urywaniu główek ptasich. Postrzegli tę robotę starsi i zaczęli mówić, że z tego chłopca będzie wielki tyran, kiedy tak obojętnie patrzeć może na tę zabawkę; musi mieć okrutne serce, będzie więc z czasem rozbójnikiem. Rada w rada zebrali się i ułożyli, żeby chłopcu głowę uciąć. Każdy z sędziów

darował chłopcu po dwa i trzy lata, póki się nie zebrała liczba lat dwudziestu i ucieli mu głowę.

Chłopy. Czytał ksiądz ewangelię, Abraham zrodził Izaka, a Izak zrodził Jakóba i t. d. Sąsiad trącał jeden drugiego mówiąc: ej też to czasy były, kiedy chłop chłopca rodził. Cicho siedź, powiada zagabany, bo jak usłyszą baby, to każą nam dzieci rodzić.

Ciemny. Gospodyni młoda miała wprawdzie dobrego męża, ale młody parobczak, który ciągle koło niej kręcił się, bardziej się jej był podobał od męża. Myślała ona długo nad tém, jakby tę miłość ukryć przed mężem, który byłby wcale nieubłagany, gdyby się dowiedział o niegodziwych postępkach swej żony. Idzie tedy do wróżki i radzi się; co by mężowi zrobić, żeby nieznał, albo niewidział tej występnej miłości. Wróżka powiada, żeby się udała do cudownego Ojca Mikołaja, który się zjawiał w pewnym lesie. Tymczasem pokryjomo powiedziała to wszystko mężowi wróżka. Mąż tedy przebiera się za dziada z długą brodą i lezie na drzewo. Zaledwie stanął na drzewie, przychodzi żona, pada na kolana i woła: światy oteze Mykołaju, zmyłuj sia! zroby, szczo by mij czołowik buw temnyj. Nawary, powiada przebrany Mikołaj, bohato perohiw, omasty mnoho, upeczy sołonynu, kowbasu, ta daj jemu czerez try dny jisty, to win bude temny. Uradowana baprzyszła do domu, robi pierogi, gotuje i cieszy się z tej przepowiedni. Tymczasem mąż wyciął sobie w lesie tęgą palicę przyszedł niby z pola. Żona koło niego poczęła dreptać, dogadywać mu, nareszcie zastawia pierogi sownie okraszzone, mąż zjada smacznie, jednego, drugiego dnia, nakoniec trzeciego dnia powiada do żony: „ja szczoś ne wydžu“. Żona w lament niby poczęła zawodzić: A szczo ja bidna hołowońko budu robyty? i wysadziła męża na piec. Mąż siedzi, aż tu przychodzi chabał do żony, cieszy się, szepcze do niej, umizga się. Mąż uważa co to dalej będzie. Jakoś skromnie obeszło się jednego dnia, drugiego także, ale trzeciego dnia niebyło już końca tym umizgom, nareszcie kładą się oboje do łóżka

mąż tedy do swojej palicy, złazi z pieca, a stanawszy nad nimi, zawołał: Czy ty panyczu gospodar do mojej żinki, czy ja? Kusa rada była koło gacha, nie niemówił sierota na takie dictum acerbum. Jak zacznie niby ślepy okładać go kijem, nieomijając wszakże swojej żony, dwa razy gacha, raz żonę. Piszczą tedy oboje, wrzeszczą i przeklinają świętego Mikołaja wraz z wszystkimi świętymi. Nabił się ich tedy do woli i wypędził na zawsze niegodziwe romanse z głowy.

Córka. Miał włościanin córkę bardzo ładną i mądrą była mu nietylko pociechą jedyną w smutku i utrapieniu, ale i cała gromada często u niej rady zasięgała. Raz przyszło coś do głowy panu dziedzicowi, zwołał gromadę i powiada: Aby mi z tego kamienia, co stoi przed dworem, skórę ściągnąć. Gromada w niemem osłupieniu nic nie mówiąc, spoglądała tylko na pana, czy panu broń Boże nie przewróciło się w głowie. Ale pan niezartując, jeszcze raz zawołał: Jutro rano, aby mi była skóra z tego kamienia, bo inaczej straszne baty, a teraz fora ze dwora. Pokłoniła się gromada i radzi, co tu z tem robić? Jakoś nieszła im mowa w skład, brakło wszystkim konceptu, nareszcie postanowili zapytać się swojej zna-chorki, która już nieraz zdrową radę podała. Powiadają jej, że pan kazał zdjąć skórę z kamienia. Powiedzcież panu, żeby on swoim scyzorykiem zarznął, to wy już dalej sami ściągniecie. Podobała się rada dziewicy. Idą tedy rano do dworu, a pan wyszedłszy, zawołał: a co jest skóra? Zaraz będzie, odpowiada kłaniając się gromada, niech no pan nasz, miłościwy swoją delikatną ręką i scyzorykiem tylko zacznie, to dobędziemy nożów naszych i sami już dalej ściągniemy skórę z kamienia. Oho! a gdzie wy takiego rozumu nabyli, kto to was tak nauczył? zapytał pan zdziwiony. Gromada wskazała na włościanina, którego córka tak im doradziła. Jeżeli twoja córka, powiada pan, taka mądra, niechże jutro do mnie przyjedzie i nieprzyjedzie, ubrana i nieubrana, niech mi przyniesie prezent i nieprezent, a jeżeli tego niedokáže, to ty baty dostaniesz, a córka różgami weźmie, ja was nauczę mieć więcej rozumu od pana waszego. Idzie chłop do

domu bardzo smutny. Córka pyta, co wam takiego, ojcze? Z ciężką biedą wygadał się ojciec o co rzecz idzie. To bagatela, uspokójcie się ojcze, ja się dobrze sprawię. Nazajutrz prowadzi ojciec córkę, która siedząc na kozie, niby jechała i niejechała, wzięła na siebie siatkę, była więc ubrana i nieubrana, a z rąk wypuściła wróbla, przyniosła prezent i nie prezent. Podobała się panu nadobna poddanka, ożenił się z nią i był ojcem swoich poddanych.

Cygan. Był niedźwiedź srogi u którego nikt nie mógł służyć, bo wszystkich zabijał. Cygan filut odważył się do niego iść na służbę, wzięwszy kawał soli i sera świeżego, w którym była jeszcze serwatka. Przychodzi do niedźwiedzia, mówiąc: ja budu u tebe towar pasty. Niedźwiedź do niego by się z nim borykać, ale cygan nie głupi z niedźwiedziem borykać się, powiada: wpered musysz strybowaty, czy ty takij dużyj jak ja. I wziął sól niby kamień i rozduśił na piasek, a potem wziął sér i zdusił, aż woda pociekła. A nu ty, berety kamień, czy zdusysz na poroch, i czy woda z neho potecze? Niedźwiedź dusi kamień, ale kamienie kamieniami, w proch się nie obracają i woda z nich nie ciecze. Niedźwiedź tedy ulega przemocy cygańskiej i przyjmuje go na służbę. Cygan pasie bydło, a skoro przypędził bydło do domu, niedźwiedź kazał mu przynieść drzewo z lasu, ale cyganowi niechciało się dźwigać drzewa, poszedł tedy i kręci wozetek, czyli powróż. Niedźwiedziowi sprykrzyło się czekać na drzewo, idzie do Cygana. A ty szczo robysz? Ja chocz u ciłyj lis zwiazaty i zanesy do chaty, szczo maju po odnomu nosyty. Niedźwiedź się przeląkł, sam wyrwał kilka kawałków i niesie, aby cygan nie zawałił mu chałupy lasem. Idą tedy do domu, rozpalili ogień, nareszcie brakło wody. Poseła niedźwiedź cygana; idy, prynesy wodyci. Cygan idzie, lecz znowu niechce mu się nosić wody, kopie więc koło studni. Ale niedźwiedź niemogąc się doczekać, idzie sam do cygana. A szczo ty robysz? Ja chocz u ciłu kiernyciu z wodoju zabraty do chaty. Myni ne treba tolko wody, odparł niedźwiedź i nabrał w konewkę wody, i idzie do domu, aby jeść zgotować. Tak było codziennie.



Cygan zawsze się wykręcił od każdej roboty i udawał zawsze wielkiego zucha. Nareszcie przyrzekł niedźwiedzia zaprowadzić do swego ogrodu na jagody. Powiódł go do lasu i powiada, że to jego ogród, a tam były gruszki. Niedźwiedziowi zachciało się gruszek. Każe mu liść na drzewo i trząść. Jedzą tedy gruszki. Dalej idą, nadybują czereśnie. Niedźwiedź nagiął gałąź, jedzą oba czereśnie, nareszcie puszcza niedźwiedź gałąź, a cygan poleciał do góry z gałęzią i upadł na zdechłego zajaca. Nuż go tedy dusić. Niedźwiedź widząc to, powiada: szczo ty robysz? Ja uzdriw zajacia, taj pereskoczywem derewo, szczo by zajacia złowity.

Niedźwiedź myśli, że cygan cały djabeł, daje mu pieniądze za służbę, ale cygan niechce tego nieść, boby był niedźwignął i każe niedźwiedziowi, żeby mu zaniósł te pieniądze do domu. Niedźwiedź, aby się pozbyć cygana, niesie pieniądze, ale co dmuchnie, to cygan naprzód poleci, co wciągnie powietrze do siebie, to cygan ku niemu poskoczy zвычайnie ze słabości. A ty szczo takoho robysz? zawołał nań niedźwiedź. Cygan niechcąc się z tem wydać, że wiatr nim rzuca, powiada, to ja sia tak tizhu, szczo ty myni hroszi nesesz. Przyniósł niedźwiedź pieniądze, a powracając zdybał lisicę, która zaczęła mu gadać, że cygan go oszukał, że jest słaby, że szkoda pieniędzy. Pomiarkował się niedźwiedź i wraca po pieniądze z lisicą. Widdaj myni hroszi cyhane! zawołał w chacie. Cygan namawia żonę, żeby worek szkła rzuciła z góry do sieni, a tym czasem zabawiał niedźwiedzia, żeby poczekał, aż jego żona nadejdzie. Brzdęk! pada szkło z hałasem. A to szczo takoho? zawołał niedźwiedź zdziwiony. To moja żinka wstała, powiada cygan. Niedźwiedź myśląc, że żona gorsza od cygana, począł uciekać i zawałił pół chałupy a lisica za nim w nogi ucepiwszy się ogona niedźwiedzia, którą on łapami palnawszy, zabił. Nareszcie patrzy, a lisica leży, i biegnie do niej mówiąc: A wydysz, jak wyszkiryłaś zuby, a jak byś cyhana uzdriła, tobyś taki zdochła.

Cygany. Spowiadał się cygan, ale tak dwuznacznie, że niegodziwe jego postęпки raczej pochwałę, aniżeli naganę

zasługiwały. Między innemi przytoczył i to: Raz dywiu sia, a swynia lizy w kapustu, a ja swyniu pałycią, taj wihnaw z kapusty. Dobres zrobym, synu! powiada ksiądz i po rozgrzeszeniu zakomunikował go. Po służbie bożej przychodzi ksiądz głodny do domu, żona daje mu jałową kapustę. Ksiądz zajada i przemawia żonie, dla czego przynajmniej szperką nie okrasila kapusty. Żona skarży się, że złagodziła całą kiełbasę i spory kawał słoniny, ale zapewne ten cygan ukradł, gdyż prócz niego nikt niebył w kuchni. Przypomniał sobie zaraz ksiądz grzechy cygańskie, że nawet pochwalił go zato, nic tedy nie mówił, jeno wyczekiwał sposobności odpłacenia się oszustowi. W rok przychodzi ten sam cygan z dziećmi do spowiedzi i prawi księdzu niestworzone rzeczy. Ksiądz niby dał mu rozgrzeszenie i dzieciom jego. Sam zaś poszedł do zakrystyi, nakrajał feferonów, czyli perciuhy, pieprzu, czosnyku, chrzanu i zamieszawszy to wszystko ze spirytusem, sporą łyżkę dał zażyć cyganowi zamiast komunii, któremu aż łzy stanęły w oczach, ale widząc, że ksiądz zabiera się udzielać tej komunii i dzieciom jego, zawołał: Dobrodiju, bijte sia Boha! po mnie dajcie ditam, bo sia powstikajut.

Cyrograf. Młody królewicz opuszcza ojca, by doświadczyć różnych przygód w świecie. Przychodzi do pewnego miasta i wstępuje do karczmy by cokolwiek odpocząć i pyta się gospodarza, co tu słyhać? Gospodarz opowiada mu, że królowna młoda zapisała się djabłu, że chodząc z djabełm co nocy, 24 par trzewików zdziera. Król stroskany niedolą swej córki, ogłosił: jeżeli ją kto wysledzi, czy to pan, czy żebrak, młody, czy stary, to będzie jego żoną, a jeżeli nie wysledzi, to będzie stracony. Podobała się awantura królewiczowi i myśli sobie, jakimby sposobem onę wysledzić. Idzie tedy do pałacu, i znachodzi worek zawiązany. Otwiera on ten worek, a wewnątrz był płaszcz, laska i karteczka z napisem: jeżeli płaszcz weźmiesz na siebie, to będziesz niewidzialnym, jeżeli zaś na laskę, jak na konia siądziesz i świńiesz, to za jedną godzinę dwieście mil ujedziesz. Wziął on płaszcz do tłumoczka, laskę do ręki i przychodzi do pałacu, gdzie odźwiernemu oświadczył

swoją gotowość wysledzenia królowny. Odźwierny doniósł to królowi, który zawołałszy go do siebie, zapytał: czy sły-szał o postanowieniu królewskim, i czy w samej rzeczy dopilnuje królowny. Powiedział mu, że o wszystkim dobrze jest uwiadomiony, że najwierniej wszystkiego dopełni.

Nad wieczorem kazał się wprowadzić do tego pokoju, w którym królowna spała, płaszcz swój rozścielił i laskę położył koło siebie, sam zaś położywszy się na płaszczu, cicho leżał. Uderzyła jedynasta godzina, powstał wielki wiatr i coś zapukało trzy razy do okna. Zerwała się z łóżka królowna, zaświeciła świecę, otworzyła okno i związawszy 24 par trzewików w chustkę, dała djabłu trzymać, sama zaś zaczęła się ubierać. Gdy się już zebrała, wziął ją djabeł za rękę i poszli sobie w powietrzu. Zerwał się też królewicz, okrył się płaszczem, siadł na laskę, a świsnąwszy trzy razy pognał za nimi. Przyszli oni do jednego lasu, gdzie same złote drzewa były, i stół zakryty czysto, na którym były różne potrawy i dwie butelek wina. Oni sobie posiadali, jedli i pili, resztę zaś zostawiwszy na potem, poszli na spacer. Królewicz zaraz zjadł i wypił wszystko i wylazł na drzewo, z którego ułamał na znak złotą gałązkę. Wracają oni ze spaceru i znachodzą wszystko zjedzone i wypite. Królowna bardzo się przelekła i narzekała mocno, że ich ktoś śledzi. Djabeł jak szalony uganiał się po całym lesie, a nie znalazłszy, powiada do królowny: niebój się! nie ma tu nikogo. Wszelako przenieśli się do innego lasu, gdzie był stół podobnie jadłem i napojem zastawiony, oni cokolwiek jedli i pili, resztę na potem zostawiwszy, udali się na przechadzkę. Królewicz za nimi pognał i znowu wszystko zjadłszy i wypiwszy, wylazł na drzewo, z którego urwał na znak kilka złotych jabłek i gruszek. Oni przychodzą ze spaceru i zastają pustki na stoliku. Królowna zaczęła bardzo narzekać, a djabeł jak wściekły latał po całym lesie i przyszedł bardzo zmęczony. Radzi jej, żeby poszła na otwarte pole. Poszli oni na piękną łąkę, u stóp której, czysta rzeka płynęła, tam był stół zastawiony różnemi potrawami, przy których też było parę butelek wina tokajskiego. Jedli i pili cokolwiek i poszli się kąpać. A tymczasem królewicz w ślad za nimi pospieszywszy, wszystko

zjadł i wypił, co było na stole, sam zaś okrywając się płaszczem, położył się na murawę i odpoczywał. Po kąpieli przychodzą oni do stolika, gdzie znowu pustki zastali. Królowna bardzo się zgryzła i zmęczyła i trzewików już jej nie stało. Zabrał podarte trzewiki djabeł do chustki i wraca z królowną do domu. Królewicz otulił się płaszczem, siadł na łaskę i pędzi za nimi. Ale myśli sobie, trzeba ich wyprzedzić. Jak pomyślał, tak też zrobił. Pojechał tedy naprzód i położył się na swoim miejscu. Przyszli oni także, djabeł wysypał podarte trzewiki pod okno, pożegnał się z królowną i poleciał swoją drogą, a królowna zmęczona spać się położyła.

Rano przychodzi król do królewicza, lecz gdy go śpiącego zastał, nie nie mówił, jeno rozkazał lokajowi, skoro on wstanie, żeby przyszedł do niego. Przychodzi on do króla i pokazuje mu złotą gałązkę, złote jabłka i gruszki, które z tamąd wyniósł, gdzie królowna z djabełem przebywała. Schowaj to wszystko i czekaj aż do objadu, powiada król do niego. A tym czasem zwołał wszystkich swoich ministrów i innych gości zaprosił do stołu. Gdy wszyscy już około stołu zasiedli, król pyta przybysza: a co, wyszedłeś? Królewicz zaczyna opowiadać od początku jak było, a królowna bardzo się zecerwieniła i zerwała się z krzesła wołając: gdzie, gdzie, jakim sposobem? On pokazuje jej złotą gałązkę, nie jest że to z pierwszego lasu, gdzieście jedli i pili, he? nie zjadłem i nie wypilem wam wszystko, he? A te jabłka i gruszki, nie z drugiego lasu, he? nie kąpalście się razem w rzece, he? Królowna bardzo się zawstydziała, a król odzywa się do niego: Jeżeli ją wyszedł, masz tedy za żonę, zrób sobie z nią, co ci się podoba, a po mojej śmierci będziesz na moim miejscu panował. Królewicz rzucił się królowi do nóg i podziękował mu za tę łaskę, ale i królownie wpadł on w oko. Przeto po ukończonym objedzie zawołała go do swego pokoju i prosiła, by jej poradził, co z tym djabełem dalej miała począć. On cieszy królownę: Nie turbuj się, ja go z tądy wykurzę, pójdzie on jak nie pyszny od ciebie. Wieczorem kazał dużo świec przynieść i wody święconej z kościoła. Pozapalał te świece i w każdym kąciiku jedną postawił, królownę przykrył białym prześcieradłem na łóżku,

sam zaś siadł sobie na krzesło i czytał psalmy nabożne. Uderzyła jedenasta godzina, przychodzi djabeł i puka do okna, on mu otworzył i zamknął zaraz. Jak zacznie go kropić święconą wodą, tak djabeł kręci się i prosi, żeby go wypuścił. Oddaj łotrze cyrograf, bo cię na węgiel spale, ty szachraju stary. Właśnie miał on przy sobie cyrograf, gdyż tego dnia miał już wzięść królownę do piekła. Rzucił tedy cyrograf i jak nie pyszny wyniósł się z pałacu królewskiego. Rano poszedł on z królowną do kościoła, wziął ślub i żył bardzo szczęśliwie, a po śmierci króla, objął rządy królestwa całego.

Czarnoksiężtwo. Powiadają, że dawniej była kasta osobna ludzi, która kunsztu i nauki ukrywała pod wielką tajemnicą, że ktokolwiek przystał do tej kasty, przepadał zupełnie dla ludzkości. Ażby zaś nikt nie wyjawiał tej nauki i nie uciekł z tego zgromadzenia, mieli każdego portret wierzytelny, za każdym sprzeniewierzeniem się strzelano w portret, a kula musiała trafić winowajcę, chociażby był niewiedzieć jak daleko. Razu pewnego uciekł jeden z czarnoksiężników, a domyślając się, że już spostrzegli się za nim, wlaźł w wodę. Lecz zaledwie dał nurka, kula po nad głową jego przeleciała. Wylazł wnet z wody, gdyż wolny już był od prześladowania. Wiele rzeczy cudownych prawie pokazywał. Kupiec jeden stęskniony mocno, przybył do niego i oświadczył mu pragnienie swe widzenia żony, od której sto mil był oddalony. Kazał mu przyjść po południu. W samej istocie pokazał mu w drugim pokoju spiącą żonę jego. Kupiec z wielkiej radości biegnie do niej, lecz czarnoksiężnik wstrzymał go i dozwolił tylko pierścień zdjąć z palca spiącej żony. Przyjechał do domu kupiec i opowiada żonie całe zdarzenie. Ona zastawia się domownikami, że ciągle w domu siedziała. Na dowód pokazuje jej pierścień, o którym sądziła, że go przypadkiem gdzie zgubiła, gdyż był cokolwiek przestronny na jej palec.

Djabeł. Lucyper wysłał djabłów pewnego razu, w celu szkodenia ludziom. Po tej missyi wrócili do piekła, i każdy musiał się sprawić z tego, cokolwiek złego uczynił na świecie-

Jeden mówił: ja dęby z korzeniami powyrywał; drugi, że mosty burzył; trzeci, że stawy zrywał; inny, że kąkol nasiał między zboża; nareszcie najmłodszy powiedział, że ubogiemu rolnikowi placek połamał na kawałki i rzucił na cztery wiatry. Oburzył się na to Lucyper i kazał mu za karę służyć u tego rolnika przez dwanaście miesięcy. Pan każe, sługa musi. Idzie tedy djablisko pod imieniem Iwasia do tej wsi, gdzie był ów rolnik i prosi się na służbę, ale rolnik niechce go przyjąć: ja sam nie mam co jeść, ja biedny, na co mi sługi. Ja będę służył bez wikt i zapłaty, przyjmij mię, powiada djablisko spuściwszy uszy. Rolnik myśli sobie, żeby to dobrze było dla niego, gdyby miał kogo posłać za siebie na pańszczyznę. Zgoda! zawołał rolnik, będziesz robił za mnie pańszczyznę. Zostało djablisko na służbie i odrabia pańszczyznę. Razu jednego rozkazał ekonom, ażeby jechali po sosny do lasu na krokwie i belki do gorzelnii. Jaki taki wyjechał parą chabetami, a djablisko włókł się jednym koniem tylko, bo gospodarz jego więcej nie miał. Wszyscy śmieją się z niego, że takim uprzędem nie tylko, że nic nieprzywiezie, ale jeszcze bicia dosyć wezmie. Djablisko na to niezważając, całą sosnę wyrwał z korzeniem i wiezie jednym koniem do dworu. Ekonom widząc, że wszystkich wyprzedził, powiada do niego: wiesz co, Iwasiu! jeżeli mi jeszcze jedną sosnę dzisiaj przywieziesz tym koniem, to ci daruję konia jednego. Podjął się tego Iwasio i przed zachodem słońca przywiózł drugą sosnę. Dostał więc konia i przyprowadził gospodarzowi. Odtąd jeździł już porządnym zaprzęgiem na pańskie. Trza było, że jakiś wojewoda jechał czwórka, ale tak lichą, że zaledwie wlokła się jego kareta. W przelocie postrzegł fornalnę Iwasia, nuż tedy w targ o konie i zamieniał cztery konie za dwa, które Iwaś przyprowadził swemu gospodarzowi. Trafiło się też, że zawołano go do młócenia zboża. On wyrwał pół dęba i przyszedł na pańskie. Wszyscy znowu w śmiech, jak on takim cepem młócić będzie. Ekonom umyślnie wyrzucił półtory kopy, gdy przeciwnie inni tylko kopę mieli do młócenia. Lecz zaledwie inni po parę snopów wymłócili, Iwaś już był gotów z robotą. Oho! zawołał ekonom, wiesz co bratku, jeżeli ty zmłócisz mi dzi-

siaj wszystko zboże, to ci daruję połowę zboża ze szpichlerza. Podjął się tego Iwasio i przed zachodem słońca było już wszystko zboże wymłócone. Ale ekonom myśli sobie: szkoda dawać tyle zboża, puszczę ja na niego ogiera, którego nikt jeszcze niedosiadał, to on go zabije. Wypuścili ogiera, któremu Iwaś dał szcztka w nos i już go nie było. Puszczają jeszcze buhaja na niego, ale i temu jak dał szcztka w nos, przewrócił się do góry nogami. Rad nie rad musiał ekonom dać połowę zboża, którą Iwasio zwiózł dla swego gospodarza i zrobił go wielkim panem i zakończył rok swej służby i kary.

Diak. Gospodarz miał żonę, w której diak kochał się. Żona niepoczeiwa, więcej też diakowi niżeli mężowi sprzyjała. Diak miewał różne przysmaki, a mąż zaledwie trochę barszczu trzy dni w garnku kisnącego. Miłostki te odbywały się po kryjomo i gospodarz niemógł nigdy złapać diaka. Trafiła mu się biedna sierota, chłopczyną niewielki; przyjął go na zimę, myśląc sobie, że będzie miał na lato pastucha. Siedział tedy chłopiec za piecem, z którego żona wcale sobie nie robiła. W niebytności męża przyjmowała diaka. Właśnie razu pewnego, miało być bardzo szumne przyjęcie, diak przyspieszywał dumki ukraińskie, aż tu niespodziewanie mąż przyjeżdża; diak ze strachu wlaź pod łóżko. Żona także niby zasłała i położyła się do łóżka, a wchodzącemu mężowi palcem tylko wskazała, że za piecem stoi garnek barszczu czystego dla niego. Mąż widząc, że niema do kogo co mówić, nakryzył chleba do miski, nalał tego barszczu lichego i zaczął z chłopczyną sierotą rozmowę. Chłopczyną, który o wszystkim wiedział, co się w chacie dzieje, powiada do gospodarza: nie jedźcie tej lichoty, lepiej posłuchajcie, ja wam ładną bajkę powiem. Będąc u pewnego gospodarza na służbie, pasłem mu świnie, a on mi za to dawał pierogi takie, jak są u was w piecu. A jak czasem figla jakiego spłatałem, to mię bił takimi szlejami, jak te kiełbasy, co są u nas za piecem. Raz przyszedł wilk do trzody, a ja go palnął głownią zapaloną, tak wielką, jak jest faszka wódki pod poduszką naszej gospodyni, a wilk na mnie ślipie wywalił, jak ten diak, co jest u nas pod łóżkiem. Wy-

rozumiał gospodarz tę bajkę, w piecu znalazł pierogi, za piecem kielbasy, a pod poduszką flaszkę wódki; podjadł sobie dobrze, a jeszcze lepiej podpił i wyciągnawszy z pod łóżka diaka, bił dopóty, póki diak ducha nie wyzionął. Nieżywego zaniósł do swego arendarza i postawił go za piec, sam wziął półkwatki wódki, i poszedł do domu poczęstować swoją połowicę, lecz nie od razu gwałtownie, żeby było co na drugi raz wybić. A tymczasem żyd spostrzega diaka za piecem, niby śpiącego. A tycho tobi na matier, czoho ty spysz, i nuż go kijem po łbie, a diak z zapieca wywrócił się nieżywy na ziemię. Aj waj! wus habe ich gethin? zawołał żyd zakłopotany, a wtem otworzyły się drzwi i gospodarz znajomy wchodzi do karczmy. A ty psie, żydzie! zabiłeś naszego diaka, zaraz ja pójdę do wójta i będziesz wisiał. Żyd przebłagał gospodarza i dobrze zapłacił mu za to, że udał, jako diak upiwszy się, paraliżem tknięty został.

Diak. W pewnej wsi był bardzo biedny pop mongolski, miał złych parafian, którzy go wspomagać niechcieli. Raz przychodzi do niego diak, on skarży się przed nim, że niema z kąd żyć. Wysłuchawszy tych narzekań, diak powiada: ja bym wam poradził dobrze, jeżelibyście na to przystali. Oto u naszego pana jest piękny buhaj, ja go ukradnę — dobrze? co? Pop mongolski przystaje na to. Diak przyprowadził buhaja, zarznęli go, skórę ściągnęli i mięsem podzielili się oba. Ale przyszło dzielić się jedną kiszka, której niechcąc dzielić, pop mongolski uchwycił za jeden koniec, a diak za drugi koniec i rozerwali między sobą. Na drugi dzień dają znać panu, że najpiękniejszego buhaja wykradziono. Pan rozesłał sługi swe na wszystkie strony, którzy z niczem powrócili. Píše on do popa mongolskiego, żeby w niedzielę ogłosił ludowi, że we dworze zginął buhaj, a jeżeli go kto złapał, lub widział jak złodzieje go prowadzili, ten otrzyma dziesięć dukatów nagrody. Jedzie sam pan w niedzielę do cerkwi, pop mongolski ogłasza szkodę pańską, na co diak odzywa się, że on wie, gdzie ten buhaj znajduje się. Pan uradowany bierze diaka po nabożeństwie do siebie na objad, gdzie go dobrze nakarmiwszy

i napoiwszy, dał mu jeszcze pięć dukatów. Powiedźże mi mój kochany, gdzie ten buhaj? Diak zaczął opowiadać sen: przyszedłem razu pewnego do popa mongolskiego, który skarżył się przedemną, że niema co jeść; tak ja poszedł, przyprowadził pańskiego buhaja, zarznęliśmy go i podzieliliśmy się mięsem. Ale jeszcze kiszka pozostała, my niechcieli rozrywać, jeno rozerwać, jak my rozrywali, tak ja upadł i przebudziłem się ze snu. A durniu jeden, to tobie się śniło, powiada pan rozczarowany. Wróćże mi dukaty. Diak odpiera: a śniło mi się, ale umarłego z grobu niewracają. bądź pan zdrów i dziękuję panu za objad.

Diak. W Stanisławowie był diak, którego szczególnie studenci lubieli. Jak wpadł między pędractwo, to wołał: ditońki, chapajcie się pyśma. Jak wychodzili gimnazyaliści z drukowanymi klasyfikacyami, to on mniejszych pytał, co znaczą litery O. A. M. D. G. przy końcu klasyfikacyi, to oni mu mówią: Omnia ad majorem Dei gloriam. Nieprawda, to sia pysze: O abysty młodeci dobre grajfowały. Starszym zaś zamiast młodeci mówił: „młodyci“ to wąsale rehotali się, jak gdyby im kto żaru za skórę nasypał. Gdy zjawili się seminarzyści na wakacye, to on do nich: skazit meni, szczo wy sia uczyte wi Lwowi, skazit myni perwsze słowo z bublji żydiwskij? To oni mówią mu: Bereszit Jehowa. — No, no, breszit, breszit! Łysz mnoho breszit, budete knysz y jisty, i uciekał od nich machając ręką breszit, breszit.

Doświadczenie. Brodacz czytał taką naukę w księdze: broda długa znaczy głupiego człowieka. Wtem nieostrożnie nachylił się na świecę, że aż sobie brodę opalił, zatem w owej księdze na marginesie napisał: probatum est.

Droga. Słowikowski zjechałszy się na bardzo złej i ciasnej drodze z szlachcicem, zawoła: wara, wara! bo ci tak uczynię jako wczoraj drugiemu. Którego znając szatańskim być i bojąc się konfuzyi od figlarza, ustąpił szlachcic i zapytał: cóżbyś mi uczynił, gdybym ci się był nieustąpił? Tobym ja

się tobie był ustąpił, jako wczoraj temu, odpowiedział Słowikowski.

Drzewo. Miał człowiek rozpustnego bardzo syna, który nieustannie kłócił się i bił ludzi. Ojciec rozumny nie na to nie mówił, jeno powtarzał zawsze przechwalającemu się synowi, że drzewo bił. Syn żwawo spierał się z ojcem, że to byli ludzie, mieli nos, usta, oczy; ojciec zawsze swoje powtarzał: drzewo bił, nie ludzi. Razu jednego przynieśli syna w przesieci radle okrutnie zbitego do domu, a ojciec strapiony zawołał: teraz poznaję, żeś ludzi bił.

Dukaty. Drwie z Boga i ludzi nigdy się nie godzi. W sąsiedztwie na przedmieściu jednego miasta dwa kowale mieszkając i z pracy rąk swoich żywności szukając, z których jeden nabożny do świętego Mikołaja wiernie codziennie piosnkę na to złożoną śpiewał; drugi zaś świętej wierze przeciwny, bo był heretyk, temi słowy nabożeństwu sąsiada urągał: ty św. Mikołaja, ja żyda Mojżesza wzywać będę; obaczę, kto komu prędzej zapłaci. Dowiedział się żyd o owym kowalu i o jego ku sobie afekcie. W podarunku gęś mu posławszy i w nią kilkadziesiąt czerwonych włożywszy, nieostroźnie znać niedając, co w gęsi było, oddał. On niewiedząc o złocie, gęś sąsiadowi sprzedał za kilka groszy. Po czasie niedługim opowiedział żyd, co w gęsi było, a kowal widząc się oszukanym, pozwał sąsiada, aby mu czerwone złote oddał. Pozwany tem się przed sądem wymówił, że on gęś z wnętrzościami kupił, sprawę wygrał i jeszcze heretyka o grzywny przepawił.

Dziad. Przyszedł dziad do domu po jałmużnę, gdzie było trzy córki. Matka do starszej powiada: Idź Kasiu do komy, daj dziaduniowi kawałek chleba. Kasunia tak zrobiła, ale dziad przebiegły, pokazał jej złote jabłko, które bardzo podobało się Kasuni i prosiła dziada, żeby jej darował. Dziad powiada: jeżeli panna sobie złapie jabłko, to niech pannie służy i rzucił jabłko na ziemię. Toczy się jabłko, panna biegnie za jabłkiem i zabiegła aż w czarny las, gdzie wprowadzie

złapała jabłko, ale i dziad uchwycił Kasunię i zaprowadził do swego domu, w którym ją zamknął i niekazał otwierać drzwi łykiem zawiązanych. Siedzi Kasunia jeden dzień, bawi się jabłkiem, drugi dzień siedzi, dziadek poszedł na rozdobędy i niewraca. Nareszcie trzeciego dnia myśli sobie Kasunia, co by tam było za temi drzwiami, których dziadek niekazał otwierać. Idzie ona do tych drzwi, otwiera, a tam ludzie leżą we krwi bez głowy; ze strachu opuściła jabłko, które zanurzyło się we krwi; podejmuje, obciera, myje, lecz jabłko było ciągle zakrwawione. Z wielkiego strachu zasłabła i położyła się do łóżka. Dziad przychodzi i pyta, czy nie otwierała tych drzwi? Ona odpowiada, że nie. Pokażno jabłko. Pokazuje jabłko zakrwawione. Byłaś szelmo, zawołał dziad rozniewany i uciął Kasuni głowę i rzucił między trupy. — Podobnie postąpił sobie i z drugą siostrą. Już miał i trzecią w domu. Lecz najmłodsza była ostrożniejszą, nie bawiła się jabłkiem, ale schowała do skrzyni i bez jabłka poszła do tej izdebki tajemniczej, w której ze zgrozą postrzegła krew i trupy zamordowanych ofiar, między którymi były także jej siostry. Zamknęła drzwi i położyła się do łóżka z trwogi i przestachu. Przyszedł dziadek i zaczął się wypytować, dlaczego w łóżku leży. Słabam, głowa mię boli, odpowiadała dziewczyna. Pokażno jabłko, czyś nie była w tej izdebce? Niebyłam, i jabłko było całkiem czyste. Dziad uwierzył, że niebyła i poszedł znowu na rozdobędy. Dziewczyna wstała i znalazła maść u dziada ożywiającą, posmarowała obie siostry, których głowy zrosły się i przyszły do siebie. Razem uciekły do domu, potem razem zajechały i zabrały dużo złota i srebra i wyniosły się z tej wsi, żeby ich dziadek nieścigał. Dziad ze złości zapalił ich chatę, lecz dziada wkrótce złapano i powieszono.

Dziad. Do Zbaraża przybyło dwóch młodych medycynierów na wakacje, żeby sobie wytchnąć i jakie takie robić doświadczenia. Właśnie wtedy umarł w szpitalu dziad, którego dwie baby pilnowały. Piękna myśl przebiegła przez głowy młodych Eskulapów, żeby dziadka wykraść i zrobić na nim doświadczenie. A jak to u młodych zawsze na wierzchu

i plan i środki onego wykonania, kupili flaszkę wódki, zaprawili miodem i kilku kroplami opium i udali się do szpitalu wieczorem niby odwiedzić umarłego dziada. Nuż tedy wzdychać i oczy wywracać niby z nabożeństwa, co też babkom niezmiernie się podobało, że tacy młodzi panicez wcale nabożni, dalejże w rozmowę z nimi. Eskulapy zasiedli z babkami, dobyli wódki, częstują i rozprawiają o duchach, upiorach i djabłach. Nareszcie gdy postrzegli, że babki twardo zasnęły, dali im ogon wołowy do ręki, okno otworzyli i trupa szczęśliwie wynieśli. Nazajutrz babki ocknęły się, ale patrzą, niema dziadka, jeno ogon w rękach, wpadły tedy na domysł, że djabli porwali dziada. Całe miasto o niczem nie mówiło, jeno o porwaniu dziadka, i że baby taką utarczkę miały z djabłem, aż mu ogon urwały.

Dziady. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Co dla jednych jest nieszczęściem, dla drugich może być rozkoszą. Nędza, kalectwo i wszelkie niedogodności żebraków, smutny widok wprawdzie przedstawiają, ale trzeba nam wejść w ściślejszy stosunek z tymi nędzarczami, a przekonamy się, że między nimi częstokroć zadowolenie, a nawet pewny rodzaj dumy panuje. Dziad szczyci się tem, że z dziada pochodzi. Niechno jaki obdartus obcy pojawi się i stanie obok niego, zaraz go przywita gradem słów obelżywych: A ty widki? Ja z dida did, a ty zawołoka, perejdeświt, zjebojida, ty nechrest, ty pokirez. Dziad lrnik, to akademik graduowany, śpiewał niedokoniecznie śpiewy nabożne, ale też światowe. Często nawet bluźniercze były przedmiotem jego muzyki. Dziadowoda przy nim będący, ostrzegał go zwykle mówiąc: Pany idut! to dziad wtedy śpiewał: Preczystaja Diwo Maty ruskoho kraju! gdy przeszli, to pytał: a dały szczo? Gdy nic nie dali, to mówił: Trysta matier im mordowało, naj im bude na bezholowie, ta na korotkij wik! i poczynął pieśni światowe:

Handziu, Handziu! szczo ty robysz
Szczoz za soboju chłopci wodysz,
Jakże chłopciw ne wodyty,
Koły choczu ich lubyty.

Albo po polsku czasem wycinał sobie podobną piosnkę:
Nasza Kasia chwala Bogu
Nasza Kasia leży w brogu,
Tak się modli Panu Bogu
Aż się siano trzęsie w brogu.

Czasem znowu drwiąc z biedy swojej, nucił następującą zwrotkę:

A z weczera komary tnut
Piwnoczy spaty ne dajut
Oj wlizu ja w sołomońku
Zawynu ja hołowońku
Nechaj w s.... tnut.

Na dowcipie prawie nigdy im nie zbywa. Raz śpiewającego dziada: Wszyscy po niej łazili, tylko ja po niej nie łaził! zapytał przechodzący: a po czem wy dziadku nie łazili? Bez namysłu odpowiedział: po górze Kalwaryi. — Powszechnie wiadoma jest owa zwrotka:

Święty Antoni, broń tylko bydła i koni
A świnią psiabestyja niech się sama broni.

Dziady po największej części są libertynami pierwszego rzędu; rzadko kiedy który z nich spowiada się, a przewrotność i obłudność, głównymi są znamionami żebraczego ich rzemiosła. Powiadają, że ubogi człowiek idąc drogą, pomyślał sobie: gdybym co znalazł, podzieliłbym się z pierwszym człowiekiem, którego bym tylko zdybał. Zaledwie to wyrzekł, znalazł spory woreczek pieniędzy. Natychmiast przeliczył pieniądze, połowę wziął sobie, a drugą połowę niósł w rękach, żeby onę oddać pierwszemu lepszemu człowiekowi. Jakoż obaczył przy drodze siedzącego ciemnego dziadka, przybliżył się do niego, a opowiedziawszy mu to zdarzenie, oddał pieniądze. Dziad schowawszy pieniądze do torby, powiada: pokazit myni waszi hroszi, naj ich pereżehnaju. Nie myśląc nic złego, dobył pieniądze swoje pocziwiec i oddał dziadowi, który takowe prędko pochwywszy, rzucił do torby swojej. Pocziwiec do niego: oddaj mi pieniądze. Dziad narobił tyle krzyku, że aż ludzie powybiegali z blizkich chałup: Bijte sia Boha, ratujte mene, rozbijnyk mene napadaje! Wszyscy uwierzyli dziadowi, a na-

wet i sędzia zgromił pocziwego dawcę, który niezem nie mógł udowodnić swego dobrodziejstwa dziadowi wyświadczonego, zwłaszcza nie mając na to świadków. — Idzie tedy drogą i płacze na niesprawiedliwość ludzką. Wtem zbliża się do niego dziadowoda i pyta: czego ty człowiecze płaczesz? Opowiada on mu wszystko, co się stało. Wiesz ty co, mówi dziadowoda: ja cię zaprowadzę do chałupy tego dziada, będziesz tam cichutko siedział, może ci się uda odebrać pieniądze, ja tymczasem pójdę po drugiego dziada ślepego, z którym on lubi gawędzić. Wkrada się więc cichaczem do chałupy dziada, który właśnie pieniądze do worka zsypywał, mówiąc: Krot' mat' mu mordowało, chotiw myni toj zawołożka wsi hroszi zabraty. I położył się na łóżku w celu bawienia się pieniędzmi. Podrzuca tedy jeden worek do góry i mówi: to tobi Spasytelu, rzuca drugi i mówi: to tobi Chrystytelu. Było tego kilka razy, pocziwiec zbliżył się i uchwycił jeden worek. Dziad do worka, widdaj Spasytelu! woła na całe gardło, ale Spasytel nie chciał oddać. Dziad ze złości już ledwie dycha. Przychodzi kolega ślepeun i woła: Zdrasty batiuszka, szczo czuwaty? Dziad skarży się, że się bawił z Spasytelem: to tobi Spasytelu, to myni Chrystytelu, i że ten Spasytel ukradł mu pieniądze. A ty durnyj! sztrofuje go dziad przybyły, ne brataj sia z Spasytelem, czy Spasytel twij brat, czy szczo? ja ne taki durnyj jak ty, dywy sia, kolko ja maju hroszi. Nuż tedy podawać sobie woreczki z rąk do rąk, a wędrowiec pocziwy cichaczem podsunał się i zabrał obydwie worki. Dziady w krzyk. Jeden drugiego szturka wołając: widdaj myni hroszi! nareszcie gdy się oba ślepeuny za włosy uchwycili w największej złości, wędrowiec wyniósł się z chaty i podzielił się z dziadowodą, który mu tak dobrze poradził.

Było też dwóch dziadów, jeden ślepy, ale zdrowe miał nogi, drugi chromy na obydwie nogi, ale za to dobrze widział. Owoż ten ślepy brał tego kulasa i stawiał go jak lalkę na swoje ramię, który mu mówił: dokąd miał iść, lub co zrobić wypadało. Razu jednego mieli oni pełne torby kiełbas, kołaczów, pierogów i nieco grosiwa. Złodziej zwąchawszy kiełbasy, na pewne wlaź do chałupy i zabrał im całą torbę, w tem

mniemaniu, że za nim nie pobiegną. Lecz stało się przeciwnie. Kulas krzyku narobił, a ślepy natychmiast posadził go na ramieniu i wybiegł za złodziejem, który w różne strony obracał się, widząc pogoń za sobą. Ale kulas zawsze wołał: sab, lub cabe, w miarę obrotów złodzieja. Nareszcie gdy już się zbliżyli, zawołał ptrr! Ślepy uchwycił złodzieja, odebrali torbę i nabili go, co się weń wlażło.

Fanaberja. Jako znakomite pochodzenie nie może być zasługą, tak podobnież urodzenie z ubogich przodków, nie powinno być za przestępstwo poczytane. Był atoli czas, w którym podobną genealogię w wielkiem miano poważaniu. Sam byłem świadkiem, jako ta szlachta chodackkowa niemając częstokroć czem przyodziasz się, jednak nos do góry zadzierała. Widywano, jako na jednych saniach przybywało ich po dwa-naścioro, a przed kościołem, jak gdyby się nie znali, wcho-dzili osobnemi drzwiami, i witali się jak gdyby zdaleka przy-byli i dawno się nie widzieli, a powitawszy siebie wzajemnie, pehali się do ołtarza, żeby się nie mięszać z tłumem. Otóż do domu takiego szlacheica chodackkowego przybył pewien jegomość, a nie zastawszy nikogo prócz dzieci, zawołał: Dzieci! My nie dzieci, odpowiedzieli potomkowie rasy szlacheckiej. A coż wy? My panicze. Poprawił się ów jegomość mówiąc: panicze, a gdzie wasz ojeiec? To nie ojeiec. A cóż? Jegomość. A gdzie jegomość? Ubrał się w wór, wziął w rękę kół i poszedł świnie paść. A gdzież matka wasza? To nie matka. A cóż? to jejmość. A gdzież jejmość? Poszła ehusty prać, obiecali suchej rzepy dać.

Albo to nie fanaberya? Jeżeli chcesz, to przyjdź do mnie, bo ja do ciebie nie pójdę. Rozumny odpowiada, taka tobie droga do mnie, jak mnie do ciebie.

Figle. Pewien kaznodzieja wyszedłszy na ambonę w dzień Zaduszny, począł z całego gardła krzyczeć: pali się! pali się! Wszyscy w nogi, a tak gdy z kościoła uciekają, Stojcie! zawołał: Kiedy dom się pali, jak biegniecie ratować, a dusze palą się w Czyśćcu, wy nie myślicie o podaniu im pomocy, i powiedział kazanie bardzo rozczulające.

Drugi kaznodzieja mając o ważnej rzeczy rozprawiać, wziął strzelbę na plecy i idzie na ambonę. Ludzie patrzają i powiadają, że kaznodzieja zwarzjował. Ale on stanawszy na ambonie, zaczyna strzelbę nabijać, podsypał na panewkę prochu, i wymierzywszy między ludzi, wypalił, lecz tylko na panewce proch się zajął, strzelba nie wystrzeliła. On drugi raz podsypał cokolwiek prochu i znowu wymierzył między ludzi, którzy widząc, że to nie żarty, tłumnie cisnęli się do drzwi. Wtedy kaznodzieja zawołał: Stójcie! widzicie jak się śmierci lękacie, a grzeszyć nie boicie się. Nuż tedy kazanie prawić o zbrodniach ludzkich, które na słuchaczach wielkie sprawiło wrażenie.

Inny kaznodzieja wyszedłszy na ambonę, począł wołać: Upiłem się! Upiłem się! ale nie śmierzącą gorzałką lub szkaradnem piwskim, ale upiłem się słowem Bożem, którem i was poczęstować myślę.

Proboszcz miał mieć kazanie na Zesłanie Ducha świętego. Namawia tedy organistę, żeby złapał gołębia i przywiązał koło sygnaturki, a jak zawoła: Przyjdź Duchu święty! żeby go puścił dziurą od sygnaturki do kościoła. Organista zrobił tak jak mu było nakazano. Proboszcz stanął na ambonie i prawił wstęp do kazania o zesłaniu Ducha świętego, a tym czasem organista poszedł na strych, żeby gołębia mieć w pogotowiu, którego już nie było. Proboszcz woła: Przyjdź duchu święty! gołębia niema. Woła drugi raz: Przyjdź Duchu święty! a organista odzywa się przez dziurę od sygnaturki: niema, kot zjadł.

Jezuici zaprosili dobrego kaznodzieję z kazaniem na uroczystość św. Ignacego. Kaznodzieja przez całe kazanie wychwalając zasługi fundatora Towarzystwa Jezusowego, powiada przy końcu: Święty Ignacy był tak potrzebny jak piąte koło u wozu, ale o tem wam powiem da Bóg doczekać za rok i zszedł z ambony. Ojcowie Jezuici strasznie zalterowani, już nieprosili tego kaznodzieję na rok przyszły z kazaniem, ale innego. Gotuje się tedy kaznodzieja, żeby konfuzję zakonowi wyrządzoną zmasać. Zbliża się uroczystość św. Ignacego, on kaznodzieja lubo nie proszony, jedzie także cichaczem i przed samą Sumą po kryjomu wlaź na ambonę, a zamknawszy drzwi

za sobą, siedział spokojnie aż do Ewangelii, pod czas której podniósłszy się, ukazał się ludowi. Ojcowie Jezuici ledwie nie poumierali z gniewu, sami nie wiedzieli co z nieproszonym gościem robić. Tymczasem odezwał się nie proszony kaznodzieja: Obiecałem wam najmilsi słuchacze dowieść, że św. Ignacy był tak potrzebny, jak piąte koło u wozu. Dobry gospodarz, bierze zawsze piąte koło na wóz, jeżeli w daleką wybiera się drogę, bo gdy mu się w drodze koło jakie popsuje, ma zaraz pod ręką piąte koło, i może dalszą podróż bez przerwy odprawiać. Otóż i w Kościele katolickim przez Lutra złamało się czwarte koło, św. Ignacy był piątym kołem, za pomocą którego Kościół katolicki istnienie swe zabezpieczył. Jak zaczął tedy wychwalać Towarzystwo Jezusowe, tak Ojcowie Jezuici uradowani, znowu nie wiedzieli, jak kaznodzieję przeprosić i uraczyć.

Pewny kaznodzieja chcąc zbyć kazanie, na które przygotować się nie chciał, wylazł na ambonę i powiada: A wiecie wy, co ja mam powiedzieć? Wszyscy odpowiedzieli, że nie wiedzą. Otóż jeżeli wy nie wiecie, o czem mam mówić, to wam nic nie powiem. Na drugą niedzielę wylazł na ambonę i pyta: A wiecie wy co mam powiedzieć? Wszyscy powiadają: wiemy. Otóż jeżeli wiecie, to wam nic nie powiem. Na trzecią niedzielę wylazi znowu na ambonę i pyta: A wiecie wy, co mam powiedzieć? Jedni powiadają, że wiemy, drudzy zaś: nie wiemy. Otóż ci, co wiedzą, niech powiedzą tym, co nie wiedzą.

Dwóch błaznów stało przy ogniu; jeden porwawszy garnek popiołu, uderzył w łeb drugiego, mówiąc: wara! wara! bracie, bo grzmi. A ów porwawszy głownię, a bijąc go po łbie, rzece: żegnaj się, bo się błyska.

Wiózł chłop żyda, a gdy miał go wyrzucić, powiada: szczoś tu bude, szczoś tu bude! Żyd ciekawy, pyta: Iwane, a szczoś bude? Jakże już wyrzucił, powiedział: ot, wże jest. A łycho tobi na matier, odparł żyd potłuczony.

Złodziej ukradł konie francuzowi, który za nim wołał: Ekute! Ekute! Na co złodziej odwracając się powiedział: Co mi tam do tego, czy kute, czy niekute, to ja biorę.

Chłop dostał policzek w karczmie. Idzie tedy do domu i powiada: Synu mij! Mykieta mene w pysok wdaryw. Syn oburzony woła: Anu chodim Tatuniu do karczmy, naj win pry myni sprobuj was wdaryty. Ojciec myśląc, że syn pomści się jego krzywdy, idzie do karczmy z synem, który stanawszy w karczmie, zawołał: Mykita, jak ty śmiw moho Tatunia w pysok wdaryty, anu sprobuj pry meni. Mykita nie wiele myśląc, hop w pysk z jednej strony starego. Anu jeszcze raz, woła syn, a Mykita drugi raz hop w pysk starego. Chodim Tatuniu, powiada syn, bo i myni pry was sia distane.

Mazury złapawszy wilka, radzili co z nim począć. Jeden mówi: palką w łeb, taj zabić bestyję. Drugi powiada: żywcem skórę zdjąć z niego. Trzeci woła: ozenić bestyję, a do tego jesce z moją Kachną.

Koło klasztoru szła matka z córką, która spostrzegłszy mnicha przy oknie klasztornym, zawołała: Dywit mamuniu! jakij krasnyj Czerneć. Ne dywy sia doniu, koby to szez do broho buło, toby ne sydiło za kratamy.

Szedł żyd na jarmark do Czortkowa i powtarzał sobie, idąc: Czortków! Czortków! Ale nareszcie zapomniał nazwę miasta, do którego dążył. Wtem zdybuje chłopca i pyta: Ne znajesz ty Iwane, kuda ja idu? A czort tebe znaje, zawołał chłop rozgniewany, kuda ty idesz. No, no, diakuju tobi, ja idu do Czortkowa na jarmark.

Figura. Ojcowie Jezuiti odprawiali Majales w polu pod figurą. Mieli tam z sobą puzderko niezgorsze, napełnione pysznymi trunkami. Ale zaledwie rozłożyli się do wesołej biesiady, spostrzegli zdaleka nadchodzących Bernardynów. Co tu robić? rada w radę, postanowili puzderko zakopać pod figurą. Jakoż wykonawszy to przedsięwzięcie, puścili się w przeciwną stronę ku lasowi. Nadeszli Bernardyni pod figurę i powiadają: tu byli Jezuiti, spoczniymy tu także, i posiadali sobie. Jeden z nich spostrzega świeżą ziemię, zaraz mu przyszło do głowy, czy też Jezuiti niezakopali tu jakiego skarbu. Dalejże kopać i dobyli puzderko nie próżne, wycedzili wszystko do ostatniej kropelki, a domyślając się, że Jezuiti wrócą na to miejsce,

przylepili karteczkę na puzderku z napisem: Już się owo spełniło, co pod figurą było.

Filuty. Był filut na Rusi, który ludzi tumaniąc, przyszedł do wielkiego majątku. Dawniej i teraz jeszcze znajdują się ludzie, którzy nie tylko łatwo, ale nawet bardzo chętnie dają się oszukiwać. Wiedział o tem figlarz ruski, zabił cielę, skórę napełnił szerszeniami i w świat poszedł. Przychodzi do pewnej chaty wieczorem, gdzie uprosił sobie nocleg na strychu. Wlazł na strych, zrobił sobie dziurkę do chałupy, przez którą spostrzegł, że gospodyni gacha u siebie przyjmuje, że później dopiero sam gospodarz przybył. Rano wstawszy, idzie do chaty, by podziękować gospodarzowi za nocleg i widzi, że gospodarz kawałek suchego chl-ba zjada. A co to, niemacie co jeść, gospodarzu, że się tak biedzicie tym sucharem? A niema, rzecze gospodarz, biedny jestem. Pokażę ja wam zaraz waszą biedę, otworcie no piec, patrzcie jaka tam gęś pieczona w smalcu pływa. Prawda! zawołał gospodarz. Zaglądnijcie no pod poduszkę gospodyni, jaka tam flaszka krupniku. Gospodarz aż podskoczył na widok wódki miodem zaprawionej. A tu pod łóżkiem leży wasza bieda, i wyciągnął gacha młodego z pod łóżka. A z tym drągalem co mam robić? zapytał gospodarz. Obedrzyj go do koszuli, a bij, co się weń wlezie. A czy można? Gacha złapawszy przy żonie, można bić do woli. On też nie wiele myśląc, nabił się gacha, i wyrzucił gołego między psy, żeby mu pończoszki skroili. Oporawszy się tedy należycie, powiada: Majsterku! (bo tak włóczęgów dawniej nazywano) zkad wy to wiecie wszystko, ja przecież gospodarz, a niewiem, co się w moim domu dzieje? Mam taką torbę, co mi wszystko powiada. Mój majsterku, a sprzedajcie mi tę torbę. Po wielu targach, gospodarz dał majstrowi wszystkie swoje pieniądze. Bierze torbę i słucha, że tam wielki ruch. Ciekawością uniesiony, co by tam było, rozpruł cokolwiek torbę, aż tu wyłażą szerszenie jeden za drugim, nuż tedy kąsać wszystkich. Uciekają z domu, szerszenie za nimi wypadają na wieś i wszystkich ludzi pokąsali. Filut tymczasem powrócił do swojej wsi z pieniędzmi. Wszyscy dziwią się, zkad on przy-

szedł do tych pieniędzy? Pytającym odpowiada: zabijcie ciele, skórę napełnijcie szerszeniami i zanieście do Witelówki, tam dobrze wam za to zapłacą. Biją tedy cielęta wszystkie, a wypchawszy skóry szerszeniami, idą do Witelówki. Lecz skoro ich tam spostrzegli ludzie, wybiegli z kijami, łopatami i kociubami na nich, nuż tedy walić śmiałych przybyszów. A wy niecnoty! a łotry! znowu nam szerszeni przynieśliście. Ledwie z życiem pouciekali oszukani ludziska. Filut myśli sobie: Już szerszeni znają, trzebaby i czem innem świat oszukać. Robi tedy ładną skrzynkę, z wierzchu wypoliterował, a w środek włożył pełno nawozu i idzie do Kulikowa. Przychodzi na noc do Żyda, który wypytuje filuta, dokąd idzie, i co zamysła robić? On mu powiada, że idzie do cesarza z tą skrzynką, który obiecał bardzo dobrze zapłacić. Żyd myśli, że mógłby co sprofitować, i prosi, żeby mu tę skrzyneczkę sprzedał. Za wielkie pieniądze sprzedaje filut skrzynkę i powraca do wsi. Tym czasem idzie żyd z skrzyneczką do cesarza, gdzie odbierają od niego skrzyneczkę i patrzą, a wewnątrz sam nawóz; biją tedy żyda niegodziwego i na całe miasto nałożyli za to podatek wielki, że się odważyli cesarzowi taką zniewagę uczynić. We wsi zaś wszyscy dziwią się i proszą filuta, żeby ich nauczył, jakim sposobem mogliby oni przyjść do majątku. Filut powiada, naróbcie skrzyneczek dużo z wierzchu politurowanych, a wewnątrz napełnijcie nawozem i zawieście do Kulikowa, tam wam dobrze zapłacą. Narobili tedy skrzyneczek co niemiara i niosą do Kulikowa. Lecz zaledwie zbliżyli się do miasta, wszyscy żydzi wybiegli z drągami, jak zaczęli bić i sojkinami okładać, tak to wszystko ledwie z duszą uciekło. Do domu wróciwszy, poczęli radzić, jakby się zemścić. Jakoż uradzili, żeby utopić filuta. Wzięli go tedy do worka i niosą do wody. Ale jeden powiada do nich, pójdźmy do karczmy i napijmy się jeszcze wódki na ochotę. Poszli wszyscy do karczmy, a filut wrzeszczy z worka na całe gardło: Gwawtu! nie umiemy ni czytać, ni pisać, choćut męne za korola oberaty. Nadjeżdża wielki pan i słyszy te słowa: Stój! ja będę królem! uwolnił filuta z worka, sam zaś włazłszy w worek, darował filutowi cztery konie, karetę, służbę i dużo pieniędzy. Wyjechał

filut w lasek bliski, by się tam ukryć. Tymczasem wybiegli ludzie z karczmy i rzucili pana z workiem do wody, sądząc, że się pozbyli oszusta. Lecz w tej chwili sady przez wodę filut w karecie, a wszyscy poczęli wołać na niego, żeby im powiedział, z kąd on dostał konie?

To wszystko znalazłem w wodzie, powiada filut, tam to bogactwa żebyście wiedzieli i począł im pokazywać co było w karecie. Rozłakomili się sielanie, dalejże do wody, najprzód wójt. Lecz gdy tonął, wypłynął jeszcze pokazując ręką, żeby go ratowali, a oni myśleli, że on obaczył tam skarby, i wołał ich za sobą. Nuż tedy za nim wszyscy poskakali do wody i potopili się.¹⁾

Mieli mazury także filuta, który mając żonę i czworo dzieci, szacherką nadrabiał, żeby utrzymać liczną rodzinę. Pewnego razu przyszło do niego dwóch zgonników świńskich i prosili, żeby ich u siebie przenocował; on na to zezwolił, ale widząc, że oni dużo pieniędzy mieli, przemyśliwał nad sposobem wyłudzenia od nich tego grosiwa. Jakoż gdy rano powstawali, prosi on ich, żeby się cokolwiek zatrzymali w domu jego. Sam wybiegł do miasta, a pożyczwszy sobie nieco pieniędzy, udał się do traktyerni, zamówił i zapłacił jedzenie na trzy osoby i powiedział; jeżeli on po traktamencie potrząsie czapką, to żeby oni powiedzieli, że jest wszystko zapłacone. Tak zrobił w drugiej i trzeciej traktyerni. Po tej zmowie, wraca on do domu i prosi zgonników do traktyerni na śniadanie. Idą zgonniki za nim, a on każe dawać dobre śniadanie, po którym trząsie czapką i pyta, czy już zapłacono? Gospodarz powiada: że już wszystko zaspokojone. Wychodzą tedy na ulicę, filut pyta swoich gości, czy nieposzliby na drugie śniadanie? Oni powiadają: dobrze. Idą tedy do drugiej traktyerni, tam znowu jedzą i piją, a filut po traktamencie trząsie czapką

¹⁾ Nowosielski Antoni: Lud ukraiński. Wilno 1857 T. II. s'r. 339. powiada o Szuciu figlarzu, który był szewcem, Litwinów tumanił wózkem z góry lejącym i garnkiem bez ognia warzącym. Narazicie gdy go topić miano, oszukał jeszcze żyda, który chciał być królem i włazł w worek, a Litwini go utopili. Moja bajka o ruskim filucie więcej ma zawikłania i powabu.

i pyta, czy już zapłacono? Traktyernik odpowiada, że już wszystko zaspokojono. Podobnież zrobił i w trzeciej traktyerni. Zgonniki myślą, że taka czapka przydałaby się im bardzo, i mówią: sprzedaj nam tę czapkę. Filut powiada, ja nie mogę sprzedać, gdyż ta czapka mię utrzymuje. Ale oni poczęli nalegać na filuta, który spostrzegłszy jak się oni zapalili powiada: Jeżeli mi dacie 400 guld-nów, to będzie czapka waszą. Po wielu targach zapłacili oni 300 guldenów i wzięli czapkę. Pożegnawszy filuta, udali się wielce uradowani w swoją drogę. Przyszli do wielkiego miasta i udali się wprost do traktyerni, gdzie kazali sobie i dużo i smaczno zastawiać, a najadłszy się i napiwszy dobrze, bierze jeden czapkę trzęsie i pyta, czy już zapłacono? Traktyernik powiada: że nie jeszcze. Drugi mówi: ty nie umiesz trząść, daj mnie czapkę, ja będę trzął. Trzęsie drugi i pyta, czy już zapłacono. Traktyernik powiada: że jeszcze nie. Musieli więc z kieszeni zapłacić i dużo słów niepotrzebnych nasłuchać się, którymi ich gospodarz obdarzyć raczył. Idą tedy dalej i przychodzą do drugiego miasta, gdzie podobnież udali się do traktyerni, ale już cokolwiek mniej zastawiać kazali. A gdy sobie podjedli, obracają czapkę na wywrót trzęsą i pytają, czy już zapłacono? Lecz gospodarz za każdym trzęsieniem mówił, że nie zapłacono; nareszcie zniecierpliwiony odebrawszy od nich zapłatę, nazwał ich cyganami i za drzwi wytrącił. Zhańbieni zgonniki postanowili wrócić się i czapkę oddać filutowi w celu odzyskania swoich pieniędzy. Przychodzą oni do miasta, a żona filuta pracująca w polu, spostrzegłszy gości nieproszonych, zaraz pobiegła do domu, by o tem uprzedzić męża, który natychmiast zrobił się umarłym i dał żonie wałek, żeby go tym wałkiem wskrzesiła. Przykryła go prześcieradłem białem, zapaliła świczki, dzieci nabiła, żeby płakały, sama też usiadła przy nieboszczyku i płacze. Przychodzą zgonniki do domu, patrzą że filut umarł, a żona i dzieci we łzach toną; ukłękli też i oni, a zmówiwszy pacierz, pytają, co mu było, na co on umarł? Żona jak może, tak kłamie, nareszcie powiada do nich: dobrze, żeście panowie przyszli, jest tu w domu taki wałek, jeszcze po nieboszczyku ojcu mego męża, którym on wiele ludzi ratował. Jeżeli mężczyzna uderzy

zmarłego tym wałkiem trzy razy w pięty, to umarły zaraz wstanie. Nuż tedy w prośby, żeby jej męża wskrzesili. Biorą oni wałek do ręki, biją w pięty, za trzeciem uderzeniem ruszył się umarły i powstał na swoje nogi, a żona i dzieci cieszą się niezmiernie. Zgonniki zapomnieli już o czapce, wałek się im bardziej podobał i pytają o cenę tego wałka. Filut powiada, że nie może tego sprzedać, gdyż nim wiele umarłych do życia powołał. Lecz jak zaczęli oni nalegać, tak on im za bardzo znaczną sumę pieniędzy odsprzedał. Idą tedy zgonniki znowu z tą zdobyczą do wielkiego miasta, gdzie królowa umarła. Oni mówią: że tę królowę wskrzeszą, byleby ich wpuszczono do pałacu. Natychmiast zawołano ich do pałacu, gdzie zamknęli się z umarłą i bili wałkiem po piętach i po każdej części ciała bezskutecznie. Pomęczeni biciem usnęli. Na drugi dzień przychodzą panowie i patrzą jak królowa haniebnie potłuczona, chcieli ich potracić, ale oni przyznali się, że ich mazur oszukał, że udawał umarłego, a oni go wałkiem wskrzesili i zapłacili dużo pieniędzy. Wyznanie zmięczyło sędziów, niekazali ich tracić, jeno wsadzili ich na zawsze do więzienia za to, że się tak pastwili nad umarłą królową.

Żydzi także mieli swego filuta, o którym powiadają, że pewien król jadąc na polowanie, zdybał żyda i zapytał go, co ty za jeden? Żyd powiada: ja jestem śpiewak, właśnie idę na wesele rozweselać gości. Król kazał mu śpiewać. Żyd zaś śpiewał, a tak ujął króla, że mu tenże obiecał darować pierwsze zwierze, które miał tego dnia spolować. Pojechali do lasu i złapali wilka. Król darował żydowi wilka, którego on na sznurku do domu prowadził. W drodze zdybali go kupcy prowadzący handel owcami macedońskimi i pytają żyda, co ty prowadzisz? On im powiada: że to cap amerykański. Oni do niego: sprzedaj nam tego capa. On mówi: że go nie sprzeda, bo on dużo kosztuje. Kupcy naważyli się koniecznie mieć capa, wyliczyli dużo pieniędzy, i zamknęli capa w owczarni z owcami macedońskimi. Na drugi dzień przychodzą kupcy do owczarni, w której wszystkie owce leżały pozagryzane, a wilk pod nogi wysunął się i poleciał na cztery wiatry.

Idą oni do tego żyda, co im takiego capa szkodnika sprzedał. Ale żyd miał także gołębia łaskawego, który siadywał na ramieniu i groch z ucha wydobywał. Wychodząc z domu, powiedział żonie, co ma na objad zgotować, sam zaś udał się do miasta. Zaledwie ukazał się w rynku, aż tam żydzi kupcy uczepili się go o tego capa amerykańskiego. On włożył groch do ucha, a gołąb przyleciał, siadł na ramieniu i jadł groch sobie. Wpadło to w oczy kupcom, nuż tedy żyda prosić, żeby im powiedział, co mu ten gołąb do ucha szeptał. Po wielu korowodach, powiada on im, że ten gołąb wszystko mu donosi co się w domu dzieje, że właśnie powiadał, co żona na objad gotuje. Mówią ci kupcy, choćmy do domu, dla przekonania się, czy to prawda. Przychodzą do domu, żona w samej rzeczy te a nie inne gotowała potrawy, o których żyd filut wspominał. Mysłą kupcy, żeby to dobrze mieć takiego gołębia i posłać w cudze kraje, dla powzięcia wiadomości, co się tam dzieje. Kupują tedy za wielkie pieniądze tego gołębia i wysyłają aż do Jerozolimy; ale gołąb nie poleciał do Jerozolimy, jeno wrócił nazad do swego żyda. Kupcy czekają i czekają na gołębia i nie mogą się doczekać. Za pół roku idą oni znowu do tego żyda, który zobaczywszy ich z daleka, przybiegł do izby i mówi żonie, ja się zrobię umarłym, ty siadź nademną i płacz, a jak oni przyjdą, to ty weźmiesz wałek i uderzysz mię trzy razy, a ja wstanę. Przychodzą kupcy do izby, żona siedzi i płacze nad umarłym figlarzem; oni mówią: cóż teraz będzie? a ona mówi: czekajcie! jest tu taki wałek, którym nieboszczyk jakiegoś pana wskrzesił, i uderzyła go trzy razy, a żyd wstał. Kupcy powiadają: straciliśmy owce przez ciebie, ale damy ci jeszcze więcej pieniędzy, tylko daj nam ten wałek. Nie chciał z początku filut, ale jak oni zaczęli się z nim harkać i sypać pieniądze, tak on przystał na sprzedaż wałka. Idą kupcy z tym wałkiem do stołecznego miasta, w którym królowna umarła. Kupcy mówią: że oni wskrzeszą królownę, byle ich tylko samych w pokoju zostawić. Zamknęli ich tedy na całą noc z królowną. Oni walą wałkiem królownę na wszystkie strony, dosyć że ją tak stłukli, iż była nie do poznania. Na drugi dzień powiesili kupców za tę sztukę, wkrótce też i figlarz żydowski umarł.

Flak. Pan Kiszka litwin, gdy się domagał na sejmie głosu: Marszałek zapytał, a pan Kiszka co? Ktoś z przytomnych zawołał: taki flak, jako i drugi, póki go nie nadzieją.

Gandziaboross. Nieboszczyk Ważyński archiwista brodzki w swojej Nosologii powiada: nosy garbate są oznaką zmysłu spekulacyjnego. Zdanie to samo przez się upada, bo gdyby wartość moralna do pewnych znaków ciała ludzkiego była przywiązana, natenczas byłby człowiek maszyną, nie zaś wolną istotą. Ale i godny synaczek państwa Gandziaborossów był przeczącym tego dowodem. Urodził on się wprawdzie z garbatym nosem i kędziorami na głowie, z ruchliwemi jak żywe srebro oczkami, słowem powiedziawszy, cała postać tłustego dzieciaka zapowiadała wielką przyszłość, na którą też rodzice uradowani bardzo wiele liczyli. Lecz niestety! było to ciele w ludzkiej postaci. W koszuli biegający pędrak do mar-notrawstwa wielką okazywał skłonność, uciekał też od książki szukając podobnych sobie, by czas drogi na niczem przepędzić. Ulubione zwrotki powtarzał bardzo często: Ecie, pecie, pistolecie, nabijecie, wystrzelecie. Ecze, pecze, kotka pieczenie wlece. Razu pewnego zmęczony przybiega do matki, jak gdyby skarby jakie odkrył i powiada: Mamo! żeby wy wedzeli, jak nasa koza wogonem macha fik, fik. Matka rozplakała się, że takiego durnia porodziła. Nie mniej też bolał nad tem ojeiec, że takiego niezdare żywieć musiał w domu. W nadmiarze swego utrapienia powiadał do żony: moja rybeńko, co my z tym durniem będziemy robili. Rada w radę, stanęło wreszcie na tem, żeby tego durnia na księdza wy kierować. Jak zaczęli mu tedy wszyscy kleptać: Księżuniu! księżuniu! tak księżunio jak fura siana wlaź do głowy młodego niezdary. Szkoły gimnazjalne przepłynął jakoś przy troskliwości rodziców, którzy nauczycielów pieczonem i gotowanem starannie opatrywali. Po tem odwieźli go do stołecznego miasta, i ulokowali u krewnego księdza Kanonika, żeby pod jego okiem słuchał Filozofii i sposobił się do stanu duchownego. Tam miał dwie przygody które w całym blasku jego stronę moralną postawiły. Przyszło mu raz do głowy w niebytności księdza Kanonika ubrać się

po kanonicku. Przedzierżnął się tedy w palendrony, mucety, rokiety i zawiesił order na siebie. Tak tedy przystrojony, począł przechadzać się po pokojach kanonickich, stanął wreszcie przed dużym zwierciadłem bardzo zadowolony z siebie i z całej swej nadobnej facyaty, dalej że machać rękami, jak gdyby na ambonie, a kiedy już był w największych susach: „Dubie co robisz?“ zawołał kanonik wchodzący. Skręcił się jak piskorz pan Gandziaboross. Ja nie, ja chciałem naśladować księdza kanonika i jego piękne kazania. Było tam więcej przymiotników ze strony księdza kanonika podczas rozbierania hojnie zlewanych, ale jakoś minęła ta przygoda bez guzów przynajmniej. Lecz czekała nań druga nierównie większa jeszcze od pierwszej. Był wtedy na Filozofii Katecheta wielki pedant, któremu jeżeli od słowa do słowa z książki nie wyběbniał, to ci nie dał klasy, a proszącym o łaskę odpowiadał: nie mogę! Otóż tedy zdając religję, nie otrzymał pierwszej klasy pan Gandziaboross. Skarzy on się przed koleżkami na Katechetę. Koledzy poczciwi wiedząc o tem, że rodzice posłają Gandziaborossowi dosyć pieniędzy, powiadają do niego: Wiesz ty co, daj nam dziesięć guldenów, to my wręczymy pewnemu jego-ności, przez którego katecheta bierze łapowe. Dał on im dziesięć guldenów, które oni zaraz przepili, a na drugi dzień zdybawszy się z nim, powiadają: że wszystko dobrze poszło katecheta wziął guldeny, a jak wyjdiesz na poprawkę, to mu szepnij tylko: „Memfis“ to on już będzie wiedział. Wychodzi pan Gandziaboross po raz drugi na egzamin. Katecheta zadał mu pytanie, i stanął nad nim według swego zwyczaju. Nie mogąc odpowiedzieć na pytanie, wstaje pan Gandziaboross i do ucha szepcze katechecie: „Memfis“. Co? pyta zdziwiony katecheta. Memfis panie dobrodzieju, odpowiada głośniej. Może pan słaby? Nie, ja jestem Memfis panie dobrodzieju. Koledzy w ławkach duszą się od śmiechu. A on na całe gardło woła: Memfis. Katecheta obraca się do słuchaczy mówiąc: Niech kto odprowadzi tego pana do domu, gdyż jest słaby jak uważam. Koledzy ciągną go za sobą, a on wrzeszczy: „Memfis“. Nareszcie gdy już byli za drzwiami, on jeszcze raz drzwi otworzył, wystawił głowę z garbatym nosem i zawołał: Me!

Me! Me! Memfis, fis, fis, Memfis! Dosyć, że Memfis pomogło, pan Gandziaboross został księdzem.

Gawęda. Mamo! zawołał chłopaczek odchylając drzwi pokoju, kogut pieje na progu. Dobrze mój synu, rzekła matka, będziem mieli gości. Pan Podśędek niesłyszając tej mowy, chodził tylko, myślał i mruczał, jak gdyby całego kreju dobro na jego zważyło się głowę, nareszcie dwa razy musnął się po czuprynie, dwa razy tupnął nogą i w zapaleczywości zawołał: Tego jak żyw nie daruję, oddam za swoje! Panie Macieju! co wam takiego? pytała troskliwa żona. Co Asani do tego, odpowiedział rozgniewany. Ależ moje serdeńko? Do sto tysięcy Tatarów, do milion kroć. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! przerwał groźby pana podśędka toczący się opasły pan sędzia, dobrydzień życzę. Dzień dobry, odpowiedziała pani Maciejowa. Na wieki, mruknął pan Maciej. A witam z Warszawy panie sąsiedzie. toż to się pan Maciej tam wyhulał, tam to dopiero życie. Niech piorun trzaśnie takie życie, odezwał się pan podśędek. Coż to niema tam ludzi najuczeńszych? Aha, sowizdrzały same, mruknął pan Maciej. A zabawy, bale, teatry? Co teatry? zapytał pan Maciej, o świszczypały mosanie, darmozjady, włóczykije.

Co to jest, pani sąsiadko? rzekł z cicha pan sędzia. Coś mu na nos wsiadło, odpowiedziała gospodyni. Od kiedy przyjechał z Warszawy, ni mowy, ni rozmowy z nim niema, chodzi by tumanisko jakie, mruczy tylko, odkazuje, jak gdyby mu kto matkę zabił, biedna moja głowa i poszła do kuchni. Panie Macieju! jaka piękna pogoda, aż miło się człowiekowi robi. Ale, ale, wczoraj złapano żydka naszego; oho już jest; i nie wyjdzie mi ztamtąd, aż się nam dobrze sprawi, słyhać że ma pieniążki, my to jakoś zrobimy. A juźci, rzekł pan Maciej odobruchany. Wtem ukazała się kontuszówka na stole i zrazy spore na talerzu. Uśmiechnął się do nich podśędek, a nalawszy spory kielich wódeczki, rzekł: do ciebie panie sąsiedzie! na pewne do mnie pijesz, krząknął pan sędzia. Poczestowawszy się, siedli do stołu by zmłocki z cepami, trzepali, a pili, kontuszówka jakoś przed, między i po zrazach

bardzo często się rozlewała, ku końcu żwawiej rozmawiać poczęli, a gdy nadeszła pani Maciejowa, zerwał się podsejdyk jak opętany i cmoknął ją w czoło mówiąc: Otóż mi Marysienka dogodziła. Bóg zapłać! powiedział pan sędzia i miał się już ku drzwiom, ale pan Maciej zatrzymał go jeszcze i mówi: nie wiesz panie sąsiedzie, co mi się też przytrafiło w Warszawie? Nie wiem! Wystaw sobie, ci paliwody, tfu bisurmany mię człowieka zbrojnie wysłużonego, mię pana na swej Woli, za drzwi wytręcili. Matko Boska! panie Macieju jakimże to sposobem?

Siadaj no! opowiem ci, jak to było. Zajechawszy do Warszawy, stanąłem w zajezdnym domu, tam mię obścapił jacyś wiercypięty i pytali mię o coś, a mnie się jeść chciało. Gdzie jest garkuchnia? proszę mi pokazać, powiedziałem. Na to rozśmiał się jakiś drągalsko i otworzył drzwi, mówiąc: proszę do Restauratorni. Wszedłem do tej Waltorni, ależ tam weale było pięknie! patrzę, — na środku był stół duży wyłobiony i pokryty zielonem suknem. To mi się podobało, oto teraz wygodnie jeść można, talerz bezpieczny, nie można go rękami strącić. Tam zapytano mię, gdzie będę jeść? Tu na tym stole, proszę mi nakryć. Ależ ten stół jest do grania. Co mi tam do tego, ja tu chcę jeść. Nakryto mi. Lecz zaledwie jeść począłem, kilku jegomościów wpada z kijem w rękach, aż mi się źle zrobiło, pomyślałem sobie, to mię tu pięknie potraktują. Zabrałem talerze na inny stolik, a oni poustawiali jakieś kule, jak zaczęli wywijać patykami, stuk, puk, naraz krzyknęli: partja już skończona. Potem wszedł jakiś bulbogryza z pyska frant, miał dużo papierów w rękach, tamci panowie rozbierali po jednemu, nareszcie przyszedł do mnie, a pan niewieżmiesz? Na co? zapytałem. Jest to afisz na teatr dzisiejszy. Wiele kosztuje? Co łaska, odezwał się. Dając mu złotego, pytam go: a mię tam puszcza? Dlaczegoż nie? odpowiedział famulus. Aby być pewniejszym, jeszcze jeden wziąłem arkusz i dałem mu drugiego złotego. Jakoż wieczorem idę z temi papierami do teatru. Na samym wstępie wstrzymano mię, pytając o bilet. Dobrze, odpowiedziałem, mam ich tu aż dwa, dobywam te papiery, a cóż? To nie są bilety, rzekł odźwierny, jeno afisze,

tu trzeba kupić bilet. A niech was licho weźmie, ja za to zapłaciłem dwa złote. Co mi do tego, ja pana niepuszczę. Musiałem więc kupić bilet i wszedłem do teatru. Stoję, patrzę, jedni chodzą, drudzy rozmawiają, inni patrzą na jakieś pomalowane, niby niebo, niby bożki, pożał się Boże moich złotych, pomyślałem sobie, toż to teatr? Nareszcie zadzwoniono, wszystko się uciszyło, podniosło się niebo i las ukazał się tak piękny, ażem się przeżegnał. Wyszła jakaś dziewczyna, zaczęła wygadywać, narzekać, nakoniec szlochać. Tfu do licha ja przyszedłem bawić się, nie zaś płaksów słuchać. Potem schowała się za krzakiem, ja to wszystko dobrze widział. Nareszcie wchodzi jakiś włóczęga, zaczyna kogoś szukać i pytać, gdzie moja kochanka? a tu nikt się nieodzywa, ja niemogąc dalej wytrzymać, tam siedzi za krzakiem, zawołałem. Aż tu wszystkie jak osy na mnie syczeć i psykać poczęli. Ale co pss odezwałem się, jako żywo na moje własne oczy widziałem jak się tam za krzakami schowała. Wtem dwóch przystąpiło do mnie i po pod boki prowadząc za drzwi mię wypchnęli. Ja krzychałem: manifestuję się — niepozwalam. Pod strzechę z tymi wyrazami, powiedzieli hultaje. A to zanadto! krzyknął palnąwszy pięścią po łysinie pan Sędzia. Kondemnata! Bani-cya! Pan Maciej zawtórował niepozwalam i uderzył w stół ręką tak silnie, że aż okna w domu zadzwoniły. Na tem się też zakończyła cała zemsta braci szlachty, że jeszcze raz powtórzyli: Niepozwalam.

General. Zdobywszy miasto pewien generał, obchodził naprzód kościoły, a potem bióra urzędników miejscowych, zapytując się każdego z osobna: Szczo ty za oden? Na to mu odpowiadali: ja konsyliarz, ja sekretarz, kontrolor i t. p. On zaś na to mówił każdemu: Ja bolszoj. Nareszcie w jednej kancelaryi zdobył się urzędnik na odwagę i pytającemu: szczo ty za oden: powiedział ja durak. Na co bez namysłu dumny generał rzekł: ja bolszoj.

Generalowie. W pewnem mieście było dwóch kupców, którzy się bardzo miłowali, a przykro im było, że ich

pokrewieństwo żadne niewięzało. Postanowili tedy uroczyście; jeżeli jeden z nich będzie miał syna, drugi zaś córkę, to ich pożenią dla wzmocnienia między sobą przyjaźni. Przrzeczenie to urzędowym aktem było stwierdzone, ażeby kiedykolwiek nieposzło w zapomnienie. Stało się też, że jeden miał córkę, a drugi zaś syna. Dziaćki zaś bardzo miłowały się między sobą. Razem się uczyły, razem modliły się, razem bawiły się, jedno bez drugiego żyć nie mogło. Serdeczne uczucia z każdym dniem bardziej się wzmagały, a lata wzmocniały między niemi węzeł przyjaźni. Ale ojciec syna był ubogi, nie mu się nieszczęściło, prosił tedy bogatszego, aby go wspomógł i pożyczyl cokolwiek pieniędzy. Bogatszy nieodmówił mu tej przysługi. Lecz niestety! wszystkie towary uboższego kupca zatopiło morze. Pożyczył drugi raz, lecz morze znouwu zatopiło. Pożyczył trzeci raz, ale morze i trzeci raz zatopiło towary zakupione. Czwarty raz niechciał już bogatszy dać pieniędzy uboższemu. Ten mu posłał ów zapis przyszłej przyjaźni ich dzieci; bogatszy podarłszy w drobne kawałki ów zapis, odpowiedział: że z hołyszami niema nic do czynienia. Tymczasem córka pozbiierała kawałki papieru i dowiedziała się, że urzędowym aktem była już przrzeczoną kochankowi pierwej, niżeli na świat przyszła. Zebrała dużo pieniędzy i po kryjomo wspomagała biednego kupca, który temi pieniędzmi dorobił się znacznego majątku. Lecz starzy nie chcieli się już do siebie zbliżyć, przez co też ostygnąć mogła miłość kochanków. Córka bogatszego namawia swego kochanka, żeby szedł do wojska i dobijał się znaczenia, w celu przejednania wstępu rodziców. Usłuchał rady swej nadobnej kochanki syn uboższego kupca, idzie do wojska, pisuje listy do swojej bogdanki, która go hojnemi zapomogami zasila. Pieniądze kochanki i męstwo wrodzone, utworowały mu drogę do wyższych godności, nareszcie został generałem. Wyniesiony na taki stopień godności, już niepisywał listów do swojej kochanki, która z wielkiej rozpaczycy udaje się za nim, przybiera suknie męskie i przystaje do wojska, chcąc mu dowieść, że godną jest serca jego.

Przypadkiem stała na straży koło pałacu króla, gdzie też była młodzianka królowna i postrzegła ślicznego żołnierza

na straży stojącego. Tak się w nim rozmiłowała, że niedała spokoju ojcu, póki jej nieprzyrzekł, tego młodego żołnierza dać za męża. Ponieważ zaś niewypadało królownę wydawać za prostego żołnierza: przeto król codziennie ogłaszał wyższe promocye dla niego, nareszcie zrobił go generałem i zawezwał do siebie, żeby się żenił z jego córką. Lecz on w żaden sposób tego uczynić niechciał. Król rozgniewany, kazał mu głowę uciąć, ale córka przebłagała ojca, który pod tym jednym warunkiem darował mu życie, jeżeli przyniesie wodę przedziej od baby, która zwykle, o sto mil, nim się objad skończył, wodę do stołu przynosiła. Lubo z wielkim smutkiem, jednak przyjął ten warunek dla ratowania życia swego. Idzie tedy i widzi, że człowiek przykłada ucho do ziemi. Co ty robisz? zapytał go. Ja słucham, co się o sto mil dzieje. Czy nieposzedłby ty do mnie na służbę? Dla czegoż nie? i przystał do niego. Idą dalej i widzą, że człowiek mierzy do kogoś strzelbę. Co ty robisz? Ja chcę zabić kaczora na stawie, który o sto mil ztąd oddalony. A czy nieposzedłby ty do mnie na służbę? Bardzo dobrze. Idą dalej, i widzą, jak człowiek styrtę siana w nos wpycha, już jedną styrtę wepchnął do jednego nozdrza. Co ty robisz? Ja wiatr jestem, zatykam sobie dziury w nosie, bobym wszystko co jest około mnie na sto mil rozwiął. Czy nieposzedłby ty u mnie? Czemu nie? i stanął na służbę. Idą tedy dalej i widzą, że człowiek pod mostem je błoto. Co ty robisz? Ja jestem żarłok, zapycham sobie gębę, gdyż inaczej na sto mil zjadłbym wszystko, co tylko jest do zjedzenia. Czy stanąłby ty u mnie na służbę? Czemuż nie? i przystał do niego. Idą dalej i widzą, że człowiek przywiązuje sobie nogi do drzewa. Co ty tu robisz? Ja jestem szybko-nogi dla tego przywiązuję się do drzewa, gdyż na godzinę sto mil bym ubiegł. Czy nieposzedłby ty u mnie? Czemu nie? i przyjął służbę. Idą dalej i widzą, że człowiek niesie cztery okrutne dęby. Co ty robisz? Ja jestem siła, niesę sobie te cztery paliczki dla zabawki. Czy nieposzedłby ty u mnie? Czemu nie, i stanął na służbę. Gdy się taka piękna kompanja zebrała, baba z dzbankiem wyszła po wodę, ale szybko-nogi poleciał po tę wodę tak że zaledwie baba pół drogi odbyła, on już z wodą

powracał i spać się jeszcze położył na kobyłej głowie. Jak spi, tak spi, a tymczasem baba nadeszła i ukradła mu wodę sądząc, że prędzej się wróci i generał zginie. Ale ten, co słu-chał dobrze, dowiedział się o tem, strzelec wypalił do kobyłej głowy, szybko nogi obudził się, odebrał babie dzbanuszek a wiatr jak dmuchnie, taj baba, aż za sto mil poleciała. Przyniósł tedy generał wodę, nim jeszcze sztukę mięsa zjedli, a zatem daleko spieszniej i zręczniejsz sprawił się od baby, która na drugi dzień ledwie przywlekła się.

Oho bratku, powiada król, jeżeli ty taki zuch, zjedzże wszystkie zapasy całego magazynu, a to jednego dnia, a jeżeli tego niedokażesz to zginiesz. Poszedł tedy zasmucony do swojej kompanii i oznajmił wolę królewską. Nie turbuj się, powiada Żarłok, dam ja temu radę. Otworzono magazyn, woły dzielą na cztery ćwierci, które żarłok jak drobne kluseczki połyka. Mąka i kasza gdzieś zniknęły. Nim słońce zaszło, już cały magazyn był pochłonięty, a do tego jeszcze dziesięciu żołnier-zów wlażło się do żołądka żarłoka. Zdziwiony król zawołał: Wiesz co generale, jeżeli mi całą kasę dworską w jeden worek zabierzesz, to ci daruję pół królestwa, a jeżeli tego niedokażesz, to łeb stracisz. Poszedł tedy znowu smutny i oznajmiła swiej kompanii, na co Siła odezwała się: nie turbuj się, już to ja jakoś temu poradzę, niech no worek uszyją z całuj sztuki płótna. Szyją wór, a gdy już był gotowy, pakują złoto, srebro, ale cała kasa zaledwie pół worka zajęła. Siła nie wiele myśląc, wpakował jeszcze kasjera, ze wszystkimi skrzyniami do wor-ka, a wyniosłszy z kasy postawił przed króla, który widząc zwycięztwo generała, darował mu pół królestwa, i żeby się żenił dokoniecznie z jego córką. Ale on wtedy objawił królowi, że jest panną i prosił, żeby ją wydał za generała pierwszego jej kochanka, co też król bardzo chętnie uczynił, a oni bardzo długo z sobą żyli i bawili się.

Głuchy. Opaliński między innymi gościami, miał też u siebie na objedzie szlachcica bardzo głuchego, którego probując i pijąc do niego, mówi: bodaj cię obwieszono!

On rozumiał, że ceremonję jaką do niego czyni, odpowiedział: nie godzienem ja tego; przed innymi ichmościami, lepiej kolejno.

Głupy. Pewien gospodarz miał syna i córkę już do-rosłych. Przyszli do nich ludzie w swaty, aby ich córkę god-nemu kawalerowi zasłowić. Lecz matka i ojciec wyszli za próg i poczęli radzić: jakże ta dytyna bude sia nazywaty, szczo nasza Maruni bude maty? jak pide za muž. Wyszła do nich i córka, a matka zafrasowana powiada: doniu moja! neszcza-sływa moja hodyna, jak ty pidesz za muž, jak sia ta dytyna bude nazywaty, szczo ty budesz maty? Syn mądrzejszy od rodziców, wyszedł także do nich gniewając się: Ałe szczo wy robyte? w chati starosty, a wy ich niezem ne przyjmajete, neho-dyt sia czestnym ludiam taku pakość robyty. Ale matka i ojciec do niego się odzywają: neznajesz ty synu, jak sia ta dytyna bude nazywaty, szczo nasza Marunia bude maty, jak pide za muž? Tfu! jaki wy durni, szczeze niczoho nema, a wy sia tym żuryte. Pidu w świt, pokienu was, nema szczo z wamy robyty. Jak zdyblu takich durnych w świti, jak wy, to sia wernu do was, a jak rozumniejszych znajdu, to ne przyjdu do was, buwajete sobie zdorowi. Poszedł tedy w świat nieznaný, w świat daleki, a przechodząc przez pewną wieś, zobaczył, że baba bar-dzo biła kwokę. Żal mu było biednej kury, zwłaszcza, że pi-skleta przy niej skwierczały. A szczo wy kwoku ubywajete, gazdyni? A czomu suka nechocze daty cycki kurezatam? odpo-wiedziała baba. A szczo meni dašte? to ja zrobiu, szczo kwoka dasť kurezatam cycki. Obiecała mu sto złotych za tę dogodność Wziął tedy krup nasypał i nalał wody, kureżeta najadły się i napiły, a kwoka wzięła ich po tem pod skrzydła swoje. Babie zdawało się, że ona im daje cycki, podziękowała i za-płaciła za dobrą radę, której na potem pilnie się trzymała. Idzie dalej, a w drugiej wsi chłop przetakiem chwytą światło i znosi do chałupy: nastawia worek ku słońcu i zatula. Dzi-wną tą robotą zniecierpliwiony, zawołał: a co ty robisz czło-wieczce? A cóż, ciemno u mnie, chwytam światło przetakiem chciałbym kawałek słońca zarwać, żeby się rozjaśniło cokol-wiek w mojej chacie. A co mi dasz? to ja ci zrobię światła

tyle, że już niebędziesz miał potrzeby uganiać za niem. Obiecał mu sto złotych za tę przysługę. Wziął tedy siekierę i wyrąbał mu okno w chacie, przez co zrobiło się tak jasno u chłopca, że z radości prócz nagrody przyrzeczonej, drugich sto złotych dodał.

Już widział babę i chłopca podobnych jego rodzicom, a do tego jeszcze zbierał 300 złotych, co podówczas wielkim było majątkiem, chciał już wracać do domu, ale chęć przysporzenia majątku przemogła w nim i przeciągnął swą wędrówkę szukając głupich ludzi. W krótko nadarzyła się sposobność oglądania pięknej osobliwości. W pewnej wiosce wylazł chłop na cerkiew i ciągnął woły za sobą. A co ty robisz człowiecze? zapytał go? A szczo, mij tato umyrajuczy widkazaw woły na cerkwu bożu, tihnu woły do hory, a woły nechocut lizty na cerkwu. Ihi durnyj, ta tebe durnyj pip chrestyw, taj sztany nad toboju stries, i sebe zhubysz i woły newytiahnesz; sprodaj woły ta hroszi daj na cerkwu. Usłuchał drągalsko, sprzedał woły, połowę pieniędzy dał za dobrą radę, a połowę na cerkiew. Ledwie uszedł kilkanaście kroków, a tu baba bije krowę, i napędza, żeby na chałupę wylazła. A co ty bijesz krowę? zawołał na nią. A jakże nie mam bić krowy, jaka piękna trawa wyrosła, a ona niechce wyleźć na chałupę po tę trawę. Cóż mi też dacie? a ja wam to zrobię, że krowa zje tę trawę. Obiecała mu 50 złotych za tę sztukę. Wziął tedy sierp, wylazł na chałupę, narznął tej trawy, rzucił i krowa napasła się do woli. Baba tedy uradowana, że na swoim postawiła, zapłaciła co do grosza wszystko i jeszcze kołaczem obdarzyła poczciwego doradcę. Idzie on tedy dalej i słyszy. jak mąż do żony powiada: Zabyłyśmo teper paciuka, kowbasy budut na rizdwo, sołonyna projist sia czerez zymu, a sało schowajem dla zeleneńki (to jest do wiosny, kiedy wszystko poziolenieje). Ale baba myślała, że to jest taki człowiek, co się zwie Zeleneńki. Pochwyciwszy tę rozmowę nasz podróżny, przebrał się całkiem zielono i przyszedł do baby, kiedy męża w domu nie było. Skoro go postrzegła, a zaraz zapytała się, czy to wy Zeleneńki? Ja to Zeleneńki odpowiedział zapytany. Woźmit że sobi sało, kotore mij czołowik widkazaw dla Zeleneńkoho. Wziął

tedy sadło, a mąż powróciwszy do domu, wytłukł dobrze żonę, że zeleneńkoho potraktowała sadłem.

Nabrawszy tyle korzyści ów Doświadczyński, począł sam z sobą rozmawiać przez drogę. Zdawało mi się, że tylko moi rodzice są nieroztropni, a tu co krok, to dureń, dobrze to powiadają, że durniów ani sieją, ani orzą, sami się rodzą. Ale może to tylko naszej wiary są tacy, może żydzi przecie mądrzejsi, muszę ich jeszcze doświadczyć. I wstąpił w pewnem mieście do gospody, w której żydówka była szynkarką. Zaraz na samym wstępie zapytała go. A widki wy Iwane? Ja wid Buha (od Bugu, rzeki) odpowiedział jej Iwasio poczciwy. Żydówka sądząc, że on od Boga z tamtego świata, poczęła się wypytywać. A szczo tam czuwaty, szczo tam mij tato i mama robiat? Pomiarkowawszy, że trafił na swego, począł jej opowiadać niestworzone rzecz o ich nędznym stanie, jak oni muszą tam pracować, drzewo nosić na plecach i tym podobnie, a po każdym wyliczeniu pracy, dodawał: „duże bidujut“. Żydówka rozplakała się nad nędzą swoich rodziców i prosiła Iwana, żeby wziął pieniądze, konie i wózek dla nich, żeby już niebiedowali. Iwasio uszczęśliwiony założył konia do wózka i zwinawszy pieniądze do worka poczwałował do domu z tem przekonaniem, że daleko głupszy od jego rodziców znajdują się ludzie na świecie. W przejeździe zdybał jeszcze żyda, który miał dużo pieniędzy przy sobie i prosił bardzo, żeby go wziął na wózek do blizkiej wioski. Wziął go na wózek i skoro wyjechał na pole, żyd obaczył z daleka, jak owczarz pędził przed sobą trzodę owiec macedońskich, a jemu zdawało się, że to jakie wojska i zapytał: Czujesz ty Iwane, skaży myni, szczo to takoho? To Moskali idut, odezwał się Iwaś niby sam przestraszony. Smiertelne poty wystąpiły na żyda. Czujesz ty, Iwane, woźmy ty hroszi i schowaj mene w miszok, a jak pryjduť Moskali, to skaży im, szczo ty szkło wezesz. Tego mu właśnie było potrzeba. Wziął pieniądze, zawiązał dobrze worek z żydem, i skoro tylko parę set kroków ujechał, zmieniając głos, zawołał: Pastoj sukin syn, szczo wezesz? Ej pane, ja bidnyj szkło wezu. Pasmotri da eto szkło? i pociągnął żyda tęgim buczkiem, a żyd zawołał: dziu,

dziń, dziń¹⁾). Charaszo da e to szkło, Pasmutri drugoj raz, da e to szkło, znowu żyda pociągnął buczkiem, a żyd znowu zawołał: dziń, dziń, dziń. Ale trzeci raz jak go palnął po łbie, tak żyd już ani dziękował. Wyrzucił tedy żyda między łopuchy a sam zaciąwszy konika, do domu przyjechał. Serdecznie powitał swoich rodziców i rozpoczął gospodarstwo na wielką skalę. Ludzie bardzo się dziwowali, z kąd on przyszedł do takiego majątku, osobliwie sąsiad jego mocno mu dokuczał, żeby mu wykrył tajemnicę swego z bogacenia się. Otóż aby go się pozbyć, poradził mu, żeby nagotował w ogromnych garkach kaszy rzadkiej i z kipiátkiem jeszcze wraz z żoną udał się do miasta, gdzie za to wiele pieniędzy dostaną. Usłuchał sąsiad tej rady, nagotował moc krupniku i wraz z żoną wzięli duże garnki tej kaszy na plecy. A gdy już mieli wychodzić z domu, Iwasio cichaczem podrzucił im na drogę, którą mieli iść dwa srebrne szóstaki. Idą tedy pełni nadziei marząc o przyszłych swoich dostatkach, a tu na drodze widzą szóstaki srebrne, z największą tedy radością zawołali: będzie szczęście! i schylili się po te szóstaki, a kasza wylała im się na głowy i okrutnie ich poparzyła i musieli oboje zginąć marnie, a Iwasio pozbywszy się zazdrosnych sąsiadów, często bardzo powtarzał po rusku: Durniw ne sijut, ne orut, sami sia rodiat.

Gospodyni. Janek Prąka miał niezły szmat ziemi, bydełka też chędogiego podostatkiem i słynał do koła z wielkiego sknerstwa. Przybrał też do zarządu gospodynię wielką sekretnicę, która go w skąpstwie przewyższała. Razu pewnego zginęło prosię Prące. Niesłychany w domu powstał rwetes, wszystko było na nogach i szukało, gdyż u skąpcey prosię więcej znaczyło, niżeli zbawienie duszy. Lecz niestety wszelkie poszukiwania były nadaremne, drogiego prosięcia nigdzie niebyło.

¹⁾ Nowosielski Antoni: Lud ukraiński Wilno 1857 T. II. str. 217 przytaczając bajki o żydach bojących się wilków, powiada o żydzie którego furman udając rozbójników bił tylko, a on wołał: dziń, dziń, dziń.

A ponieważ skąpcey nikomu nie wierząc, zwykle są podejrzliwi, począł tedy i Prąka posądzać swego sąsiada Zerefeckiego z krętarstwa wielce znanego, ażali nie bawi on się przemyślem zwłaszcza jako biedniejszy, czy nieuchwyił on jemu jego ulubione prosię. Lecz jak tu dojść tego. Rada w radę, postanowił swoją gospodynię w wielkiej skrzyni wyprawić do Zerefeckiego, czyby się kradzież jakim sposobem nie wydała. Jak pomyślał, tak też zrobił. Wsadził gospodynię do skrzyni i uprosił Zerefeckiego, żeby u niego cokolwiek powstała ta skrzynia, póki nieznajdzie się dlań miejsce w domu. Stała skrzynia spokojnie od rana aż do objadu, przy którym dzieci zaczęły rozprawić o owem prosięciu Prąki, jakie było tłuste, jakie smaczne, przyczem też objawiały swoje życzenie, żeby można jeszcze drugie podobnym sposobem skonsumentować. A bodajecie nie doczekały tego, a bodajecie popękały szelmy! zaczęło z skrzynki wydziwiać i wołać. Zerefecki niewiele myśląc, siekierą odważył wieko, a zobaczywszy w skrzyni gospodynię Prąki, dał jej kilka razy po łbie obuszkiem i zabił tę czarownicę. A żeby zaś niewydało się zabójstwo, wsadził jej kawałek pieroga w gębę, że niby udławiła się babsko i wieko skrzyni nazad zamknął. Na drugi dzień Prąka ciekawy, posłał po skrzynię, otwiera i patrzy, że babsko jego udławiła się pierogiem. Cóż tu teraz robić? Nie było innej rady, jak zawołać Zerefeckiego, żeby on ten interes wziął na siebie. Opowiada jemu, że jego gospodynia nagle umarła, a znając jego obrotność, powierza mu tę sprawę, gdyż niechciałby mieć z sądami styczności. A mnie co do tego, powiada sąsiad, jeszcze padnie na mnie podejrzenie, że zabił waszą gospodynię, na co mi tego kłopotu? Ale pani Zerefecki zrób to dla mnie, dam ci kureczkę za to. Poznawszy sąsiad widoczne zakłopotanie Prąki, wsiadł na niego z większą odwagą. Jeżeliście zamęczyli waszą gospodynię, róbcie sobie co chcecie, ja się do tego mięszać niebędę. Ale Fesiu zmiłuj się, już ci dam co sam zechcesz, tylko weź to na siebie. Jeżeli mi dacie 200 guldenów, to wezmę ten kłopot na siebie, a jeżeli nie dacie, to pójdę i będę głosił, żeście uduśli gospodynię. Wyleczył mu 200 guldenów i wyprawił babę w skrzyni do domu sąsiada.

Żona jego przelekła się bardzo, ale on jej pokazując pieniądze, mówi: patrzaj no się, co tu guldenów, a jeszcze ich będzie więcej, zapłaci mi jeszcze tkacz i garbarz dobrze; widzisz no go, teraz nosy zadzierają, ale nauczę ja ich, będę się nisko kłaniali przed panem Zerefeckim. Jak postanowił, tak też robił. Wieczorem poniósł babę do ogrodu tkacza i wsadził między mak. Tkacz widzi przez okno, że ktoś mak kradnie, wybiegł z laską i palnął babę po głowie, że aż się przewróciła. Przy świetle księżyca poznaje, że gospodynię Prąki zabił. W największej tedy trwodze biegnie do Zerefeckiego, a płacząc i narzekając, opowiada mu swoje nieszczęście. Toście sobie posłali, powiada Zerefecki, teraz będziecie dyndali. Ej, zmiłujcie się, panie Zeferecki, zrób to jakoś, ja ci to dobrze zapłacę. A dacie mi sto guldenów i dwa półsetki płótna? pyta Zerefecki. Dam co chcesz, woła tkacz zakłopotany, tylko mię uwolnij od tej biedy. Bierze Zerefecki babę, pieniądze i płótno, a nad rankiem posadził ją przed strzechą garbarza gdzie skóry wisały. Garbarz z okna spostrzegł, że ktoś skóry kradnie, wylatuje z pałką i tarach po głowie, zabił babę. Ale patrzy i poznaje, że to gospodyni Prąki; leci tedy co tehu do Zerefeckiego. Ej zmiłuj się, ja zabił gospodynię Prąki. A toście sobie posłali, zawołał Zerefecki, teraz będziecie dyndali. Ej, zmiłuj się, ratuj mię! dam ci cztery pary butów i sto guldenów. Zerefecki bierze buty, pieniądze i babę w dodatku. Przez cały dzień myślał, co tu robić z babskiem, nareszcie bierze babę do worka i niesie w las. Ale tam byli złodzieje i spali pod drzewem, zakrada się on do nich, bierze im worek, w którym były dwa półcie słoniny, a babsko w worku im zostawia, sam zaś biegnie do wsi i zwołuje ludzi, żeby mu pomogli złodziejów połapać. Biegną tedy ludziska jak gdyby na złamanie karku, otaczają rabusiów, którzy ze snu ocknąwszy się, uciekają co mogą wyskoczyć, czapki pogubiwszy. Pozbierali ludzie czapki i worek znaleźli, w którym była gospodyni Prąki i zaraz ogłosili, że zbóje okradli Prąkę i gospodynię mu zabili. Byli na to świadkowie, jasną tedy była rzecz jak na dłoni, pochowali zatem legalnie gospodynię, jeno Prąka kiedyś, niekiedyś, nienawistne oko rzucał na pana Zerefeckiego.

Grzegorz. Dwoje kochanków miłując się bardzo, żyło sobie szczęśliwie, gdyż przy zamożności, na niczem brakować im nie mogło. Lecz w chwili, gdy cieszyć się mieli pierwszym owocem swej miłości, dowiedzieli się z przerażeniem, że ich związek był zbrodniczy, gdyż ona była siostrą, a on jej bratem rodzonym. Porodziła tedy siostra nieszczęśliwa synaczka, którego ochrzciwszy, dali mu na imię Grzegorz, przywiązali do szyi kartkę z opisaniem tego wypadku, a włożywszy w sitowie, puścili go na morze, sami udali się na puszcę, by za grzechy pokutować. Przechadzała się na brzegu morskim królowna i spostrzegła sitowie ku niej płynące, z którego śliczne pacholę rączki do niej wyciągało. Kazała rybakom wydobyć dziecię, a przeczytawszy kartkę, zlitowała się nad opuszczoną sierotą i przyjęła za swoje. Rósł chłopaczek w lata, nazywał królowną matką, i do nauk wielce się przykładał. Jednego razu, dworzanin młody wygadał mu wszystko, że królowna nie jest jego matką, że jego rodzice brat i siostra, gdzieś daleko na puszczy pokutują, a może już poginęli. Ta wiadomość tak go przeraziła, że postanowił opuścić dwór i udać się na pokutę za grzech swoich rodziców. Wiedząc zaś o tem, że królowna moeno go kochała, i nie byłaby w żaden sposób zezwoliła na jego przedsięwzięcie, pokryjomu namówił owego dworzanina, ażeby go gdzie w świat daleki odprowadził. Idą tedy razem i przychodzą do jakiegoś zameczyska starego, który bardzo podobiał się Grzegorzowi. Oto tu zostanę, zamknij mię towarzyszu mój, a klucz rzuć do morza.

Zrobił tak dworzanin, jak go prosił Grzegorz i opuścił tę bezludną pustynię. Odtąd bardzo wiele lat minęło, gdy w pewnem mieście z powodu wyboru nowego biskupa wielkie powstały zatargi. Gdy żadną miarą zgodzić się nie mogli, Jakoż postanowili do wyższej pomocy pukać; aby ich natchnąć raczyła, gdy się wszyscy modlili usłyszeli głos z nieba. Szukajcie Grzegorza pustelnika, ten będzie biskupem waszym! Nikt nie słyszał o Grzegorzcu pustelniku, ale był wtedy w kościele staruszek który opowiadał, że młodym będąc, zamknął Grzegorza dworzanina i klucz rzucił do morza. Wszyscy zgodzili się na to,

że to ten sam musi być Grzegorz, którego Bóg na biskupa przeznacza i prosili owego starca, żeby ich na to miejsce zaprowadził. Idą tedy wszyscy mil kilkanaście i stanęli wreszcie obok spustoszonego zameczyska. Lecz nie było czem otworzyć. Przypadkiem ułowili rybacy w morzu rybę, którą rozplatawszy, znaleźli klucz od tego zameczyska. Starzec poznał ten klucz i uradowany przystąpił do otwierania drzwi zamku. Otworzył, a poważny starzec klęczał i modlił się z wzniesionymi do góry rękami. Nie miał on na sobie odzienia, jeno włosy i broda okrywała resztę ciała. Przed zamkiem lud wołał: Grzegorzu wynijdź, a bądź biskupem naszym. Starsi z ludu wkładają nań szaty biskupie, a przyodziany starzec wyszedł by zadosyć uczynić woli Najwyższego, który go do tej godności powoływał. Sprawował ten urząd z wielką chwałą i pożytkiem ludu sobie powierzonego.¹⁾

Grzesio. Pobożny, a sumienny kupiec ormiański jadąc za towarami na Wołoszczyznę, gdy stanął w pewnej wiosce podolskiej na nocleg, postrzegł: że nie było tam odpowiedniej gospody, w którejby mógł przenocować. W niewielkim jednak oddaleniu z po za drzew wychylał się schludny domeczek wabiąc smutnego przybysza do siebie. Jakieś niezbadane uczucie pociągnęła go ku tej stronie. I zdążył do tej zagrody

¹⁾ Wojcicki: Klechdy starożytne, podania i powieści ludowe. Wydanie drugie. Warszawa 1851 T. 2. str. 61 powiada: że siostra pod ziemię poszła, gdy się chciał z nią brat żenić. Na str. 141 przytacza pieśń, w której małżeństwo brata z siostrą wyjawia się. Oto ostatni ustęp tej pieśni:

Bodaj maty propała,
Sestru z bratом zwinezała
Oj ty sestro taj bud'
A ja idu w bżu put
Czerczykiw szukaty
Hrychiw spowidaty.

Nowosielski: Lud ukraiński, Wilno 1857 T. 2 str. 149 wspomina, że brat i siostra niewiedząc o swem pokrewieństwie pobrali się. Po tem dowiedziawszy się o tem, oddali się rozpaczy. Bóg przemienił ich w bratki, gdzie w kwiecie dwubarwnym wiecznie z sobą połączyli się? Czeczot napisał o tem Balladę.

i zapukał do drzwi prosząc o gościnne przyjęcie. Wnet ukazała się na progu poważna postać szlacheica polskiego, który widocznie niemogąc ukryć swego zakłopotania zawołał: Z całej duszy rad ci jestem, ktokolwiek jesteś przybyszu, ale patrz! ja mam tylko jedną świetlicę, w niej mieści się jedenaścioro dzieci, sam przyznaj, czy tu znaleźć możesz wygodne dla siebie pomieszczenie, zwłaszcza gdy dwunaste lada chwilę przybędzie. My, Ormianie, powiada podróżny, przyzwyczajeni jesteśmy na wozie i pod wozem, jeżeli pozwolisz, tylko to najchętniej na twojej przyzbie przenocuję, a wolę nawet obok poczciwych ludzi na przyzbie przespać się, niżeli w pałacu królewskim biedować. Niemiał nic przeciwko temu gospodarz, a kupiec udał się do swojej bryczki, wydobyl sakwy z wędlinami i poczęstował dziatwę z gospodarzem, a gdy butelkę starego węgryzna do dna wychylili, szlacheic rozrzewniony powiada: Hej! hej! byłem ja niegdyś bogaty, ale Tatarzy dwa razy mię zrabowali, dziś podupadłem na majątku dotego stopnia, iż sam niewiem jak ja tę dziatwę wykarmię? i załamał ręce w niemem osłupieniu.

Bóg z tobą! zawołał Ormianin, nierozpaczaj! Dziwne są drogi Opatrzności, któremi nas do celu prowadzi: niesprzeciwiaj się Jej wyrokom. Ja ci dopomogę. Jeżeliby ci się urodziło jeszcze dwunaste dziecko, tedy gdy mi Bóg nadał potomstwa, wezmę je za swoje, a na zapomogę wyliczę ci sto dukatów, czy zgoda? Szlacheic podając rękę na znak zgody, pośpieszył do świetlicy, by oznajmić żonie, co między nim a gościem przybyłym umówione zostało. Żona rozplakała się, ale w sercu rozpamiętywała wielkie miłosierdzie Boskie, które tak wczesnie obmyśliło środek utrzymania dla dziecka na świat przybyć mającego. Gdy się wszystko uciszyło, kupiec spoczął na przyzbie sianem wysłanej snem sprawiedliwych. Około północy dano mu znać, że szlacheicowi urodziło się właśnie dwunaste dziecko. Wstał i upadł na kolana prosząc Pana Boga, by nowo narodzonemu szczęście dać raczył. Po tem wstał kupiec z modlitwy i wstąpił do świetlicy, gdzie już dziecię kąpano, a rzuceniem pięciu dukatów do kąpeli powinszował gospodarstwu. Szlacheic uradowany, zaprosił kupca w kumy. Trzymał

tedy do chrztu chłopaczka, którego Grzegorzem nazwano, a na wyjeździe wyliczył 50 dukatów, z tem oświadczeniem: że za rok przyjedzie po syna swego i resztę należności odda. Zakupiwszy mnóstwo towarów na Wołoszczyźnie i powróciwszy do domu zdrowo, całe to zdarzenie opowiedział żonie swojej, która bardzo się tem ucieszyła, że jej Bóg dozwolił stać się matką cudzego dziecięcia. Naszyła dużo koszulek, kaftaniczków, kapтурków, sukieneczek i wysłała te dary do domu szlacheckiego na Podolu. Rok prędko przeminął. Kupiec według umowy przybył do szlachcica, a rozdawszy drogie upominki całej rodzinie i wyliczywszy 50 dukatów, zabrał dziecię do domu swego. Najprzód starał się drobne rączęta pacholęcia tego ułożyć do modlitwy, by przez poznanie Boga łatwiej włożył się do wykonania obowiązków życia towarzyskiego. W lat ośm po tem zdarzeniu, dał im Pan Bóg własną córkę, którą Rypsymą nazwano.

Grzesio wzrastał i wzmacniał się w rozum i siłę ciała. Gdy już sam zarządzał całym sklepem, a Rypsima do lat piętnastu przysłała, powiada do niej ojciec: Córkę moja! możeby ty za męża wyszła? Ja mam dla ciebie walnego chłopaka: nasz Grzesio będzie mężem twoim. Ojciec zapewne żartuje sobie ze mnie. Ja kocham Grzesia, ale to mój brat, jakże ja mam iść za brata mego? czy już niema dla mnie innych? Grzesio nie jest bratem twoim, to wychowanek nasz; — jego rodzice dawno już pomarli, on sam jeden na świecie, on sierota. A wiesz ty, co to sierota? To lilia między cierniami, to krzewina mizerna, który konary drzew olbrzymich do ziemi przyciskają; to kwiatek samotny w polu, którym wiatr w różne kołysze strony. On sierota! Ach jakże ja go kocham! całe życie oddałabym, żeby mu ojca i matkę zastąpić. Przywołaj go ojcie! ja mu oddam rękę moją. Przywołano Grzesia i odkryto całą tajemnicę, która go mocno przeraziła. Ale poddając się woli Najwyższego, zezwolił na ożenienie i sute odprawiły się zaręczyny. Po zaręczynach, wyprawił go ojciec w towarzystwie starych kupców do Gałacza za towarami, upominając go mocno, żeby się często modlił, bo kto z Bogiem, Bóg z nim. Gdy już za Jasami byli, nagle zaskoczyli ich zbójcy.

Cała karawana zwątpiła o swem życiu. Ale Grzesio wezwawszy Imienia Pańskiego skoczył do naczelnika Buzora, jak go ściśnie za rękę, tak że ze wszystkich palców krew wytrysnęła. Buzor widząc, że to nieprzelewki, zawołał: Da paczi Armenitor! dajcie pokój Ormianom! Wnet poczęstowano go z całą czeredą dobrą wódką i wędliną. Po traktamencie odchodząc Buzor rzekł do Grzesia: Duti sanatos bojeti! jedź zdrów chłopcze. Wszyscy na kolana upadli, dziękując najprzód Panu Bogu, a potem Grzesiowi, że ich życie i majątek ocalił. Przybywszy do Gałacza, znaleźli hurtownika greczyzna Mauro Beldemana, który dostarczył Ormianom potrzebnych towarów, za bardzo umiarkowaną cenę. W kilka dni potem, pakowali kupcy towary nabyte, Greczyn przypatrywał się Grzesiowi, którego zręczność i siła nadzwyczajna tak mu się podobały, iż postanowił koniecznie dostać tego chłopca. W tym celu urządził w swoim magazynie wieczerzę dla kupców, starego wina nieżałował, a tak ich upoił, że wszyscy jak snopy powalili się na ziemię. Wtedy wzięto Grzesia na pokład okrętu, którym greczyn natychmiast do Smyrny odjechał. Kupcy przebudzeni postrzegli zaraz co się stało. Chodzili za Grzesiem po całym Gałaczu a gdy wszelkie ich poszukiwania na niczem spełzły, powrócili do domu, oddali towary, i oznajmili, że Grzesia pewny Greczyn zawiózł do nieznanych im krajów. Trwoga zdjęła umysły domowników, a szczególnie Rypsima płacząc i załamując ręce wołała: Ojcie, Ojcie! na coś go wysłał aż do Gałacza?

Ojciec stroskany pocieszał lament córki niezawodną nadzieją obaczenia kiedyś Grzesia, który jako pobożny człowiek znajdzie łaskę w nieskończonem miłosierdziu bożem. Grzesiowi podobnie gdy się obudził, serce ledwie nie pękło od żalu; ale ufając Bogu serdecznie westchnął i prosił, by go niepuszczał w tak ciężkiej dobie. Greczyn frasobliwego pocieszał, że skoro powrócą ze Smyrny, zawiezie go do Bukaresztu, odda mu cały majątek i córkę jedynaczkę Modunię, z którą bardzo szczęśliwym być może. Uspokoił się nieco i myśli sobie: niema nic złego, coby na dobre nie wyszło, dobrze jest obaczyć kawałek świata. Jakoż chodząc po Smyrnie, zachwycał się pięknymi ogrodami i innymi cudami przyrody, w które wscho-

dnie kraje tak bardzo obfitują. W miesiąc powracali ze Smyrny a na morzu zaskoczyła ich okropna burza, która rozbiciem okrętu zagrażała. Wszystkich zgubna rozpacz ogarnęła, gdy spostrzegli, że i maszt potężny trzeszczeć i chwiać się poczynął. Ale Grzesio nadzwyczajną swą siłą chwiejący się maszt utrzymał w jego posadzie i ocalił okręt od rozbicia. Szczęśliwie tedy przybyli do Bukaresztu, gdzie Greczyn przedstawił swej rodzinie Grzesia jako męża poczciwego, któremu własne swe życie zawdzięcza. Mile przyjęła rodzina to oświadczenie, a szczególnie Modunia zachwyciła się nadobną postacią jego. Lecz niestety! ona była próżną, aż nadto goniła za marnościami tego świata, każdemu się przymilała, pragnęła podbić każdego serce. To też całą potęgę swej urody rozwinęła, by Grzesia ku sobie nakłonić. Ale on marzył o Rypsymie i wszystkie swoje westchnienia wysłał do swej ulubionej, a jako człowiek prawy, nie chcąc łamać słowa, najmniejszego powodu nie dał Moduni do śmielszego postępowania. Ona szalała za nim, zwłaszcza gdy przez cały rok nie potrafiła w nim obudzić tkliwszego ku sobie uczucia. Grzesio widząc na co się zanosi, udał się do jej ojca i rzekł do niego: Panie! ja mam już narzeczoną, twojej córki nie pragnę, ja potrzebuję gospodyni, nie zaś lalki, która za mamidłami świata tego goni. Pomyśl Panie! że winienes mi wdzięczność za uratowanie życia i puść mię wolno do domu. Udobruchał się Greczyn, zapłacił mu 200 dukatów i wyprawił go do domu kupca ojca chrzestnego. Serdeczne było przyjęcie u kupca, a Rypsima rzucając mu się na szyję mówiła: Wyszłam z tęsknoty za tobą, oczy moje wypłakałam za tobą. Grzesio pocieszał stęsknioną, opowiadał swe przygody, wkrótce odprawił wesele i żył bardzo długo i szczęśliwie, a dzieciom i wnukom swoim często powtarzał: Kto z Bogiem, Bóg z nim.¹⁾

Helena. Caryca Helena jakiemis tajemnymi sztukami wesz do wielkości wieprza wykarmiła i w wielkiej szklanej

¹⁾ Drukowałem w Dzwonku we Lwowie wydawanym w roku 1870 na str. 113 z napisem mego imienia chrzestnego: Wincenty z Pokucia.

bani trzymała. Przy czem też ogłosiła, że kto zgadnie, co to za zwierze, temu razem z państwem swoim odda swoją rękę. Każdy zaś, któryby nie zgadł i nie poznał, śmiercią karany będzie. Mnóstwo młodzieży i pięknością Carycy i żądzą panowania ujętej, próbowało szczęścia, lecz żaden tego zgadnąć nie mógł, wszyscy też śmiercią ukarani zostali. Nareszcie pojawił się sołodywy (parszywy) Buniak, istny potwór, którego oczy kaprawe takie miały powieki, że dwóch ludzi widłami one podnosiło, jeżeli co widzieć chciał, a wtedy wszystko i wszędzie na sto mil widział. Przyszedłszy do Carycy Heleny a kazawszy sobie ślipie podnieść widłami, obaczył zwierze w bani szklanej i rzekł: owa, szczo za dywo? taż to wosz? Przerazona Caryca, że takiego brzydkiego człowieka mężem swoim mianować miała, z ludźmi uciekła, zostawiwszy mu państwo w dowolne jego panowanie. Ale Buniak kazawszy sobie ślipie podnieść, zobaczył, gdzie ona się kryje i pogonił za nią pędem wiatru, gdyż bardziej Carycy, niżeli państwa pragnął. Caryca zaś uciekająca, kazała za sobą sypać wielkie góry, które Buniak lubo z trudnością, jednak przekraczał. Przeto góry te wszystkie, które od Lwowa aż do Kijowa jednym prawie pasmem ciągną się, Caryca Helena przeciwko Buniakowi sypała. Nareszcie stanąwszy w Podhorcach, obwarowała się należycie niedaleko miasta Pleśniska. Ciągnął też podówczas królewicz polski z wielkim wojskiem w celu podbicia jakiego kraju i znalezienia dla siebie małżonki, a dowiedziawszy się o kłopotcie Carycy Heleny, przyszedł z wojskiem do Podhorzec, aby stanąć w jej obronie. Caryca bardzo pokochała królewicza i obiecała mu rękę oddać, skoroby zwyciężył srogiego napastnika. Lecz Buniak przyciągnąwszy pod góry podhoreckie i dowiedziawszy się, że tam dla obrony jest królewicz, tak krzyknął, że aż ziemia się zatrzęsła: Ty królewiczu, chcesz z wojskiem wiarołomnej bronić i mnie żonę odebrać. Ojciec twój wysyłając cię w świat z wojskiem, kazał ci prawej drogi trzymać się, jeżeli niezechcesz siebie i wojsko zgubić. Przestraszona Caryca chciała z królewiczem i wojskiem jego dalej uciekać, ale Buniak czarami ich tak zawikłał, że się z miejsca ruszyć nie mogli, zwłaszcza widząc przed sobą

daleko większe, niżeli przedtem góry. A ponieważ Caryca trzymając się królewicza, żadną miarą do Buniaka przyjść nie chciała, przeto rozgniewany Buniak zaklął ich oboje temi słowami: Ty Caryco z swoim pałacem skarbami i ludźmi zapadniesz się, raz tylko do roku na wielkanoc i to na chwilę tylko ukazesz się na wierzchu ziemi z twoją okazałością i dobytками. Ty zaś królewiczu zapadnij się z całym twojem wojskiem i będziesz tam pokutował. Gdy zaś Polska upadnie, wtedy co roku robić się będzie do twoich przybytków na wielkanoc otwór, a kto tak szczęśliwym będzie, że na tę chwilę wejdzie do otworu i na twoje zapytanie, czy już czas? odpowie: a jużci czas, stanie się twoim wybawicielem, wtedy wyjdiesz z wojskiem i odbijesz od wrogów królestwo twoje. To wyrzekłszy, krzyknął Buniak, ale tak przeraźliwie, że ziemia i góry zatrzęśły się a pałac z Carycą, z ludźmi, skarbami, królewiczem i wojskiem jego zapadł się.¹⁾

W samej istocie co roku na wielkanoc, pałac ten przepyszny na chwilę występuje z ziemi, ale tylko godny u Boga to widzieć może. Razu pewnego dwóch małych pastuszków widziało, jak naraz on wystąpił z ziemi. Ciekawością uniesieni, popatrzyli się w otwór, a tam było dużo pieniędzy, na których panicz jak niemczyk ubrany siedział. Chłopiec bogacza z figłów, drugiego chłopczyka ubogiego sąsiada czapkę do tego lochu rzucił. Biedny chłopczyzna w płacz: ta mnie ojciec zabije, gdy powrócę bez czapki. Rozpacz przemogła strach i chłopiec wskoczył do tego lochu w celu wydobycia swojej czapki, w którą ów panicz nasypał mu pełno dukatów, pomógł mu

¹⁾ Lucian Siemieński: Podania i Legendy polskie, ruskie i litewskie. Poznań 1854 na str. 38. powiada: W okolicach Zborowa na Podolu pokazuje lud ciągnący się przerwami wał, nazywany wałem Olgi. Księżniczka ta uciekając przed Batym wodzem Tatarów, przemieniła się w mysz i szła pod ziemią i wszędzie gdzie nurtowała wysypał się taki wał. Bezpieczne schronienie znalazła dopiero na Horodyszczu zwanem Pleśniku w pobliżu Podhorzec gdzie zamknąwszy się w Grodzie dała odpór hordom tatarskim. Na tem miejscu widać dziś kilkaset mogił, a w pobliżu stoi monasterek Xięży Bazylianów.

wydostać się z lochu, poczem pałac natychmiast zniknął. Opowiadał chłopiec ten wypadek bogaczowi ojcu, od którego był pouczony, aby na drugi rok, gdy to widzenie zobaczy, namiętnie swoją czapkę do lochu rzucił, po nią wlaź i z taką ilością dukatów do niego powrócił, jak synek jego sąsiada. Na drugi rok chłopcy znowu to widzenie mieli. Chłopiec bogacza uczynił podług rozkazu ojca, lecz go panicz udusił, oknem wyrzucił, a czapkę dukatami napełnioną ubogiemu dał chłopcu, żeby dał matce, której ojciec z przeszłorocznych pieniędzy nie chciał dać na urządzenie domu. Tak tedy bogacz straciwszy jedyne dziecko, umarł z utrapienia, a ubogi został wielkim bogaczem i zawsze za Carycę Helenę, najmuje mszy i parastasy, daje jałmużnę ubogim, a niezadługo skończy się jej pokuta.¹⁾

Raz na wielkanoc czerniec staruszek (Bazylianin) po śniadaniu święconem, wyszedł z monasteru podhoreckiego na

¹⁾ Siemieński: Podania i Legendy na str. 70. powiada: W pobliżu Gniezna, są dwa szzańce, czyli okopy. jeden z nich nazywa się Gniezninkiem. Jeden z pastuchów sierota upuścił raz czapkę aż w samą głęboką rozpadlinę i płakał, że samego skruszył biesa, który tam przesiadywał, napełnił czapkę chłopcu tyngami i wyrzucił na wierzch. Później inni bogatsi pastuchy rzucali swoje czapki ale bies napełniał je kamykami, suchem liściem itd. Z podobną baśnią wszędzie zdybać się można, do każdej niemal wyżyny, przywiązane jest podanie o skarbach tamże ukrytych. Razu pewnego student przechadzający się po wysokim zamku we Lwowie, spostrzegł znaczny otwór do jaskini, której pierwiej tam nie było. Z ciekawości wszedł do tej jaskini, gdzie było dużo światła, widział tam skrzynie żelazne złotem napełnione, a gdy wyszedł z tamtąd, aby dać znać ludziom, zaraz wszystko zamknęło się na powrót, i już więcej nie mógł trafić do jaskini. W Petrylowie są okopy, na górze była mogiła jakiegoś rycerza; podobnież marzą tam o skarbach ukrytych. Zadarów mianują osadą rzymską. Woda razu pewnego wymuliła bardzo dużo pieniędzy srebrnych rzymskich: „Iwan hołowki“ zwanych, były tam i naczynia gliniane, lecz tak potłuczone, że nie można było w całość złożyć. Horodyszcz koło Tyśmienicy. ma zawierać wielkie skarby, które mielnik chciał wydobyć i umarł dla tego, że pomyślał o tym skarbie. W Kutach w górze Owidyusza, czy też Dawida żyda, mają być skarby, urzędnik pewny ciągle tam kopał, że aż dostał pomieszania zmysłów.

spacer. Lecz zaledwie kilka kroków zrobił, patrzy jakiś otwór ukazał się w górze, czego tam nigdy przedtem nie było. Wchodzi do tej jaskini, a tam same rycerstwo w zbroi żelaznej na koniach siedzi. Na przodzie stojący w świetnej, a złotej zbroi, porwał bęben i zapytał Bazyljanina: czy można uderzyć, czy już czas? Ale Bazyljanin przeleknięty, uciekając krzyknął: nie czas! nie czas! Zaraz za nim ziemia się zamknęła, a królewicz z wojskiem czekać będzie dopóty, póki jaki szczęśliwy u Boga człowiek nie trafi na czas otworu, a nie zastraszywszy się, odpowie na pytanie: już czas! Wtedy wyjdzie królewicz z wojskiem, odbije Polskę, a tego, co go wybawił, postanowi królem, lub królową, podług tego, czy to będzie mężczyzna, lub kobieta. — Lecz cała doniosłość tej sprawy na tem zasadza się, żeby się nie zastraszać, jak Bazyljanin, który wiedział dobrze i chciał powiedzieć: już czas! ale w przestachu rzekł: nie czas jeszcze, i kto wie, jak długo jeszcze siedzieć będzie ten królewicz.³⁾

³⁾ O księżniczce Helenie, mało co wiemy z historii. Powiadają, że była córką Wszwołoda księcia kijowskiego, że za czasów Bathego wodza Tatarów, uszła z Kijowa do Pleśniska, stawiała czoło licznemu pogaństwu i monaster Bazyljanów w Podhorcach założyła w roku 1180, gdzie też obraz olejny przedstawiający księżniczkę Helenę gromiącą tatarskie zastępy widzieć można. Według jednych, miała odnieść znakomite zwycięstwo, według drugich legła na polu sławy po zburzeniu Pleśniska. Co do Buniaka, także nie mamy pewnej wiadomości. Powiadają; że to był wódz i książę Połowców między 1118 a 1140 rokiem. Mieszał się w wojny domowe książąt ruskich. Xięciu Władymirkowi halickiemu i przemyskiemu pomagał w jego wybiciu się z pod władzy wielkiego xięcia kijowskiego Izasława II., którego razem z królem węgierskim podobno Gejzą pod Przemysłem na głowę pobił. W Czernicy pod Brodyma jest zabytek jakiegoś rowu, ciągnącego się od granicy rosyjskiej przez Ponikwę. Lud zowie go: Buniakiw szlak. Wagilewicz, Berda w Uryczu umieszczone w Bibliotece naukowego zakładu Ossolińskich T. VI. 1843 str. 163 powiada: Kiedy Tatarzy zalawszy księstwo halicko-włodzimirskie, na ich czele ów straszny sołodywyj Buniak pół demon z parchami, sołodami na głowie, powiekami długimi spływającymi do ziemi, które czeladź na rozkaz podejmuje złotymi widłami, i z brzuchem otwartym, na str. 166: Tatarzy w pierwszym groźnym wystąpieniu

Hreczuszki. Chłopiec kradł węgle Alchemikowi i nosił babom na targu siedzącym, za co mu też one dawały hreczuszki na śniadanie. Spostrzegłszy to Alchemik, wywiercił dziury w węglach i takowe prochem napełnił. A gdy chłopiec niewiedząc o tem, przysługę babom czynił, wszystkie za rozpaleniem się węgla, strachu, bólu i szkody nabawił, za co też dobrze kijem otrzepany, nie dostał więcej hreczuszków.

Jaga. Gospodarz miał kłótliwą i złośliwą żonę Jagę, której nigdy gęba nie zamykała się, wiecznie z mężem kłóciła się, a nawet jeżeli spała, co bardzo krótko trwało, gębą ruszała i zębami kłapała. Nieszczęśliwemu, acz wielce cierpliwemu małżonkowi nareszcie cierpliwości już nie stało; postanowił tedy pozbyć się domowej biedy. Udało mu się przecie żonę w las na grzybobranie, a potem dla odpoczynku na skałę wyprowadzić, która z jednej strony gładko do lasu przypierała, ale z drugiej strony za to sterczała nad wielką przepaścią, w której wielkie było topielisko. Żona usiadłszy na krawędzi skały, swoim obyczajem z mężem kłócąc się nareszcie usnęła. Wtedy mąż korzystając z chwili, pchnął ją w przepaść, gdzie też wody pochłoneły babę nieznośną. Po jakimś czasie idzie gospodarz lasem i zdybuje Duch święty przy nas djabła, ale tak skulonego i znędniałego, że aż przykro było nań patrzeć. Bodaj cię licha wzięło, gospodarzu! co ty mi narobił? powiada djabeł strapiony, tak mi dobrze i swobodnie było siedzieć w owej bajurze pod skałą, lecz jak mnie swoją Jagę nasłałeś, przepadł mój spokój, uciekać musiałem przed kłótliwą i złośliwą babą. Oho! pomyślał sobie gospodarz, jeżeli sam djabeł nie mógł nic poradzić z moją żoną, jakież nieskończone dzięki należą się Panu Bogu za to, że się tego czarta pozbył z domu. Ale w kilka miesięcy rozeszła się pogłoska, że djabeł Pana

na Ruś pod wodzą Szełudowego Buniaka pół demona. Jest to jedna osoba z Batychanem. Józefowicz: Kronika miasta Lwowa 1854 str. 268 powiada: że Bolesława Chrobrego króla polskiego pod Sołodywym Buniakiem być rozumieją. Lecz imię Buniaka w różnych epokach pojawia się, a nawet są rodziny na Rusi Buniakami zwane.

opanovał, że tam byli łacińscy i ruscy księża świeccy i mnichy obojga obrządków, lecz wszystkie modlitwy, zaklęcia i kropienia wodą święconą były bezskuteczne, gdyż djabeł rękami i nogami uczepliwszy się Pana, nie chciał go porzucić. Idzie gospodarz do tej wsi i powiada, że tego djabeła wykurzy z dworu. Każę sprowadzać muzykę. Już skrzypce, basy, cymbały i bębny huczą, da dum! da dum, ba, bum! ba bum! hej budesz hulaty, woła tłuszcza towarzysząca muzyce. Djabeł pyta, co to takiego? Nareszcie wpada ów gospodarz, jak krzyknie do ucha Panu: Jaga ide! tak djabeł czempredzej w nogi.¹⁾

Jarmark. Pędził chłop swinię na jarmark, za nim na bryczce siedzący pan pospieszał, któremu z daleka swinia się podobała. Targ, w targ, zgodził się za sześć talarów. Ale myśląc sobie: chłop głupi nie rozumie się na talarach, nie dam mu wszystkiego i wyliczył mu tylko trzy talary. Chłop wziął trzy talary nie mówiąc, jednak potajemnie zaprzysiągł, trzy razy bić pana za szachrajstwo. Jakoż upatrzwszy sposobność ku temu dobrą, kiedy ten pan przez las jechał, zaczął się za drzewem, a chłopca swego wysłał na koniu, żeby przed bryczką wołał: dąb nie brzoza, swinia nie koza. Chłopiec woła, pana gniewa ta pustota, kazał stanąć woźnicy i pogonić za chłopcem szydzącym. Gdy się woźnica oddalił, chłop z tęgim drączkiem wypada i bije pana na bryczce siedzącego; to za moje talary, ciągle powtarzając. Podobnie też zrobił drugi raz, ale tak silnie, że pan położyć się musiał do łóżka, i posłano po doktora. Chłop przebrał się za doktora i gdy wszyscy wyszli z pokoju, począł trzeci raz bić pana tak straszliwie, że aż duszę pan wyzionął.

¹⁾ Lucian Siemieński: Wieczornice, powiastki, charaktery, życiorysy i podróże. T. III. Wilno 1854 str. 118 powiada: Signor Prowano djabeł z piekła, żeni się z córką bogatego knpca w Krakowie, traci majątek, uchodzi do Grzeška, któremu obiecuje wielkie skarby, wchodzi w Wojewodzinę, potem w królowę Bonę, nareszcie w córkę Elektora Rzeszy, z której za pomocą muzyki i wywołaniem żony djabeł Agnieszki wypędza go sielanin Grzeško.

Julia. Pewna pani miała córkę ładną, lecz na to nie zważając, sama sobą się zajmowała. Ciągłe siedziała przy zwierciadle wołając: lustro! lustro! powiedz mi, czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro odpowiadało: Julia, twoja córka. Tak ją to rozgniewało, że postanowiła zgubić córkę, aby tylko ona była najładniejszą na świecie. Udała się do czarownicy, żeby ze świata zgładziła jej córkę. Udarowana czarownica podjęła się tej szatańskiej przysługi. Lecz gdy ujrzała taką piękność, żal się jej zrobiło pięknej panny, nie zabiła ją, jeno ukrywała jakiś czas u siebie. Matka złośliwa kontentna niezmiernie była z tego, że już nie było ładniejszej na świecie. Ale stanąwszy przed zwierciadłem, znown z ciekawości próżnej zawołała: lustro! lustro! czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro nie umiejące kłamać powiedziało: Julia, twoja córka. Rozgniewana pobiegła do czarownicy, sztrofując onę, dla czego nie zgładziła córki. Czarownica rada, nierada, włożyła pannie piękny trzewiczek na nogi, a panna żyć przestała. Niedowierzając czarownicy, matka znown stanęła przed zwierciadłem, zapytując się: lustro! lustro! czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro odpowiedziało, że niema. Nuż tedy tryumf wielki pośród niezliczonego tłumu gachów, którymi jak gałkami przerzucała. Ale córce czarownicy podobał się bardzo trzewiczek na pannie zmarłej, a korzystając z niebytności matki, zdjęła ten trzewiczek, lecz skoro zdjęła obuwie zaczarowane, panna ożyła i precz uciekła.

Przyszła do pałacu, w którym było 12. rozbójników, skryła się przed nimi, jeś im gotowała, sprzątała wszystko a oni nie wiedzieli, kto im taką przysługę czyni. Jeden z nich zaczął się spostrzegł kryjówkę tej panny; oznajmił to wszystkim i wszyscy szalenie się w niej rozkochali. Matka złośliwa, lubo wiedziała, że jej córka już nie żyje, jednak z próżności razu jednego zapytała się: lustro! lustro! czy jest kto ładniejszy odemnie? A lustro odpowiedziało: Julia, córka twoja. Rozgniewana poleciała do czarownicy, która się tem wymawiała, że sama nie wie, gdzie się ona podziła. Dużo dała jej pieniędzy, aby koniecznie odszukała córkę i zgubiła. Idzie czarownica przebrana za dziadówkę i przyszła do pałacu, gdzie

była Julia, tam prosiła o jałmużnę, którą gdy brała, niezna-
cznie posypała proszkiem głowę Julii, która wkrótce umarła.
Przyszli zbójcy i znalazłszy Julię umarłą, wszyscy rzewnie
płakali. Nareszcie gdy ją umyli i wyczesali, Julia ożyła i była
wielka radość. Matka pytała się wtedy przy zwierciadle i po-
cieszającą otrzymała odpowiedź. Ale po jakimś czasie znowu
chcąc usłyszeć pochlebne wyznanie lustra, zapytała się: lustro!
lustro! czy jest kto piękniejszy odemnie? Lustro odpowiedziało:
Julia, twoja córka. Rozgniewana matka poszła do czarownicy
i prosiła, żeby koniecznie zgubiła córkę. Obdarzona czarownica
idzie do tego pałacu i rozmawia z Julią, która się żali, że ją
matka chce zgubić. Radzi jej czarownica, żeby kupiła sobie
taki pierścień, który broni od wszelakich czarów. A jak to
wszystkie kobiety lubią pierścienie, wnet wytargowała pierścień
od czarownicy, a skoro go na palec włożyła, umarła. Przybyli
zbójcy i wielki płacz uczynili nad nią, ubrali kosztownie i do
złotej trumny włożyli, trumnę zaś wynieśli na wysokie drzewo,
a sami z wielkiego żalu pozabijali się.

Wyszedł królewicz na polowanie i widzi coś błyszczą-
cego na drzewie, kazał zdjąć i otworzyć, a tam śliczna panna
umarła leży.

Szalenie rozkochał się królewicz w umarłej pannie, wziął
trumnę do pałacu, i codziennie przypatrywał się z upodobaniem
trupowi. Razu pewnego, gdy nie było królewicza w domu,
służąca przypatrywała się także pannie, i zobaczyła śliczny
pierścień, który ściągnęła z palca, a w tym momencie ożyła
panna. Królewicz nie mógł sobie miejsca znaleźć z radości,
zaraz wyprawił gody weselne, na których była także matka
Julii, o której już zupełnie zapomniała. Po uczcie powiada
królewicz: Co też zasługuje taka matka, która swoją córkę
zabijać każe? Matka nie znając Julki, sama wyrwawszy się
z sądem rzekła: taką matkę przywiązać do ogonów końskich,
aby ją w sztuki rozszarpały. Zaraz przyprowadzono cztery
bystre ogiery, przywiązano do ogonów niedobrą matkę i w ka-
wałki rozszarpało.¹⁾

¹⁾ Nowosielski: Lud ukraiński. Wilno 1857 T. II. str. 245 podobną
cokolwiek przytacza bajkę. Zabłąkany królewicz widzi na wysokim

Kaniowski. Mikołaj Potocki starosta Kaniowski, miał
wiernika, którego bardzo lubił. Razu pewnego doniesiono mu,
że ulubieniec wykrada ryby ze stawu, suszy i sprzedaje. Chcąc
się o tem naocznie przekonać, przebiera się Potocki za żebra-
ka i wprasza się na noc do wiernika, którego właśnie w do-
mu nie było. Żona jego wyznaczyła kącik dziaduniowi, by co-
kolwiek spoczął, a sama roznieciła ogień na kuchni w celu
przysposobienia jakiego posiłku. Nareszcie przybył wiernik
z rybami. Żona sprawnia ryby, a dziadunio odzywa się: ej
podobno się wam te ryby nieupieką. A dlaczegożby się nie-
miały upiec? odpowiada wiernikowa. Po chwili, znowu dza-
dunio odzywa się: ej podobno ta wielka ryba wam się nieu-
piecze. Cicho tam dziadunio! odpiera wiernikowa, były tu
już większe ryby nieraz, a przecież się upiekły. Tego też mu
było potrzeba wiedzieć i cichaczem wyniósł się z chałupy.
Idącego poznał kozaczek i wstąpił do wiernika, by mu oznaj-
mić, jakiego miał u siebie gościa. Przerażony okrutnie wiernik,
naradza się z swoją żoną, żeby udać umarłego dla przebla-
gania Starosty rozgniewanego. Jakoż rano dzwonią w cerkwi.
Starosta pyta, komu to dzwonią? Służba odpowiada, że wier-
nik w nocy umarł. A bodaj djabli wzięli staw i ryby, na co
było przestraszać Wasylu? Zafrasowany stratą wiernego sługi,
pobiegł pan Kaniowski do domu wiernika, a widząc jak żona
płacze i lamentuje, sam upadł na kolana i począł modlić się
i wołać głośno: Wasylu! ja się niegniewam na ciebie, ja ci
wszystko przebaczam, wstań tylko Wasylu! Umarły też nie-
wiele myśląc, zerwał się na równe nogi, i począł przeproszać
Potockiego, który udobruchany, poprawił byt materyalny wier-
nika swego.

Kłamecy. Wyćwiczony doskonale w swem rzemiośle
krętacz, frasował się tem niemało, że niemógł podobnego so-

górze coś błyszczącego od promieni zachodzącego słońca, cieka-
wością zdjęty wehodzi na górę i znajduje tam pod wysokim jawo-
rem szczerem złotem obitą trumnę, a w niej, jakby żywą tak prze-
śliczną, ale martwą księżniczkę, w której się królewicz szalenie
kocha — nareszcie żeni się.

bie dobrać towarzysza. Idzie on drogą i widzi chłopca nad wodą orzącego, i powiada: Jestem mielnik, miałem czeladnika niepocziwego, który kamień młyński rzucił do wody; czyś niewidział, którędy ten kamień popłynął. Chłop zdziwiony odzywa się, że ani widział, ani też nie słyszał, żeby kamień młyński płynął. Na co poganiacz zawołał: że on widział jak kamień płynął, a na kamieniu siedział pies i resztę mąki obliżywał. Aż podskoczył z radości krętacz, że takiego wyjadacza zdybał. Nuż dalej namawiać poganiacza, żeby przystał do jego kompanii. Jakoż złączywszy się razem, powiada on do niego ja pójdę naprzód, ty zostań jakie ćwierć mili w tyle i idź za mną. Przychodzi do wsi jednej i prosi wójta, żeby całą gromadę zwołał w celu posłuchania pewnej przygody. Gdy wszyscy zebrali się; on im powiada: że w Szarańczukach urodziła się głowa kapusty niewidzianej dotąd wielkości, że cztery bryki jechało z solą, a gdy deszcz począł padać, brykarze ukradli jeden liść tej kapusty i cztery bryki przykryli. To być niemoże, woła gromada. Założmy się o dwieście guldenów Zakład przyjmują i wysyłają człowieka, żeby się o tem przekonał. Posłaniec zdybuje poganiacza i pyta, czy to prawda. Istna prawda, twierdzi poganiacz, a przyszedłszy do wójta dowodzi, że kapusty niewidział, ale oglądał pniaka tej kapusty, z którego Pan wjazd na dziedziniec zrobił. Przegrała tedy gromada i zapłaciła dwieście guldenów. Obłowiwszy się doskonale, idą dalej, poganiacz zostawia się nieco w tyle. Przybywszy do jednej wsi, krętacz zwołuje gromadę i powiada: że on jest sławny pirotechnik, jakiego świat jeszcze nie widział. Gromada oczy wybałuszyła i pyta co to pirotechnik? Tłumaczy im: który sztuczne ognie robi, że on w Kuroszczypach potężny staw spalił. To być niemoże, woła gromada. No założmy się. Założyli się o dwieście guldenów, a dla przekonania się wyprawili posłańca, który zdybawszy poganiacza, pyta: czy to prawda? że w Kuroszczypach staw spalono. Istna prawda twierdzi poganiacz, a stanąwszy przed gromadą dowodzi, że wprawdzie niewidział jak się staw palił, ale widział, jak ludzie popalone ryby na kupę składali. Znowu gromada przegrała i zapłaciła dwieście guldenów. Próbowali oni jeszcze

więcej kłamać, zebrali dużo pieniędzy i podzielili się niemi, udając się każdy w inną stronę.

Przychodzi krętacz do Piszczymuszyce, żeni się z ładną dziewczyną bogatego gospodarza i zakłada ognisko rodzinne. Wychował sobie parę wołów nieszpetynych, które bardzo podobaly się panu dziedzicowi, chciał one nabyć, ale krętacz nie chciał sprzedać. Pan też miał parę koni ładnych, które znowu do smaku przypadły krętaczowi, ale pan sprzedać nie chciał. Więc gdy się o to spierali, pan powiada: wiesz ty co przyjdź kiedy do mnie, kto kogo w kłamstwie przemoże i obruszy, ten weźmie konie, albo woły. Pewnego dnia stawia się krętacz, a pan zaczyna kłamać: że jego ojciec dorobił się majątku z jednej krowy, ale co to była za krowa? rosła jak dąb, a mleka tyle dawała, że ser w sterty składali, masła w zasieki, a z serwatki staw wielki powstał. Pan widzi, że krętacz wcale się niesprzeciwia, więc każe jemu kłamać. Ja zaś mówię krętacz, dorobiłem się majątku z jednej pszczoły, którą za trzy grosze kupiłem. Miałem z niej trzydzieści pni pasieki, i codziennie w wieczór rachowałem pszczoły. Pewnego wieczora rachuję, nie ma tej pszczoły, którą za trzy grosze kupiłem. Patrząc! aż tam za stawem dwa wilki drą moją pszczołę; wyrwałem kół z płotu, podparłem się i staw przeskoczyłem, ale wilki puciekali i pszczoła moja już nie żyła. Zdjąłem z niej skórę, idę i płaczę za moją pszczołą. Ale przypominam sobie że święty Mikołaj jest patronem wilków, możeby mi co poradził. Kupiłem 10 okłotów słomy, a drabinę ukrećwiwszy, zaczepiłem do niebieskiego progu i wylazłem do nieba. Pytam świętego Piotra: czy jest święty Mikołaj w domu? Mówi: że pojechał do Perehińska na praznik. Tak ja chodząc po niebie, z godzinę może zabawiłem. Wracam do drzwi niebieskich, niema mojej drabiny. Pytam św. Piotra. Mówi mi, że aniołowie poszli do rajy jabłka otrząsać. Idę ja do rajy. Aniołowie całkiem moją drabinę połamali. Ale słucham, a tam święta Dorota krupy mieli. Idę ja do niej i proszę ją, żeby mi podarowała ćwierć łuski. Dorota pyta mię, co ja tu robię? Opowiedziałem całe nieszczęście moje. Dała mi ćwierć łuski, ja ukrećwiłem sznur, przywiązałem do niebieskiego progu i spu-

szczałem się na ziemię, ale mi jeszcze nie stało dwadzieścia łokci. Urwałem kawał sznura z góry, w dole nadsztukowałem i spuściłem się na ziemię. Idę do domu, patrzę, a tu okazały człowiek pędzi stado koni; ukłonił mi się i odszedł. Dalej idę, drugi człowiek pędzi stado wołów; ukłonił mi się i poszedł dalej. Nareszcie przychodzi trzeci, ale taki obdrapany, szuszałki wiszą z tyłu. bosy, brudny, powalany, nieukłonił mi się, jeno nos do góry zadarł. Ja go nogą szturknałem; a ty obszarpańcze! dlaczego mi się nieukłonisz? A on mi powiada: a ty niewiesz, że jestem ojcem twego pana dziedzica. Liesz! zawołał Pan w uniesieniu i uderzył krętacza. Tego mi też właśnie było potrzeba; przeto wykłamałem konie u Pana.

Drugi poganiając szkapy leniwe, przeklinał ciągle: a bodaj tebe didko wziaw! po cichu zaś mówił: borony Boże. A bodaj na was choroba wdaryła, po cichu: borony Boże!

Inny chłop życzył sobie śmierci, żeby się już raz bieda jego skończyła. Pewnego razu zarzucając drzewo na plecy, wzywał śmierci, która niestety przyszła na jego zawołanie. Chłop zobaczywszy śmierć, znowu począł narzekać. A wszakżeś sam chciałeś, powiada śmierć. Ja brechawjem, tak odzywa się chłop.

Knabe. Ubogi młodzieniec podróżował w wielkim niedostatku. Znalazł na drodze skrzyneczkę, na której była mała karteczka z napisem: Knabe. Gdy w głos wymówił to słowo, zjawił się mały chłopak wołając: czego żadasz? Jeść, odpowiedział młodzieniec. Zaraz był stół nakryty, a na nim najwyborniejsze potrawy się znajdowały. Pożywił się należycie i pomyślał sobie, kiedy już najadłem się, to mi więcej dać musi i zawołał. Knabe! Czego chcesz? zapytał chłopak. Pieniądzy dużo, karetę, cztery konie, furmana i lokaja w złotej liberyi. Wszystko to było na poczekaniu, jak to mówią. Oho! jeżeli on mi tyle dał, pomyślał młodzieniec, to musi on mi zrobić, żebym się z królowną ożenił i zawołał: Knabe! Czego chcesz? zapytał chłopak. Zrób to, żeby królowna rękę mi oddała. Wyjednał mu chłopak dobre przyjęcie u króla, wnet

odbyło się huczne wesele i on młodzieniec rozkoszował w pałacu. Chłopak musiał mu jeszcze wybudować złoty pałac i innym zachciankom dogadzać. Razu pewnego zbliżył się do niego chłopak i prosił bardzo, żeby mu tę karteczkę oddał. Młodzieniec myśli sobie: mam złoty pałac, królownę, pieniędzy moc, jestem sobie panem, na co mi tej karteczki, i oddał chłopakowi karteczkę, którą on z wielką radością odebrał. Wnet ukazały się złe skutki z pozbycia się tego talizmanu. Zniknął pałac złoty, pieniądze rozleciały się, służba rozbiegła się, a młodzieniec zamiast na pysznym łożu, leżał na barłogu. Król rozgniewany, odebrał córkę i srodze mszcząc się z tej przyczyny, że taki hołysz śmiało pomyśleć o królownie, kazał swego zięcia byłego przywiązać do drzewa i zostawić bez pomocy, żeby marnie zginął.

Wisiał tedy nieszczęśliwy młodzieniec, mając jedną rękę do jednege drzewa a drugą do drugiego drzewa przywiązaną. Gdy już mu tak ginąć przychodziło, spostrzegł z daleka 12 bryk ogromnych naładowanych podartemi trzewikami, a za temi brykami szedł ów chłopak, który odebrał ową karteczkę nieszczęsną, a zbliżywszy się do niego, zawołał szydyczko: może ci usłużyć? możebyś sobie podjadł? może ci królowny potrzeba? ha nieponiu! patrz! ile to trzewików podrzeć musiałem, nim tę karteczkę odebrałem. Nuż tedy ową karteczką bić po oczach, po nosie, po twarzy. Ale jak to zwykle bywa po śmiechu płacz, chłopak za blisko ust podsunął ową karteczkę, którą młodzieniec bardzo zręcznie zębami podchwyciwszy, zawołał: Knabe! Chłopak we dwoje skulony poskrobał się jeno w głowę i zapytał: czego chcesz? Odwiąż mię i dawaj co jeść. Najadł się młodzieniec i zawołał: Knabe! Czego żadasz? zapytał usłużny chłopak. Aby mi tu był nazad pałac złoty, pieniądze, służba i królowna. Wszystko w okamgnieniu stanęło tak, jak było przedtem, a chłopak począł prosić, żeby mu oddał karteczkę. Ale raz oszukany młodzieniec niewierzył już chłopakowi, i zaszył karteczkę do woreczka, który przy sobie zawsze miał, i żył szczęśliwie z swoją królowną przez bardzo długie lata.

Kocigroszek. Gospodarz miał siedm synów i jedną córkę. Synowie pracowali koło roli i prosili razu pewnego, żeby im siostra jeść wyniosła. A jakże ja do was trafię? pyta siostra. My wyorzemy skibę z domu, aż do miejsca, gdzie będziemy orać i zasiewać, a tak idąc skibą, trafisz do nas. Tymczasem djabeł zarzucił ten ślad i wyorał skibę do domu swego. Siostra jeść wyniosła, ale trzymając się skiby, przyszła do domu szatana, który ją uchwycił, grożąc, jeżeli niezostanie żoną jego, to ją zabije. Rada, nierada, musiała zostać djabła żoną. Synowie wrócili głodni do domu i zmartwili się bardzo, że im siostra gdzieś przepadła. Idzie najstarszy za siostrą, a trzymając się wyoranej skiby, przyszedł do domu djabła, gdzie była siostra. Uciekaj ztąd, zawołała siostra, bo cię djabeł zabije. Lecz zaledwie to wyrzekła, już był djabeł w chałupie, napalił dużo ognia pod blachą, uciął bratu łeb, a tułów postawił na blachę, upiekł i zjadł, żonie rzucił kawałek zioberka, które ona razem z głową schowała. Podobnie stało się ze wszystkimi braćmi, ze wszystkich zrobił sobie djabeł ucztę, a biedna siostra zioberka i głowy ich starannie zachowała. Ojciec z umartwienia umarł, pozostała tylko matka w domu, która niecheiała iść szukać córki, aby się jej podobnie jak synom nie stało. Raz przyniósł djabeł cokolwiek grochu żelaznego i smacznie zjadał; jeden upadł na ziemię i potoczył się aż do domu wdowy-matki, która podniosłszy takowy, zjadła i porodziła syna, którego nazwano: Kocigroszek. Gdy podrósł, był bardzo silny, a matka opowiedziała mu przygodę z synami i córką. O czem dowiedziawszy się Kocigroszek, postanowił sprawić się z djablem o tę krzywdę. Przybył tedy do domu tego, gdzie była siostra i oznajmił, że jest bratem jej, a ona bardzo zasmuciła się z tego w przeczuciu, że się i z nim to stanie, co się stało z siedmioma jej braćmi. Ale on pocieszał ją, mówiąc: że się nieboi tego, że jest mocniejszy od djabła. Podczas tej rozmowy wszedł djabeł, a on do niego ostro począł przemawiać, że nieprzyszedł po to, aby być spieczony i zjedzony, ale po siostrę i swoich braci. Djabeł kazał mu nanosić dużo drzewa, ale on rozgniewawszy się, rzekł: ja tu nieprzyszedłem służyć, przynieś sobie sam drzewo. Djabeł

nanosił dosyć drzewa sądząc, że mu się uda zabić Kocigroszka, i napalił dobrze pod blachą i kazał mu położyć się na blachę. Kocigroszek zbeształ go okrutnie? wołając: ty się kładź na blachę, kiedy chcesz, żeby ci ciepło było, ja sobie za piec polizę i tam się wyspię. Jak mówił, tak też zrobił. Nazajutrz powiada do niego djabeł: chodź ze mną spróbować się, kto z nas mocniejszy? Poszli też obydwaj na błoto, gdzie djabeł rzucił Kocigroszka w błoto. Ale zaledwie dotknąwszy się błota Kocigroszek jak kopnie djabła, to zapadł aż po kolana. Drugi raz kopnął djabeł Kocigroszka, który zapadł po kostkę, ale wylazłszy z błota, jak niekopnie djabła, tak zapadł aż po brzuch. Wylazło tedy djablisko i kopnęło po raz trzeci Kocigroszka w błoto, który zapadłszy po kolana wybrnął i kopnął djabła, który aż po samą szyję zanurzył się w błocie. Wtedy zabił go kołkiem osikowym, żeby już ztamtąd niewyłaził. Sam tedy zwyczajko powrócił do siostry, która wyjęła wszystkie głowy i zioberka pomordowanych braci. Kocigroszek posmarówł jakąś maścią i wszyscy ożyli i zabrali się do domu swojej matki razem. W lesie zanocowali, a ponieważ bali się bardzo Kocigroszka, przeto uciekli wszyscy od niego.

Nazajutrz osierocony Kocigroszek nieszedł za niewdzięcznikami których wybawił, ale poszedł prosto lasem i zaszedł do domu pewnego, gdzie był dziadek, który mu kazał sprowadzić księżniczkę zaklętą z samego piekła. Powiada do siebie Kocigroszek: jeszcze nie byłem w piekle, pójdę tam, przynajmniej zobaczę, co się w piekle dzieje. Idzie tedy i zdybuje człowieka wąsala, co miał okrutne wąsy, bierze go z sobą, dalej zabiera mordasza z wielką gębą, następnie przybrał się długoręka, nakoniec zaś długonogi. Idą tedy w kompanii wesoło i stają nad wieczorem w piekle i proszą o wybawienie księżniczki zaklętej. Ale w piekle powiedziano im, przenocujcie tu, jutro wezmiecie sobie pannę. Tymczasem Lucyper kazał mocno napalić, żeby się wszyscy upiekli. Ale wąsal wymiół wszystkie węgle i ogień zagasił. Przenocowali szczęśliwi i oddano im księżniczkę, z którą przyszli nad wielkie morze. Tam rzuciła ona swój wielki pierścień z palca i powiedziała: jeżeli mi dobędziecie pierścień, to pójdę z wami dalej, a jeżeli

tego niedokazecie, to wróć nazad do piekła. Mordacz wypił pół morza, a długonogi wziął długorękę na plecy i wydobyli z morza pierścień, oddali pannie, którą zaprowadzili aż do domu dziadka. Ztamtąd poszli wszyscy na rozdobędy, a znalazłszy dla siebie chałupę zostawili jednego dnia wąsala, żeby dla nich objad zgotował. Nałapał tedy kupę wróbli, smarzy, piecze gotuje, a gdy objad był gotowy, przyszedł dziadek ze środka ziemi, nie tylko że zjadł wszystkie wróble, ale jeszcze nabił dobrze wąsala i wrócił do swego podziemnego pałacu. Zeszli się wszyscy na objad, a tu nic niebyło, jeno wąsalisko jęczało od bólu. Na drugi dzień zostawili mordacza, żeby objad gotował, lecz z mordaczem to samo się stało. Na trzeci dzień otrzymał podobnie plagi długołaba. Na czwarty dzień niemięły cięg. i długonogiego. Piątego dnia został sam Kocigroszek, nałapał cztery kupy wróblów, gotuje, smarzy i piecze. A gdy gotów był objad, przyszedł ze środka ziemi dziadek i zabierał się już do jedzenia, ale Kocigroszek jak go palnie po łbie, aż się dziadek przewrócił, wtedy rozłupał dęba, włożył brodę dziadka w szczelinę i zabił dobrze. Nuż tedy dziadka okładać kijami; dziadek wrzeszczy, a on wali, aż z dziadka fałaty leca, nareszcie dziadek wyrwał się jakoś z dębem, uciekł do swego pałacu. Zeszli się wszyscy na objad, pożywili się doskonale przyczem uradzili, żeby pójść za owym dziadkiem i zabić go. Poszli tedy za śladem krwi, która z dziadka płynęła i przyszli nad jeden otwór i patrzą, że ziemia wewnątrz jest próżną, a tam prześliczne pałace. Spuszczają tedy Kocigroszek wszystkich na dół i nakazuje im, żeby tam zrobili dla niego drabinę, po której mógłby się też do nich dostać, ale oni się tam poženili z księżniczkami i zapomnieli o Kocigroszku. Zasmucił się z tego bardzo Kocigroszek i chciał już odejść z tego miejsca, ale patrzy, tam na skale było gniazdo, z którego wyglądały małe orlęta, a tu deszcz z gradem pada; zlitował się nad nimi i przykrył płaszczem, potem nadleciał stary orzeł i dziękował mu bardzo mówiąc: co roku burza z gradem niszczy mi orlęta, a tyś mi je zachował, co chcesz, to ci uczynię. Zanies mię na dół, prosił orła Kocigroszek. Dobrze, tylko nałapaj dwie beczki wróblów i siadaj na moje barki. Uczynił tak Ko-

cigroszek, skoro orzeł obrócił głowę na prawo, rzucił mu wróbla z beczki, która na prawym boku wisiała; a gdy obrócił na lewo głowę, dał mu wróbla z lewej strony, gdzie również beczka wróblów wisiała. Nareszcie gdy zabrakło wróblów, uciął kawałek łytki swojej Kocigroszek i dał orłowi, który go na dół spuściwszy, wyrzucił z siebie kawał łytki a kocigroszek nazad do nogi przylepił. Chodzi Kocigroszek po dole i widzi piękne pałace, ale towarzysze jego niechęcą się przyznać do niego, jeno puścili przeciw niemu straszego ogiera, którego on jednym zamachem o ziemię powalił. Za tę szkodę, kazali mu dać 16 kijów. Odebrał 16 kijów, idzie dalej, a tam psy na niego wypadły, szarpia i gryzą go, a on powoli dusi ich i zabija. Nareszcie przychodzi do pałacu, gdzie była sama królowna, pilnowana przez dziadka, który obaczywszy Kocigroszka, z dębem okrutnym, w którym była jego broda precz się wyniósł, a Kocigroszek ożenił się z królowną, kazał też przywołać do siebie, Wąsala, Mordacza, Długołapę i Długonogę i kazał wszystkim dać po szesnaście kijów¹⁾.

Koń. Pewien pan miał konia ładnego w którym się bardzo rozmiłował. Często też powtarzał, że gdyby kto nauczył konia gadać, dałby mu za to tysiąc dukatów. Znalazł się filut, który podjął się za rok wyuczyć konia. Pan dał mu dobry zadatek i marzył już o ósmym cudzie świata, jeżeli koń jego rozmawiać będzie. Filut kazał konia zamknąć w stajni dawać dobrze jeść, i codziennie, rano, w południe i wieczór

¹⁾ Ludwik Adam Jucewicz: Wspomnienia Żmudzi. Wilno 1846 str. 86 przytacza podobnież walkę z djabłem, ale jego Uburti podstępem wojuje. Ma też taką bajkę Wójcicki Klechdy starożytne Warszawa 1851 T. II. Bajka szósta. Powiadają też, że ów Kocigroszek nazywał się Sysak, z tego powodu, że ssał piersi matki przez lat pięć. Kazał pałkę zrobić siedm cetnarów ważącą, pod ziemią będąc, uwolnił trzy królowny od trzech dziadków. Pierwsza dała mu kłębek, który go zaprowadził do domu drugiej królowny; druga dała mu jabłko, które się potoczyło do domu trzeciej królowny, że wszędzie dziadków śpiących zabił. Nakoniec przez orła wyniesiony na wierzch ziemi, że piskłeta jego ochronił od niepogody.

odwiedzał swego ucznia. Ale pan był bardzo ciekawym, co ów Maestro mówi do konia. Namawia tedy koniuszego, żeby baczne oko zwracał na Signor Maestra. Udało mu się dosłuchać słów ciągle powtarzanych i pospieszył zdać z tego sprawę, a stanąwszy przed panem rzekł: to jakaś komedia, panie, on koniowi nie więcej do ucha nie mówi, jeno: albo, albo, albo? Obruszył się pan i kazał przywołać do siebie końskiego mistrza, do którego, gdy stanął przed nim, surowo przemówił: słuchajno, co ty za błazeństwa wyrabiasz z koniem, co to ma znaczyć: albo, albo, albo, które koniowi do ucha gadasz. Mistrz z największą flegmą odpowiedział: ja codziennie powtarzam koniowi: że albo koń zdechnie do roku, albo ja umrę, albo też pan umrze do roku, gdyż konia nikt jeszcze nienauczył gadać. Ażeby cię wszyscy djabli wzięli, szachraju! zawołał pan na wynoszącego się mistrza.

Kopciuszek. Sliczna panna niechęć iść za tego, którego nie kochała, prosiła ojca, żeby jej sprawił piękne suknie i wózek latający, że skoro to będzie miała, to pójdzie za tego, za którego ojciec rozkaże. Ale gdy to wszystko sprawił ojciec, ona wsiadła na wózek i z domu uciekła. Wszystkie swoje szaty i wózek w lesie ukryła, a sama przebrawszy się w kozuszek, zakrywający oczy i twarz, poszła służyć do pewnego pana, który często bardzo bił ją szczotką i głowę wodą polewał. W mieście dawano wielki bal, na którym był też pan Kopciuszek poszła do lasu, przebrała się w swoje suknie i przyjechała swoim wózkiem i wszystkie piękności blaskiem swojej urody przyćmiła. Najwięcej zajmował się nią sam pan i pytał się z kąd pani? A ona mu odpowiedziała: ztamtąd, gdzie szczotką biją i wodą głowę polewają. Po balu zniknęła i znowu przebrała się za kopciuszkę. Drugi raz dawano bal, gdzie podobnie pan zachwycony, pierwszą otrzymał odpowiedź. Myśli sobie pan zakłopotany, dam także bal, czy ta panna przyjdzie do mnie na bal. Daje tedy wielką ucztę z tańcami. Kopciuszek przebiera się i zachwyca wszystkich, a szczególnie pana swego, który pytał się, z kąd pani? A ona mu odpowiedziała: ztamtąd, gdzie szczotką biją, a wodą głowę polewają. Wpadła

mu w oczy ta odpowiedź a wyszedłszy z salonu, kazał wołać Kopciuszkę, lecz jej niebyło, tylko suknie zakopczone. Zaraz się domyślił pan, że to jego Kopciuska taka ładna, już jej niepuszczał z domu i poszła za niego, bo go bardzo kochała¹⁾.

Korona. Było trzech braci, jeden z nich był niby głupi, za co też jako upośledzony wiele cierpiał od swych braci. Gdy mu się już sprzykrzyło to prześladowanie, prosił braci, żeby mu dali jego częśćkę, na co bracia bardzo chętnie zawolili, aby się durnego pozbyć z domu. Wziął tedy majątek i poszedł w świat i przehulał wszystkie pieniądze. Z biedy musiał przyjąć służbę u żmii, która w nagrodę za rok służby, dała mu złotą koronę, mającą tę własność, że jeżeli kto wyrzekł te słowa: nie za koronę, ale za boską pomocą niech się to stanie, wszystkiego mógł dokazać. Takim sposobem dostał się do domu braci, którzy go znowu poszturkiwali, ale on wziął koronę i zawołał: nie za koronę, ale za boską pomocą niech będą pieniądze. Wnet poczuli bracia koło niego bogactwa i więcej go też szanowali. Nakazał też im, żeby szli do króla prosić o rękę królowny dla niego. Ale król powiedział: jeżeli zbuduje most na morzu, to mu dam królownę. Za pomocą korony stanął most na morzu. Lecz król jeszcze nie chciał dać córki, póki by niewystawił pałacu złotego. Za pomocą korony stanął pałac złoty. Król rad, nie rad musiał dać córkę, która miała innego królewicza za kochankę i niechętnie bardzo szła za głuptasa. Dziwiło ją to niemało, z kąd ten oślisko przyszedł do takiego majątku i zręczności. Koniecznie też chciała z niego wybadać tajemnicę, z której gdy sobie podpił raz jednego, wypowiedział się przed nią pod wielkim sekretem. Żona ukra-

¹⁾ Wójcicki: Klechdy starożytne: Warszawa 1851 T. II. str. 52. piękna królowna uciekła od ojca, przystaje do wdowy po królu za pomywaczkę, chodzi do lasu, dąb otwiera się i dostarcza dosyć bogatych sukien, królewicz nareszcie żeni się z nią. Powiadają też inaczej: że panna przebrała się w skórę wilczą i służyła; tam bili ją palicą i mietlą. Ona do kościoła chodzi wystrojona, Jan seiga ją i nie może się dowiedzieć o niej, nareszcie przy stole gdy pierogi dla niego robiła, poznał ją.

dła tę koronę i przeniosła się do swego kochanka, królewicza. Król zaś rozgniewany, że taki głuptas śmiało pożądać jego córki, kazał go żywcem zamurować, aby z głodu zginął.

Opuszczony zięć królewski miał w pałacu psa i kota ulubionego, na których całą swą nadzieję pokładał. Jakoż nie omylił się, gdyż pies z kotem przynosił ukradkiem jeść i podawał mu przez małą szczelinę w murze, którą murarze zapomnieli zamurować. Powiada on do nich, żeby wy mogli gdzie znaleźć moją koronę, toby ja był wolny. Dowiadują się oni, że królowna ma w swoim pałacu czarnego kota, z którym lubiała się pieścić, i że ten kot umiał tańczyć. Idą tedy do pałacu, łapią i zagryzają tego kota, a na jego miejsce idzie kot, przyjaciel zamurowanego i udaje bardzo smutnego. Królowna zaczęła go pieścić i wspominać o koronie, którą zamknęła w skrzyni żelaznej na 12 kłódek, okazując przytem obawę o nią, żeby kto nie ukradł. Wybiegł kot z pałacu i powiedział to psowi. Złapali więc króla szczurów i niechcieli go puścić, póki im nieprzrzekł dostać koronę. Wszystkie szczury gryzły dopóty skrzynię, dopóki niewydobyli korony. Wziął tedy kot w zęby koronę i siadł na psa i płynię przez morze. Ale przypadkiem opuścił koronę, pies pytał zawsze: masz koronę? a on ze strachu mówił, że ma, a skoro przebyli morze, kot na drzewo uciekł. Pies za nim woła: czego ty uciekasz? Zgubiłem koronę, dlatego uciekam, odpowiedział kot. Nie bój się, ja złapię króla raków, a ten wydobydzie koronę. W samej rzeczy, złapał króla raków, który wydobył z morza koronę i przynieśli do zamurowanego zięcia królewskiego, który uchwyciwszy koronę, zawołał: nie za koronę, ale za boską pomocą, niech będę wolny i niech się żona moja tu stawi. Został wolnym, przybyła też żona, ale z wielkiego strachu umarła. Idzie za nią na cmentarz, płacze i modli się, bo ją bardzo miłował. Ojciec jego wstaje z grobu i perswaduje, żeby nie płakał za nią, żeby nie życzył sobie jej zmartwychwstania, gdyż ona stanie się zguby jego przyczyną. Ale on na to niezważając, prosił bardzo ojca, żeby ona wstała, gdyż bez niej żyć nie może. Ojciec zlitował się nad nim i dał mu takie żebro, które jak tylko położył na grobie królowny, ona ożyła. Lecz ponieważ

go nie kochała, ciągłymi intrygami do tego przyprowadziła, że musiał na szubienicy haniebną śmiercią ginąć. Przy skonaniu prosił, żeby to żebro położyli na jego grobie. Skoro położono żebro, on ożył i zażądał być królem na jedną godzinę. Stało się według woli jego. W tym czasie kazał stracić żonę swoją i jej kochanka, a po skończonej godzinie rządu, sam się położył do grobu i umarł.

Kowal. W miasteczku niewielkiem, obok stuku młotów w kuźni, słyszano także często śpiewy nabożne, bo majster kowalski był pracowity i do wiary ojców przywiązany. Lecz aby bardziej uwydatnić to nabożeństwo, miał w kuźni wizerunek Pana Jezusa i djabła. Przed Panem Jezusem co piątku palił świeczkę, a djabłu dawał szcztka w nos. Razu pewnego staje przed nim djabeł i powiada; ty sobie pal świeczek tyle, ile ci się podoba przed Panem Jezusem, ale mnie daj pokój. Dobrze, że wiem o tem, że ci to przykreść sprawia, otóż od dnia dzisiejszego będę ci dawał po dwa szcztki w nos, powiada kowal. Przyszedł piątek, kowal pali świeczkę przed Panem Jezusem, a djabłu daje dwa szcztki w nos. Rozgniewany djabeł, zrobił wielką kradzież w kościele i podrzucił te rzeczy w domu kowala. Ażeby zaś pewniej trafiono do kowala, rozsypał komunikanty od kościoła, aż do domu kowala. Widoczny ten ślad naprowadził urząd miejski do domu kowala, gdzie rzeczy kradzione znaleziono. Biorą tedy kowala do kozy, a pomimo najsolenniejszej protestacyi jego, wydano wyrok, żeby jako świętokradzca został powieszony. Siedzi tedy kowal na wystawie trzydniowej, płacze, modli się, aż tu wieczorem w samą wigilię tracenia, staje przed nim djabeł i mówi: A co, dobrze ci tu siedzieć? mówiłem ci: daj mi spokój, nie chciałem mię słuchać, teraz będziesz dyndał. Ej zmiłuj się czarcie, wybaw mię z tej biedy, już i tobie świeczkę zapalę. Uwolnił go djabeł z więzienia, sam zaś został na miejscu jego. Z rana prowadzą niby kowala na plac stracenia, djabeł w postaci kowala śpiewa sobie, tańczy, zaczepia ludzi po drodze, płata różne figle, wszyscy dziwują się jego dobremu humorowi, narzeczcie powiesili niby kowala. Lecz powracający ludzie, słyszą

w kuźni stuk młotów i śpiewy pobożne kowala, przychodzą do kuźni i patrzą, ten sam kowal. Powiadają mu, co się z nim stało, a on się żegna i wmawia w nich, że się im to wszystko sniło pewnie, gdyż on nie był ani w kozie, ani też był sądzony i egzekwowany. Idą do szubienicy, a tam wisi wór, strasznie smrodliwy nawozem wypchany. Wszyscy żegnają się, idąc tłumnie do kościoła w celu przebłagania Boga, że ich na czartowskie przywiódł pokuszenie. Kowal zaś odtąd niedopałki świeczki kładł przed djabła, nareszcie zupełnie usunął go z kuźni, powtarzając często ruskie przysłowie: Boha nehniwaj, a czorta nezaczypaj.

Kowal. Król miał syna, który do nauk niechciał się przykładać, jeno pragnął być kowalem. Ojciec nie bronił mu tego, owszem dopomógł mu jeszcze, żeby się wyćwiczył w tem rzemiośle. Pewnego razu poszedł kowal do miasta, młody król-wicz korzystając z nieobecności swego mistrza, zrobił na przedce pałasz i położył cetnar żelaza, by nim przeciąć, ale pałasz złamał się. Robi on drugi pałasz mocniejszy, którym cetnar żelaza jak pióro przeciął. Z tym tedy pałaszem puścił się w świat doświadczać różnego szczęścia. Przyszedł do pałacu, w którym była żmija i zastąpiła mu drogę, żeby u niej służył gdyż inaczej śmiercią karany będzie. Myśli on sobie, niezawadzi służyć u żmyi, i przystał na podane sobie warunki. Ta żmija miała konia i wieprza w stajence pałacowej. Zobowiązała królewicza, żeby wieprza obrokiem, konia zaś ścierwem karmił, sama zaś odleciała na rozdobędę. Wchodzi królewicz do stajni, by nakarmić konia, który już ledwiedychał od głodu, ulitowawszy się nad nim, dał mu obroku. Ale wieprz skoro to spostrzegł, tak zaczął kwiczyć i wrzeszczeć przeraźliwie, że aż żmija przyleciała i zbesztła okrutnie królewicza, sama zaś znowu odleciała. Królewicz myśli sobie, coś w tem musi być, że ona konia tak głodzi, dam ja koniowi jeszcze raz obroku. Lecz zaledwie nasypał owsa cokolwiek, wieprz narobił tyle hałasu, że żmija znowu przyleciała i mówi: jeżeli koniowi jeszcze raz dasz obroku, to ci śmierć zrobię i znowu odleciała. Królewicz trzeci raz dał koniowi owsa, wieprz znowu w krzyki, ale

królewicz czempredzej siadł na konia i w nogi. Przyleciała żmija w największej złości, by ukarać królewicza, którego po całym pałacu uganiając się znaleźć nie mogła. Ciągłe woła na wieprza, ty stary tumanie! powiedz mi gdzie oni są? Gdzieś uciekli, powiada wieprz zakłopotany i został się sam pod panowaniem żmyi Tymczasem królewicz z koniem przybył do źródła, gdzie się napili oba wody. Poczem na koniu złota sierś stanęła, a na królewiczu były złote szaty. On te złote szaty, skoro przyjechali pod wielkie miasto, schował do worka, koniowi zaś powiedział, żeby pod mostem czekał na niego, sam zaś w prostem odzieniu udał się do miasta. Wtem mieście był król, który miał trzy córki. Jedną wydał za króla, drugą za hrabiego, a trzecią miał wydać za dziada, jeżeli się jej który podoba. Schodzą się dziady na rozkaz króla z całego świata, do których przymieszał się też królewicz. Wyszła królowna, wybiera, nareszcie stanęła przed królewiczem i wybrała go sobie za małżonka. Już miało być wesele, on ciągle miał na głowie czapeczkę, żeby jego złotych włosów nie było widać. Ale raz gdy spał, czapeczka spadła mu z głowy, a królowna obaczyła złote włosy i bardzo się tem ucieszyła i nikomu niewspominała o tem. Król sprawił sute wesele, które królownę z mniemanym dziadkiem, serdecznym węzłem połączyło.

Zaraz po weselu, wydano królowi wojnę, na którą zbierały się wojska, pod dowództwem dwóch zięciów, ale i do dziada posłał król, żeby i on szedł na wojnę. Lecz zięciowie dali mu konia małego na drwiny, żeby mieli z czego sobie żartować i szydzić. Ale dziad porzucił to wszystko i pobiegł do swego konia i ubrał się po rycersku, a gdy nieprzyjacielskie zastępy zwyciężać miały, on wzniósł się w powietrze i porąbał wszystkie wojska nieprzyjacielskie, potem ukrył się i wrócił pod most z koniem swoim. Na drugi dzień woła go król i pyta, dlaczego nie był na wojnie? On się tłumaczył, jak mógł, nareszcie przyszli Źrudzy panowie z wezwaniem do drugiej walki, on wtedy wyszedł z pokoju. Znowu zbierają się liczne pułki pod dowództwem zięciów, do których miał się też według rozkazu króla przyłączyć dziad mniemany. Idą już wojska do boju, a dziad z tyłu jedzie i wszyscy śmieją

się z niego. Lecz on porzuciwszy to wszystko, prędko pobiegł do swego konia. Tam przebrał się po rycersku, skoczył na konia i przybył właśnie w tej chwili, kiedy zwycięstwo przechyliło się już na stronę nieprzyjaciół; on wzniósł się na powietrze i porąbał całe wojsko wrogów, poczem skrył się i wrócił pod most z koniem swoim. Lecz gdy znużony w swoim pokoju spać się położył, usłyszał wielki zgiełk ludzi rozpaczających. Przebudził się i powiedziano mu, że gdy król powracał już z wojny, nieprzyjaciel nagle przypadł i zabrał go do niewoli. On natychmiast pobiegł do swego konia, przebrał się i wzniósł się z koniem, a dopędziwszy wrogów, mieczem ich swoim pokonał i króla odbił. Lecz w tej zaciętej walce stracił jeden palec, z którego krew płynęła. Król zdjąwszy chustkę z szyi, zawiązał mu ten palec. Ale on ukrył się znowu i powrócił pod most z koniem swoim, ztamtąd zaś udał się na spoczynek do swego pokoju. Król chciał go odwiedzić, mówiąc do siebie, co ten próżniak robi? Ale widząc go śpiącego, z niemałym podziwieniem spostrzegł palec jego skrwawiony i swoją chustkę poznał. Zaraz się domyślił, że to ten rycerz nieznamy, który tak dzielnie walczył nie chcąc nagrody doczesnej. Zbudził go i wypytał się o wszystkim. On przyznał się też do tych czynów rycerskich, przez co pozyskał sławę we dworze królewskim, i wywyższenie nad dwoma zięciami. Odtąd nie był więcej dziadem, tylko królewiczem.

Kozak. Magnat sławny miał wiele posiadłości ziemskich. A ponieważ te włości były bardzo rozległe, przeto trzymał dwunastu kozaków, którzy rozkazy jego codziennie rozwozili. Trafiło się, że jeden kozak pod wieczór wybrał się z listem pańskim do pewnej wioski, w której kilka razy bywał, a zatem znał doskonale drogę, która do tej wsi prowadziła. Lecz naraz zastąpiły go ciemności zewsząd, gęsty las stanął przed nim, a kolące zarośla zatamowały mu drogę. Koń stanął jak wryty, nie mogąc dalej postąpić. Strwożony kozak, złazi z konia i rozgląda się na około, by rozeznać miejscowość, w której go tak dziwna zaskoczyła przygoda. Wszędzie ciemno, choć oko wykol, las gęsty, że i wąż przez niego nie przesunie się.

Co tu robić? Po wielu badaniach dostrzegł maleńką ścieżeczkę przed sobą, w dali zaś małe światełko, które niezwykłym blaskiem migotało. Idzie on naprzód tą ścieżką, konia prowadząc za sobą. Przyszedł wreszcie do tego ogniska, z którego światło wśród ciemnej nocy błyskało. Lecz żadnym sposobem nie mógł obejść tego ogniska. Pomyślał sobie: mój Boże! jeżeli przebył gęstwinę lasu, to i ten ogień, co dymi i płomieniem bucha przeskoczę i siadł na swego rumaka, a spiąwszy go ostrogami, przesadził na drugą stronę ognia. Przeskoczywszy ogień, ujrzał przed sobą bity gościniec i księżyc zaświecił, przed którego blaskiem ustępowały nocne ciemności. Idzie on tym gościńcem spory kawał drogi, naraz stanął nad bezdenną przepaścią otoczoną skalistymi brzegami, o które rozbijały się fale szumiącego strumyka. Zlazł kozak z konia i patrzy, zewsząd otaczają go wysokie góry, u stóp których kręcą się nurty spadających wód do tej bezdennej przepaści. Ręce załamał, gdyż nie było dla niego żadnego ratunku. A w tem, gdy rozpaczy się już oddawał, zawołało go coś po imieniu z tej przepaści: Jasiu! duszo szczęśliwa od Boga zesłana, pomóż mnie. Patrzy i szuka koło siebie, lecz nikogo nie może znaleźć, a w tem drugi raz zawołało: Jasiu! duszo szczęśliwa! aniele od Boga zesłany, pomóż mnie! I spojrzął w otchłan, a tam pełza jakiś mały potwór, o czterech głowach razem zrosniętych i krótkich czterech rękach razem także zrosniętych, aż się cofnął przed tem straszidłem. Ale widząc i czując to utrapienie potworu, pomyślał sobie: możeby dobrze było i temu stworzeniu dopomódz i nakłonił się do przepaści mówiąc: ktokolwiek jesteś, uważ, że ci dopomódz nie mogę. Stoję prawie na samym szczycie góry, a podemną otchłan niezgłębiona, w której jak na niebie wszystkie gwiazdy policzyć mogę, jakże ci podam rękę, gdy nie mam do ciebie przystępu.

Spuść tylko harapnik twój a ja po nim wylizę na górę, powiada straszidło z dołu. Spuszcza on swój harapnik, a potwór nieznacznie przesunawszy się po nim, siadł już na karku kozaka. Obrzydliwe straszidło wskazało drogę, której miał się trzymać kozak, żeby się z pośród tych skalistych brzegów mógł wydobyć. Jedzie on za tą wskazówką cały dzień

i całą noc, nareszcie stanął nad wodami, gdzie mosty były do góry wzniesione. Powiada do niego potwór: Jasiu! szczęśliwa duszo, uczyni krzyż święty nad wodą. Kozak usłuchał, a skoro przeżegnał wody, natychmiast spuściły się mosty i przebyli pierwszą wodę. Podobnie zrobili z drugą i trzecią wodą. Potem ukazał się przepyszny pałac, do którego węże, żmyje, jaszczurki i padalce przystępu broniły. Lecz potwór świsnął tylko, a wszystko rozstało się i wolne przejście kozakowi uczyniło. Zsiadł kozak z konia, którego przypiął do bramy pałacowej, sam zaś udał się do zamku, gdzie były różne bogactwa i różne rzeczy, których nigdy w życiu nie widział. Potwór na karku siedzący, powiada do niego: żeby rok cały zamieszkał w tym pałacu i na krok nie wychodził z niego, żeby się nie troszczył o jedzenie i ubiór, gdyż tego wszystkiego będzie miał podostatkiem, a to rzekłszy, zniknęło straszdyło z karku. Kozak chciał z początku uciekać, ale widząc, że z jego konia siodło tylko i podkowy zostały, pozostał w pałacu samotny, gdzie ani ptaka śpiewającego, ani też głosu jakiego innego stworzenia nie słyszał. Liczy tedy i zapisuje na papierze miesiące, tygodnie, dni, godziny, kwadransy i wszystkie święta w roku przypadające, na którym to liczeniu, czas prędzej mu schodził. Przy końcu roku przyszła do niego niewiasta i mówi: Jaki ty szczęśliwy Jasiu! żeś jeden rok przebiedował, zostań jeszcze jeden rok w pałacu. Został on na drugi rok i podobnie zatrudniał się jak przedtem. Po drugim roku przyszła do niego piękna panna i mówi: Jasiu! zostań jeszcze rok trzeci w pałacu, nie ci się złego nie stanie. Został on na trzeci rok, pilnie odbywał swoją pracę, niewychodząc z pałacu. Przy końcu roku trzeciego, przychodzi do niego śliczna młoda królewna i powiada: Jasiu! szczęśliwa duszo, wybawiłeś mię z pałacem i ludem moim, teraz będziesz panem, królem i mężem moim, bierz królewskie szaty na siebie. Uszczęśliwiony kozak zostawszy królem, wychodzi z pałacu, a tu wojsko i lud woła: Witaj królu nowy i wybawicielu nasz, żyj nam, panuj i rządz nami! Młoda zaś królewna powiada po jakimś czasie: za nasze wybawienie powinniśmy Panu Bogu czynić ofiary; wezmę

ja złota i srebra dużo i pojedę rozdawać między ubogie sieroty, a demy Boże, żeby się za nas nędzarze modlili do Boga.

Żonc moja! woła kozak, chodziłaś ty przez trzy lata, jam siedział, pozwól że mnie te ofiary Bogu czynić. Jasiu! mężu mój! jedź z Panem Bogiem, powiada żona, tylko żebyś w żadnym domu, ani śniadania, ani objadu, ani też wieczerzy nie jadł, ile razy ci się jeść zechce przyjeżdżaj do zamku. Wyjechał tedy w pięknym orszaku, prawdziwie po królewsku, a wszędzie towarzyszyły mu oklaski, muzyki, wszędzie wołano: witaj królu i panie nasz miłościwy. O parę mil od pewnego miasta, zastąpiła mu drogę stara baba i mówi: Najłaskawszy królu! nie pogardzaj też gospodą twojej służebnicy, wstąp do mojej chaty, gdzie przygotowała dla ciebie śniadanie. Król nie pomny na przestrogi swej żony, wstąpił dla wypoczynku do chaty baby niepocziwej, gdzie cokolwiek posiliwszy się, w dalszą wybierał się podróż. Baba cichaczem wsunęła woźnicy dukata i gruszki. Oto schowaj te gruszki, a jak się królowi pieć zechce, dasz mu je. Pożegnał król babę i jedzie na obiad do zamku. Lecz straszne uczuwszy pragnienie, powiada do woźnicy: szukaj dla mnie gdzie wodę, gdyż wielkie mam pragnienie. Królu najłaskawszy! nie ma tu nigdzie wody, powiada woźnica, ale zjedz te gruszki, które upał pragnienia gaszą. Niedobry sługo, woła król, czemuż mi rychlej nie dałeś tych owoców, żebym ukoił moje pragnienie. Lecz zaledwie zjadł te gruszki, sen go zmorzył i usiadł sobie w cieniu drzewa, żeby cokolwiek podrzemać. Aż tu konno przebiega posłaniec i list od królowej doręcza, w którym było napisano: Jasiu! mężu mój! przyjeżdżaj jak naprędzej, bo całe miasto zatrzęsło się. Ale król nie zważając na to, każe po raz drugi jechać do chałupy baby czarownicy. Ona go wita i stół zastawia, cichaczem zaś daje woźnicy dwa dukaty i jedno jabłko. Król posilony, żegna się z babą czarownicą i wraca niby do zamku. Znowu wody zapragnął, a woźnica dał mu jabłko, które zjadłszy spać się położył. Aż tu biegnie drugi posłaniec i budzi króla, żeby przeczytał list królowej, w którym było napisano: Jasiu! mężu mój drogi! wracaj, pospieszaj do zamku, gdyż czas niebezpieczny, a miasto dwa razy się zatrzęsło: Ale król

lekceważąc sobie upomnienie żony, po raz trzeci kazał jechać do chaty baby czarownicy. Wita go uszczęśliwiona, i zastawia stół wybornymi potrawami. Król smacznie zajada, a ona tymczasem cichaczem daje woźnicy trzy dukaty i jedną śliwkę. Po tej uczcie wyniósł się król, do zamku niby spiesząc. Ale w drodze znowu miał pragnienie wielkie, któremu chcąc zarażać woźnica, dał mu śliwkę. Po tej śliwce oczy skleiły się królowi do snu i położył się pod drzewo, i spał całą noc jak zabity. Na drugi dzień przyszła królowa zapłakana, równo ze wschodem słońca i budzi męża ze snu twardego, wołając nad nim: Jasiu, mężu mój! wybawicielu mój! ty spisiesz nieszczęśliwy, przekładasz sen nad twoją żonę, wstawaj, ach wstawaj Jasiu! bo mnie już nie ujrzysz! obłąkany! podaj po raz ostatni rękę twojej stroskanej żonie, Jasiu! mój Jasiu! Widząc, że wszelkie jej nalegania były nadaremne, zdjęła sygnet z palca, na pół przełamała, zawinęła w chustkę i położyła mu na piersi, mówiąc: oto masz ostatni upominek odemnie, abyś wiedział że była przy tobie, a to wyrzekłszy, przemieniła się w gołębicę i wzniosła się pod niebiosa. W tym momencie przebudził się król i słyszy głos z góry: Jasin! szukaj żonę za sinem morzem na szklanej górze. Patrzy do góry, kto mówi do niego, niewidział, jeno ptak jakiś nieznany zniknął w powietrzu. Po tem wziął chusteczkę, rozwiązuje i poznaje, że to był pierścień jego żony. Zacznie tedy wołać, płakać i narzekać bezskutecznie. Uspokoiwszy się nieco, powiada do swego woźnicy: daruję ci moją karetę i konie, jedź sobie, dokąd sam chcesz, przebierz się nawet w moje szaty, a mnie daj twoje ubogie odzienie.

Tak przebrany puścił się do swego miasta królewskiego pieszo. Dwa dni i dwie noce szedł do owego miasta, w którym stanąwszy, ujrzał wielkie morze. Miasta i zamku już nie było, tylko same wody do koła, o które niebios sklepienia opierać się zdawały. Nad temi wodami unosiły się dusze szczęśliwe miasta tego w postaci gołębi, które Pan Bóg niechciał zatracić wraz z nieszczęśliwym miastem. Dumał i płakał, czyniąc sobie wyrzuty, że przez niepocziwą babę stał się przyczyną nieszczęścia całego miasta. Rozpacz i trwoga podała mu

straszna myśl, by zapomniawszy o Bogu, poszedł ludzi obdzierać i zabijać. Spojrzał po raz ostatni na miejsce, gdzie był panem i królem obwołany i odwrócił boleśne oblicze od tego widoku, by udać się w świat drogą wcale mu nieznaną. Szedł tedy cały dzień, ani jedząc, ani pijąc, a przed zachodem słońca wstąpiwszy do lasu, wyłamał sobie potężną pałkę, by dalszą odbywać drogę. Lecz w tym lesie ciemna noc go zaskoczyła; usiadł tedy na pniaku drzewa, by cokolwiek wypocząć po dziennych trudach. Gdy tak siedząc duma sobie, postrzegł w oddaleniu światło, które pochodziło od palącego się ognia w lesie, w którym były wielkie skarby zakopane przez dwunastu rozbójników, gotujących sobie właśnie wtedy wieczerzę. Zerwał się z miejsca kozak i dążył ku ogniewi. Przy blasku światła, po dzikim a ponurym wzroku, po spadających w nieładzie włosach poznał, że to byli rozbójnicy; mrowie przeszło po jego żyłach, ale cóż miał robić, wypadało mu koniecznie zbliżyć się do nich, kiedy postanowił żyć według ich przykładu. Lubo nie bez trwogi, śmiało jednak zawołał, zbliżywszy się do nich: witajcie bracia! Najstarszy z bandy zbójckiej zapytał go: zkąd jesteś, coś ty za człowiek, i dokąd dążysz? Kozak z flegmą odpowiada: jestem rozbójnik, zabiłem własnego ojca i matkę rodzoną i innych wielu ludzi zamordowałem, ktokolwiek się nawinął, nieuszedł mojej pałki i nieuprosił serca mego, żeby mi życie darował; teraz szukam równych sobie towarzyszy, żeby mi przyjaźń i wierność zaprzysiągł. A gdzie twoje skarby? zapytał starszy. Patrz! oto w tej jaskini mamy dużo pieniędzy zakopanych, prócz tego, co każdy z nas ma przy sobie, a ty chwalisz się zgładzeniem tylu ludzi, a jednak goły jesteś. Pokazał im kozak dukaty, które pozostały jeszcze u niego od wydziału dla ubogich i mówi: patrzcie! mam i ja pieniądze, lecz ja tyle tylko biorę po zamordowanych, ile mi potrzeba i co unieść potrafię. Przyjęli go w grotno swoje złoczyńcy, a gdy już kilka dni bawił w tem zbójckiem kole, jeden z nich chwając się powiada do kozaka: co to skarby! my mamy takie trzewiki, jak nimi krok zrobisz, to dwie mil uszedłeś, a jak raz skoczysz, toś cztery mil zrobił. Pokaż mi jeno, niech obaczę, powiada kozak, i obuł te

trzewiki. Ach bracie, patrzaj tylko, wszak te trzewiki tak pasują, jak gdyby na mnie były robione. Co to trzewiki! powiada rozbójnik, my mamy taki płaszcz, jak go wezmiesz na siebie, to możesz lecieć jak ptak w powietrzu. Ej bracie, powiada kozak, pokaż że mi ten płaszcz, niech go oglądam. Wziął tedy płaszcz na siebie i mówi: patrzaj bracie! wszakże ten płaszcz jak gdyby na mnie był robiony. Co to płaszcz! my mamy taki kapelusz, że jak go wsadzisz na głowę, to staniesz się niewidzialny. A nu, no połóż mi na głowę, powiada kozak. Włożył na głowę kapelusz. Teraz muszę ja spróbować, mówi kozak, czy to wszystko prawda, cokolwiek mi powiedziałeś. I wstrząśł płaszczem i wznosił się w górę bardzo wysoko i zawołał z tamtąd: a co bracie, widzisz mię? Widzę, powiada rozbójnik. Bywajże mi zdrów, bracie, odpowiada kozak, już mię więcej widzieć niebędziesz. Leci tedy dni kilka ciągle w nieznaną, a dalekie kraje, uleciał już kilkatysięcy mil, już ani zwierząt ani ludzi nigdzie niebyło gdy się spuścił na ziemię, głodem a pragnieniem raczej, niżeli lataniem zmęczony. Właśnie słońce było ku zachodowi i noc zapadała, kiedy usiadł na murawie głębokiej puszczy w której nie miał się czem posilić. Gdy tak zmartwiony siedzi i myśli, że mu w tej pustyni zginąć przyjdzie z głodu, spostrzega w oddaleniu dwa małe światelka, które jak gwiazdy na niebie wesołym blaskiem migotały. Zbliża on się ku temu światłu i widzi krzyż, u stóp którego klęczał pustelnik bardzo stary, siwy jak gołąb, a dwóch aniołów przesłicznych posługiwało mu, gdy starzec przy zapalonych świecach modlitwy odprawiał. Nieśmiało zbliżyć się ku niemu, tylko zawołał: Ojcie święty! każ mi się zbliżyć do ciebie. Odwrócił się pustelnik i dał mu znak, żeby się zbliżył do niego. Lecz on sunął się na kolanach ku pustelnikowi, a zbliżywszy się cokolwiek, padł na swe oblicze, gdyż nie śmiał oglądać tej wspaniałości, która otaczała starca świątobliwego. Synu mój! powiada łagodnie pustelnik, tyś szczęśliwy u Pana Boga, iż się tu przyszedł, dokąd noga ludzka nigdy nie doszła, i ptak powietrza nie dobiegł lotem swoim; mów, czego żądasz?

Ojcie święty! czy nie wiesz o morzu sinym i górze szklanej? Tego nie wiem, ale powiedz mi synu, kiedyś się spo-

wiadał? W domu jeszcze będąc, spowiadałem się, lecz od tego czasu kilka lat minęło, jak niewidziałem księdza. Zaczął go tedy pustelnik spowiadać, poczem dał mu rozgrzeszenie, a Aniołowie zakomunikowali go. Po uczcie duchowej, nastąpiła uczta ciała, która składała się tylko z chleba i wody. A gdy posilił się cokolwiek kozak, powiedział do niego pustelnik: Synu! idź teraz na wschód słońca, tam znajdziesz starszego mego brata, może on ci wskaże miejsce, którego szukasz. Leci on kilka set mil i przychodzi do drugiego pustelnika, który od starości prawie nie miał na sobie ciała, tylko mech na nim porastał. Zdziwiony przybyciem człowieka, pustelnik zawołał: Synu! zkadżeś ty? po co tu przychodzisz? Jestem król nieszczęśliwy, szukam żony mojej, byłem u brata twego młodszego i pytałem go, czy nie wie on, gdzie jest sine morze i góra szklana? a on mię do ciebie odesłał. O sinem morzu i szklanej górze nigdy nie słyszałem, ale ja mam brata starszego, jeżeli ci ten nie powie, to już nikt ci nie pokaze miejsca, którego szukasz. Idź na wschód słońca do mego brata, lecz wprzód uczyn spowiedź świętą, ażebyś godnie przebyć mógł tę pielgrzymkę. Spowiada się więc ze wszystkich grzechów swoich, otrzymuje rozgrzeszenie i Ciałem i Krwią Syna Bożego z rąk anielskich zasila się. Po tej uczcie duchowej, dał mu pustelnik kawałek chleba i wodę, żeby ciało pokrzepił do dalszej podróży. Wstrząśł płaszczem swoim kozak i wznosił się bardzo wysoko i za kilka dni i nocy stanął w jaskini pustelnika, który od starości jak proch był nikły, tylko co dusza ożywiała te znikome prochy. Synu mój! zawołał pustelnik, niech będzie Bóg pochwalony! iż się przyszedł do mnie; wiem czego szukasz, ale wprzód wypowiadaj się szczerze, nim ci wyjawię, co Pan Bóg postanowił względem ciebie. Ukłękł kozak, spowiada się, otrzymuje rozgrzeszenie i komunję z rąk anioła. Potem zjadł kawałek chleba i wody się napił. A gdy się już posilił należycie, powiada do niego pustelnik: Pan Bóg z nieskończonego swego miłosierdzia daje ci anioła, który cię zaprowadzi aż na miejsce, do którego dążysz; pamiętaj! abyś tego przewodnika w drodze niczem nieobrazil. Teraz idź w pokój. Kozak ucałował nogi i ręce czcig-

dnego pustelnika, puścił się w dalszą podróż z Aniołem, który go przez morze sine przeprowił i pod szklaną górą zaprowadził i zniknął. Siadł on sobie cokolwiek dla wypoczynku pod tą szklaną górą i przypatrywał się zamkowi tamże stojącemu. Nareszcie wstrząsnął płaszczem i stanął na górze. Tu zasadził swój kapelusz i idzie do zamku, przechadza się niewidzialny po pokojach, a tam czynią przygotowania jakieś weselne. Syn pana zamku miał się żenić z żoną jego. Wchodzi do tego pokoju, gdzie byli goście zgromadzeni i siedzieli za stołem. Na pierwszym miejscu, była jego żona. On patrzy na nią i boleje, tu piją jej zdrowie, a jemu gorzkie łyżki płyną po licu. Nakoniec rzucił do szklanki żony pół sygneta, który żona odchodząc od niego na piersiach jego złożyła. Skoro tylko szklankę do ust przytuliła, zaraz poznała swój sygnet i z radości zawołała: teraz osądźcie państwo, który klucz jest lepszy, czy pierwszy umyślnie do zamku zrobiony, czy też drugi, gdy pierwszy zginął, dorabiany? Wszyscy przyznali, że pierwszy klucz lepszy jest od drugiego. Ha, jeżeli pierwszy klucz lepszy jest od drugiego, powiada królowa, to też pierwszy mąż lepszy będzie od drugiego, którego mi narzucicie. Niech się tu ukaże pierwszy mąż, zawołali wszyscy, a przysięgamy, że mu się nie złego niestanie. Kozak zdjął kapelusz z głowy i ukazał się gościom. Wnet odzyskał królowę i królestwo, a pan zamku na szklanej górze wraz z synem swoim stracony został.

Królewicz. Król miał syna, który chodząc do szkoły bardzo pilnie się uczył. Potem dał go ojciec do kowala, do którego to rzemiosła niewiele się przykładał, gdyż nie miał ochoty zostać kowalem. Ale z posłuszeństwa dla ojca był przez dwa lata w terminie. Razu pewnego poszedł kowal do miasta; on korzystając z jego nieobecności, zrobił sobie potężny pałasz i uciekł od kowala, by w świecie czegoś doświadczyć. Przeszedł on do jednego miasta i pyta żyda: dla czego w tym mieście tak smutno, co tu słychać? Żyd mu powiada: jest tu król, co ma sto owiec pięknych, a żaden pastuch nie może ich dopilnować, przez co też wiele ich wyginęło. Myśli so-

bie królewicz: ja ich dopilnuję i poszedł do króla nająć się za pastucha. Król mu wskazał głowy pościnanych pastuchów że i z nim podobnie się stanie, jeżeli owiec niedopilnuje. Lecz on na to niezważając, przyjął służbę i na drugi dzień popędził owce na miejsce przez króla wskazane. Pasie do południa i przechadza się po ogrodzie, naraz postrzeżę wielki pałac, wstępuje do niego i patrzy, że tam srebrny kwiatek rośnie. Zerwał on ten kwiatek, aż tu przylatuje ogromna żmija do niego i krzyczy: kto ci tu pozwolił chodzić? Ja sobie sam pozwoliłem, powiada królewicz, i stanął pod ścianą z mieczem do góry podniesionym. Żmija powiada: ja ci śmierć zrobię. A on do niej: ja tobie zrobię koniec i uciął jej głowę jednym cięciem. A ona woła: poczekaj! poczekaj! jutro przyjdzie na ciebie żmija z pięciu głowami. Niech przyjdzie z dziesięciu głowami, to ja się jej nieboję i posiekał żmiję w drobne kawałki, sam zaś zasadził srebrny kwiatek za kapelusz i wyszedł z pałacu. Lecz owiec jego nie było, on począł krzyżeć i wołać, pozbiegały się owce, z którymi powrócił na dziedziniec króla rachującego czy niezginęła która. Wysła też królowa i naparła się tego kwiatka srebrnego, on jej podarował, a ona dała mu za to dwa dukaty. Na drugi dzień popędził on owce na paszę i przechadza się po ogrodzie. Ale zachciało mu się znowu wstąpić do pałacu. Chodzi po pokojach, a tam złoty kwiatek rośnie. Zerwał on ten kwiatek i zasadził za kapelusz. Wtem leci do niego żmija o pięciu głowach i krzyczy: kto ci pozwolił tu chodzić? Ja sobie pozwoliłem, powiada królewicz, i stanął pod ścianą z mieczem do góry wzniesionym. Ja ci śmierć zrobię powiada żmija. A on do niej: ja tobie śmierć zrobię i począł powoli ścinać główki. Ona wrzeszczy: poczekaj! poczekaj! Jutro przyjdzie żmija z dziesięcioma głowami. Niech tu przyjdzie z dwudziestu głowami, to ja się jej nieboję, i porąbał żmiję w drobne kawałki. Potem wyszedł, z pałacu lecz owiec jego nie było. Zawołał na nie, wszystkie się pozbiegały, z którymi też wrócił do domu. Król wyszedł i porachował wszystkie, czy niezginęła która. Ale i królowa wybiegła i naparła się znowu tego złotego kwiatka. On jej darował, a ona dała mu znowu dwa dukaty. Na trzeci dzień po-

pędził swoje owce na paszę i przechadzał się po ogrodzie. Nareszcie zachciało mu się wstąpić do pałacu. Chodzi po pokojach, a tam wyrósł djamentowy kwiatek. Zerwał on ten kwiatek i zasadził za kapelusz. W tem przyleciała żmija z dziesięcioma głowami i krzyczy: Kto ci tu pozwolił chodzić? Ja sobie sam pozwoliłem, powiada królewicz i stanął pod ścianą z mieczem do góry podniesionym. Ja ci śmierć zrobię, grozi żmija. Ja tobie zrobię śmierć, odpiera królewicz. I zaczęli się borykać: ona do niego, on do niej. Ona chlust płomieniem w oczy, a on chlust pałaszem po łbie. Ona go łup ogonem po grzbiecie, a on ją tarach pałaszem po łbie. Dosyć że ją pokonawszy, wyszedł z pałacu, zabrał owce swoje i do domu zaprowadził. Król liczy, ażali której niebrakuje. Ale i królowna wybiegła i napała się tego kwiatka djamentowego. On jej darował, a ona dała mu dwa dukaty. Na czwarty dzień, mówi on do króla, że już więcej owiec jego paść nie może. Król mu dał za trzy dni wiele pieniędzy i wyprawił go w dalszą drogę.

Idzie on drogą i spostrzega stajnię przy drodze stojącą. Wstąpił on do tej stajni, a tam był jeden koń, który zagadał do niego: Weźmij mię z sobą, a ja cię uszczęśliwię. Aż podskoczył z radości królewicz, gdyż nigdy jeszcze nie słyszał, żeby koń gadał. Siada tedy na niego i jedzie, i staje w pewnem stołecznem mieście, gdzie wielki ruch panował. Pyta on się ludzi, co tu takiego się dzieje, że taki zgiełk daje się spostrzegać? Powiadają mu, że król ma córkę, którą niechce za mąż wydać. Aby zaś odpędzić natrętnych kawalerów, kazał na wysokim palu zawiesić wielką gałązkę z jabłkiem. Kto to jabłko zdejmie, ten będzie mężem królowny. Ale chociażby kto zdjął, to znowu z tyłu ukryte armaty niezawodnie zabijają go. Myśli on sobie, zdejmę ja to jabłko, ale wartałoby wprzód zobaczyć pannę, czy można się dla niej poświęcić. Jak pomyślał jak też zrobił. Obaczył pannę i podobała mu się bardzo. Skończył więc bez namysłu i zdjął jabłko, a tu znów odezwały się armaty, lecz żadna kula nietrafiła go. Idzie więc do króla i prosi o rękę królowny. Król zwlekając obietnicę powiada, że trzeba jeszcze dwa razy zdjąć, dopiero za trzecim razem można być pewnym ręki królowny, Wyszadzili znowu jabłko i po-

dwoili liczbę armat. Lecz on na koniu swoim skoczył po raz drugi, zdjął jabłko i armaty okropnie zagrały, ale nieszkodliwie. Wyszadzili znowu jabłko i armaty podwoili. Skoczył po raz trzeci na swoim koniu, zdjął jabłko, a za nim kilkanaście armat zionęło strasznym hukiem, że aż się ściemniło do koła, ale żadna kula nieodosięgła królewicza. Idzie on z tryumfem do króla i prosi o rękę królowny. Lecz król zaczął kręcić po swojemu, by słowa niedotrzymać. Co widząc królowna, która już pokochała królewicza, przystąpiła do ojca i swoją prośbą wyjednała dla niego łaskę. Wkrótce odbyło się wesele, a po śmierci ojca, królewicz został królem.

Kruk. Miała się odbyć koronacya króla nowego w pewnem mieście, na którą, obywatele przygotowali się z różnemi podarunkami dla króla. Jeden z tych obywateli, złapał kruka młodego i uczył go wymawiać: Witaj królu najłaskawszy, panuj nam przez długie lata. Lecz kruk tego niepojmował, nareszcie gdy się już zbliżał dzień koronacyi, nieszczęśliwy obywatel namęczywszy się dosyć z upartym krukiem zawołał: daremna moja praca. Wszyscy znoszą podarunki dla króla, obywatel myśli sobie: poniosę i ja kruka, może tam przy natłoku z licznych podarunków zważać niebędą na kruka. Niesie tedy czarnego djabła, i gdy stanął przed królem, obojętnie przyjął to król, mówiąc: mam ja już tego dosyć. Na co kruk odezwał się: daremna moja praca. No zostań się, rzekł król uradowany do kruka, który przez cały przeciąg uczył był przedmiotem podziwu.

Ktoś. Pewien pan miał sługę, który mu często zjadał potrawy, lub wino wypijał. A gdy się zapytał: gdzie się podziała moja pieczeń? sługa odpowładał: ktoś zjadł. Kto wino wypił? odpowiadał: ktoś wypił. Razu jednego dzwonią umarłemu, pan zapytał sługę, na co to dzwonią? Ktoś umarł, powiada sługa. Wieczny pokój niech mu będzie! chwala Bogu, że przecie raz umarł. Zdaje się, że sługa tych słów niezrozumiał, gdyż na drugi dzień smacznie zjadał zająca, którego pan na kolacyę schować rozkazał. Przychodzi pan do domu. woła: dawaj zająca. Nie ma Panie, ktoś zjadł! Hultaju obmierzły! wszakżeś wczoraj mówił: że ktoś umarł! to po śmierci jeszcze chodzi i zjada! he?

Inny lokaj, gdy zbił szklanę, zwykł mawiać: stłukła się! Na co pan bardzo rozumnie odpowiedział; gdybym ci uszy oberwał, to powiesz same się oberwały, co hę?

Kura. W młodzieńcu ubogim zakochała się panna bogata, a ponieważ rodzice nie chcieli pozwolić na ich małżeństwo; przeto uciekli oboje do innej wioski, gdzie wielką biedę znosili, musieli dużo pracować i w lichy mieszkać chałupie. Na całe gospodarstwo mieli jedną kurę, która im czasem jajko zniesła. Pewnego razu przyszedł do nich ubogi bardzo głodny i prosił: żeby go czem nakarmili. Oni życzliwie go przyjęli i tę jedną kurę zabili, upiekli i dali ubogiemu za pokarm. Ubogi pożywiony podziękował i poszedł. A to był pan Jezus którego oni nakarmili. Wnet kura ożyła i chata przemieniła się w pałac piękny, w którym wśród obfitości żyli bardzo szczęśliwie.

Kwestarz. Do pewnego dworu zajeżdżał kwestarz co roku i odbierał hojne jałmużny. Lecz stary pan umarł, a majątek przeszedł w ręce syna niemającego sławy dobrego katolika. Jadący kwestarz wiedział o tej zmianie, to też wstąpił tylko dla zwyczaju do tego dworu. Przyjęty był dosyć życzliwie, a po dobrym objadku, już się wybierał wdalszą drogę, gdy sam pan zagadnął, możeby się mógł czem przysłużyć klasztorowi. Kwestarz myśli, trzeba drzyć łyko, kiedy się daje, jeżeli pańska łaska, to bym prosił o korzec pszenicy. Dobrze zawołał pan, dać korzec pszenicy. Może jeszcze co? Ha nu! dureń ten, co niekorzystał z okazji pomyślał kwestarz, jeżeli pańska łaska, to bym prosił o korzec żyta, Dobrze dać korzec żyta, może jeszcze co? Kwestarz myśli sobie, dobrze idzie, jeszcze bym prosił o korzec hreczki. Dobrze dać korzec hreczki, może jeszcze co? Widzi pan dobrodziej w klasztorze zdałaby się faska masła. Dobrze dać faskę masła, może jeszcze co? Do masła byłaby dobra berbenica sera. Dobrze dać berbenicę sera, może jeszcze co? Jakie też to ze mnie ciele, niewziąć mi woza tęgiego, jeno tę trędulkę małą, na której nie można wiele pomieścić tak sobie myśli kwestarz, ha jeżeli łaska pańska, to chyba dla koni jeszcze

korzec owsa. Dobrze, dać korzec owsa, może jeszcze co? Już nie, powiada kwestarz, a pożegnawszy uprzejmego gospodarza z wielką radością spieszy do swej trendulki naładowanej. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy tylko jeden korzec owsa zastał, a gdzież reszta? zapytał woźnicy. Panie, ja sam niewiem, co tu się dzieje powiedział woźnica. Przynieśli pszenicę najprzód, a po tem gdy przynieśli żyto, wzięli pszenicę, przynieśli hreczkę, wzięli żyto, przynieśli masło, wzięli hreczkę, przynieśli ser, wzięli masło, przynieśli owies, wzięli ser. Uciekajmy stąd, zawołał kwestarz siadając na bryczkę, figle, figle, i nic więcej.

Latarnie. Uboga wdowa miała syna wielkiego niezdarę, który cały dzień nie nierobił, jeno wygrzewał się za piecem, jadł i pił, a matkę swoim próżniactwem niezmiernie trapił. Pojawił się pewnego razu czarnoksiężnik w mieście i spostrzegł tego chłopca jak do góry brzuchem na przyźbie leżał i wyciągał się. Tego nicponia mógłbym użyć do swoich planów, pomyślał sobie czarnoksiężnik i wypytał się ludzi, kto w tym domku mieszka. Powiedziano mu, że tam mieszka biedna wdowa po kupeu, której mąż nie tylko że nie zostawił majątku, ale jeszcze obciążył ją synem, wielkim niezdarą. Idzie on do tej wdowy i powiada, że jest bratem nieboszczyka jej męża i począł żałować brata swego. Wdowa rozczuła się także na wspomnienie swego męża i żali się przed nim, że jest biedną, a do tego jeszcze wielkiego próżniaka za piecem leżącego żywić musi. Daj mnie tego syna, ja go na człowieka wykieruję, powiada czarnoksiężnik. Najchętniej odstępuję mu syna, a on jej dał cztery dukaty i obiecał jej dopomagać. Wziąwszy leniucha, prowadzi go za miasto. Leniuch niechce iść dalej i woła: a dokądże u djabła prowadzisz mię stryju, ja wolę na piecu leżeć, niżeli chodzić. Dosyć będzie tego leżenia, ruszaj naprzód, bo cię tu kijem pociągnę jak niepyszne-go. Łaskotliwe mając ciało, próżniak pospieszał, nareszcie stanęli nad mogiłą nie wielką, którą czarnoksiężnik otworzywszy powiada do leniucha: idź pod ziemię, tam będzie pałac, z którego przynieś mi trzy stare latarnie; daję ci na palec pierścien

jeżeli byś zblądził, albo chciał wyjść na wierzch, to tylko obróć pierścień, zaraz ci się stanie, czego żądać będziesz. Poszedł on pod ziemię, był w pałacu, wziął trzy stare latarnie, ale wracając przez ogród, podobały mu się gruszki i jabłka złote; narwał on tych owoców pełne kieszenie, nareszcie zachciało mu się pić, napił się wody z czystego źródła i położył się spać. Spał tedy na tem miejscu przez lat siedm, ani jedząc ani pijąc. Czarnoksiężnik czekał i czekał, a nie mogąc się doczekać leniucha, poszedł do innego miasta. Po siedmiu latach przebudził się niezdara, sam nie wiedział gdzie zostaje, począł tedy płakać i narzekać bardzo, a tak płacząc opuścił łąkę na pierścień przypadkowo, który się wnet obrócił i pokazał się djabeł wołając: czego chcesz? Wynieś mię na wierzch, gdyż tu ginę z głodu. Wyniósł go na wierzch i przyszedł do domu, gdzie większa niżeli przedtem panowała nędza. Matka ucieszyła się nim, a on prosił, żeby mu co jeść dała. A cóż ja ci mój synu dam, kiedy ja sama jeszcze nic niejadła. Wyjął on z kieszeni jedną gruszkę i powiada: sprzedajcie mamuniu gdzie tę gruszkę i nakupcie mi jadła. Poszła matka z gruszką do jubilera, który wyrzucił jej kilka dukatów. Ona kupiła w mieście chleba i mięsa, niesie do domu i gotuje. Syn podjadłszy sobie wylazł na piec i położył się na popiele. Tam poukładał swoje zdobycze i począł się latarniami bawić, otwiera drzwiczki jednej latarni, a ztamtąd wyskakuje djabeł i powiada: czego żadasz? Myśli on sobie, teraz ja wielki pan, kiedy mam taką usługę. Aby mi tu były trzy półmiski srebrne. Natychmiast stanęły półmiski. Myśli on tedy bardzo długo, co tu teraz robić? Inny byłby zaraz wymyślił, lecz taki niezdara nie mógł się zdobyć na jaki koncept.

Kilka dni minęło, w chacie znowu niedostatek, daje on drugą gruszkę, żeby matka sprzedała. Znowu wzięła kilka dukatów, i nakupiła wiktuałów. Leniuch leży za piecem i myśli, co by tu zrobić? Lecz znowu kilka dni minęło, on nic niewymyślił. Bieda zawitała do chaty, dał trzecią gruszkę; matka sprzedała i nakupiła, czego było potrzeba. Podjadłszy sobie, powiada on do matki, weźcie mamuniu półmisek tych gruszek i zanieście podarunek królowi. Matka idzie do pałacu, król

bardzo miłe przyjął taki kosztowny prezent. Tymczasem bawi się leniuch latarniami i otwiera drzwiczki drugiej latarni, a ztamtąd wyskakuje djabeł i mówi czego, żadasz? Pieniędzy dużo. Wnet były dukaty wielkie i małe w takiej liczbie, że już nie mogła nędza panować w chacie. Oho! myśli on sobie, to ja pan teraz, kiedy mi tyle ich usługuje, dobrzeby było ożenić się, a do tego jeszcze z królowną. Za tydzień posyła on drugi półmisek jabłek dla króla. Idzie matka do pałacu, król bardzo miłe przyjął podarunek. Na trzeci tydzień posyła królowi półmisek samych djamentów, ale tak pięknych, że cały świat jeszcze podobnych niewidział, i powiada do matki: jeżeli się król zapyta: czego ja żadam za te prezenta, to powiedźcie mu, żeby mi dał królownę za żonę. Idzie matka do pałacu, król znowu był zachwycony takim darem i zawołał królowę, królownę, ministrów i domowników swoich, żeby wszyscy podziwiali te dary. Wszyscy też gęby pootwierali jak gawrony z podziwu, gdyż coś podobnego nikt jeszcze nie widział. Uradowany król, pyta matkę: czego żada twój syn ode mnie za tyle darów kosztownych, które nam przysłać raczył. Matka powiedziała, że żada ręki królowny. Powiedźże synowi, jeżeli do jutra przemieni mój ogród w piękny staw, w którymby ryby różnego gatunku pływały, i żeby te ryby były na stole naszym, to niech przyjdzie do mnie na obiad, dam mu córkę moją. Przychodzi matka do domu, i powiada synowi o tem. Nieturbujcie się mamuniu, mówi leniuch, wszystko to będzie na czas, a królowna musi być moją. Zjadłszy obiad smaczno, położył się za piec i począł się bawić latarniami. Otwiera drzwiczki pierwszej latarni, a ztamtąd wyskakuje djabeł i pyta: czego żadasz: On mu powiada, żeby ogród przemienił się w staw, żeby w nim były złote ryby i szczupaki jakich nikt jeszcze niewidział. Dobrze, powiada djabeł, wszystko to będzie na twój rozkaz. Rano wstaje król i patrzy przez okno, a tu staw piękny aż miło, ryby rzucają się, a tu przynoszą kuchmistrze ogromne szczupaki, liny, karpie i łososie do pokoju królewskiego i pytają: jak one sprawić mają. Gotujecie według waszej nauki, a żeby zięć mój poznał wasze sztuki, powiada król widokiem stawu oczarowany. Bije godzina

objadu, dworacy przychodzą po syna wdowy, żeby spieszył na pokoje i gody królewskie, a on leży za piecem w popiele i sługi królewskie z fukiem odprawia. Wstaje nareszcie i idzie do króla. Synu mój! woła matka! niech cię przynajmniej umyję i zaczeszę, jakże tak brudno przedstawiś się królowi. On na to niezważając, poszedł do pałacu i stanął przed królem niezaczesy, kilka miesięcy niemyty, w podartem odzieniu, przez które tylną część ciała dobrze było widać i bosa zupełnie. Król na widok takiego obdartusa plugawego, ramionami tylko ścisnął, a ponieważ niechciał swego słowa złamać, przeto go za stół posadził. Królowa też ciekawa, by obaczyć swego narzeczonego wpadła do pokoju, lecz obaczywszy takiego mierzeńca, nazad uciekła do swojej komnaty. Żre tedy oberwus jak bezroga, wywracając wszystko, szarpiąc palcami smaczniejsze łakocie. Nakoniec oblizawszy palce i wąsiska, prosi Adonis o rękę królowny. Mój bratku! powiada król, jeżeli mi ten staw przemienisz w najpiękniejszy ogród, w którym byłyby złote drzewa z takimi owocami, jakich jeszcze nikt na świecie nie jadł i niewidział, żeby te owoce były na stole naszym królewskim pod czas objadu, a ptactwo całego świata, żeby tam spiewało, natenczas przybywaj do mnie na objad i dostaniesz królownę.

Dobrze! powiada łęgejda i idzie do domu, i kładzie za piec swoją nadobną postać. Bierze latarnię pierwszą, otwiera drzwiczki, a ztamtąd wyskakuje djabeł i woła: czego żądasz? Aby mi dc jutra był najpyszniejszy ogród z ptaszkami całego świata, z drzewami złotymi i owocami jakich nikt jeszcze niewidział. Tego ja niepotrafię zrobić, powiada djabeł. Bierze on drugą latarnię, otwiera drzwiczki, aż tu wyskakuje djabeł i pyta: czego żądasz? A on mu mówi o tym ogrodzie. Dobrze, powiada djabeł, stanie się według twego rozkazu. Niezwykły gwar ptactwa przebudził króla, patrzy przez okno, a tu najrozkosniejszy ogród, ulice rozmarynowe, fontanny biją do góry, gazony w różnobarwne kwiaty przyozdobione, drzewa złote obciążone najpyszniejszym owocem, a ptactwo najśliczniejsze lata po ogrodzie prawdziwym raju ziemskim. Dworzanie dźwięgają półmiski precudnych granatów, moreli, fig i pomarań-

czy. Biję nareszcie objadowa godzina, leniuch stawia się gorzej jeszcze zamurdzany, król rad nie rad sadza go za stół a królowa otworzywszy drzwi, skoro go spostrzegła, precz uciekła. Po objedzie dopomina się obietnicy swojej. Bratku! powiada król, jeżeli mi wybudujesz złotą ulicę z srebrnymi brzegami od twojej chaty, aż do mego pałacu, to ci dam moją córkę. Idzie on do domu i kładzie się za piec, дума sobie, czy to być może, co król mówił. Bierze pierwszą latarnię, otwiera drzwiczki, wyskakuje djabeł, czego żądasz? Aby mi była ulica złota z srebrnymi brzegami odemnie aż do pałacu królewskiego, a po bokach, żeby stały drzewa złote. Tego ja nie mogę zrobić, powiada djabeł. Bierze drugą latarnię, otwiera drzwiczki, djabeł wprawdzie wyskakuje, lecz tego uczynić nie może. Bierze trzecią latarnię, otwiera drzwiczki, a z tamtąd sam Lucyper wyskakuje i pyta: czego żądasz? On mu powiada o takiej drodze złotej z brzegami srebrnymi. Lucyper zapewnia go, że wszystko będzie podług jego życzenia. Jakoż z rana stanęła droga, król dziwi się i każe robić przygotowania do wesela. Królowa płacze, że z takim obdartusem stawać musi do ślubu. Posełają do niego, żeby się przebrał. Lecz z fukiem odprawia wszystkich. Nareszcie zbliżyła się chwila odprowadzenia królowny do ołtarza, a on sobie za piecem rozciąga się w popiele. Przychodzą ministrowie, żeby już wylazł z barłoga. Lecz on znowu ich zfucał. Nareszcie myśli sobie, trzeba przecie raz pójść. Bierze tedy trzecią latarnię, otwiera drzwiczki, a tu wyskakuje sam Lucyper; czego żądasz? Aby mi tu były złote szaty, wojsko najpiękniejsze, sto armat i koń taki, żeby leciał w powietrzu. W okamgnieniu wszystko to było. Ubrał się tedy ślicznie i siadł na konia i leci do pałacu, a tu muzyka rżnie, huczą armaty, a wszyscy dziwiają się temu przepychowi. Król bardzo kontent i królowa łyż otarła, gdyż mierzniec wcale był przystojnym kawalerem. Odbył się ślub uroczystie wśród grzmotu armat i odgłosu muzyki, jakiej nikt jeszcze nie słyszał, a po ślubie zaczął rozrzucać dukaty między lud zgromadzony, który niemógł się nachwalić wspaniałomyślnej hojności nowożeńca. Po weselu powiada król do niego: gdzież ty będziesz mieszkał? prze-

cież niezaprowadzisz królowny do swojej chałupy. Ot wiesz co, jest tu plac pusty na przeciwko mojego okna, tam dla was wybuduję pałac, abym codziennie mógł was widzieć z okna mego. Zięć na to nic niepowiedział, jeno poszedł do swojej trzeciej latarni, otworzył drzwiczki, a ztamtąd wyskoczył sam Lucyper, wołając: czego żądasz? Aby mi był do jutra na przeciwko okien króla pałac złoty, jakiego na całym świecie niema, żeby wspaniałością wszystko przechodził, cokolwiek pod tym względem może być pomyślane. Zrana król okno otwiera, a tu blask bije w oczy, patrzy co to jest? a tam pałac stoi o jakim nawet nigdy nie marzył, prawdziwe cacko rajskie. Biegnie król do tego pałacu, a tam witają go słudzy w złotych szatach i prowadzą do salonów gustownie umeblowanych, zięć wystrojony z królowną przyjmuje króla jak najświetniej. Znoszą sorbety, likiery, wina cypryjskie, ciasta, cukry i inne wyborne zakąski. Król zajada i popija, a tu zegary grają, ptactwo w klatkach szczebiocze i śpiewa przecudnie. Wiesz co, mój zięciu, powiada król: teraz nie żałuję, żem ci dał moją córkę, gdyż tu sami aniołowie mogliby mieszkać. Ale i córka wdzięczność swą okazała ojcu, gdyż do tego piecucha duszą i sercem przylgnęła.

Już niczego niebrakowało do szczęścia jego, zawiesił więc te swoje latarnie na strychu, matka jego mieszkała w pałacu otoczona zbytkiem bogactwa. Bawił się tedypiecuch łowami i wiele dobrego świadczył ubogim ludziom, przezco pozyskał sobie sławę ojca ludu. Wnet rozbiegła się sława jego po całym świecie, wszędzie i o niczem nie mówiono, tylko o przepysznym pałacu i o bogactwach zięcia królewskiego. Dowiedział się też o tem i czarownik, który udawał niegdyś stryja, i spuścił leniucha pod ziemię. Oho! ten chłopiec nie musiał zginąć, to te latarnie takich cudów dokazują, pójdę przekonać się o tem. Jak myślał, tak też zrobił. Po wielu tygodniach podróży, stanął wreszcie przed pałacem, którego wspaniałość uderzająca przekonała go, że nie jest dziełem ludzkim. Kazał on sobie zrobić sześć pięknych latarni, a gdy zięć królewski łowami się zabawiał, stanął pod pałacem i woła: kto mi da trzy latarnie stare, dam mu za to sześć nowych.

Usłyszała to królowna i powiada do służącego: przynieś mi ze strychu stare latarnie, zamieniam za nowe i zrobię mężowi memu przyjemną niespodziankę. Zamieniała tedy latarnie. Czarnoksiężnik aż podskoczył, że tanim sposobem nabył takie skarby. Przychodzi mąż z łowów, a królowa pokazuje mu nowe latarnie, które za stare wymieniła. Mąż załamał ręce, posmutniał, gdyż wróg zabrał mu szczęście jego. Nazajutrz patrzy król, niema pałacu, a zięć jego jak pies na słomie leży. Mocno rozgniewany, kazał zawołać zięcia i uciąć mu głowę. Lecz ministrowie i ludzie poczęli błagać króla, żeby mu przepuścił i pozwolił odszukać tego, co mu wydarte zostało. Ułaskawił go król, ale pod tym warunkiem, żeby królownę odszukał. Idzie on w świat daleki, w świat nieznan przez kilka dni, aż tu mysz przebiega mu drogę i powiada: bierz mię z sobą, ja ci dopomogę. Bierze on mysz i chowa za pazuchę. Idzie dalej, a tu kot wybiega i pyta: dokąd ty idziesz? On mu powiada: że idzie szukać żony. Zabierz mię z sobą. A jakże ja ciebie wezmę, kiedy ja mam mysz za pazuchą? Ja myszy nie zjem, powiada kot. Bierze on kota i sadza na ramieniu. Kot pacierze plecie, a on idzie dalej, a tu wybiega pies i woła, dokąd idziesz? Idę szukać mojej żony. Ja z tobą pójdę, powiada pies. Niemogę cię wziąć, wszak widzisz, że kota mam na ramieniu. Ja kotowi nie niezrobię, ja będę z nim żył w przyjaźni, pozwól mi tylko być twoim towarzyszem. Myśli on sobie: kiedy oni mogą żyć w przyjaźni, to może to jakie dusze szczęśliwe pan Bóg dla mego ratunku zesłać raczył. Wyjmuje mysz, siada sobie na murawie, stawia kota koło siebie i psa, i powiada im, że on właściwie idzie szukać trzech latarni, gdyż jak one posiadać będzie, to wszystko do niego powróci. Po krótkim wypoczynku idą oni razem i przychodzą nad morze. Patrzą, na środku morza jest szklana góra a na górze stoi pałac złoty. Widzicie! powiada podróżny, tam jest pałac mój, tam też będą i latarnie. Ale jak się tam dostać? Pies powiada: mysz i kota wezmę na plecy i przepłynę morze, ale na górze stoi wojsko i niepuści nas. Mysz odzywa się: płynmy pod wieczór, a gdy staniemy na górze, ja pierwsza pobiegnę, za mną niech kot idzie, a za kotem pies.

Jak uradzili, tak też zrobili. Mysz biegnie naprzód, za nią kot, żołnierze śmieją się i wołają: patrzaj! patrzaj! jak mysz ucieka przed kotem, a kot przed psem. Wpadli oni do pałacu cichuteńko i czekali aż się wszystko spać pokładło. Mysz wlaźła na strych, gdzie latarnie wisiały, odgryzła sznurki, dała kotowi latarnie a psu kawał duży pieczeni. Wracają tedy nazad, oddają pielgrzymowi nieszczęśliwemu latarnie i pieczeń smacznie zjadają. Odprowadza ich do miejsca, na którym przystali do niego i dziękuje im za ich bezinteresowną usługę. Otwiera latarnię trzecią, wyskakuje sam Lucyper i pyta: czego żadasz? Aby mi był pałac wraz z królową na tem samym miejscu jak przedtem. Natychmiast stanął pałac. Król patrzy przez okno, jest pałac, biegnie do swojej córki i wita. Wkrótce też sam umiera, zięć zostaje królem, a czarnoksiężnik z głodu ginie na szklanej górze.

Lekarz. Za dawnych czasów, gdy jeszcze sztuka lekarska niebyła rozpowszechnioną, był tylko jeden lekarz na całym świecie. Ze wszystkich stron zbierali się do niego ludzie; jedni dla otrzymania pomocy w swoich chorobach, drudzy zaś dla wysłedzenia tajemnic tego cudownego człowieka. Lecz niestety! wszelkie zabiegi stały się bezskuteczne przy nieuleczonej zardzości lekarza, który nikogo nieprzypuszczając do swego towarzystwa, żony nawet niebrał dla siebie, ażeby tajemnica leczenia starannie na zawsze ukrytą została. Z każdym dniem pomnażał się jego majątek, a z nim wzmagala się też niezem niezwalczona obawa mędrców, powtarzających smutną przepowiednię: że śmierć tego dziwnego męża, wielkiem nieszczęściem będzie dla cierpiącej ludzkości. Przeto zwracano całą uwagę na ten ważny przedmiot, a jeden z filozofów wymyślił szczególny sposób do zdobycia tak ważnej wiadomości dla uszczęśliwienia całego świata. Zaparł się mowy i słuchu a z poświęceniem nadzwyczajnem, jakie wytrawnego już uczonego znamionuje, podjął długą i niepewną pielgrzymkę do miejsca, w którym tajemniczy ten człowiek przebywał. Stanął przed nim zgłodzony, zbiedzony, w postaci wcale niepokażnej, dając mu na migi do zrozumienia, że przyszedł szukać u nie-

go służby. Niezwykła radość przebiegła oblicze lekarza, gdyż od dawna życzył sobie do pomocy człowieka głuchoniemego. Teraz jak gdyby mu z nieba spadł pożądaný słuźący, ale podejrziwość z drugiej strony z czarnym obrazem zdrady i chytrności z taką natarczywością nań uderzyła: że zmieniając uprzejmość w surową groźbę, zawołał: podły włóczęgo! znam cię łotrze niegodziwy! przyszedłeś mię okraść? Lecz filozof jak posąg marmurowy stał niewzruszony, jakoby tych słów wcale niesłyszał. Lekarz tedy przymilając się, począł szeptać do ucha: niebój się! pójdz za mną, nakarmię cię, przyodzieję, znajdziesz u mnie dobrą gošcinę. Lecz i te słowa niezrobiły najmniejszego wrażenia na filozofie stałym.

Uspokojony cokolwiek lekarz, gestami wołał filozofa za sobą i wprowadził go do drugiej świetlicy, gdzie mu dostarczył jedzenia i napoju. A ponieważ to była pora wieczorna, więc wskazał łóżko, na którym wygodnie mógł wypocząć. Sam zaś wrócił do swojej świetlicy i przechadził się szybkim krokiem, jako człowiek rozmyślający nad urzeczywistnieniem wielkich swych pomysłów. W świetlicy atoli podróźnego panowało głębokie milczenie, gdyż filozof strudzony wzniosłszy oczy i ręce ku Bogu w niemem zachwyceniu podziękował za cudowną nad sobą opiekę, a rzuciwszy się na łóże, wkrótce zasnął snem sprawiedliwych. Spostrzegłszy to lekarz, znowu wszedł do świetlicy filozofa, a usiadłszy przy łóźku jego, pilnie śledził każde poruszenie, każde westchnienie badał, ażali niewydobędzie się jakie słowo z ust śpiącego. Lecz troskliwe te badania były bezskuteczne, filozof bowiem spał spokojnie. Nareszcie o północy zerwał się lekarz na obie nogi i z wielkim stukiem zaczął wołać: złodziej! złodziej! łapaj! ratuj! A gdy tak gwałtowne wołanie filozofa nieobudziło, powziął lekarz niejaki przekonanie, że albo spi twardo, albo że jest zupełnie głuchy, sam też udał się na spoczynek. Piękny poranek przebudził naprzód filozofa, który w milczeniu dziękował Opatrzności, że go przyprowadziła pod strzechę świątyni cudownych wiadomości, od których szczęśliwa przyszłość współbliźnich zależała. Nieco później wstał i lekarz, a gestami wymuszonymi wskazał mu dzienną robotę. Odtąd pielęgnował filozof rośliny w ogrodzie,

zbierał w polu kwiaty, i wysuszone do użytku krajał zioła. Lecz do żądnych tajemnic nie bywał przypuszczony, bo chociaż praca jego szczerą mogła być zadowalniająca, jednak zazdrość lekarza ukrywającego starannie wszelki objaw dobroczynności przyrody, stawała mu ciągle na przeszkodzie. Razu nawet pewnego, gdy oba byli na polu, a filozof zbierał zioła mu wskazane, zniemacka przybliżył się do niego lekarz i zawołał: uciekaj! wąż cię ukąsi. Lecz filozof niezmienił swej postawy, doskonale udał, jakoby nie słyszał tej strasznej przestrogi. Przebył szczęśliwie tę próbę, ale gdy pomyślał, że po dwóch latach ciężkiej pracy, nie przyszedł do żadnego rezultatu, wpadał w smutne zadumanie. Lekarz bowiem pilnie wystrzegał się jego obecności. Lekarstwa przyrządzał wtedy, kiedy go w domu nie było. Sam na sam badał chorych i stosownie podawał leki. Żadnym słowem niewyjawiał tajemnicy skuteczności przez siebie udzielanych środków. Lecz pomimo tej niedogodności wkrótce miała nastąpić na biednego niemowla próba dziwnego rodzaju, straszna pokusa miała przyjść na niego, którą rzadko kiedy człowiek w tem życiu zwyciężył.

Właśnie wtedy umarł lekarza brat wdowiec i zostawił córkę sierotę, bez opatrzenia i przytułku. Przyjął do domu swego lekarz opuszczoną Zofię, ale pod tym warunkiem, ażeby nawet kosztem swych wdzięków, wybadała tajemnicę skrytego filozofa. Zofia śliczna jak kwiatek polny, a do tego młodzianka, gdyż zaledwie czternaście wiosen przebujała, w nierozważnej swej płochości podjęła się tego niebezpiecznego dla siebie poselstwa. Wszędzie miała na niego baczne oko: w ogrodzie, w polu i na łąkach nieodstępna była jego towarzyszką. A chociaż widok nadobnej dziewczicy na każdym mężczyźnie miłe sprawia wrażenie, filozof jednak był wcale obojętnym. Jako ptaszyna łaskawa szezebiotała tedy koło niego, śpiewała mu najtkliwsze pieśni, niekiedy nawet psoty mu wyrządzała niszcząc jego rośliny, które tak troskliwie pielęgnował. Filozof był niewzruszonym. Cały rok fałszowała przywiązanie ukrywając swą chytrą i obłudę, która niestety przemieniła się w rzeczywistość skłonność. Całym sercem pokochała filozofa, bo on był w samej sile wieku, a do tego przystojny, ujmujący,

pracowity i poczciwy bardzo. Szlachetne te przymioty uwięziły całą postać dziewczicy, a płocho wesołość ustąpiła miejsca smętnej posępności. Gdy go nie widziała, duchem wymykała się ku niemu, a gdy się pojawił, ręce i nogi leciały ku niemu. Pewnego dnia, gdy usiadł spracowany pod cieniem lipy rozłożystej, ona do nóg mu się rzuciła, pocałunkami i łzami obsypała stopy jego, ciągle powtarzając: Obym tylko jedno słowo usłyszała z ust twoich! powiedz, że mię kochasz, a Zosia będzie szczęśliwa. Albo napisz mi to błogie słowo na korze, lub listku drzewa. Zosia wdzięczna, będzie obok serca nosić pismo twoje. Nareszcie w postawie klęczącej z rękami do modlitwy złożonemi, błagała go o wzajemność dla siebie. Filozof jedną rękę przyłożył do piersi, a drugą wzniosłszy do góry, dał jej do zrozumienia, że Bóg jest świadkiem, jako podziela wszystkie jej uczucia. Zaspokojona, ale zmęczona i spłakana, udała się do świetlicy, gdzie boleśnym zawołała głosem: Stryjku kochany! biedny nasz niemowla, nietylko, że mówić nie może, ale nawet czytać i pisać nie umie. Na tę wiadomość rozweseliła się twarz lekarza, gdyż tego mu właśnie było potrzeba. Zupełnie się uspokoił względem podejrzliwości, która go tak srodze nękała i przypuścił głuchoniemego do tajemnic sztuki lekarskiej. Z wielkim zapałem korzystał filozof z łaski niespodziewanej i wkrótce stał się prawą ręką lekarza. Sam przyrządzał lekarstwa i wszelkie badania chorych odbywały się w jego przytomności. Równie też spostrzegał, że lekarz wprzód nim wyszedł z domu, w celu szukania ziół skutecznych, wydobywał z szafy małą buteleczkę, z której kilkanaście kropel jakiegoś płynu białego wpuszczał do ust swoich, a zatkawszy buteleczkę szczelnie, znowu kładł na miejsce swoje. Dorozumiał się, że to musi być jakaś tajemnicza siła, działająca przeważnie na wiedzę umysłową człowieka i postanowił doświadczyć skutku nieznanego likieru, ku czemu wnet nastęrczyła się pomyslna bardzo okoliczność. Wezwany lekarz do chorego, wyjechał w daleką stronę, z kąd dopiero za kilka dni miał powrócić. Nieobecność jego, posłużyła nader szczęśliwie filozofowi do urzeczywistnienia zamiaru pożądanego. Wnet też przystąpił do szafy i wydobył tajemniczy likier, który przez chwilę oglą-

dał, a potem wpuściwszy kilkanaście kropel do ust, zatkał starannie i postawił na miejsce przeznaczone. Natychmiast uczył niepojęte jakieś wrażenie we wszystkich żyłach ciała swego i gwałtownie coś go w pole ciągnęło. Udał się niebawem za pociągiem tego natchnienia i zaledwie stanął na łące, zdawało mu się, że wszedł do salonu ludzi uczonych, ruch i gwar nadzwyczajny powstał; rośliny wszystkie gadały: ja od bólu głowy, ja na febrę, ja na zapalenie wątroby, a tuż przy nim wcale niepokażne ziółko, wołało natarczywie: ja przeciwko truciznie, trzeba mnie ususzyć i na proszek zetrzeć, po zatruciu zażyć, ja każda, choćby największą truciznę zneutralizuję, weź mię, wkrótce ci się przydam, niepożałujesz tego. Niegardząc takim wezwaniem, uszczknął filozof kilka liści tego zieleńca cudownego, zawinął w płatek i schował do kieszeni. Długo jeszcze przechadzał się po łące upojony weselem duszy wśród niepojętego zjawiska, a gdy wszystko się uspokoiło rzekł rozczulony: Mój Boże! cała przyroda ręce wyciąga do człowieka a on jej niepojmując, wszystkie rośliny rwą się ku jego pomocy, a on niebaczny depece ich zbawienne cele ¹⁾.

Hojnie tedy wzbogacony na umyśle, wesoło powracał do domu, gdzie nadobna Zosia niecierpliwie oczekiwała przybycia jego. Przyjął jej serdeczne powitanie, prawdziwie ojcowskim uczuciem, a nie przekraczając granic przyzwoitości, dał jej tylko do zrozumienia, żeby cierpliwie wytrwała, gdyż niezadługo spełnią się ich gorące życzenia. Przybył i lekarz uszczęśliwiony bardzo, że mu się kuracya powiodła, i rozpo-

¹⁾ Nowosielski Antoni: Lud ukraiński. Wilno 1857 T. II. str. 354 powiada: że Tatarzyn kazał niewolnikowi kawałek ogromnego węża, co się płodzi w trawie stepowej, gotować siedm razy w wodzie i wylewać za każdą razą, póki wylawszy na ziemię juszkę, trawa nie będzie zieloną. Z początku woda była czarna, aż za siódmym gotowaniem zieloną. Zjadł niewolnik kawałek z tego węża i rozwidniło mu się w głowie: widział jak trawa rośnie, rozumiał co ćwirkają ptaki, drzewa i zioła rozmawiały. Z tą wiedomością ucieka niewolnik. Tatarzyn biegnie za nim i powiada: Iwane! jak przyjdziesz do domu, nawary Czarnobylu, napyjsia, to będziesz bliższe znaty. Chłop posłuchał i nic więcej niewiedział. Bądź co bądź, ludzie muszą przyjść do wiedzy tajemnie przyrody.

czął się na nowo dawny monotony tryb życia, któremu wszakże trzeba było już raz koniec położyć. Dziesięć lat już ubiegło od przybycia niemowy, który żelazną wytrwałością wykształcił się na dobrego lekarza, a nawet biegłością w tej sztuce wyżej stanął od mistrza swego. Rozchodziło się tylko o sporządzenie tego likieru, w którym cała tajemnica rozpoznania skuteczności roślin spoczywała. Przemyśliwał więc nad środkami zdobycia tej tajemnicy. Razu nawet pewnego, tak się w tych myślach zatopił, iż nie spostrzegł, jako dwóch ludzi przed nim stanęło. Byli to posłowie jakiegoś zamożnego pana, wzywającego pomocy lekarza, gdyż zdawało mu się, że coś w głowie jego łądziło. Poprowadził ich do lekarza, który po bliższem zbadaniu posłów osądził, żeby niemowę także wziąć ze sobą. Po raz pierwszy oba wyjechali z domu, a stanawszy na miejscu, znaleźli chorego znękanego w stanie oplakania godnym. Trzeba było koniecznie trepanować głowę, dla usunięcia tych cierpień przerażających. Ponieważ zaś niemowa doskonałym był operatorem, przeto trepanowanie odbyło się w okamgnieniu. A gdy podniesiono czaszkę, z przerażeniem spostrzegli, że duża żaba siedziała na mózgu cierpiącego, którą lekarz szczypczykami zdjąć próbował. Stój! co robisz? zgubisz człowieka, zawołał niemowa. Żaba dobrowolnie nie ustąpi, bronić się będzie, pazurkami pokaleczy błonkę mózgu i zabijesz człowieka. Osłupiał lekarz na odgłos tak pewnej, a tak płynnej mowy głuchoniemego. Lecz ochłonawszy po chwili z podziwu, zapytał mistrz ucznia swego: cóż teraz robić wypada? Trzeba na żabę w ogniu rozpalić szczypczyki, papier biały podłożyć, ażeby żaba miała na co wyskoczyć. W samej rzeczy to pomogło. Filozof rozpałił żelazo w ogniu, podłożył biały papier i zaledwie żabę dotknął, żaba na papier wyskoczyła. Zaraz czaszkę nazad przyłożył, skórę zaszył, posmarował maściami, obwiązał i cierpiący przy troskliwej staranności głuchoniemego do zupełnego powrócił zdrowia. Radość filozofa nie miała granic, zwłaszcza że rekonwalescent przez wdzięczność hojnie obdarzył i wyprawił zbawców majątku i życia jego. Ale w sercu lekarza zawrzały wszystkie namiętności razem. Bolesnie dotknięta zazdrość jego, jak wulkan

rozpalony groziła srogim wybuchem. Wtedy to ujrzał przed sobą bezdenną otchłań, w którą go niczem nieuleczona nienawiść wtrącała. Wtedy dopiero przekonał się, że niemowa nie był pospolitym człowiekiem, gdyż zaprzęć się siebie samego tak statecznie, by przez dziesięć lat ani słowa nie wydać z siebie, na to geniusz tylko mógł się zdobyć. A ponieważ nie należał do ludzi szlachetnych, którzy największemu przeciwnikowi braterską rękę podać są gotowi, przeto postanowił srodze zemścić się na niemowie. Przez całą drogę nie mówili do siebie. Przybywszy do domu, razem weszli do świetlicy, którą dobrze zamknawszy, lekarz przystąpił do filozofa mówiąc: Oszukałeś mię haniebnie, dosyć już będzie tej komedyi. My razem istnieć nie możemy, jeden drugiemu musi się ustąpić, ty mnie, a ja tobie podam truciznę, razem pić będziemy, a który z nas przeżyje, ten zwycięży. Zgoda! zawołał filozof, i wzięli się oba natychmiast do przyrządzenia trucizny. Lekarz namieszał jakiegoś licha tak zabójczego, że nie tylko człowieka, ale nawet słońca mogło na ziemię powalić. Filozof zaś na prędece zgotował kawał łoju i podał w szklaneczce lekarzowi. Oba naraz truciznę do ust przyłożyli, w jednej chwili oba wypróżnili szklaneczki. Lekarz trupem padł od razu, bo mu gorącego sadła zalał za skórę niemowa. Filozof zaś zaledwie miał tyle czasu, by wydobyć z kieszeni owe ziółko, które się tak serdecznie wpraszało do niego, a utarłszy one na proszek i zażywszy, sam też bez zmysłów powalił się na ziemię.

To gdy się działo w świetlicy, stara gospodyni wybiegła z nowiną do ogrodu, gdzie Zosia kwiaty pielęgnowała. Panienko miła! już przyjechali nasi. Ale pan tak był zmieniony, że go ledwie poznała. Jeszcze nigdy nie był w tak złym humorze i niemowa cokolwiek zesmutniała, musiała im się kuracya nie udać. Słowa gospodyni złowrogim uczuciem ogarnęły dziewczę, która wnet podskoczyła ku świetlicy. Ale drzwi były mocno zawarte i ponura cisza wewnątrz panowała. Pobiegnęła tedy do okna i załamując ręce z boleścią zawołała: Oba bez duszy na ziemi leżą! Obie tedy poczęły płakać i krzyczeć, a na krzyk niewieści zbiegli się ludzie z sąsiedztwa, drzwi odbili i przekonali się, że lekarze truciznę zażyli. Filozof wybladły żył

jeszcze wprawdzie, ale widocznie pasował się między życiem a śmiercią. Podniesiono go i złożono na łożku, lekarza zaś skostniałego złożono na katafalku i na drugi dzień pochowano. Zosia nie odstępowała łoża chorego filozofa, który nie potrzebował żadnej ludzkiej pomocy, gdyż w nim cudowna siła działała — ziele dobroczynne zneutralizowało wreszcie truciznę. Dnia trzeciego podniósł się, a widząc obok siebie kochankę, zawołał: Zosieńko kochana! niech będzie Bóg pochwalon! ludzkość ocalona! Ty mówisz serdeńko moje, twój głos pozbawia mię zmysłów, mdleję z rozkoszy! I rzuciła się bezwładnie na łono filozofa wzruszona Zosieńka. Pochwycił w ręce omdlałą i wpatrywał się w jej prześliczne, a niewinne oblicze. Jak we śnie magnetycznym długo leżała dziewczica i zdawało się jej, że widzi przed sobą organ wybornej budowy, z którego żaden człowiek nie mógł tonu wydobyć. Nakoniec przyszedł sam Anioł z nieba i poruszał wszystkie klawiszy bezskutecznie, gdyż organ nie odzywał się. Zgniewany Anioł zapalił pochodnię aby zniszczyć niepożyteczne dzieło. Wtem odezwały się najprzyjemniejsze tony organu i w miarę jak one harmonijnie rosły, dziewczica przychodziła do siebie, oczy otworzyła i zobaczyła poważną twarz filozofa nad sobą pochyloną, a po raz pierwszy złączyły się ich usta. Zosia została żoną jego i była bardzo szczęśliwą. Filozof pełnił gorliwie a bezinteresownie obowiązek lekarza, gdyż podróżnym i ubogim bezpłatnie służył i pomagał. Martwiło go tylko, że przez zazdrość nieboszczyka lekarza sporządzenie cudownego likieru zostało na zawsze tajemnicą. Znalazł jeszcze cokolwiek tego płynu w buteleczce. Dwa razy zażywszy chodził po łąkach i spisywał starannie wyznaczenie każdej rośliny, której imię nadawszy, dodawał zewnętrznej onej własności opisanie. Zebrał wszystkie swoje doświadczenia w jedną księgę i podał te drogocenne skarby swoim dzieciom i wnukom, aby sztuka lekarska ustalić się mogła na całym świecie.

Lowiec. Wdowa jedna miała jedyńka, którego bardzo kochała. Póki był młodzieniaszek mały, póty też trzymał się domu przy pieczętach matczynych. Lecz podrośszy, gwałtem

napierał się na łowy. Matka przyrzekła mu sprawić stosowny do tego ubiór, na który on niecierpliwie czekał. Sama wyhaftowała mu przesłiczny sajdak, zaczesała piękne jego kędziory, włożyła żupanik złocisty i wyprawiając go na łowy upominała, żeby nie długo bawił i wracał do swej tęsknej matki. Młodzieniec przepasawszy sajdak z strzałami, pochwycił łuk w rękę i wyrwał się z uścisków serdecznych matki. Przyległy lasek miał być pierwszą próbą tej rokosznej wycieczki. Zaraz na wstępie przywitała go śliczna ptaszyna siedząca na drzewie swoim precudnym śpiewem, który go tak mocno zajął, że postanowił złapać tę ptaszynę. Wydrapał się za nią na drzewo, gdyż zdawała się być bardzo łaskawą. Lecz gdy już miał w rękę pochwycić, psotnica uleciała na drugie drzewo. Rozgniewany zszedł z drzewa, wyjął strzałę, wyteżył łuk i puścił z cięciwy, by ugodzić ptaszka; lecz na próżno leci strzała z cięciwy, ptaszyna ocalona śpiewa jeszcze piękniej i usia na ziemię. Młodzieniec znowu do niej, a ptaszyna dalej na drzewo. Cały dzień biegając bezskutecznie, zabłąkał się w lesie tak dalece, że już niepodobna było myśleć o powrocie do domu. Z wielką radością zobaczył w dali pałac, do którego też zdążył. Przyszedłszy na miejsce, drzwi się otworzyły, a mężczyzna wieku średniego zaprowadził go do pokoju, gdzie były różne potrawy na stole czysto zakrytym, któremi pokrzepiwszy się, udał się do innego pokoju na spoczynek. Zmęczony, rzucił się na łożo, mniej zważając na to, że w jakimś tajemniczym pałacu znajduje się. Z rana dopiero otworzyły mu się oczy, gdy znowu owego mężczyznę przed sobą stojącego obaczył. Poszedł za nim do pokoju, gdzie był stół rozmaitemi potrawami zastawiony. Posiliwszy się nieco, prosił, żeby mu osobliwości tego pałacu pokazano. Prowadził go wszędzie nieznanomy, nareszcie stanął przed framugą, a tam ukazał się przesłiczny salon, którego podłoga była szmaragdowa, ściany szafirowe, a sklepienie brylantowe. W tym salonie przechadzała się panna ładna, młoda, a tak lekka, że zdawała się pływać po szmaragdowej posadzce. Młodzieniec zachwycony urodą panny, stał nieporuszony jak posąg do ściany przykuty

zdawało mu się, że jego duch uleciał, żeby się połączyć z tą anielską istotą.

A co widziałeś młodzieńcze? zapytał nieznanomy mężczyzna. Ach widziałem, zawołał młodzieniec i zapłakał łzami wesołej tęsknoty. Panie! ktokolwiek jesteś, zmiłuj się nademną, utul moje serce tak ciężko zranione. Ja ci nie poradzę, jestem tylko stróżem tego pałacu, wiem tylko tyle, że kto ową ptaszynę, za którą dnia wczorajszego uganiałeś się, żywcem złapi, tego będzie ten pałac i ta piękna panna, która cię tak mocno zachwycała. — Wyleciał jak oparzony młodzieniec, by ściagać ową tajemniczą ptaszynę, która jeszcze piękniej szcziotała, a podlatując z krzaczka na krzaczek, w głąb lasu młodzieńca wprowadzała, ztamtąd zaś ku wieczorowi znowu do pałacu pomykała. Znużony młodzieniec znowu wrócił do pałacu, gdzie zastał toż samo gościnne przyjęcie, gdzie znowu widział przedmiot ubóstwiany, gdzie na nowo zapalił się do gonienia za ptaszyną śpiewającą. Tak ubiegały dnie, miesiące i lata, ptaszyna ciągle śpiewała i trudziła nieszczęśliwego łowca bezskutecznie. Nareszcie dnia jednego zasępiło się niebo, chmury ciężkie przeciągały w powietrzu i śnieg pruszyć poczynął. Wszedł łowiec z pałacu, i zaledwie kilka kroków postąpił, zobaczył ptaszynę leżącą na drodze, podniósł, lecz w ptaszynie życia już nie było. Spojrzy w tę stronę, gdzie był pałac, nie było już pałacu. Starzec tylko sędziwy stanąwszy przed nim, rzekł: Łowcze! wybiła już ostatnia godzina dla marnej rokoszy, za którą całe twe życie ubiegałeś się; dziś cię smutna rzeczywistość otacza, a tam! wskazując ręką, jest twoje miasto rodzinne. Co powiedziawszy zniknął, a łowiec biedny uczuł niemiłe poruszenie powietrza i broda siwa ukazała mu się i ciężar sześćdziesięciu lat pochylał go ku ziemi. Idzie do miasta, ale tam wszystkie twarze nieznanome. Stanął wreszcie przed domem, w którym się urodził, poznał te drzewa, które ręka ojca jego zasadzała. Wstąpił w progi rodzinne, ale tam nie było już matki, która zapewne z tęsknoty za nim wcześniej podziemne zwiedziła mieszkania. Wszyscy na niego z podziwieniem spoglądali, nikt nie wiedział o jego matce. Wszedł łzami zalany z domu rodzinnego, który go przyjmą

nie chciał i przechadzał się smutny po ulicach, a przechodnie wołali za nim: Nawiedzony! obłąkany! Siadywał na kamieniu i wpatrywał się w progi ojczyste domu swego, a kiwając głową, często wołał: Wróćcie się lata młodości! jakże miło was wspominać, jak błogo podumać o was! Pewnego poranku, znaleziono starca na kamieniu, schyloną miał głowę na dłoni, zdrzymał się bowiem do snu wiecznego.

Maciek. Wojciech Dyrda, ubogi zagrodnik głogowski, miał syna Maćka, który pacholęciem będąc, wielki upór i niechęć jeszcze większą do pracy okazywał. Matka prośbą i szturkaniem zaledwie pacierza go wyuczyła. Co on za wielkie dzieło uważając, dalej uczyć się nie chciał. To też gdy Biskup na wizytę przybył, pierwszy polecał do kościoła i stanął tuż koło tronu. Biskup widzi, że chłopiec wlepił w niego oczy, więc zapytał: jak się nazywasz, synku? Maciek! Przeżegnaj się i zmów pacierz. Maciek recytuje. Biskup chwali. Jakże to ty pięknie umiesz. Wy byście też tak umieli, gdybyście tyle bochniaków dostali, co ja od matusi, powiada Maciek. Dalej go już nie pytał Biskup, żeby czegoś gorszego nie usłyszeć. Po wizycie zhardział Maciek, począł wydziwiać i narzekać na swoje imię: wyście mię na despekt przewali Maćkiem, wytykał rodzicom. Maciusiu! powiada ojciec, jak przyjedzie Biskunt do Rzeszowa, to ty pójdziesz tam i dostaniesz inne imię na Bierzmowaniu. Jakoż gdy przybył Biskup, ojciec kupił nową czapkę i do Rzeszowa wyprawił. Na drugi dzień przybiega Maciek zaperzony w humorze najgorszym. Jakże się nazywasz? pyta ojciec. Abo ja wiem. A widziałeś Biskunta? Widział. No i cóż? W pysek dostałem. A czapka gdzie? Zgubiłem. Tak ojciec głową kiwając, powiada:

Maciek był, Maciek został,
Czapkę zgubił, w pysek dostał.

Po bierzmowaniu wyrósł Maciek na drągala niezdarę. Niczego jąc się nie chciał, jeno śpiewał i świstał sobie, a marzył, jak każdy próżniak o skarbach.

Ktoś mu nagadał, że w Rzeszowie rodzi się złoto. Tak sobie tem głowę nabił, że odwożąc jednego pana do Rzeszowa, omal go na gładkiej drodze niewywrócił, a przyjechawszy, wszystko porzucił i pobiegł na brzegi Wisłoki szukać złota. Chodzi tedy kilka godzin tam i sam, aż znajomi studenci nadeszli i zapytali się: czego on szuka? Złota! powiada Maciek. A durny Maćku! gdyby tu złoto rosło, toby ludzie z całego świata zbiegali się, to żydzi z mosiądzu robią złoto rzeszowskie. Zbiedzony daremnie poszukiwaniem, wrócił do gospody i położył się na wozie. Ale gdy krzyknęło mu coś nad uchem, tak on z batogiem wszystko zostawiwszy, uciekł do domu. Matka pyta, gdzie konie? Ej matusiu! coś tam wielkiego z długimi uszami, jak popatrzy na mnie, jak nie krzyknie: I. A. tak ja ze strachu w nogi. Matko Boska! to ty się osła nastraszył, tyś niewart być chłopem, kiedy się osła boisz, i ubrała go w spodnicę i białą chustką głowę zawiązała. Istne straszidło z niego zrobiła i pokazała mu kawałek lusterka: patrz jaki z ciebie koczokodan. Maciek to zobaczywszy, tak się przeraził, że zrzuciwszy z siebie ubiór kobiecy, magierkę na uszy zacisnął i wyniósł się czempredzej z domu. Mija dzień jeden i drugi, miesiąc za miesiącem, nareszcie rok minął. Maćka niema. Matka w płacz! było to durne, ale dobre chłopisko ten Maciek, szkoda Maćka.

Po dwóch latach idzie buńdziuczno Maciek w białej karpocie, a śpiewając: danaż moja dana! hej matusiu kochana! wpadł jak bomba do chałupy. Matka w krzyk: Maciuś! ten sam Maciuś! a dajże go katu, powiada ojciec, dyć to Maciuś. A zkąd żeś ty? Widzicie, i wysypał na stół trzydzieści białych talarów, patrzcie! to ja zarobiłem wsyćko. A gdzieżeś ty był? Owo, jak mię matusia na babę przerobiła, to ja uciekłem z domu, aż za Wisłę. Tam dostałem się na służbę do szwab, jakiegoś lutra, czy też kalwina, który niewiedziały, kiedy święto jakie przypada. Z czem bardzo dobrze było. Bo gdy mi się robić nie chciało, to powiedziałem, że dziś święto, a szwab nie kazał mi robić. Razu jednego powiadam do niego: dziś Wszystkich Świętych. Szwab uradowany, sprawia mi wielki bal, sądząc, że już święta niebędzie. Ale ja wkrótce mówię mu:

że dziś świętego Marcina. On rozgniewany, powiada: nichts draus! ja tego nieprzyjmuję, niechby był przyszedł razem z Wszystkimi Świętymi, i kazał mi jechać do lasu po drzewo. Jąde ja do lasu i widzę niedźwiedzia siedzącego pod drzewem. Wracam nazad i powiadam: w lesie jest święty Marcin i kazał mi wrócić do domu. Was? ja nauczę ten święty Marcin, i kazał mi jechać. Jedziemy tedy razem. Szwab niewiedział niedźwiedzia; przeto skorośmy do lasu przyjechali, pokazuję mu, że tam siedzi św. Marcin. On prosto do niego i począł go psioczyć. Ale niedźwiedź niewiele myśląc, jak go palnie łapą, tak szwab wyrócił się. Żal mi się zrobiło dobrego paniska, palnąłem i ja obuchem niedźwiedzia i wydobyłem szwaba prawie nieżywego i przywiozłem do domu. Poczem szwab zapłacił mi za dwa lata i puścił: geh zum Teifel! A co, nie zuch ze mnie? Ej Maćku! powiada ojciec, toż to duby pleciesz, nie twoja to głowa do krętarstwa. Dał ci Pan Bóg trzydzieści talarów, wezwijże Go na pomoc, a weź się do jakiej pracy, a idąc prawą drogą, dorobisz się kawałka chleba. Jakoż Maciek usłuchał rady tatusia i został dobrym gospodarzem.

Matematyka. Syn powróciwszy ze szkół do ojca, gdy mu dano jaj cztery, zaczął dysputę dla okazania swego rozumu uczonego, dowodząc, że jest siedm jaj. Ojciec zdziwiony powiada, że tylko cztery widzi. Syn nadęty jak półtora nie-szczęścia, dowodzi: gdzie są cztery tam są trzy, a gdzie cztery i trzy tam siedm. Ojciec wzięwszy tedy jajka powiada: kiedy tak, to ja zjem te cztery, a ty zjedz sobie tamte trzy.

Mazury. W pewnej parafii na Mazurach był kościół bardzo opuszczony. Ani ławek, ani drzwi, ani okien niebyło całych. Wszystko poniszczone i wytłuczone, okropny widok przedstawiało. Otóż tedy wójt zwoławszy gromadę, począł namawiać do składki na kościół, odwołując się ciągle, że swojej fatygi i kieszeni żałować nie będzie, że sam sprawi co do kościoła. Gromada rozciekawiona niezwykłą obietnicą, przyrzekła z wójtem trzymać. Przychodzi niedziela, wójt niesie kawał pątyka z uszkiem blaszanem i oddaje w obecności całej groma-

dy księdzu proboszczowi łaskę, na której kazał wyryć następujące słowa: Ja Matijos za własny gros, sprawiłem do kościoła gasinos, roku Pańskiego 1826. O ileż to Matijasów znajdzie się między nami! ¹⁾

W Kańczudze kopali sobie w ogrodzie Szymek i Bartek sąsiedzie. Wtem przyleciała kukułka zwiastująca szczęście ludziom, a siadłszy na wierzbie pośród miedzy stojącej, poczęła kukać. Powiada Bartek: to mnie zakukała. Ej co łżecie! to łżecie Bartosu, wsak ci to mnie kukała, odpiera Szymek. Od słów przyszło do krzyku, a od krzyku do guzów i wycubili się należycie. Ale na tem nieskończyło się, bo im głównie o to chodziło, komu z nich kukułka zapowiedziała kłogą pomysłność? Więc krzyknęli oba razem: pójdźwa do sędziego, niech on osądzi sprawę naszą. Powitali sędziego i opowiedzieli mu fortunne zdarzenie. Sędzia pomiarkowawszy, że z durnych chłopów można korzystać, rozkazał im dopiero na drugi dzień stać się, gdyż ta rzecz wymagała dłuższego namysłu. Odchodząc, myśli sobie Szymek: przecież to nielada rzecz, jeżeli komu na wiosnę po raz pierwszy kukułka zakuka; zaniosę ja potajemnie najlepszą kurę sędziemu, żeby mnie pierwszeństwo przyznał, a jako pomyślał tak też zrobił. Podobnie i Bartek nieleniwy zaniósł sędziemu pięknego koguta, żeby jemu słuszność przyznał. W oznaczonym czasie, gdy oba stanęli, sędzia do nich zawołał: Osły! Osły! ani tobie Szymonie! ani tobie Bartoszu kukułka niezakukała, jeno mnie zakukała, a teraz rozumiecie hę? Wychodząc z izby sądowej, starszy Szymek podał rękę Bartoszowi mówiąc: Niekłómy się więcej, ot widzicie takie głupstwo pozbawiło mnie najlepszej kury. Ciornaści wszystkie niechaj porwą kukułkę, odezwał się Bartek, a wszakże mi ona najlepszego kurasa odkukała.

Był Maciek w wojsku bardzo niechętnie, bo mu tak kazali, byłby uciekł z wojska, ale go trzymali. Zecyrka bardzo go trapiła, zwłaszcza że nie rozumiał swoich mistrzów. Miał początkowo jakiegoś czecha, który go uczył: jak sem powiem:

¹⁾ Drukowałem w Dzwonku lwowskim z roku 1870 pod imieniem Wincenty z Pokucia.

links szaut, to sem kukajte na liwo, jak sem powiem: rechts szaut, to sem kukajte na prawo. Maciek był posłuszny mistrzowi; skoro zawołał: rechts szaut! to on z całego gardła wołał: kuku! kuku! ale za to dostawał kolbę w gębę i w kark kułakiem. Dostał znowu Niemca za mistrza, który mu ciągle szwargotał: halbrechts! halblinks! rechtsum! ale Maciek na to wszystko stał nieporuszony, za co też dostawał mnogo bicia. Lecz tego było mu już zanadto i obracając się do mistrza rzekł: Powiedźcie mi: panie Macieju, obróćcie się! to ja się obrócę, ja nie rozumiem waszego: harum, bizom, szwander, mander.

Matka zakazała córkom u stołu przy kawalerze wydawać się z mazowiecką mową. Ale kawaler koniecznie chciał wiedzieć, jak panny mówią. Posunął tedy kaszę przed jedną mówiącą: proszę na ten bigos. Panna rozśmiała się i powiada: to nie bigosz, ale kasa. Druga na to odezwała się: miła głupia na co się wydajes; a trzecia dodała: pamiętajcie, że ja milcała; i tak wszystkie się wydały.

Mazury idąc drogą, gawędzili sobie o różnych rzeczach, nareszcie jeden z nich przestraszony zawołał: słysycie wej coś tam idzie i wielkie i białe, i proste kieby dęb, a strasne kieby śmierć. Drudzy spojrzeli przed siebie, prawda zawołali i stanęli jak wryci, gdyż nie śmieli kroku dalej postąpić, tak się przelękli przysuwającej się ku nich mary. Byli to rusini, szli sobie bosy, w koszulach tylko białych, a długich, łyżkiem podpasani, na głowie mieli słomiane kapelusze, na plecach nieśli kosy, u których postowały, czyli łyżaki wisały. Gdy się do nich zbliżyli, mazury przekonali się, że to byli ludzie, a jeden z nich najodważniejszy zapytał się przecie, kto wy jesteście? Muzyki. powiedzieli rusini. Aha, muzycy! powtórzyli mazury. A z kądże wy idziecie? Wid Buha (rzeki Bugu). Aha od Boga, a coż wy niesiecie na kijach? My nesemo postowały. Aha, apostoły. A na cemże wy gracie? A na czorta by my hrały, odpowiedzieli rusini, i poszli dalej. Widzisz, powiada mazur, ja ci nie mówiłem, że to nie ludzie. A cóż? zapytał drugi. Wszak muzycy od Boga, apostoły i na storcach grają.

Inny Mazur jadąc do miasta, zgubił worek, w którym był kawałek chleba; gdy się obejrzał za swoim zapasem, żał mu się zrobiło, że go nie znalazł, ale tuż za nim nadjechał Rusin, który zapewne znalazł jego zgubę. Więc tedy do niego zawołał: słysysz człowieku! nie znalazł ty woreczek, a w worecku torbeckę, a w torbecce bajdeckę jak wołowa mordecka, a z wierzchu poświstacem zawiązaną? Rusin mu odpowiada: ja najszow miszok, a w seredeni była torbena, a w torteni kawałok chliba, z werchu batohom było zwiezane. To nie moje, jedźcie z Panem Bogiem! powiedział mazur.

Spowiadał ksiądz opoja i nauczając go, zagroził mu temi słowy: jeżeli się nie poprawisz, to w piekle gorący dziegieć pić będziesz. Wziął to sobie do serca opój i wstrzymał się przez czas niejaki od trunków. Ale jak to zwykle natura ciągnie wilka do lasu, zaglądał i on czasem do karczmy i ślankę tylko połykał, gdy drudzy pili i bawili się wesoło. Chciał nie raz złamać przyrzeczenie, ale dziegieć gorący zawsze go niepokoił. Raz coś przecie go skusiło, pomyślał sobie: anu ja tego dziegieciu cokolwiek skosztuję. Jak pomyślał, tak też zrobił, kazał sobie dać kieliszek dziegieciu ciepłego, a zamrużywszy oczy łyknął djabelskiego tego likieru. Splunął, skrzywił się, ale po chwili minęła odraza. Oho! nie jest to tak zły dziegieć, jak to Dobrodziej straszyl, a zresztą, człowiek się i do dziegieciu przyzwyczai. Dajże no Moszku wódeczki, aby zalać robaka.

Mazur podpity na konia oklep siadał, a gdy usiąść nie mógł, wzywał świętych pomocy każdego z osobna: święty Walanty dopomóżta! święty Macieju, a nuz ta! Ale gdy to nie pomogło, zawołał: Wszyscy święci dopomóżta! a gdy przez konia aż na drugą stronę przesadził się, wolać począł: hola! hola! nie wsysey razem.

Przez Mazowsze jechał poseł i spał w swojej karecie, jeno pies jego tarantowaty wyzierał z karety. Mazury że nigdy posła nie widzieli, zawołali: Miły Boże! jaki tes to ten poseł? właśnie jak pies.

Zapalił się dom jednego gospodarza, mały chłopczyca syn jego wybiegłszy z chaty, nie mając się gdzie podzić,

grzał się przy ogniu. Z drugiego domu przybiega chłopiec, a długo przypatrując się, zmarł, i chciał się zagrzać przy ogniu. Ale chłopiec pierwszy odpędza go mówiąc: nie grzej się, bo to mego tatusia chałupa pali się. Na co odpędzony odezwał się: poczekaj! poczekaj, jak się mego tatusia chałupa palić będzie, to ja tobie nie pozwolę grzać się przy ogniu.

Coś podobnego: zabił ty mego ojca, zabiję ja twoją świnię, niech głowa za głowę ginie.

Św. Mikołaj. Pobożny ten biskup chodził z djakiem po domach nauczając i modląc się przykładnie. Razu pewnego darowano mu baranka. W polu tedy blisko lasu będąc, św. Mikołaj powiada do djaka: zabij jahnne, a wontrubku dla mene schowajesz, ja pidu po chlib do mista. Djak łakomy najprzód upiekł sobie wontróbkę i zjadł. Przychodzi św. Mikołaj i pyta o watróbkę. Djak przeklina się, że nie było watróбки. Po tej utarczee zebrali się razem w dalszą drogę. Przychodzą do pewnego miasta, w którym córka jednego pana bardzo chorowała. Zawołano św. Mikołaja do tego domu, aby uzdrowił córkę tego pana. Św. Mikołaj zamknął się w pokoju, pokrajał na kawałki dziewięć, zgotował w kotle, potem poskładał wszystkie części ciała, dmuchnął na ciało, a córka powstała zdrowa jak ryba, jak gdyby nigdy nie chorowała. Pan uradowany otworzył swój skarbiec i zaprowadził św. Mikołaja, żeby sobie wziął, co się mu będzie podobało. Djak skoro obaczył takie skarby, z radości zawołał: Wsio berim. Lecz św. Mikołaj wziął sobie tylko stoczek woskowy i poszedł w dalszą drogę. Djak rozgniewany, począł besztać św. Mikołaja, że niedba o niego i że dalej z nim chodzić nie będzie. Opuszcza tedy djak św. Mikołaja, sam chodzi po domach, naucza i modli się. Przychodzi do pewnego miasta, gdzie był wielki pan bardzo chory. On sobie myśli: przecież widziałem kuracyę córki chorej przez św. Mikołaja, dla czegoż bym to samo nie mógł uczynić. Zgłasza się więc do tego pana, że go uzdrowi. Zamyka się z panem; kraje go w kawałki, gotuje w kotle, nareszcie składa członki do kupy, dmucha, chucha, lecz trup nie wstawał. We dworze wielki powstał hałas na niegodziwość

dokonaną, związali djaka i na śmierć osadzili. Prowadzą go już na szubienicę. W tłumie spostrzega djak św. Mikołaja. Nuż tedy do niego: Ej światyj otcze Mykołaju! podaj ruku, nedaj propasty! A św. Mikołaj pyta: a kto zjiw wontrubku? skaży prawdu. Bihme szczo ne ja, zaklina się djak na wszystko i prosi, żeby się zlitował nad nim. Cóż miał robić św. Mikołaj z biedą, wyprosił go od szubienicy i uzdrowił pana zamordowanego. Idą więc znowu razem dalej i znajdują kupę pieniędzy. Św. Mikołaj pobłogosławił i podzieliwszy na trzy części, powiedział: to dla mene, a to dla tebe. Djak rozciekawiony dla kogo byłaby trzecia część przeznaczona, pytał: a tretia kupka dla koho? To dla toho, powiedział św. Mikołaj, kto wontrubku zjiw. Taże to ja zjiw wontrubku, odpowiada djak. A ty psi synu idy do dteczoji matery wid mene, zgromił go św. Mikołaj i poszedł w dalszą drogę.

Mikołajko. W pewnym mieście królewskim był pusty kościół. Do tego kościoła król co noc dawał jednego żołnierza na wartę, który stamtąd już niewracał, gdyż tam była zaklęta królowna zjadająca codziennie jednego żołnierza. W tym czasie wstąpił do wojska Mikołajko, przystojny bardzo młodzieniec. Zaraz na drugi dzień kazano mu iść na wartę do tego kościoła. Koledzy powiadają mu: że on tam zginie. Myśli on sobie: mam ja tam umrzeć, to wolę opuścić wojaczkę. Wychodzącemu za miasto, zastąpił drogę staruszek i pyta go: dokąd idzie? On mu całą rzecz opowiedział. Nie czyni tego, powiada staruszek, wojaczka! to ciężka służba, ale skoro zobowiązałeś się, nieopuszczaj służby, idź na wartę; zaklęta oszczędzi ciebie. Ale skoro wnijdiesz do kościoła, wejdź na ambonę, pozamykaj za sobą drzwiczki, tym sposobem ocalejesz. Poszedł on tedy do kościoła, zamknął drzwi za sobą i widzi pośrodku duży katafalk, na którym wspaniała była trumna. Wstąpił na ambonę zamykając drzwiczki za sobą i czeka. Aż tu o północy z wielkim trzaskiem rozwarło się wieko trumny i królowna w żałobie powstała szukając żołnierza. Tęskliwie wołała, boleśny jęk wydawała, nareszcie gdy po raz pierwszy kur zapiał, poszła do trumny i wieko znowu z trzaskiem za-

warło się. Rano przychodzą żołnierze, by zebrać kości po żołnierzu. Ale widząc, że drzwi zamknięte, pukają. On gada do nich. Oni zaś myśląc, że to zaklęta gada, pouciekali. Sam tedy wrócił i zdał raport ze wszystkiego a komendant mocno zdziwił się, że go żywego obaczył. Na wieczór znowu każe mu iść do kościoła na wartę. On ucieka. Ale staruszek zastąpił mu drogę, i pyta, dokąd idzie? Uciekam z wojska, bo komendant nawążył się na życie moje i każe mi iść na wartę. Nieuciekaj synu! niezrażaj się przeciwnościami, gdyż one prowadzą człowieka do dobrego końca. Skoro wnijdiesz do kościoła, idź tam gdzie są organy, ona ci nic nie robi. Zrobił tak, jak mu staruszek radził i ocalał po raz drugi. Ale w wieczór nikt niechce iść na wartę, wszyscy powiadają, żeby on szedł. Ucieka po raz trzeci. Staruszek wstrzymuje go: Synu nie uciekaj! wytrwaj w przedsięwzięciu, a szczęścia doznasz. Skoro wnijdiesz do kościoła, schowaj się pod katafalk, a jak ona z trumny wstanie, ty połóż się na jej miejscu i nieustępuj, aż póki kur nie zapieje. Posłuchał on staruszka i wlaź pod katafalk. Aż tu bije dwunasta godzina, wieko zrywa się z trzaskiem, ona wstaje niespokojna, bo dwa dni nie niejadła; biega, szuka, nareszcie spostrzega żołnierza w trumnie. Obces do niego. Każe mu wyleźć, on niechce; zaczyna go kasać i dusić, by wylazł, on niechce. Wśród tego szamotania kur zapiał, dzika siła ją opuściła. Jak gołębia poczyna gruchać, tuli się do żołnierza i dziękuje mu, że ją wybawił, że przekleństwo przeparał życzliwością, że zostanie jego żoną. A gdy żołnierze z rana przyszli, ona im mówi: żeby księdza sprowadzili w celu odprawieniu ślubu. Dają znać królowi, co się stało. Król niezmiernie uradowany biegnie do kościoła z księdzem, który połączył młodą parę węzłem nierozzerwanym stanu małżeńskiego, z czego też Mikołajko bardzo był kontent. Razu pewnego jedzie on karetą na spacer, a spostrzegłszy staruszka, stanął i wysiadł, by mu podziękować za dobrą radę. Ale on chwyciwszy jego żonę, rozdarł na dwoje i wytrząsł z niej wszystko, co dawniej jadła. Mikołajko w płacz! Tyle nabiedowałem się, nim dostąpiłem tego szczęścia, a ty pozbawiłeś mię pociechy mojej. Staruszek ulitowawszy się nad

Mikołajkiem, tchnął na te kawałki rozrzucone, a z nich powstała królewna piękniejszą, niż była przedtem i żołnierze, których ona była pożarła, rzędem stanęli i salutowali przed Mikołajkiem. Bodaj to bajka, zawsze się dobrze kończy.

Mucha. Zjadł ojciec muchę u stołu. Rzecz syn: panie ojcze! muchę zjadłeś. Za którą łyżką pyta ojciec? Za trzecią powiada syn. Ojciec syna w gębę, czemuś niepowiedział przedzej, błaznie. Syn porwawszy się od stołu, rzekł: Teraz ojcze choćbyś i diabła zjadł, to ci więcej tego nie powiem.

Moszonka. Spowiadał się chłop, że znalazł woreczek z pieniędzmi. Ksiądz mu na to powiada, że to wielki grzech znaleźć i nieoddać właścicielowi, że to tyle znaczy, jak by ukradł. A cóż ja mam robić? zapytał chłop, kiedy się nikt po pieniądze niezgłasza. To trzeba obwołać gdzie publicznie, a jeżeli się nikt do zguby nieprzyzna, to pieniądze będą twoje, powiada ksiądz. Był tedy w miasteczku jarmark, staje więc chłop filut na kupę śmieci i woła: najszowem moszoneczku, dodając jaknajciszej: z „hriszmy“. Wołał tedy kilka razy, ale nikt się do próżnego woreczka przyznać nie chciał.

Muzykant. Ubogi rybak, wdowiec, miał syna, który wyuczył się bardzo pięknie grać na flecie. Wysyłał on tego synaczka z rybami do miasta, gdyż był postanowił, że cokolwiek będzie miał zarobku z rybołóstwa, wszystko to ofiaruje na mszę świętą za duszę nieboszczki swej żony. Chodził tedy synaczek z rybami, sprzedawał w mieście, gdzie szczególniej wabiła go do siebie pewna młoda wdówka. Dawała mu nawet pewnego razu kilka groszy osobno. Lecz ojciec kazał te pieniądze oddać. Drugi raz sprawiła mu piękny surducik, ale i to kazał ojciec oddać. Wdówka niezrażając się tem, namawia chłopca, żeby on do niej przyszedł, że go na człowieka wykieruje. Powiedział on to ojcju, który wcale nie bronił mu tego. Idzie on do tej wdowy niby na służbę. Ona go przebiera w piękne suknie, każe go uczyć w szkołach, gdzie w samej istocie w naukach i muzyce wykształcił się na mistrza znakomitego. Wdowa namawia go, żeby się z nią żenił. Zezwala

na śluby małżeńskie z wdową, która bardzo sute sprawiła weselisko. Lecz podczas uczy, czegoś się tak zaśmiała, że to nowożeńca bardzo obeszło. Gdy goście wyszli, on począł nalegać na nią, żeby mu powiedziała, dla czego się śmiała. Ona nie chciała wyjawić przyczyny. Ja sobie śmierć zrobię, jeżeli mi nie powiesz, nastaje nowożeniec. Tak ona mu powiada, że pomyślała sobie, że on był dawniej hołyszem, a teraz panem został i z tego się śmiała. Tak go to rozgniewało, że zrobiwszy się głuchoniemym, żonę porzucił i w świat poszedł. Przychodzi do pewnego miasta, gdzie był król utrzymujący nadwornych muzykantów, których obowiązkiem było podczas objadu i innych uroczystości grać i gości zabawiać. Wstąpił on do nich, jako do swoich kolegów. A oni pytają się, co on za jeden? On napisał na kartce, że jest muzykant. Oni mu dali instrument, on zagrał, ale tak pięknie, że się w nich zazdrość obudziła, i chcieli go za drzwi wytrącić. Ale on takiego krzyku narobił, że sam król przybiegł i zapytał: co to takiego? Muzykusy powiadają, że przyszedł głuchoniemy, udaje że jest muzykantem, a grać nie umie; otóż my go za drzwi wypychamy, niech sobie idzie. Dajcie mu pokój, król powiada i każe mu grać na jakim instrumencie. Jak zagrał! tak król osłupiał z podziwu, gdyż nigdy jeszcze podobnej melodii nie słyszał. Zaraz go przyjął i zrobił kapelmistrzem dworskiej orkiestry, a muzykusy nosy powieszali, że jakiegoś włóczęgi słuchać musieli. Przyczem też wydał rozkaz, że ktokolwiek by wyleczył kapelmistrza jego ulubionego z niemoty, tego znacznym majątkiem wynagrodzi. Kilku lekarzy zlakomiwszy się na obietnicę, podjęło się kuracyi, lecz i majątku nie dostali i głowy potracili. Nareszcie przyjechała jego żona, i zgłosiła się do dworu jako lekarka niemoty. Przyznała się do niego, całowała go po rękach i nogach, lecz on nie chciał ani słowa przemówić. Skazano ją na śmierć, już była pod szubienicą, już kaci wiązali jej ręce, już ją do góry ciągnęli, wtedy krzyknął kapelmistrz: nie pozwalam! I uwolnił żonę swoją, a król z uciechy zapisał mu dziesięć wsi. Odtąd też żył w zgodzie z swoją żoną, która mu nie mogła więcej hołyszostwa przypomnieć, gdyż sam dorobił się fortuny.

Mydło. Chłopu na dychawicę poradzono migdałów. On przez drogę zapomniał. W mieście pyta się: gdzie tu sprzedają myg, myg? Rozumiejąc ludzie, że o mydło pyta, pokazali mu. On kupił, uskrobawszy zjadł, a gdy go przeczyściło, ozdrowiał.

Nabiał. Szwajcarowie w poście z nabiałem jedząc, nigdy jaj nie używają. Gdy im katolik jeden przymawiał, że i to nabiał, odpowiedzieli, że nie: bo włożyć masło, albo ser pod krowę, to nie będzie cielę; a zaś włożyć jaja pod kurę, to będzie kurecze.

Nagrobki. Anno Domini 1570.

Tu leży, jak należy

Zawadzidło głazem, z Trzęsigłówką razem.

Jest

Jest, Jest

Jest, Jest, Jest

Dla tego Jest zmarł i pochowan jest.

Pewny Sybaryta podróżując dla rokoszy, wyprawił naprzód swego sprawnika, który znalazłszy w jakim mieście niezłe wino i towarzystwo od biedy licha, pisał na bramie miasta: Jest. Gdy znalazł gdzie co lepszego, pisał na bramie: Jest. Jest. Gdy zaś było wino najlepsze i doborne towarzystwo, pisał na bramie: Jest! Jest! Jest! Otóż tedy wskutek tego rozkoszowania umarł i otrzymał powyższy nagrobek.

Tu leży Zaranek

Luceat ei kaganek

Uczył dzieci A. B. C.

Requiescat in pace.

Proboszcz pewny uzbierawszy nieco grosiwa, wpadł na domysł, żeby pieniądze w kościele w kształcie nagrobku ukryć. Jakoż sam wykuł framugę w ścianie, złożył pieniądze, a z wierzchu przyłożył tablicę marmurową z napisem: Tu spoczywa złotousty Kręcicki. Długi czas nagrobek był w całości. Razu pewnego zmiatając prochy w kościele organista wlaź na ołtarz i spostrzegł ten nagrobek. Zdziwiło go to bardzo, gdyż tam nie

było przed tem tablicy, powoli przypatrując się, zaczął nożem dłubać, wysadzać, nareszcie wypadła tablica. We środku ukazał się spory worek dukatów. Aha! to ty panie złotousty Kręcicki spoczywasz? poczekajno, trzeba cię ztąd wykrecić. Worek schował, tablicę nazad położył, a do dawnego napisu dodał: Zmartwychwstał, nie masz go tu.

Tu leży Jan snem śmierci drzymiący

Zacny jak Piotr brat jego żyjący

I jużci tu mieszka sobie w górze

Stroskany brat rznie mu na marmurze.

Umarł bo zmarł, bo żyć dłużej nie zdołał

Bo go Pan życia do siebie powołał

Lecz w sercu żal tego nie wysłowi

Czy będzie Jan? by wyrznął Piotrowi.

Niedźwiedzie. W jednym państwie był straszny niedźwiedź, który wiele ludzi pomordował, już dalej przychodziło do tego, że miał króla z jego całym dworem rozszarpać. Król w rozpaczę wydał odezwę, że ktokolwiek się znajdzie taki któryby przespał jedną noc z niedźwiedziem, tego ożeni z córką swoją i da mu królestwo. Wszyscy uciekali od tego miejsca, gdyż nocując z niedźwiedziem, nie można było być pewnym życia; a od tego właśnie zależało zwycięstwo, żeby przynajmniej jedną noc z niedźwiedziem przespać.

Trafił się jednak żołnierz wysłużony, który podjął się tej przysługi. Wziął z sobą świecę, orzechy i skrzypce, i poszedł na noc do niedźwiedzia. Nim się zmierzchło, począł gryść orzechy. Co ty robisz? zapytał niedźwiedź. Jem sobie orzechy, skosztuj i ty, i podał mu czysty orzech. Niedźwiedź zakosztowawszy, prosi go, żeby mu więcej dał orzechów. Żołnierz podał mu kamyki podobne do orzechów; gryź sobie sam, jeżeli jeśe chcesz. Niedźwiedź gryzie, ale nie mógł ugryść i wielkie powziął uszanowanie dla żołnierza, który z taką łatwością gryź orzechy. Gdy się ściemniło, zapalił żołnierz świecę. Co ty robisz? zapytał niedźwiedź. Ja robię słońce, powiada żołnierz. Ale twoje słońce świeci tylko, nie grzeje, szydzi niedźwiedź. Włóżno język do tego słońca, powiada żoł-

nierz, a obaczysz, czy to słońce nie grzeje. Wywalił niedźwiedź język, a przyłożywszy do świecy popiekl się niepospolicie. Żołnierz zagrał mu jeszcze na skrzypcach. Podobała się niedźwiedziowi muzyka, nuż tedy w prośby, żeby go żołnierz grać nauczył. Oho! bratku, nie tak to łatwo grać się nauczyć, ja muszę tobie najprzód wyprostować łapy, włóż no tu między deski łapy, aby się wyprostowały. Usłuchał niedźwiedź i włożył łapy między deski, które żołnierz klinem tak zabił, że się niedźwiedź nie mógł ruszyć, a na większą hańbę, ogoliwszy mu tylną część ciała, położył się bezpiecznie na łóżku i zasnął. Rano pukają ludzie do drzwi niedźwiedzia chcąc się dowiedzieć, co się z żołnierzem stało? Lecz nikt nie otwierał, jeno niedźwiedź zawołał:

Cicho tu, cicho tam, spi mój pan

Zgolił mi tyłek, będzie i wam.

Domyślono się, że żołnierz zwyciężył, a gdy się przebudził, dostał królownę i królestwo, a z niedźwiedzia skórę zdarli.

Powiadają też, że gdy w polu siedziała stara baba i przędła, a chłopcy i dziewczęta paśli trzodę i bawili się koło baby, wyszedł niedźwiedź z lasu i prosto sadził do tej gromadki. Wszyscy pouciekali, jeno baba nie mogąc uciekać, nakryła się płachtą i oczekiwała śmierci. Niedźwiedź zbliżył się do baby i mrucał bardzo żałośliwie, co też babuleńkę rozśmieszyło; podnosi tedy płachtę i widzi, że niedźwiedź łapę skrwawioną jej pokazuje. Wyjęła więc kawał drzazgi z łapy, a niedźwiedź uradowany zdarł z niej płachtę i udał się do lasu. Po chwili wrócił i przyniósł łabie miodu pełną płachtę. Ludzie, którzy mieli już babę za straconą, bardzo się dziwowali, że niedźwiedź tak pięknie się odwdzięczył.

Obcy. Pewien kaznodzieja tak był rozczulił swoim kazaniem słuchaczy, że wszyscy się rozpłakali. Przecież dostrzegł kaznodzieja, że jeden był zupełnie obojętny, wcale nie płakał. Zlazłszy z ambony, prosto udał się do owego nieczułego, chcąc się dowiedzieć, czemu on nie płakał. Mój kochany! moje kazanie dzisiaj wszystkich rozczuliło, a ty

jeden byleś obojętny. Bo ja nie z tej parafii, odpowiedział zapytany.

Odwet. Ubogi rolnik miał dwóch synów, których nie mając czem wyżywić, posłał jednego na służbę do popa, który nie słynął z miłości bliźniego. Przyjął on wprawdzie chłopca, ale powiedział mu zaraz na samym wstępie: jeżeli się na ciebie rozniewam, to ty mnie nos i uszy oberzniesz, a jeżeli się ty na mnie rozniewasz, to ja tobie nos i uszy obetnę. Pierwszego dnia wyprawivszy go w pole, dał mu pop kawałek chleba i jedną cebulkę. Pracuje cały dzień w polu, nareszcie zgłodzony pod wieczór wraca, sądząc, że na kolacyi czem się pożywi. Ale słudzy namówili dziecko popowskie, żeby go na dwór wyprowadziło. Dziecko też naparło się, żeby z nim na dwór wyszło. Parobek wyprowadził, a ono zaczęło sobie gwiazdy liczyć, a tymczasem zjedli kolacyę, a dla niego nic nie zostawili. Na drugi dzień znowu wyprawivszy go w pole, dali mu kawałek chleba i jedną cebulkę. Cały dzień pracował głodny, a w wieczór znowu dziecko gwiazdy liczyło, a on bez wieszerzy spać się położył. Na trzeci dzień toż samo mu zrobili. Już nie mógł wytrzymać i rozniewał się dnia czwartego, pop nie wiele myśląc, oberznał mu nos i uszy i do domu napędził. Obszelmowany wrócił do ojca i skarży się na swoją przygodę. Brat widząc taką zniewagę, powiada: pójdę ja do popa na służbę, może mu końca dojadę. Przyjmuje go pop na służbę pod tym samym warunkiem jak jego brata. Pierwszego dnia wyprawiono go w pole z kawałkiem chleba i jedną cebulkę. Ale on nic nie robił w polu, jeno zabił wołu, rozłożył ogień, piekł, jadł i rozdawał mięso swoim towarzyszom. Pod wieczór przyszedł do domu; pop pyta a gdzie czwarty wół się podział? On mówi: zjadłem go, gdyż cebulkę jedną żyć nie można, a może się Dobrodziej gniewa za to? Pop powiada: że nie. Na drugi dzień zjadł i drugiego wołu i nic nie robił. Pop nie nie mówił, gdyż kłopotał się bardzo zbliżającym się praznikiem, a do tego jeszcze nie mógł nigdzie dostać kucharza. Parobek powiada: że on dobry objad zgotuje. Popi zjechali się na praznik, dysponuje tedy gospodarz, żeby najtłuściejszego

zabił barana na pieczeń, a do rosółu żeby nakrajał pietruszki i inne przysmaki żeby nagotował. Parobek bije wszystkie owce, piecze, łapie psa, którego pietruszką nazywano, kraje w kawałki i rzuca do rosółu. Po nabożeństwie woła pop ulubionego swego psa; nareszcie idzie do kuchni i pyta: czyś newediw mojego petruszki? Parobek powiada: że go pokrajał i rzucił do rosółu według rozkazu. Pop już nie nie mówi, tylko po obiedzie prowadzi goście do owczarni, by się pochwalić swoim dobytkiem, a tam wszystkie owce leżą zarznięte. Woła on parobka, ale parobek powiada: że on musiał wybrać, któraby była najtłuściejsza na pieczenie. Może się Dobrodziej za to gniewa? Ja się nie gniewam, powiada pop, ale ci mówię, żeś zle zrobił. Jemu zaś koniecznie o to chodziło, żeby się pop rozniewał. Przychodzi do kuchni, a tam dzieci płaczą i wrzeszczą czegoś; on wziął garnek wody kipiącej i wylał na bębny popowskie. Przychodzi pop i patrzy, że jego bębny już nie żyją, jeno gęby rozdziawiły i oczy okropnie wybałuszyły, biegnie do swojej żony i radzi się, co teraz robić? Żona powiada: uciekajmy od tego parobka. Wynoszą się tedy oboje, pop napakował pełny worek książek i chciał już ucho-dzić, ale jeszcze poszedł po coś do świetlicy, a tym czasem parobek wyrzucił książki z worka; sam wlaź do worka i cokolwiek z wierzchu książek położył. Pop wyszedłszy z świetlicy, bierze worek na plecy i ucieka, a parobek krzyczy z worka, poczekaj! poczekaj! a popowi zdawało się, że on biegnie za nimi, tak leciał, że z umęczenia ledwie nie upadł. Przyszedł z popadią nad rzekę i tam zanocował. A tu z worka wyłazi parobek. Pop powiada do żony, żeby we środek się położyła, a parobek z kraju niech będzie, to on go w nocy do rzeki rzuci. Ale skoro pop zasnął, parobek położył popadię na swoim miejscu, a sam wlaź do środka. Około północy zrywa się pop i porywa własną żonę i rzuca do rzeki. A parobek śmieje się i powiada: a Dobrodziej co zrobił? Pop rozniewany, woła nań, że przez jego niegodziwość stracił majątek, dzieci i żonę. Może się Dobrodziej gniewa? pyta parobek. Abyś wiedział że się gniewam, powiada pop. A parobek oberznał mu jeszcze do tego nos i uszy, i dojechał końca popowi.

Odyniec. Król miał trzech synów: dwóch rozumnych, a jednego głupiego. Przytem też posiadał prześliczny ogród, do którego niewiedzieć jakim sposobem wpadał dziki wieprz i wielkie bardzo szkody robił. Króla to mocno gniewało i wydał taką odezwę, że ktokolwiek zgładzi tego wieprza, to otrzyma część majątku królewskiego. Nie jeden kusił się o to, lecz wszelkie starania były bezskuteczne. Wieprz ryje ciągle i drzewa wywraca. Król powiada do swoich dwóch synów rozumnych, żeby oni tego wieprza zgładzili. Chodzili synowie przez kilka nocy na wieprza, lecz nie mogli mu nic zrobić. Nareszcie przychodzi głupi syn do króla i prosi, żeby mu wolno było tego wieprza zabić. Król powiada: nie twoja to głowa, bracia twoi i silniejsi i mędrsi od ciebie, a przecie tego niedokazali, czego ty się podejmujesz, wolno i tobie, próbuj, ale ja wiem, że z tego nic nie będzie. Poszedł głupi do kowala i kazał sobie narobić sto długich obosiecznych nożów które mocno powsadzał w ziemię ostrzami do góry. Według swego zwyczaju przychodzi w wieczór wieprz i ryje, ale wnet zawadził na noże i pokaleczył sobie ryło i łapy tak dalece, że ledwie zawłókł się do lasu i zdechł. Bracia dowiedzieli się o tem, radzą więc między sobą, żeby głupiego zabić, młodszy opierał się tej myśli mówiąc wszakże to nasz brat! a chociaż upośledzony, przecież niegodzi się go zabijać. Ale starszy uparł się koniecznie przy swoim zamiarze, zabił brata i pod gruszką zakopał. Przyszli tedy oba do króla i powiadają: że głupiego wieprz rozdarł, ale oni go za to zgładzili. Król uradowany, że pozbył się już szkodnika w ogrodzie, wydzielił im część majątku, a oni za to bankietowali sobie bez końca i miary. Razu pewnego pastuch wylazł na mnry ogrodu w celu narwania kilka gruszek dla siebie, ale patrzy, a pod gruszką leżą skrzypce piękne. Bierze on te skrzypce i gra, ale te skrzypce powiadają:

Pomału! pomału! pastuszkę graj,
Nieodrazu to serce moje kraj,
Bo mię brat zbił,
Pod gruszką skrył —
Za tego wieprza, co w sadzie rył.

Usłyszał to lokaj, bierze skrzypce do siebie, gra to samo co przedtem. Wziął i kucharz do rąk, ale te same tony wydobywają się z pod rąk jego. Dowiedział się król o tem, pociąga smykem, a skrzypce mówią! pomału! pomału królu graj itd. Natychmiast kazał swoich synów aresztować. A gdy już byli pod ścisłą wartą, wyprowadzono naprzód brata młodszego i dano mu skrzypce do rąk, aby zagrał na nich. Pociągnął on smyczkiem, lecz skrzypce naturalny ton wydały. Przyprowadzono starszego brata i dano mu skrzypce, żeby grał, lecz skoro pociągnął smyczkiem, skrzypce odezwały się:

Pomału, pomału ty zbóju graj,
Nieodrazu to serce moje kraj,
Boś ty mię zbił
Pod gruszką skrył —
Za tego wieprza, co w sadzie rył.

Natychmiast kazał król kopać pod gruszką, gdzie znaleziono ciało jego syna, które z uszanowaniem i płaczem pochowano, najstarszego zaś syna jako łotra na szubienicy powieszono, a niewinny brat, został po śmierci ojca królem.

Olej. Trefnisiowi choremu, gdy dawano olej święty, zawołał: dla Boga! nie bardzo smarujecie, bo jak mi się kółka rozbiegają, to będę musiał prędzej wyjechać.

Oman. Był na Wschodzie król bardzo łagodny, miłosierny, miał tylko tę wadę, że siedząc na tronie, modlił się za nawrócenie pogan. Taka modlitwa niepodobała się Panu Bogu; przeto posłał do niego anioła, który przemieniwszy się w stadnika, stanął z maczugą na dachu pałacu królewskiego i począł na całe gardło wołać: ha how! ha how! niema tam gdzie stada dzikich tatarskich koni? Na takie wołanie, wybiegli dworzanie z królem i pytają, czego by żądał. On im powiada: zgubiłem stado dzikich tatarskich koni: więc takowe teraz szukam. Szalony człowiecze! powiada król, na dachu szukasz koni zgubionych. Tak jak ty, odpieraanied, na tronie siedząc, chcesz nawrócić pagany. Porzuć złote krzesło, obal tyraństwa panowanie! a tak nawrócisz pagany, i rzucił maczugę o ziemię, która

się wnet w smoka przemieniła i sadzi do niego. Król przeląkł się i po raz pierwszy w życiu upadł na kolana i modlił się bardzo gorąco. Bierz smoka za głowę, powiada anioł, on ci nie nie zrobi, niebój się! za jego pomocą odszukasz stado dzikich koni, poskromisz najpotężniejszego przeciwnika wiary prawdziwej i osiągniesz królestwo niebieskie. Bierze król smoka za głowę, który się wnet w maczugę przemienił, lecz i anioła nie było już na dachu. Rozważa on, że taka musi być wola boska, żeby się poświęcił. Zbiera tedy radę przyboczną, składa rządy królestwa synowi, a sam przywdziewa szatę pielgrzyma, z maczugą w rękę puszcza się, dokąd go oczy zaniosą. Szedł tedy cały miesiąc, niezdybując nigdzie żywej duszy. Ponurą ciszą rozległej pustyni przerywał modlitwą i śpiewaniem psalmów Dawida. Nareszcie ukazało się morze i stado dzikich koni, które postrzegłszy go, wnet przybiegły do niego. Przeżegnał się król i stado dzikich koni pobłogosławił krzyżem świętym, które na znak uszanowania prawie do ziemi głowy pochyliło. Najdzielniejszy z całego stada ogier wystąpił naprzód i przemówił: witam cię oddawna królu nasz pożądany masz moc nad nami, rozkazuj, a służyć cię będziemy! Myśli on sobie: to zapewne stado koni, które anioł u mnie szukał i podniósł maczugę w górę i wskazał na wschód. Konie głowy i ogony zadarły do góry, smętnie zarzały i naprzód pocwałowały. Pielgrzym w bogobojnem rozmyślanu pogrążony, zdążył za niemi powoli. Piątego dnia ustała wędrówka, a stado dzikich koni rozpaszło się na stepach Krymu. Tatarzy włóczący się tam i sam po stepach krymskich, gdy spostrzegli stado dzielnych koni, rozpalili się taką żądzą posiadania onych, że kilka razy zakradali się do nich, ale zawsze kopytami końskimi dobrze przywitani, odstąpić musieli ze wstydem. Nareszcie zbliżyli się do pielgrzyma i pytają, czyje to stado koni, tak dzikie? Pielgrzym odpierając powiada: konie są łagodne dla tych, którzy w Boga wierzą, pogan zaś nienawidzą, niekuście się o posiadanie onych, bo was na kawałki rozszarpia.

Poszli Tatarzy do swego króla, by mu zdać sprawę z tego, co widzieli. Król bezbożny miał Omana za boga, który przedzierzgał się w różne postacie. Z nim cudów dokazywał,

ufając tedy w siłę Omana, powiada: za parę dni będzie to stado koni na mojem dziedzińcu, ja muszę takowe dostać. Jakoż na czele hordy tatarskiej zbliża się do stada. Konie gryzą i kopytami tratuja hordę. Król puszcza swego Omana, który przemienił się w gadzinę. Pielgrzym też rzucił maczugę o ziemię, a z niej wydobył się okrutny smok. Najprzód pokonał obrzydłego Omana, a potem wzięwszy się do hordy, mnóstwo Tatarów trupem położył. Król zęby zacinał od złości i wołał ciągle: Oman! Oman! co ja bez ciebie pocznę? Wróciwszy ze wstydem do pałacu, rozgłosił po całym kraju, że ktokolwiek pokona stado dzikich koni, odda mu połowę majątku swego. Przebiera się pielgrzym za kupca, ukrywając maczugę pod długą kapotę, i prosi się na służbę do króla. Przyjęto go na szafarza. Na drugi dzień król każe mu jechać do piekarza, nabrac dosyć chleba i oddać do domu jego. Jedzie do piekarza naładował wóz chlebem i przywiózł na okopisko i porozkładał bochenki na grobach nieboszczyków Tatarów, królowi zaś powiedział, że oddał chleb do domu jego. Po chwili, wpadają dworzanie z krzykiem, że chleba nie mają. Król woła szafarza gdzie chleb? Oddałem do domu waszej królewskiej mości. Gdybyś był oddał, to by dworzanie o chleb nie wołali. Jeszcze raz powtarzam, że oddałem do domu twego, Panie, i przekonam cię, że w domu twoim chleb zastaniesz, proszę iść za mną. Idą razem aż na okopisko, gdzie ręką wskazując na rozstawione po grobach chleby, zawołał: Oto jest Panie! prawdziwe domostwo twoje, pałac jest tylko doczesnem pomieszkaniem tu jest twoja wieczność, oto jest dom twój! Król zdziwiony, powiada: widzę, że jesteś mądrym człowiekiem, powiedz że mi, jakim sposobem możnaby dostać to stado dzikich koni na stepach moich swobodnie pasących się. Tego nie wiem odpowiada szafarz, ale słyszałem od Tatarów, że te konie bardzo są łagodne dla tych, którzy w Boga wierzą, nienawidzą zaś tych, którzy bałwanom się kłaniają. Niepodołała się odpowiedź królowi, gdyż krzyknął: milcz, psie cygański! jeżeli się jeszcze raz poważysz coś podobnego mówić, to ci każe dać batogi. Nazajutrz gdy król udał się do Haremu, szafarz usadowił się na jego tronie i począł rozkazywać dworzanom, którzy z wrza-

skiem wielkim rzucili się na szafarza, bijąc i szarpiąc go niemiłosiernie. Na ten zgiewk i wrzawę uczynioną, wybiegł król z Haremu i pyta o przyczynę tego hałasu. Widzę, powiada szafarz, że to musi być wielka zbrodnia siedzieć na takim złotem krześle, bo kiedy mię za jeden moment siedzenia, dworzanie twoi tak obłożyli, cóż się z tobą dziać będzie w wieczności, jak ciebie tam bić będą, że tak długo bezbożnie panujesz. Porzuć to złote krzesło, a z niem i bałwany twoje, wierz w Boga prawdziwego, który jest w niebie i na ziemi, a stado dzikich koni samo przyjdzie do ciebie. Zgrzytnął zębami król i zawołał: ja ciebie nauczę psie cygański, jak ty masz czcić Boga, którego ja nie znam. Kazał go związać i rzucić do jaskini lwów drapieżnych. Związanego wieżą dworzanie, by spełnić wyrok królewski. Ale on w drodze prosi się, ażeby go przynajmniej rozwiązali, że on im poda sposób posiadania dzikich koni. Rozwiązali go. On wydobył z pod kapoty maczugę, która się w smoka przemieniła i rozszarpała wszystkich dworzan, którymi nakarmił lwy zgłodniałe, a konie z wozem puścił na cztery wiatry. Jeden tylko dworzanie umknął i opowiedział królowi, co się stało, że to nie był szafarz, jeno pielgrzym od stada dzikich koni. Król srodze rozgniewany, postanowił zemścić się i zebrał znaczne wojsko. Pielgrzym wita stado koni i oznajmia mu przez naczelnego ogiera, że wielka będzie walka, i prosi, by króla nieoszczędzał, gdyż póki on żyć będzie, wiara w jednego Boga nigdy się nierozkrzewi na Wschodzie. Zaledwie wychyliło się słońce i blaskiem swym ozłociło stepy Krymu, król siedzący na dzielnym arabie przyciągnął z licznem bardzo wojskiem i wydał bitwę pielgrzymowi, który rzuciwszy maczugę o ziemię, wypuścił smoka na króla i zastępy jego. Wre bitwa zacięta, Tatarzy jak snopy wałą się na ziemię, a widząc, że ich król został rozszarpany, broń rzucają i o' pardon proszą. Pielgrzym przebaczając bezbronnym i rozpoczyna misję nawracania. Przemawia do serca i przekonania ciemnych pogan, a gdy rozniecił światło wiary po rozległych stepach, przyszedł ze stadem dzikich koni pod górę Araratu. Tam stała się wielka odmiana. Maczuga przemienia się w człowieka i stado dzikich koni przybiera postać

ludzka, gdyż to były dusze w czyściu pokutujące i dziękują pielgrzymowi za swe wybawienie, który po jakimś czasie spoczął na górze Ararat i przeniósł się do królestwa niebieskiego.

Organista. Młodzież zwykle do wszystkiego się rwie. Pragnie wszystko obalić, a nowe wybudować, lubo częstokroć nieposiada ku temu zapasów, ani w głowie, ani w kieszeni. Otóż podobny wartogłowa uroił sobie, że on może być organistą. Idzie tedy do pewnego proboszcza i staje za organistego. Proboszcz przyjął go i kazał mu mszę zagrać. Wali tedy po klawiszach ni w pięć ni w dziewięć. Organy huczą lu, lu, lu, wa, wa, fiu, fiu, fiu, istny zrobił się chaos. Proboszcz ledwie mógł mszę odprawić. Przy końcu sam zaśpiewał: Do Ciebie Panie pokornie wołamy. Lecz i tej pieśni niezagrał organista. Po mszy powiada proboszcz: acan źle grasz, acan możesz sobie gdzie indziej służby szukać. Ja dobrze gram, odpowiada organista obrażony. Jakto woła proboszcz, nawet do Ciebie Panie! nieumiesz zagrać. Jakto? ja grałem do Ciebie Panie! ale kalikancista, zakalikował mi Gwiazdo morza! a to jeszcze o trzy tony niżej.

Paska. Ubogi gospodarz miał tylko kwartę mąki na całe gospodarstwo, a tu przychodziła Wielkanoc i trzeba było koniecznie coś dać poświęcić. Idzie on do lasu, wziął kawałek pniaka lipowego, porobił chresty z kwarty mąki, posmarował jajkiem z wierzchu i wsunął do pieca. Chresty upiekły się, a cały pniaczek zarumieniony przybrał kształt pięknej paski. Niesie tedy do cerkwi, rozłożył przed sobą i czeka na poświęcenie. Ale widząc, że sąsiad jego, bogacz, ciekawie spogląda na paskę, umyślnie odwrócił oczy i zagadał się z drugim. A tymczasem kradnie ów bogacz paskę i podsunął inną daleko większą. Chłop zobaczywszy co się stało, nic nie mówiąc, jeno podziękował Bogu za Jego Opatrzność i zabrał z sobą gdy ksiądz poświęcił, do domu, gdzie z radością zawołał: chodim dity jisty! pniaczek staw sia paskoju! i zjedli wszyscy. Bogacz zaprosił wiele gości, a nawet i księdza na święcone do siebie, a wszyscy podziwiali tylko jedną paskę, nareszcie zawołał go-

spodarz: a nu toji krasnoji paski i zaczął krajać. Ale chresty zleciały na ziemię, pozostał tylko pniaczek, a gospodarz wymówił: ubohyj, ałe mudrij.

Pieczeń. Przykrzył się chłopiec kucharzowi pieczenię krającemu, który dał kość chłopcu, że jej jeść nie mógł. Oddał mu ją chłopiec na talerzu mówiąc: pokraj mi ją waćpan. Na co rozśmiawszy się kucharz, dał mu kawał pieczeni.

Piekło. W pewnym klasztorze był przełożony bardzo surowy, jeść niedawał, bił i zamykał podwładnych. Mnichy go też niecierpieli. Opodal nieco klasztoru tego była karczma, którą piekłem nazywano. Przypadkiem zajechał tam rotmistrz od huzarów i zasłabł w nocy tak niebezpiecznie, że dwóch huzarów na koniach wysłano po księdza do pobliskiego klasztoru. W nocy przybywszy żołnierze, zaczęli szturmować i wołać łamaną polszczyzną: otworzcie, przychodzimy po starszoho pana do pekła. Służba klasztorna, która nigdy huzarów niewidziała, przestraszyła się niezmiernie tem niezwykłym najściem i rozumiała, że w samej istocie przybyli ludzie, z tamtego świata. Mnichy też przebudzone, cieszą się, że przecie raz djabli wezmą despotę klasztornego. A tak gdy jedni z radości, drudzy ze strachu otworzyli furtę, przekonali się, że to niebyli djabli, tylko huzary wzywający księdza do karczmy, którą piekłem nazywano¹⁾.

Pieniądze. Dwóch braci było rozumnych, a jeden głupi. Rozumni pędzili na jarmark woły i krowy, głupi zaś cielieczkę małą. Gdy przyszedł do brzozy, skrzypiała brzoza, a jemu się zdawało, że brzoza gada. Nuż tedy do brzozy, a kupysz telatko? a kupysz telatko? Brzoza odpowiedziała: kuplu!

¹⁾ O milę jedną za Przeworskiem oddalona jest karczma, którą piekłem nazywają. Koło tej karczmy znajduje się staw, który nazywają święte jezioro z tego powodu, że na tem miejscu był niegdyś kościół wielki, który podczas nabożeństwa wraz z ludem ogromnym zapadł się.

prywiezy do mene telatko, a po hroszi przydziesz wi wtorek. Zrobił tak, jak mu brzoza mówiła i wrócił do domu. Bracia wysmiali go i zgromili jego głupotę. Tymczasem we wtorek poszedł on do brzozy i znalazł tylko szkielet z cielęcia, że złości uderzył palicą ten szkielet, a z niego posypały się pieniądze, ale tak dużo tego było, że sam zabrać niemógł. Wrócił więc do domu i powiedział braciom, żeby po pieniądże jechali. Przyjechali bracia i zabierają pieniądze i powiadają głupiemu, żeby niemówił co wiezie. Na co głupi prostodusznie odpowiedział: ja prawdu skazu. Bijstia Boha ne kazy! — skazu, rzekł uporczywie głupi. Wiezie tedy starszy pieniądze, zdybał go dziadek i zapytał: szczo wezesz? Wuhle, odpowiedział i pieniądze przemieniły się w węgle. Wiezie młodszy pieniądze. Zdybał go dziadek i zapytał: szczo wezesz? Pszenyciu, odpowiedział i pieniądze przemieniły się w pszenicę. Wiezie głupi pieniądze, zdybał go dziadek i zapytał szczo wezesz? Hroszi, odpowiedział i przywiózł do domu pieniądze. A tym dziadem był sam Pan Bóg, który szczeroseć głupiego tak hojnie wynagrodził. Mierzą tedy bracia pieniądze ćwiercią od popa pożyczoną, a gdy oddali ćwierć, pop między obręczami spostrzegł dukata, nuż tedy do nich, skąd oni mają pieniądze. Wymawiali się, że oni węgle i pszenicę mierzyli, ale głupi mówił: my hroszi miryły. Pop tedy rozgniewany wziął się do bójki, w której niestety zamordowany i na rostajne drogi wyrzucony został.

Plaster. Człowiek pobił żonę tak dalece, że pokaleczone mając ręce i nogi do łóżka położyć się musiała. Do której gdy cyrulika zawołano, on na twarz plaster kładzie odpowiadając, że nie na te rany plastru potrzeba, ale na gębę, bo gdy milceć będziesz, niebędziesz bita.

Podobieństwo. W Krakowie u świętego Piotra wilk chowany wlaźł do izby, którą komorą zowią i wzięwszy jednego kazuisty książkę, wydarł z niej tylko naukę o poście i restytucyi, a inne zostawił; właśnie taka fantazyja heretyków.

Polak. Lucyper lustrując piekło, spostrzegł człowieka w rogatywce z wąsem sierdzystym i miną junacką, który w kącie jakiejś babie szeptał coś do ucha. Hej, służba, co to za jeden? To polak, odezwała się służba. Precz mi z tym urwytem, abym go tu więcej niewidział, niepotrzebuję rewolucyi w piekle.

Pomsta. W małym miasteczku był tokarz bardzo ubogi i zegarmistrz bardzo bogaty, który często wspierał tokarza. Ludzie bardzo się dziwowali, że zegarmistrz przywiązał się do takiego hołysza. Razu pewnego przychodzi tokarz do zegarmistrza i powiada: ludzie mi zazdroszczą, że mam takiego przyjaciela; wiesz co, ja chcę pójść z tego miasteczka, gdyż tu nie mam żadnego zarobku, jeżeli chcesz ze mną dalej żyć w przyjaźni, sprzedaj co masz i chodź zemną do wielkiego miasta, gdzie nam daleko lepiej powodzić się będzie. Usłuchał zegarmistrz rady przyjaciela, wziął dużo pieniędzy za swoje realności i wybrał się w podróż z tokarzem. W nocy przyszli oni do lasu, tam tokarz powiada do zegarmistrza: dalej już niepójdziesz, musisz tu zostać, ja cię zabiję. Ej zmiłuj się! dam ci pieniądze wszystkie, tylko mi życie daruj. To być nie może, powiada tokarz, musisz zginąć. Ej zmiłuj się! co ci z tego przyjdzie, że mię zabijesz, powiada zegarmistrz, patrz, oto ten księżyc zdradzi cię. Tokarz na to niezważając, palnął po łbie pałką i zabił zegarmistrza. Zabrawszy od niego pieniądze, poszedł do wielkiego miasta, gdzie stanął za czeladnika u sławnego tokarza, który miał córkę jedynaczkę. Rozbójnik bardzo był pilny, przez co zjednał sobie wielkie zaufanie mistrza, który mu oddał swoją córkę za żonę i cały majątek umierając zapisał. Odtąd wiele lat upłynęło, gdy razu pewnego jakiś pan jechał przez ten las i przy świetle księżycy spostrzegł coś białego pod krzakiem. Wysłany lokaj przyniósł kość. Pan ogląda kość i powiada: dam ja tę kość tokarzowi w mieście, możeby co z tego zrobił. Przyjechał do miasta i zaraz pytał się o tokarza jakiego zdolnego. Przywołali tego zbója, gdyż on był najporządniejszym obywatelem miasta. Pan mu pokazując kość, powiada: czy nie mógłby on co z tej ko-

ści wytoczyć. Dlaczego nie, odzywa się tokarz, ale skoro tylko wziął do rąk swoich, zaraz z kości krew pociekła. Pan zdziwiony odbiera kość, ale w jego rękę była zupełnie suchą, a gdy oddał w ręce tokarza, znowu krew ciekła. Może miałeś jaki przypadek, pyta pan tokarza. Nie miałem przypadku, powiada tokarz. Ale pan nie w ciemną bity, kazał tokarza aresztować, który przed sądem przyznał się, że zabił zegarmistrza, za co też został powieszony.

Uboży człowiek idąc drogą, spostrzegł kupca jadącego na koniu; zaraz pomyślał sobie: zabiję ja tego kupca, może sobie dopomogę. Jak pomyślał, tak też zrobił. Zabił kupca i pochował go w lesie, a pieniądze zabrawszy, począł dobrze gospodarować. W kilka dni potem, wypadła mu podróż przez ten las około północy. Zlął on z konia i poszedł z ciekawości na to miejsce, gdzie kupca pochował. Zaledwie stanął nad mogiłą, a z grobu zawołało tęsknym głosem: Boże, pomścij się krzywdy mojej! Z góry zaś odpowiedziało: pomszczę się, ale aż za lat trzydzieści. Morderca chociaż przerażony, jednak prędko się uspokoił tą myślą, że do pomsty było jeszcze bardzo daleko. Dobrze mu się powodziło, ożenił się niezle, miał dzieci, hulał sobie, a nawet powszechnie go szanowano. Śmiał się nawet w duchu z owej przepowiedni, uważając ten głos jako wynikłość wybujałej wyobraźni. Lecz Pan Bóg niezmiennie się, przeszły lata uciechy, a za nimi w ślad zdążyła pomsta. Dziewka raz poszła do miasta i kupiła w jatkach głowę cielęcą. Powróciwszy do domu, pokazuje pani co kupiła. Pani zemdląła, gdyż to była trupia głowa jakiegoś człowieka. Wybiegł pan ratować swoją żonę i patrzy, a głowa kupca nieboszczyka patrzy strasznie na niego. Zaraz rozbiegło się to po mieście i pana obywatela aresztowano, który przed sądem przyznał się do występku i został powieszony.

Popy. Pop mongolski uczepił się djaka, dla czego ludzie nieumierają. A cóż ja mam robić? pyta djak, aby ludzie umierali. Woźmy łopatu, ta urlaj po cmentari, powiada pop. Djak wziął łopatę i prosto ku domowi popa wołać począł. Wyśmienity był skutek, gdyż w kilka dni popadła mongolska

umarła. A bodaj tebe Boh pobyw, szto ty meni naroby w pesi synu, zawołał pop mongolski.

Miał gospodarz wiernego psa, którego bardzo sobie cenił, a gdy psisko zdechło, pochował go nie wiele myśląc na cmentarzu. Spozstrzegł djak świeży grób i doniósł popowi o tem. Idą tedy na cmentarz i widzą, że zapewne jakieś dziecko musi być pogrzebane, gdyż grób był niewielki. Wykopują tedy nazad i ze zgrozą spostrzegli, że to pies Iwana Pordysa. Kłyczycy meni Iwana, powiada pop do djaka. Przychodzi Iwan Pordys. Jak ty poważyw sia na światim cmentari sobaku pohrebaty? Widzi Pordys, że źle może być, bierze się na figle i mówi: Koby wy znały, szto to za czesna sobaka buła, taże ona wam widkazała cztery karbowañci. Szezo ty każesz? zawołał pop mongolski, djacze, idy peredzwony.

Pewien jegomość spowiadał się u popa mongolskiego; powiadał mu różne grzechy, nareszcie sądząc, że pop po łacinie nie rozumi, powiedział mu od niechcienia, „moechatus sum“. Pop tedy zadając mu różne pokuty, przy końcu powiada: a za taju mechatku, ciłu psaltryku peremachajesz.

Protopop mongolski zadał pytanie swoim podwładnym: czy może buty służba boża na borszczu? Wszyscy prawie z indignacją odpowiadali, że ne może buty. Jeden zaś wyrwał się, mówiąc: Otże ja maw na borszczu służbu bożu i dobra buła.

Pop skosił siano i rozrzucał w sobotę, żeby przez niedzielę wyschło. Ale podczas służby bożej, łup, łup, zaczął tęgi deszcz padać; pop obracając się do ludu z kielichem, zamiast co miał powiedzieć: zo strachom bożym prystupajte, zaświstał: fiu! fiu! nema moho sina!

Umarł w Perehińsku pop mongolski, djak myśli sobie: ja umiju czytaty, budu popom. Nuż tedy prawić służbę bożą. Dowiedział się o tem protopop i oskarżył djaka do Synodu. Wołają djaka do Synodu. Djak staje przed Synodem i wyklamuje się jak może. A że wtedy nie było wielu popów, więc Synod przekonawszy się, że djak umie czytać, chciał go popem zrobić. Ale przecież żądał, żeby cokolwiek umiał teologii. Więc pyta go, a znajesz ty teologiu? Czomu ni, odpowiedział djak.

No koły znajesz, to skaży nam: Noe maw trech syniw — Sem, Cham i Jafet, kto buw ich bat'kom? Toho jeszcze ne znaju! odpowiedział djak. Idyż do domu, powiada Synod, a jak budesz znaty, to przydziesz na świaszczenyje. Wraca djak do domu smutny. Zona wita go z radością, sądząc, że już jest popem. A myj popyku, jak sia majesz? Krct' mat' im mordowało, ja ne świaszczennyk, jak zadały meni chwestyju z teologii to i sam czort w toje by ne pomih. A precy, szczo tobi kazały? pyta żona. Fiu! fiu! jaka ty mudra, ne twoja to holowa do toho. Precy skaży myni, szczo to buło takoho? Ot, pytały sia: Noe maw trech syniw: Sem, Cham i Jafet, kto buw ich bat'kom? Ta ty ne mih skazaty, szczo Noe? A hdeż tam? Taże nasz susid Iwan Maruszczak maje trech syniw: Kiryło, Hawryło, taj Pafnucy, ta ktoż ich bat'kom? Iwan Maruszczak. Aha! teper znaju, zawołał djak uradowany i za kilka dni wybrał się do Synodu z oznajmieniem, że tę kwestyę dobrze wystudiował. Pyta tedy Synod: Noe maw trech syniw, — Sem, Cham i Jafet, ktoż buw ich bat'kom? Ani zakrzusiwszy się odpowiedział: Iwan Maruszczak. Synod w śmiech, i zawyrokował, że djak niemoże być popem. Ale djak począł się kręcić koło domu samego władyki. Lokaje dowiedzieli się, że ma karbowañce, przebrali się w suknie duchowne i zaprosili djaka niby do władyki. Karbowañce odebrali, bili djaka książką po łbie, smarowali sadłem śmierdzącym ręce, nogi, głowę, wasy i brodę i powiedzieli, że już jest wyświęcony. Djak uradowany, przyjeżdża do domu i prawi nabożeństwo. Dowiaduje się protopop i pyta, jakim prawem może odprawiać nabożeństwo? Na co mu djak odpowiedział: że go sam władyka święcił. Protopop daje znać do władyki. Rozgniewany władyka, woła djaka. Staje tedy djak przed władyką, który go pyta: czy ja tebe światyw? Ni, odpowiada djak, a właśnie wszedł do pokoju lokaj władyki, którego djak spostrzegłszy zawołał: toj pan, koby zdrow! mene światyw. A ty jak mógłś święcić? zapytał władyka lokaja. Wielkie rzeczy, odpowiada lokaj, pan tyle już wyświęciłś, a ja nic niemówię, a że jednego wyświęciłem, to się już pan gniewasz. Rad, nierad, władyka musiał djaka zrobić popem.

W cerkwi mongolskiej był obraz, przedstawiający Abrahama ofiarującego syna swego Izaaka. Lecz zamiast miecza trzymał Abraham w ręce pistolet, a z góry anioł sik, sik! na panewkę powiada, ne striliysz Abrahamku!

Władyka wizytując cerkwie, znalazł zamiast krzyżma, dziegieć w ampułce. Gdy popa o to sztrofuje, on mu odpowiada: Panie! choćbym chłopca balsamem smarował, to on zawsze dziegiem będzie śmierdział.

Oskarżyła gromada popa, że nie pilnuje nabożeństwa, że w kabakach przesiaduje. Popa wpakowano na rekolekcyje. Po jakimś czasie wraca pop i każe w niedzielę kołatać na słuźbę bożą. Gromada cieszy się, że popa poprawili. Ubiera się do mszy i siada sobie za ołtarzem. Ludzie czekają, krząkają, kaszlą, kichają, nogami szurują. Pop siedzi. Wytrzymałszy gromadę dwie godziny, wstaje, a otworzywszy carskie wrota, powiada: Wo imia Otea i Syna i światoho Ducha Amiń. Słuchajcie lubeznij chrystjany, wsi prawasławnoi wiri! Oto jak Hospod Boh chodyw po świti i nauczaw czeřez prorokiw, to i ja jako pastyr, a wy moi wiwci, was także muszu nauczyć. Oto tak! buw sobi haj, a w tomu haju zajać, a na toho zajacia sobaki breszut, tak i wy obrechałyście mene, oszczekałyście mene, traćcia matery i baťkowi waszomu, Amiń. Zaczyniaj dzieze cerkwu, bo wże pora jisty.

Potomek. Wdowiec szukał sobie drugą żonę, a znalazłszy nie bardzo młodą osobę, otrzymał od niej przyrzeczenie, że pójdzie za niego, jeżeli niema żadnego potomka. Wdowiec zaklinał się na swoje szpakowate włosy, że po Tomku nie ma żadnego dziecka. Odbył się więc ślub, poczem zabrali się do domu. Zaraz na samym wstępie, obstała ich gromadka dzieci, wołających: Tatko przywiózł nam matkę. Zmiłuj się, co to znaczy, zawołała żona, wszak zapewniałeś mi, że o potomku nic nie wiesz, a tu tego więcej jak potrzeba. Jak Boga kocham, tak prawdę mówiłem. Tomek: pójdź tu, oto jest najmłodszy synek mój! a po Tomku niemasz żadnego dziecka.

Powinszowanie. Jeden oracyą na weselu chąc zacząć od erudycyi, rzecze: Juno z Palladą, ale tak się zaciął, że powtarzając raz i drugi raz, dalej nie mógł nie powiedzieć. Ktoś z kąta wyrwał się, mówiąc: Juno z Palladą wsiadłszy na gniadą, jak jadą tak jadą, a ty stoisz. Wszyscy w śmiech.

Prawo. Jeden rzucając śnieg z dachu spadł i zabił idącego człowieka, a jemu samemu nic się nie stało. Nieboszczyka brat nastawał, aby głowa za głowę ginęła, niekontentując się zapłatą. Więc osądzono, żeby on też co, intrygował, spadł na zabójcę.

Prezent. Biskup Wydzga, gdy mu ksiądz ofiarował dukata, na którym był z jednej strony król Sobieski, a z drugiej królowa Marysienka o beneficjum prosząc, rzekł: Któżby dla tego Państwa nieuczynił?

Promenada. W pewnym mieście na balu znajdowało się wiele osób, między innymi były też dwie mieszczańskie istne małpy. Przyszły one zapatrywać się na dziwaactwa kręci-główek, aby się potem przestroić w dziwoląga. Otóż uważały one na każdy ruch, skinienie i mowę gości. Ktoś zmęczony tańcem, powiedział: teraz pójdziemy na promenadę. Kilka osób udało się razem na tę przechadzkę, poczem wstąpili do bufetu. Owe mieszczańskie nierozumiejąc, co jest promenada, dalej za niemi do bufetu, wołając: panie Lawakowski, proszę nam dać dwie szklanek promenady.

Przekonanie. W Warszawie w nocy hultaje napadli pewnego obywatela, a obdarłszy go, jeszcze utopić do Wisły prowadzili. Zapytał się ich, dokądże to mię prowadzicie? Do Wisły utopić, odpowiedzieli mu. Moi łaskawi panowie! zawołał obywatel, cały dzień piłem wino, niechże nie mieszam innego trunku, bo mi bardzo szkodzić będzie. Co też rozśmieszyło hultajów do tego stopnia, że go zdrowo puścili.

Przeznaczenie. Pewnej matce przepowiedziano, że jej syna w dwudziestym roku powieszą. Biedna matka stroskana pielęgnowała swego synaczka i zaprawiała go do bojaźni Boga i miłości bliźniego. Rósł tedy chłopiec w pobożności wielkiej i ludzie kochali go bardzo. Przyszedł nareszcie rok dwudziesty. Na matkę śmiertelne biły poty, gdy o fatalnej przepowiedni pomyślała. Krok w krok za nim chodziła, żeby nie popełnił jakiej zbrodni w tym czasie. Młodzieniec był bardzo moralny, sam siebie też pilnował. Już był dzień ostatni roku dwudziestego wieku jego, w którym przesilić się miała przepowiednia. Właśnie położył się był młodzieniec do łóżka i spał snem sprawiedliwych. Biedna matka czuwała nad jego łóżem i modliła się. Przed dwunastą godziną w nocy, przyszło pięciu ludzi do świetlicy, wyciągnęli młodzieńca śpiącego z łóżka, dwóch stawiało szubienicę, trzeci czytał wyrok śmierci, czwarty był ksiądz, a piąty był kat, który spełniał wyrok śmierci na młodzieńcu. Po spełnieniu wyroku zdjęli młodzieńca z szubienicy i położyli go do łóżka, poczem wszystko zniknęło. Matka przerażona srogim tem widzeniem przypadła do swego syna, który był całkiem zdrow, spał wybornie i pozbył się strasznej przepowiedni.

Przymierze. Kozacy z Tatarami zrobili na kilka dni przymierze, którego nie dotrzymawszy im, uderzyli w nocy na nich. Gdy się Tatarzy upominali o przymierze odpowiedzieli: żeśmy na kilka dni zawarli przymierze, a nie na nocy.

Przysłowie. Pobożna pani często bardzo proboszczowi swemu posyłała różne upominki, które on zwykłym przysłowiem: kto co robi, sobie robi przyjmował. Już też uprzykrzyła się pani taka odprawa i spiekła kołacz, w którym była znaczna ilość zabijającej trucizny i posłała proboszczowi. Gdy powróciła służąca, zapytała się pani, co mówił proboszcz? A cóż miał mówić innego: kto co robi, sobie robi odpowiedziała służąca. Obaczym komu to się zrobiło, odparła pani tryumfująco. Ale nieszczęście chciało, że jedyny syn tej pani powracając z dalekich krajów, zanocował u proboszcza nie mogąc zdążyć

do domu. Proboszcz uraczył go kołaczem od matki jego upieczonym, po której uczcie syn zakończył życie w nocy. Wielki lament powstał w domu tej pani, która niestety zapóźno przekonała się o tem: że kto co robi, sobie robi.

Psy. W Horodence fundował klasztor Misjonarzy Mikołaj Potocki starosta Kaniowski. Wiemy, że miał zatargi z Misjonarzami, że raz chcieli opuścić klasztor z jego przyczyny, wyszli już nawet byli z krzyżem. Wiadomo i to, że przez nich Potocki zmienił obrządek. Z woli rządu zniesiono Misjonarzy w Horodence, a na ich miejsce sprowadzono żołnierzy chorych i założono lazaret wojskowy w klasztorze. Niewiedzieć skąd przybył za żołnierzami duży pies czarny, przed którym wszystkie inne psy uciekały, Straszny był on i ludziom, zwłaszcza żołnierze często posterunek swój w nocy opuszczali, stąd też bywały dotkliwie kary na tchórzów wymierzone. Jakiś Feldwebel, czy też porucznik, srożył się na podwładnych za dezercyę z posterunku. Razu pewnego zabawił się w mieście dosyć długo; pies czarny położył się przed drzwiami jego. Powracając do domu, gdy spostrzegł psa przed drzwiami leżącego, ów rycerz Feldwebel, czy porucznik, sam stehórzył i poszedł między żołnierzy spać. W dzień chodził ten pies po klasztorze, nie jadł, jeno wył przeraźliwie, jeżeli miał który żołnierz umrzeć. Bardzo wielu wymarło żołnierzy w tym klasztorze, przez co też lazaret zmienić musiano, poczem i pies czarny gdzieś się podział. Mówiono: że to był Mikołaj Potocki, pokutujący, albo jeden z Ojców Misjonarzy.

Na starość wypędzono psa z domu. Idzie tedy psisko i lamentuje bardzo. Czego ty płaczesz? pyta wilk sobaki A jakże nie mam płakać, póki byłem młody, to mię wszyscy lubili, a teraz gdy straciłem zęby, precz mię wyrzucili, ledwie już chodzę, gdyż dwa dni nie jadłem. Nie turbuj się, powiada wilk, widzisz tam kobyłę, zaraz będzie pieczeń. Nuż tedy gryź ziemię i łapami drapać, a gdy zakończył tą robotę, zapytał psa: a co najeżyła mi się szersć, a ogon czy się zakręcił? Oj zakręcił ci się ogon i szersć się najeżyła, mój wilku, pies

odpowiada. Wilk ogłaskany, tą mową pochlebną rzucił się na kobyłę i w gmieniu oka leżała ona już nieżywa. — Bankiet tedy był wymieniony, pies podjadłszy sobie, zadarł nos do góry i wyszczekuje z wielkiej buty i radości. W tem nadbiega kot z tego samego domu, w którym niegdyś pies był. A ty co tu robisz? zawołał pies na niego. A to, co i ty, odpowiedział kot, mnie także wypędzili, błąkam się nieszczęsny i głodny, dwa dni już nic nie jadłem. Nie turbuj się, zawołał pies, widzisz tam kobyłę, zaraz będzie naszą. Nuż tedy jak wilk, pazurami drapać, a co uchwyci trochę ziemi, to się zaksztusi, nareszcie za- pytał: a co zakręcił mi się ogon a szerść czy się najeżyła? Kot powiada: że nie. To nie, to nie! obaczysz co tu będzie! zawołał pies i rzucił się do kobyły; ale kobyła jak go palnie nogą, tak pies przewrócił się i zęby wyszczerzył. Kot widzi, że się pies już nierusza, powiada nad nim. teraz ci się szerść najeżyła i ogon zakręcił.

W Gdańsku sługa idąc za panem swoim, polakiem, ukradł u gdańszczanina pieska małego. Co spostrzegłszy, dał panu pozew ów mieszczanin i na mocy prawa dobył pieska zapierającemu się służbę z kieszeni, za którego pan musiał zapłacić wszystkimi pieniędzmi, które wziął za zboże. Straciwszy tedy wszystko, pojechał do Polski, nzbierał psów różnych, przywiózł tego co niemiara do Gdańska i stanął u owego gospodarza, a uprosiwszy sobie o ehliw dla onych psów, odszedł ich na kilka dni. Psy z głodu tak były przeraźliwie, że ich gospodarz musiał powypuszczać. O czem dowiedziawszy się szlachcic polski, pretenduje za psy przez prawo wzięwszy proporcją od owego pieska, którego musiał zapłacić tak drogo i dowodząc, że to były psy królewskie, chciał tedy za nich 60,000 złr. Za wielkimi instancjami ledwie przystał na 30,000 złr., co też wynagrodziło mu się, co za służbę swego zapłacił.

Jeszcze jedna psia przygoda:

Lis opowiadał bajkę,
A pies kurzył fajkę,
Na długim cybuchu
I upiekl sobie ucho.

Raz a dobrze. Powadzili się o coś raz polak i niemiec; od słownych huków, przyszło aż do buków. Gdy sobie trochę podtrzepali, wytrzymać twardych od polaka tyktów nie mogąc niemiec, zemknął z placu, jednakże do swej niemieckiej kompanii przyszedłszy, o wiele polaka przewyższał w bitwie, z wielką chlubą powiadał, zataiwszy jak ciężkie od obucha polskiego razy pobrał, temi się przed nimi chwalać słowy: wiele i mnie i temu polakowi na obrocie zależało, ale widzę nierazny jakiś polak, ja go coraz i często koszałką, a on mię kiedyś niekiedyś obuchem.

Rolnik. Pewien gospodarz ciągle wzdychał: żeby to w jego mocy było spuszczać deszcze, jakby on się dobrze miał przy tem. Wysłuchał Bóg jego prośby i dał mu władzę nad deszczami. Uszczęśliwiony gospodarz orze, sieje, spuszcza deszcz kiedy chce, nareszcie przy końcu żniwa pokazało się, że daleko mniej zebrał, niżeli drudzy gospodarze. Skarzy się Bogu, że został oszukany. Na to odpowiedział Pan Bóg: a prosileś mię o rosę! Otóż widzisz kpie, nie miészaj się do mego gospodarstwa.

Romega. Ubogi rolnik miał syna, którego nie mogąc utrzymać, dał na służbę do zamożnego pana. Tam tedy najprzód pasł gęsie, które tak wyuczył, że jak tylko krzyknął, to one rzędem szły, jak żołnierze. Podobała się panu taktyka chłopca i dał mu cielęta pod dozór. Miał on z cielętami dosyć kłopotu, gdyż szelmy ogon zadarłszy, uciekały niewiedzieć dokąd i za czem. Bicykiem przyprowadził ich do porządku, że na komendę jego, jak żołnierze równo iść musiały. Potem dali mu łoszęta. Z temi djablami miał wiele kłopotu, bo to strasznie bujnie i głowę i ogon do góry zadzierało, a do tego jeszcze tylnymi nogami wierzgało. Poskromił on tę butę łoszaków z ciężką biedą, a gdy zawołał, to te łoszaki jak żołnierze maszerowali. Pan widząc to, tak go pokochał, że mu zarząd nad lokajami powierzył i dał mu imię: Kozak Romega. Służył on temu panu z dziesięć lat, nareszcie podziękował za służbę. Pan nie chciał go puścić od siebie, ale

on jak się napał, tak pan uwolnił go od służby i kazał mu wziąć sobie, co mu się podoba. Wyprosił sobie tylko jednego konia, żeby piechotą nie chodził. Pozwolił mu pan wybrać sobie najpiękniejszego rumaka. Idzie on do stajni, gdzie stały konie; jeden koń popatrzył się na niego, zaraz on tego konia wziął dla siebie, osiodłał go, a pan dał mu jeszcze dosyć pieniędzy na drogę. Jedzie on sobie, nie wiedząc w którą stronę ma się obrócić, a koń powiada do niego: nieprowadź mię, ja cię sam zawiezę do takiego miejsca, gdzie ci będzie bardzo dobrze. Pędzi zatem trzy, albo cztery dni prosto do jednego zamku, w którym była żelazna brama. Koń stanawszy przed bramą, uderzył kopytami, a brama otworzyła się sama i wleciał na dziedziniec. W tym zamku mieszkała czarnoksiężniczka samotnie bez krewnych, bez przyjaciół i sług. Przyszedł do niej Kozak Romega i prosi, żeby go na służbę przyjęła. Przystała na jego prośbę i służył jej dwa lata. Potem poszedł do swego konia i powiada mu, że już dalej czarownicy służyć nie będzie. Jeżeli tedy nie chcesz służyć dalej, mówi koń, nie żądaj od niej innej rzeczy, prócz tej. o której ona nie wie. Idzie on do niej i dziękuje za służbę. Ona pyta go, co mu się będzie za służbę należało. On mówi, że nie chce, jeno to, o czem ona nie wie. Szuka ona tedy po szafach, po różnych kątach, nareszcie przysłała do komody, wyciąga jedną, drugą szufladę, w trzeciej szufladzie znalazła miecz i kontusz, o czem w samej istocie nie wiedziała. Dała mu ten miecz i kontusz i mówi: niech ci to służy na pamiątkę, a kiedy będziesz na wojnie, to zrób tylko krzyż święty tym mieczem, a z nieprzyjaciela krew pocieknie i już go więcej nie będzie.

Podziękowawszy za te dary, puścił się swoim koniem w dalszą drogę i przyjechali do miasta, w którym był król bardzo nieszczęśliwy, gdyż przez lat dziesięć prowadził wojnę z królem Murzynów o to, iż tenże chciał córkę jego poślubić, a on jej za murzyna dać nie chciał. Ale do tego przyczyniała się jeszcze niegodziwość córki, która chciała mieć murzyna i poduszczała go przeciwko własnemu ojcu. Dowiedziawszy się o tem Kozak Romega, powiada, że tę wojnę zakończy.

Król uradowany powierzył mu dowództwo swego wojska, i wysłał go na wojnę. Gdy stanął na placu boju, zrobił krzyż mieczem; z murzynów krew tylko pociekła i już ich nie było, a króla ich pojmano i do więzienia wtrącono. Lecz królowna dowiedziała się, że Romega kontuszem i mieczem zwyciężył wojsko murzyńskie, koniecznie też chciała wykraść te rzeczy od niego, ale on na kołku zawsze nad łóżkiem swoim one wieszał i miał je ciągle na oku. Królowna kazała uszyć podobny kontusz i zrobić taki sam miecz, a zawiesiwszy te rzeczy, dała swemu kochankowi i uwolniła go od więzienia. Udał się do swego kraju, zebrał wojsko i wydał na nowo wojnę królowi, który nie bardzo się przestraszył, mając nadzieję, że Romega zwycięży wojsko i króla Murzynów wsadzi do klatki. Jedzie Romega na wojnę na czele swego wojska, a stanawszy na placu boju, zrobił krzyż mieczem, ale murzynom nie się nie stało, zrobił drugi raz krzyż, lecz i drugi raz bezskutecznie, zrobił trzeci raz, a w tem jak wypali murzyn z rusznicy, taj Romega zleciał z konia, a murzyni przypadli, w drobne kawałki rozsiekali Romegę, kawałki w worek włożyli i koniowi jego do szyi przywiązali, który prosto pobiegł do czarnoksiężniczki. Ona wiedziała, że to szczątki Romegi, poskładała do kupy, maściami posmarowała i Romega zdrów powstał i podziękował swojej dobrodziejce. Tymczasem król został pobity, a królowna poszła za murzyna. Romega siada na konia i powiada: jedźmy do kraju murzynów, Zawiózł go koń do kraju murzynów, a gdy tam stanęli, powiada do niego, przemień ty się w konia, a ja przemienię się w dziada. Romega przemienił się w konia i prosto poleciał na dziedziniec pałacu królewskiego, tam począł się bardzo uganiać, zaraz złapali go i zaprowadzili do stajni. A że był koniem nadzwyczaj pięknym, przeto schodzili się wszyscy patrzeć na niego. Przyszedł sam król z królową, a on do nich, chciał ich zabić, ale królowa zawołała: to kozak Romega i kazała go zarznąć. Nadbiegła śliczna dziewczyna patrzeć się na śmierć konia, a on do niej powiada: jak mię rznać będą, umaczaj kawałek płótna we krwi mojej i rzuć na ogród królewski. Dziewczyna umaczała płatek we krwi konia,

gdy go rzęli, i rzuciła ten płatek do ogrodu, z którego na drugi dzień złota jabłonka wyrosła. Chodzi król z królową po ogrodzie i stanęli przed złotą jabłonią, która się wstrzęsła tak mocno, że aż jabłka pospadały. Królowa zawołała: to kozak Romega i kazała porąbać drzewo. Nadbiegła znowu ta śliczna dziewczynka, do której jabłoń powiada: jak mię rąbać będą, przyjdź tu z dzbankiem i nadstaw ten dzbanek tak, żeby do tego dzbanka drzazga jedna wleciała, a potem wyrzucisz tę drzazgę do sadzawki. Dziewczyna zrobiła tak, jak jej drzewo kazało, a na trzeci dzień ukazał się złoty kaczor po sadzawce pływający. Przychodzi król z królową i powiada: jaki piękny kaczor, królowej także się podobał. Chodźmy do sadzawki, powiadają oni. skapiemy się i kaczora złapiemy. Pozruchali na brzegu swoje suknie i wleźli do wody. Kaczor przed nimi pomyka, oni za nim przyszedli aż na przeciwną stronę, gdzie też znikł im z oczu. Nim wrócili do brzegu, Romega już ubrał się w kontusz i miecz wziął do ręki i zawołał: a tuście szelmy! Zaraz im śmierć zrobił, ożenił się z tą śliczną dziewczyną, która go ratowała, i koń wrócił do niego i został kozak Romega królem murzynów.

Roraty. Otóż masz Roraty, djable rogaty! To przysłowie stąd powstało: Pewna dama rano jadąc na roraty do kościoła, lekko bardzo się wybrała, a że był tęgi mróz, od zimna na piękne zamarzała. Stanąwszy przed kościołem, lokaj otworzył drzwiczki powozu, aby pani wysiadła; ale pani nie mogła wstać. bo już nie żyła. A że miała głowę utrefioną lokami, więc lokaj zawołał: otóż masz roraty, djable rogaty.

W pewnem miasteczku była szewczycha pobożna, która bardzo lubiała chodzić na roraty. Jednego roku postanowiła te roraty przez całą zimę przeciągnąć. Sprzykrzyło się to szewcowi; pewnego poranku, gdy gospodyni jego do kościoła się wybierała, z gniewem zawołał: co u licha, czy i dziś Roraty? wszak ci to post wielki! Tak jest, odpowiedziała pobożna niewiasta, w kościele naszym zawsze są roraty i wyszła z domu. Szewc znieczierpliwiony, ukradkiem poszedł za nią i przekonał się, że żona jego zamiast do kościoła, do kar-

czemki wlaża modlić się Panu Bogu. Wrócił on do domu nie nie mówi; aż dopiero na drugi dzień, gdy żona znowu wybrała się na roraty, poszedł on za nią z tęgim bykowcem i zaczął się za domem, gdzie się roraty odprawiały. Za godzinę wylazi szewcowa z karczmy, a szewc jak zacznie okładać bykowcem, tak ją zbił, że ledwie nieboga przywlekleła się do domu. Szewc zatyłkami idąc, o wiele uprzedził swoją żonę i spiewa sobie godzinki za warsztatem. Aż tu przychodzi żona, płacze, stęka i jęczy. Szewc rozczulony przypada do niej i pyta: cóż to się stało, co ci duszko moja. Szewcowa z płaczem powiada: ach gorzkie moje roraty, upadłam i potłukłam sobie gnaty. A szewc na to: nie było chodzić na roraty, nie byłabyś sobie potłukła gnaty.

Rozbójnicy. Myśliwy chciał zastrzelić kaczora. Ale kaczor zawołał, nie strzelaj mię, ja ci będę w nocy do pomocy. Bierze tedy kaczora z sobą. Idzie dalej, wyskakuje kot, złożył się do niego; ale kot zawołał: nie zabijaj mię, ja ci będę w nocy do pomocy. Wziął tedy kota z sobą, idzie dalej. Wybiega kogut, mierzy do niego, ale kogut woła: nie strzelaj do mnie, ja ci będę w nocy do pomocy. Bierze więc wołu z sobą, idzie zdziwiony, w czem ta hałastrą dopomagać mu będzie. A że już noc zapadła, przeto do pierwszej lepszej karczmy na noc zagościł. Lecz gospoda była siedliskiem zbójców, o czem myśliwy nie wiedział. Wół stanął sobie u drzwi karczmy, kogut wylazł na piec razem z kotem, a kaczor wlaź do cebrzyka, gdzie była woda. O pół nocy przyszedli rozbójnicy i radzą, jakby tego myśliwego zabić. Jeden najodważniejszy naprzd poszedł do świetlicy, ale kot skoro go zobaczył, skoczył mu do ócz i twarz podrapał, cofnął się ku drzwiom rozbójnik a wół uchwycił go na rogi i podrzucił do góry, kaczor zaś śmiejąc się woła: tak, tak, tak! a kogut ciągle wykrzykuje: podajcie no go tu, podajcie no go tu. Rozbójnik ledwie zebrał kości swoje i powiada towarzyszom: uciekajmy ztąd, tam

ich bardzo dużo, jeden mi oczy wydrapał, drugi palnął po łbie, jeden śmieje się wołając: tak, tak, tak! ledwie uciekł z duszą, bo znowu inny wołał: podajcie no go tu! podajcie no go tu! Drudzy to usłyszawszy, precz pouciekali i zostawili pieniądze, które myśliwy rano wstawszy zabrał.

Rozbójnik. Szewc miał ładną żonę, a jeszcze piękniejszą młodziutką córkę. Lecz jakoś oboje nienawidził i myślał ciągle, jak by ich ze świata zgładzić. Pił tedy nieustannie i zrobił sobie dużą, a ostrą szpilkę, za pomocą której postanowił sobie żonę najprzód na tamten świat wyekspedjować. Wkrótce zdarzyła mu się bardzo dobra sposobność ku temu. Zaproszono go na wesele z żoną i córką. Szewc pił na weselu dobrze, potem tańczył z różnymi osobami nareszcie z swoją żoną sztajera, czy obertasa, i wsadził jej prędko szpilkę w ucho, którą jeszcze prędzej drugim uchem wyciągnął. Żona upadła krwią zalana. Wszystkim z dawało się, że ją paraliż naruszył. Szewc okrutnie narzekał na ten apoplektyczny napad, z płaczem wielkim pochował swoją żonę za którą córka bardzo żałowała, i często bardzo kiedy ojca nie było w domu, biegła na cmentarz, by zapłakać i pomodlić się na grobie swej matki. Szewc nudził się bardzo, że nie miał żadnej sposobności do pozbycia się swojej córki. Wiedział on o tem, że ona bardzo chętnie na cmentarz uczęszcza; przeto razu jednego mówi on do niej: chodź zemną na cmentarz, pomodlimy się na grobie twojej matki. Córka rada temu, idzie na cmentarz, modlą się oboje. Ale ojciec powiada: przejdźmy się jeszcze do lasu, dzisiaj taka piękna pogoda. Idzie ona do lasu, a gdy już byli w gęstwinie drzew, tam ojciec przywiązał ją do drzewa i chciał ją zamordować. Lecz ona bardzo się prosiła, ojciec na to niezważając, uciął jej jedną i drugą rękę, i zostawił we krwi, żeby męcząc się skonała. Ale Bóg cudowny niechciał zguby swego stworzenia, niekazał jej umierać. Jęczała tam nieboga długo, lecz nikt nie zlitował się nad nią. gdyż to miejsce było nieprzystępne, nikt niechodził tamtędy. Tydzień minął, gdy niebożatko dziewczę omdlałe od głodu i bólu, zawołało. Boże mój, Boże! ratuj mię. Usłyszał ten głos królewicz, bawiący się ło-

wami, i kazał ludziom iść za tym głosem i przysli pod drzewo, gdzie nieszczęśliwa dziewczyna dogorywała. Prędko donieśli królewiczowi o tem, który sam przyszedł na to miejsce, kazał odwiązać dziewczynę i włożyć do karety. Przywiózł do pałacu pokryjomu, gdyż miał bardzo złą matkę i prosił sługi swoje, żeby nie niemówili przed królową. Pokryjomu leczył doktor tę dziewczynę, która powoli przychodziła do siebie i zajęła mocno królewicza swoją urodą, który mimo jej kalectwa zakochał się w niej. Prosił królewicz, żeby mu powiedziała, kto ją do takiej nędzy przyprowadził. Lecz dziewczę szesnastoletnie, a do tego kochające ojca, mówiło, że jakiś człowiek wciągnął ją w las, przywiązał do drzewa i ręce jej poucinał. Królowej matce wpadło to w oczy, że królewicz niewychodzi z swego pokoju, a gdy czasem wyjedzie na łowy, zamyka starannie pokój i prędko bardzo powraca. Wydarzyło się w tym czasie, że królewicz musiał iść na wojnę, która pół roku trwać miała. Odjeżdżając powierzył biedną dziewczynę najwierniejszemu słudze, żeby miał o niej staranie.

Gdy królewicz wyjechał, matka jego koniecznie chciała widzieć pokoje syna. Sługa opierał się temu, mówiąc: że królewicz z sobą zabrał klucze od pokoju. Lecz ona kazała drzwi otworzyć ślusarzowi i weszła do jego pokoju. Biedna dziewczyna ledwie nie omdlała, ujrawszy złośliwą matkę królewicza przed sobą. Wyznała przed nią wszystko, co się stało i prosiła o miłosierdzie nad sobą. Natychmiast napisała list ostry do syna, czyniąc mu niesłychane wyrzuty, że jakąś kalekę wprowadził do pałacu bez jej zezwolenia. Syn otrzymawszy list od matki, prosi ją na miłość Boga, żeby tej dziewczynie nie złego nierobiła, że skoro wojna się skończy, to on przyjedzie i weźmie ją sobie za żonę. Matka przeczytawszy list, wpadła w srogą zapalczywość, a do tego jak gdyby na złość przysli słudzy i powiedzieli jej, że dziewczyna bez rąk syna porodziła. Wnajwiększej tedy złości, kazała ją rzucić do więzienia razem z dzieckiem, a siadłszy, do syna list napisała, donosząc mu, że jego straszdyłko nie człowieka, jeno psa porodziła. Syn błaga matkę, żeby tej biednej dziewczynie nie zrobiła, póki on nie wróci z wojny, że przebłaga matkę i cokolwiek Bóg

dał, on to za swoje przyjmie. Matka jeszcze gorzej się rozgniewała i postanowiła ją stracić. Wynędziała i schorzała wywleki z więzienia, wywieźli za miasto, gdzie w przytomności matki królewicza mieli ją zabić. Lecz jak zaczęła nieszczęśliwa płakać i prosić się, tak sami oprawcy ulitowali się nad nią i nie chcieli ją zabić. Toż samo wzruszyło cokolwiek matkę, kazała jej przywiązać do piersi dziecko i cokolwiek pożywienia, żeby sobie poszła i niewracała więcej. Szła tedy nieszczęśliwa, oczy tylko i serce do Boga wznosząc, że ją tak dziwnymi prowadził drogami. Weszła w gęsty las, którego końca dopatrzeć nie mogła. Rok cały szła tym, lasem, a zdybawszy starego dziadka, pytała go, czy daleko koniec tego lasu będzie. Dziadek powiada: że lat sześć jeszcze ciągnąć się będzie. Biednaż moja godzina, co ja tu sama robić będę, i prosi go, żeby jej dziecko do drugiej piersi przywiązał. Dziadek nie odmówił tej przysługi, przywiązał dziecko i dał jej cokolwiek pożywienia. Szła ona znowu cały rok lasem i zdybała dziadka, który odwiązał dziecko, gdyż więcej nie potrzebowało ssać piersi. Chłopak zaczął już chodzić i mówić, ona siadała na ziemię, a chłopaczek chwycił się rączkami za szyję i na plecach matczynych dalszą podróż odbywał. Trzeciego roku zdybała znowu dziadka, który chłopczkowi dał piękną koszulkę z przepaską niebieską i trzewiczki na nogi. Matka biedna już miała pomoc z niego. Wyuczyła go pacierza i wpajała w niego miłość Boga i bliźniego, a chłopaczek zbierał po drodze jagody i owoce różne i podawał swojej matce, która dalszą odbywała drogę w tej nadziei, że przebywszy las, może trafi na dobrych ludzi, którzy jej rękę pomocną podadzą. Czwartego roku zdybała dziadka w lesie, który dał chłopczkowi surducik, spodnie i trzewiczki na nogi. Podobnie zaopatrzył go dziadek piątego i szóstego roku. Ale siódmego roku, gdy już z lasu wychodzić mieli, przyszedł dziadek, dał chłopcu nowy ubiór i piszczałkę. Idą tedy samymi polami, nareszcie zbliżyli się do studni, a chłopcu koniecznie pić zachciało się. Matka mówi: studnia dosyć głęboka, a tu nie ma czem tej wody naczepać. Chłopiec koniecznie napał się tej wody, położył się na ziemię rozumiejąc, że rękami cokolwiek zaczerpnie tej wody, ale zanadto

pochyliwszy się, upadł do studni. Matka w płacz, a cóż ja teraz biedna pocznę, czem ja cię wyciągnę? Przyszło jej na myśl, że ma długie włosy, i powiada do chłopca: ja się położę nad studnią i spuszczę ci moje włosy, chwyć się tych włosów, może się na wierzch dostaniesz. Podała mu włosy swoje. Lecz chłopczyna uchwyciwszy się włosów i matkę wciągnął do studni. Teraz oni oboje płaczą w studni. Matka modli się gorąco, żeby ich Pan Bóg wybawić raczył z tej niedoli. Chłopiec powiada: ja będę świstał na mojej świstałce, może kto usłyszysz i wyratuje nas. Świsnął tedy raz, aż tu przylatuje Anioł, zapalił dwie pochodnie, książkę otworzył i modlił się. Chłopiec niewiele myśląc, świsnął drugi raz, aż tu z jednej strony matce ręka przyrosła. Chłopiec świsnął trzeci raz, a tu z drugiej strony matce ręka wyrosła. Matka rękami prędko wygramoliła się ze studni i chłopca też wydobywszy, gorącemi łzami się zalała i dziękowała Panu Bogu za jego łaskę i miłosierdzie nad nią tyle razy okazane. Opowiadała ona chłopcu przez dalszą swą pielgrzymkę, ile niewinnie wycierpiała, ile ciosów niezasluzonych dotknęło ją boleśnie.

Tak rozmawiając przyszli do jakiegoś kraju ponurego, w którym byli wprawdzie ludzie, lecz do nikogo nie mówili i niezem nie zajmowali się. Błądzili po tym kraju żałoby i smutku lat kilka. Chłopiec miał już lat czternaście, gdy stanęli w stołecznem mieście tego kraju. Chłopiec prosto udał się do zamku, matka wstrzymywała go, wskazując na straż rycerską przy zamku. Lecz on pociągnął matkę za sobą, zbliżył się do warty i pyta: czy można wejść do zamku? Żołnierze wprawdzie patrzali się na niego, ale nie mówili. Poszli oni do zamku, pokoje potwierane były i głucha cisza tam panowała. A ponieważ było to już cokolwiek późno, przeto matka znużona położyła się do łóżka i zasnęła. Chłopiec zaś rzeświejszy przechadzał się po pokojach zamku, wstąpił do pokoju jednego, gdzie król i królowa spoczywali. On do nich mówił, i oni patrzali się na niego wprawdzie, lecz nie odpowiadałi. Wziął on im pantofle z przed łóżka i poszedł do innego pokoju. Tam spała starsza królowna, patrzała na niego, a gdy nie odpowiadała, wziął jej trzewik

i poszedł do innego pokoju, gdzie leżała młodsza królowna; także nie mówiła, on jej wziął chustkę i poszedł do innego pokoju, gdzie leżała najmłodsza królowna. Przymilał się do niego ten śliczny aniołek, patrzyła niewinnymi oczętami swemi na młodzieńca, lecz nie mówiła; on jej zdjął pierścień z palca i wrócił do pokoju, w którym matka jego spała. Lecz nie mogąc usnąć, zapalił świecę i czytał długo na książce. Aż tu o dwunastej godzinie w nocy straszny huk rozległ się po zamku. Dziwne jakieś głosy, żałobnym jękiem napełniły wszystkie pokoje. Turkot z łoskotem po wszystkich korytarzach tak był gwałtowny, iż zdawało się, że całe zamczysko w gruzy się rozsypie. Przeląkł się chłopczyzna i wznosił oczy i ręce swoje do Boga, bez którego woli i włos nawet człowiekowi z głowy nie spada. Modlitwa pokrzepiła go, a gdy klęczący powstał na nogi, wtedy cały piec zawalił się i straszna postać ludzka ukazała się i grubym głosem zawołała: Chłopcze! Chłopcze! ogól mi pół brody. Gdy chłopiec stał nieporuszony, okropny ten olbrzym znowu grubym głosem zawołał: Chłopcze! Chłopcze! ogól mi pół brody. Nie namyślając się dalej, wziął mydło, nasmarował poczwazze brodę i ogolił mu pół brody. Olbrzym podziękował mu za to i wyszedł najspokojniej, a za nim huk armat rozległ się po całym mieście. Muzyka przecudna brzmi wesoło, głosy ludu rozbudzonego toną nieustannie w powietrzu. Witaj nasz wybawicielu! Królu nasz! Ojczy nasz! Dobrodzieju nasz! wyniędź do nas, niech oglądamy twarz twoją, woła lud zgromadzony koło zamku. Król i królowa z królownami powstawali i powiadają: ktoś tu był u nas, może to nasz wyławiciel? Szukają po pokojach i znachodzą młodzieńca i pytają go, czy to on był w ich pokojach? Przyznaje się do tego i pokazuje im pantofle, trzewik, chustkę i pierścień, które zabrał od nich, i wskazuje na łóżko, że na niem spoczywa jego matka. Cała rodzina zachwycona postacią ślicznego młodzieńca, bierze go i prowadzi na balkon. Całe miasto niezmiernie było ożywione, żołnierze strzelają, muzyka przygrywa, a lud rzuca kwiaty na głowę młodzieńca wołając: Witaj oswobodzicielu nasz! bądź pozdrowion królu nasz! od ciebie mamy swobodę i życie.

Prawie już nad rankiem wrócił młodzieniec do pokoju matki, która spoczywając snem sprawiedliwych, o niczem nie wiedziała, co się w zamku działo. Rzucił się na sofę i zasnął szczęśliwie. Po kilku godzinach miłego wypoczynku przebudził się i zdybał się z miłszemi jeszcze oczętami czuwającej nad nim najmłodszej królowny, które jak dwie gwiazdki uroczę odbiły się na tle niewinnej duszy jego. A ona jak słowik w gaju, do niego szczebiotać poczęła. Ale i matka zachwycona powabem cudnej twarzydzki dziewczęcia, zawołała: Synu mój! Pan Bóg znowu nam anioła swego zesłał. A młodzieniec podskoczył do matki i zaczął ją po nogach i rękach całować a dziewczęciu łzy zakręciły się w oczach, że on pieścił się z swoją mateczką kochaną, i do pokoju swego odbiegła. Młodzieniec opowiada matce, co się w nocy stało, matka słucha i powiada, to zapewne śniło ci się mój synu, iżem nie nie słyszała, że Anioł boży kołysał cię snem tak przedziwnym, abyś się pokrzepił i nabrał siły do dalszego dźwignania niepowodzeń, jakie nas w tem życiu czekają. Jakoż widziałam nawet aniołeczka nad tobą czuwającego. Nie mam, to nie był Anioł, to była najmłodsza królowna tego zamku. Synu mój! nie myśl nawet o tem, ani też pragnij tego, aby królowna się tobą zajmowała, tyś sierota opuszczony! Aż tu drzwi otwierają się, słudzy znoszą najpiękniejsze szaty dla nich, ubierają. Matka wystrojona wyglądała jak księżniczka, a młodzieniec przebrany raczej do Anioła, niżeli do człowieka był podobny. Prowadzą ich tedy do salonu wspaniałego, gdzie była cała rodzina królewska zebrana z ministrami i magnatami państwa. Wszyscy powstali na widok matki i syna z okrzykiem uszanowania i radości. Matka usiadła na wskazanem miejscu i opowiadała wszystkie przygody życia swego męczeńskiego, ile nocy przepłakała, ile dni przeboleła, ile niewczasów i udręczeń najniewinniej wycierpiała. Wszyscy rzewnie płakali nad jej okrutnem położeniem, a w miarę jak przechodziła do widocznej opieki boskiej nad sobą, łagodziło się powszechne rozczulenie i wesołość powracała, a król z tronu obracając się ku niej powiedział: teraz skończyła się twoja nędza, twoje dziecko biorę za syna mego, a to niebożatko, wskazując na

najmłodszą królową, będzie żoną jego. Dziś odprawimy zaręczyny, a za lat cztery będzie wesele. Matka nieboga ledwie nie omdlała z podziwu i tego ogromu szczęścia, które na nią tak nagle spadło. Cztery lata ubiegły jak cztery minuty wśród najśladziej rozkoszy. Wesele było bardzo świetne, a król stary ustąpił mu nawet tron, aby na nim szczęśliwie panował. Razu pewnego, stała matka na balkonie i spostrzegła dziada na dole, któremu rzuciła dukata. Ale tak on się jej przypominał swoją postacią, że na drugi dzień kazała mu znowu przyjść. Dziad uszczęśliwiony, przychodzi nazajutrz, matka staje przed nim i poznaje swego ojca. Znasz mię dziadku? powiada do niego, jam twoja córka, której ręce poobeinales i zostawiłeś na pastwę drapieżnym zwierzętom, patrz! oto Bóg dał mi nazad ręce, a mój syn królem jest tego kraju. Mogłabym się zemścić nad tobą, ale mój ojciec kochany! niech ci Bóg tego nie pamięta, cokolwiek złego mi uczyniłeś. Chodź do pałacu, będziesz miał u mnie wszelkie wygody, złe dobrem wynagrodzę. Lecz ojciec skruszony anielską dobrocią swojej córki, upadł na ziemię i nie żył więcej, a ona z synem długo panowała, przytulając prawnuki do łona swego.

Roztargnienie. Pewien jegomość znany powszechnie z roztargnienia niepospolitego, był zaproszony na objad do swego przyjaciela. Idąc zaś na objad, miał głowę zaprzętą chorobą swojej żony i zdawało mu się, że jest u siebie na objedzie. A ponieważ objad nie bardzo był wyśmienity, wstaje tedy przy końcu i powiada: przepraszam państwo za ten objad gałgański, bo moja żona bardzo chora.

Rozum. Młody pan zajechał na noc do lichej oberży, gdzie arendarz ciekawy między innymi pytaniami i o to zapytał; dokąd i w jakim celu podejmuje pan podróż. Gość przybyły jako człowiek otwarty, nie miał powodu swej wycieczki, ale wprost powiedział: jadę w świat szukać rozumu. Żyd przebiegły pomyślał sobie: kiedy ty w świecie rozumu szukasz, to ty musisz mieć pieniądze. Ale i gościowi ciekawość żydowska, wcale się nie podobała, także pomyślał sobie: ty widzę

chcesz mię rozumu nauczyć, ale ci się nie uda. Po skromnej bardzo wieczerzy, gość rozpasawszy z siebie duży trzos z pieńdzmi rzucił na stół, sam zaś położył się na słomę zaraz koło stołu i udał śpiącego. Żyd z alkierza patrzył bardzo uważnie, gdzie był trzos położony i zgasił światło na pewne. Gość tymczasem cichuteńko ściągnął trzos ze stołu ku sobie i począł tego chrapać. Żyd sądząc, że dobrze zasnął, na palcach wysunął się z alkierza i dalejże do stołu, maca na około, lecz trzosa nie było. Gdy się oddał żyd, gość pocichu znowu trzos na stół położył. Żyd krzesze ognia, rozpalil świeczkę i patrzy, trzos leży na swoim miejscu. Zgasił tedy świeczkę, a tymczasem gość znowu ściągnął trzos ku sobie i lepiej jeszcze chrapał. Żyd na palcach znowu idzie po trzos, maca, nie ma trzosa, wyłazi na stół, nie ma. Wraca do alkierza i znowu krzesze, a tymczasem gość znowu trzos wystawił na stół. Żyd, rozpalil świecę i patrzy, że trzos leży na stole. Dmuchał na świecę i zgasił, a tymczasem gość pomknął trzos ku sobie. Idzie żyd po raz trzeci, maca, nie ma trzosa. Domyślił się przecie, że to są figle gościa, pod nosem tylko powiedział: Richan zantaty arau, di szwarc jur, i spać się położył. Rano tedy wstał ów podróżny, przepasał trzos, jakoby nie nie zaszło, zapytał o rachunek żyda, który wyszedłszy do niego z alkierza, tę pamiętną dał mu naukę: Ny! po co pan jedzie w świat szukać rozumu? Pan go masz.

Ryba. Szewc zamożny lubił przy wolnym czasie rybołowstwem się zabawiać. Razu pewnego poszedł z czeladzią swoją na ryby. Już kilka rybek ułowili, gdy pojawiła się wielka bardzo ryba. Szewc do niej, a ona powiada, daj mi jeszcze teraz pokój, ale przyjdź za rok, wtedy większą będziesz miał ze mnie korzyść. Za rok przychodzi szewc po tę rybę, a ona mówi do niego: jedną część dasz zjeść swojej żonie, a drugą dasz kobyle, trzecią suce, a czwartą zakopiesz pod gruszką, a teraz możesz mię wziąć z sobą. Wyciągnął on z czeladzią tę rybę, pokrajał na cztery części i zrobił tak, jak ryba mówiła. W rok porodziła żona szewca dwa śliczne chłopaki z włosami złotymi, klacz rzuciła dwa łoszaki z grzy-

i kopytami złotemi, suka też miała dwa pieski z uszkami złotemi, a pod gruszką były dwa piękne pałasze, które szewe starannie zachował do dalszego czasu. Chłopczy rośli, uczyli się pilnie, w zgodzie wielkiej z sobą żyli. Gdy szkoły pokończyli, ojciec obdzielił ich pałaszami, pieskami i konikami, któremi oni często na spacer jeździli. Raz powiada starszy syn do rodziców, że mu się śniło, żeby na Wschód pojechał, że tam czeka go wielkie szczęście. Rodzice nie bronili mu tego, dali mu dosyć pieniędzy i wyprawili go w podróż. Brat młodszy towarzyszył mu spory kawał drogi. Nareszcie gdy przyszło rozstawać się, smutek ciężki ogarnął go i rozplakał się mocno. Brat starszy cieszy go i powiada: do tej gruszy nóż mój kładę, póki czysty będzie, póty też żyć będę. skoro zaś zakrwawi się i zardzewieje, wtedy żyć przestanę. Młodszy wrócił do domu, starszy zaś w świat daleki poewąlował. Przez dwa lata uganiał się po szerokim świecie, nareszcie stanął w pewnym mieście, gdzie wielka trwoga panowała. Pyta on żyda, dla czego tu tak smutno? Żyd powiada, że za miastem wielka jest żmija, której codziennie jednego człowieka na pożarcie dawać muszą. Dla większego zaś porządku ciągną losy, na kogo los wypadnie, ten pada ofiarą żmii. Właśnie dziś padł los na królową, dla tego też taka trwoga w mieście panuje. Wy ją nie możecie od śmierci uwolnić? pyta podróżny. Nie możemy, odpowiada żyd. Otóż ja królową wybawię od śmierci, odezwał się podróżny. Żyd skoro to usłyszał, zaraz pobiegł do króla i powiada: że jakiś pan przyjechał, który chce królową od śmierci uwolnić. Król posyła po niego i pyta: czy on chce być wybawicielem jego córki? On powtarza swoje postanowienie, a król mówi: jeżeli ją wybawisz, ożenisz się z nią i dam ci pół królestwa.

Wyjechała królowa w karecie za miasto, a żmija sadzi z kryjówki z wielkim hałasem, by nową rozszarpać ofiarę. Lecz podróżny przypadł do niej na koniu i począł pałaszem wywijać. Ale ta żmija pięć głów miała, a do tego jeszcze głowy ucięte zaraz przyrastały. Co utnie jaką głowę, to ona znowu przyrośnie. Widzi pies podróżnego, że temu nigdy końca nie będzie, zaczął czatować. Skoro pan jego uciął głowę,

tak on natychmiast chwycił głowę i na bok odnosił, i takim sposobem pokonał on żmiję i porąbał na drobne kawałki, a tak nie tylko królową, ale też całe miasto od tej strasznej plagi uwolnił. Po skończonej robocie przystąpił do karety i powiada: jedźcie wy teraz do domu, a ja za rok do was przybędę i pojechał precz. Furman myśli sobie: trzeba korzystać z okazji. Staje tedy i powiada do królowy, jeżeli mi nie przysięgniesz i nie powiesz w domu, że to ja tę żmiję zabił, to ci tu zaraz śmierć zrobię. Królowa rada, nie rada, przysięgła. Gdy przyjechali, furman powiada: że ten pan był oszust, że nie jego to głowa była do tego, żeby żmiję pokonać, że to on żmiję zabił. Ha, nu! powiada król, kiedy tak, to ożenię cię z moją córką, ale wesele będzie od dziś za rok. Furman już do stajni nie szedł, jeno w pokoju królewskim siedział, jadł, pił i kurzył fajkę na długim cybuchu, aż lubo było. Ale nie potrzebnie też szewca syn udał się w dalszą podróż, gdyż stara baba zastąpiła mu drogę prosząc; żeby jej pomógł kości zbierać. On jako uczynny człowiek, zlązł z konia i schylił się po kości, ale w tym samym momencie przemienił się w kamień, toż samo stało się z koniem i pieskiem jego. Brat młodszy codziennie jeździł do gruszy i na nóż patrzył, który zawsze był czysty, lecz tego dnia, którego stał się kamieniem brat jego, nóż zakrwawił się i rdza rzuciła się na ostrze jego. Skoro to spostrzegł, już nie wracał do domu, jeno pojechał w świat, by się dowiedzieć o przygodzie brata swego. W oddaleniu obaczył duży słup, do którego zbliżywszy się, odczytał napis na tym słupie: tu jest źródło orzeźwiające. W samej istocie, była tam żywa woda, której cokolwiek w naczynie naczepawszy w dalszą puścił się drogę. Jedzie on z kilka mil i zdybuje kamienie trzy i pałasz przy nich leżący. Zaraz domyślił się, że to musi być brat jego, gdyż jeden kamień podobny był do człowieka, drugi do konia, a trzeci do psa. Pokropił on wodą orzeźwiającą. Brat najprzód ocucił się mówiąc: ach jakżem długo spał, za nim wstał koń, a potem piesek. Dobrze żeś przyjechał, powiada brat ocucony, jedźmy teraz razem do tego miasta. Przyjeżdżają oni razem i pytają żyda, co tu słyhać? Żyd powiada: że dziś będzie

ślub furmana z królową. Biegnie on do króla i przedstawia, że furman jest oszust, gdyż on nie zabił żmy. Król woła córkę, żeby sama zeznała, kto ją wybawił. Córka powiada: że ten pan mnie wybawił. Zaraz tego łotra furmana powiesili na szubienicy, a młody szewczyk ożenił się z królową, wziął rodziców do siebie, żył szczęśliwie, później nawet został królem.

Rybak. Prócz sieci i wędki miał pewien rybak miecz siedm razy poświęcony, którym można było największego pokonać Goliata. Kręcił on się z tym mieczem po różnych miejscach, lecz nigdzie nie mógł znaleźć pola do popisu. Powiadają mu: że w skrzynce na pustyni siedzi duch zamknięty przez mnogie lata, każdy ucieka od niego, nikt skrzynki otworzyć nie chce. Był tam jeden odważny, obiecywał mu bogactwa, ale odwaga go opuściła i skrzynki nie otworzył. W sto lat trafił się drugi, szedł tam ochoczo, ale gdy usłyszał, że duch wybawiony obiecuje budować kościoły i klasztory, znowu nie otworzył skrzynki mówiąc: co mi tam po kościołach i klasztorach? Odtąd znowu sto lat siedział. Rybak myśli, pójdę ja do niego. Przychodzi i pyta: co mu da? gdy go oswobodzi. Duch powiada: że go za to zabije. Nic ty mi bratku nie zrobisz, bo ja mam miecz siedm razy poświęcony. Otwiera skrzynkę, a skrzynka próżna; nie tam nie było prócz lekkiej pary. Ale para zaczęła rosnać i ukształtowała się w człowieka i dalejże do rybaka, mieczem odpierającego jego napady. Myśli on: raz, drugi raz odeprę go, ale ciągle walczyć z nim nie podobna; powiada on do niego: ty taki wielki człowiek, jak mogłeś się pomieścić w tak małej skrzynce? Oto tak, dowodzi duch: maleje, nareszcie jako para włazi sam do skrzynki. Rybak zamknawszy za nim wieko, rzucił go do jeziora: siedź że sobie kochanku aż do dnia sądnego. Duch począł płakać, lamentować, prosi i powiada: że mu coś bardzo pięknego pokazuje, byleby go uwolnił z tego więzienia. Rybak wyciąga skrzynkę z jeziora i uwalnia ducha, by mu co pięknego pokazał. Duch oswobodzony, powiada do rybaka: łapaj tu ryby. Złapał najprzód złotą rybę, potem czerwoną, nareszcie trzecią rybę zieloną. Poniósł on te ryby do króla. Tam mu dobrze zapła-

cono. Ale gdy chciano te ryby zgotować, ściana się otworzyła, straszny wyszedł murzyn i spalił ryby. Łapał on jeszcze raz, drugi i trzeci, a murzyn zawsze palił ryby. Rozgniewany na murzyna, porzucił jezioro i zaszedł w gęsty las. Tam były zwaliska kamienne i pałac zaczarowany, a z tego pałacu wydobywały się żałośnie jęki i krzyki płaczliwe bardzo. Idzie on do pałacu, gdzie zastał człowieka do połowy skamieniałego, a przez pół żywego. Pyta go, dla czego tak krzyczy? Jestem, powiada, król nieszczęśliwy, moja żona ma kochanka murzyna i ze złości zaczarowała całe królestwo, przychodzi do mnie codziennie i daje mi trzysta różeg; jakże nie mam płakać i lamentować? Gdybyś widział, z jaką rozkoszą ta niegodziwa kobieta mię katuje, z jakim weselem przywołuje do siebie potem murzyna, jak te pusty śmiechy serce moje ranią, ulitowałbyś się nademną. Cieszy go rybak i pyta: biła cię już dzisiaj? Nie jeszcze, ale niezadługo bić będzie. Cierp biedaku jeszcze dzisiaj, jutro już cię bić nie będzie. Poszedł rybak by się przebrać za murzyna. Co skuteczniejszy wracał i słyszał te żałośnie jęki i narzekania, które nielitościwa kobieta srogim biciem z męża wywoływała. Potem poszła do swoich pokojów i poczęła pieszczotliwym głosem wołać. Warren! Warren! Wyszedł murzyn uradowany, rybak zastąpił mu drogę i uciął głowę mieczem siedm razy poświęconym i udał się na pokoje królowej. Zaraz domysłała się, że murzyn w złym humorze i przypadła do niego pytając go o przyczynę tego smutku. On jej powiada, że nie jest już kochankiem. Ale jak zaczęła ona przymilać się i łasić koło niego, tak on niby udobrochany powiada: jeżeli króla i królestwo odczaruje, to znowu będzie jej kochankiem. Wnet buchnął ogień na kominku; płoną pergaminy, drzazgi i wizerunki ludzkie. Rybak patrzy w okno, a jeziora już nie ma; ryby złote przemieniają się w książęta, ryby czerwone w ludzi uczonych i bogatych, ryby zielone stanowią zastęp ludn pospolitego. Jadą goście, król przechadzał się po pokojach. Rybak dobył miecza, i uciął głowę niegodziwej kobiecie i wielka była radość i panował razem z królem na tronie odczarowanym.

Sérki. Podczas odpustu niemogąc się docisnąć do konfesjonału góral, wyjął gomółkę séra i stanął na przeciwko konfesjonału. Ksiądz postrzegłszy to, myśli sobie: dobra i gomółka sera. Woła go tedy do konfesjonału, odbiera gomółkę, kładzie na pułap i słucha spowiedzi górala. Po chwili stawia drugi z gomółką séra. Ksiądz odbiera i do spowiedzi przypuszcza. Ba aż tu trzeci, piąty i ósmnasty z sérem staje. Ksiądz odbiera, nareszcie myśli sobie: będzie tych sérów ze 20 gomółek, trzeba zabrać do zakrystyi. Wstaje tedy, maca i szuka, nie ma! tylko jedna gomółka. Pokazało się, że górale zmiarkowawszy Księdza upodobanie w gomółkach, kradli mu tę gomółkę i stawali przed nim, aby prędzej wyspowiadać się.

Szymon. Król miał dwóch synów: Leona i Szymona. Starszy Leon chodził do szkół, uczył się bardzo dobrze. Gdy mniejsze szkoły ukończył, ojciec posłał go do cudzych krajów w celu słuchania wyższych nauk. Tam zapoznał on się z królową, i ojciec tej królowy tak go polubił, że mu oddał swoją córkę w małżeństwo. Sprawił im bardzo huczne wesele, potem rozchorował się i umarł, a zięć jego został królem. Syn młodszy Szymon uczył się także bardzo pilnie, a gdy skończył mniejsze szkoły, prosił ojca, żeby go wyprawił do brata Leona. Ojciec nie bronił mu tego, i owszem dał mu wiele pieniędzy, sprawił bankiet i wyprowadził go z muzyką za miasto. Ale matka zakłopotana pożegnaniem, zapomniała dać mu dwa jabłka, które miały być wskazówką dla niego w wyborze towarzysza. Wyseła tedy prędko lokaja za nim z dwoma jabłkami mówiąc: Oddasz te dwa jabłka królewiczowi i powiesz mu, jeżeli kogo zdybie i zechce z nim iść, to niech mu da jedno jabłko rozkroić, jeżeli sobie mniejszą część weźmie, to niech z nim idzie, a jeżeli sobie większą część weźmie, to niech z nim nie idzie. Lokaj zaś zwykle swego trzymając się rozumu, dognawszy królewicza przeciwnie mu powiedział mówiąc: Królowa matka posyła te dwa jabłka na to: jeżeli królewicz zechce z kim iść, niech da mu jedno jabłko rozkroić, jeżeli sobie weźmie mniejszą część, to nie iść z nim, a jeżeli większą, to iść z nim. Wziął tedy królewicz te dwa

jabłka i przyszedł do jednego miasta, gdzie była wdowa krawcowa mająca pięknego syna. Spodobał on sobie tego chłopca i prosił, żeby mu krawcowa tego chłopaka ustąpiła. Krawcowa chętnie na to pozwoliła. Sprawił on mu piękne suknie i wziął ze sobą. Idą razem z kilka mil, nareszcie daje mu królewicz jabłko, aby rozkroił. On rozkroił i wziął sobie mniejszą część. Królewicz widząc to, nie chciał już dalej z nim iść, zapłacił mu za drogę i puścił go do domu. Idzie tedy sam przez las a tam siedzi jakiś i pasie świnię. Woła on go do siebie i pyta: czyby z nim nieposzedł? Pastuch chętnie bardzo podejmuje się tego obowiązku. A gdy z paręset kroków uszli, daje mu królewicz jabłko, żeby rozkroił. Świniarz dobył noża tak ogromnego, aż królewiczowi włosy na głowie stanęły, i odciął dla siebie większy kawałek. Właśnie tego było potrzeba królewiczowi. Idę tedy razem już w największej zgodzie. A gdy kilka mil zrobili, uczuł królewicz wielkie pragnienie. Zdybał pastucha, który pasł trzodę brata jego Leona i pyta: czy nie ma tu gdzie wody napić się. Pastuch powiada: że jest tu studnia, ale tam się nie napijecie, gdyż nie ma czem wody zaczerpnąć. Świniarz powiada: już my sobie poradzimy, byle tylko wiedzieć, gdzie ta studnia. Pastuch zaprowadził ich do studni, a otrzymawszy nagrodę od królewicza, wrócił do swej trzody. Gdy stanęli nad studnią, świniarz powiada, że ja królewicza wezmę za nogi i spuszczę do studni, a jak się królewicz napije, to ja wyciągnę nazad, a potem królewicz mię tak spuści, żebym się też napił wody. Królewicz myśli, że to dobrze będzie i rozebrał się i dał wpuścić do wody. Napił się i woła już! Ale świniarz nie myśli go wyciągać, jeno trzyma za nogi; królewicz już ledwie dychał, prosi go przez miłość Pana Boga, żeby go wyciągnął. A przystaniesz na to? co ja ci powiem, powiada świniarz. Przystanę na wszystko, tylko mię wyciągnij, woła królewicz. Przysięgnij, że mnie, że jak cię wyciągnę, to będziesz mną, a ja tobą. Rad nierad przysięgnął królewicz, że będzie sługą jego aż do śmierci. Wyciągnął go świniarz i przebrał się w suknie królewicza, a królewicz ubrał się w łachy świniarza.

Idą do miasta i dają znać królowi, że brat Szymon do

niego przychodzi. Brat Leon z żoną swoją wyjechał na przeciwko i powitał brata swego bardzo serdecznie i wprowadził go do pałacu. Ale żona Leona cichaczem mówi do swego męża: nie gniewaj się na mnie co ci powiem, lecz lokaj twego brata, daleko jest podobniejszy do ciebie, niżeli twój brat, a nawet rozumniejszy jest od twego brata. Ale Leon niewidząc dawno brata swego, nierobił tej różnicy, jeno kontentował się przybranym bratem, lubo cokolwiek upośledzonym, polubił też i lokaja brata swego dla jego prawości. Po dwóch miesiącach pobytu w pałacu, wyszedł ten świniarz na balkon i powiada: zkąd to taki zapach uderza? Król mu objaśnia, że w pobliżu pałacu znajduje się ogród zaklęty, w którym są najlepsze owoce, zkąd też ten zapach pochodzi, ale jak się tam kto uda, już ztamąd niewraca. Swiniarzowi zaraz wpadło do głowy, żeby swego lokaja po owoce posłać, gdyż mu z nim było bardzo ciasno. Mówi tedy do króla: poszlę ja mego lokaja do tego ogrodu. Król prosi: daj spokój! to jakiś poczciwy człowiek, szkoda go, żeby tam zginął. Ale świniarzowi właśnie tego było potrzeba, żeby on zginął i kazał mu iść po owoce do tego ogrodu. Podejmuje się tej wycieczki, ale lokaje królewscy którzy go także polubili, powiadają mu: że ztamąd nikt jeszcze niewrócił, żeby więc nie szedł do ogrodu. Lecz on myśli sobie: wolę ja zginąć, niżeli tu trapić się z tym świniarzem, i poszedł do ogrodu, a lokaje z płaczem odprowadzili go do bramy, która się otworzyła sama i za wejściem królewicza zamknęła. Chodzi tedy jak błędna owca po ogrodzie pustym, gdyż prócz owoców pięknych i ptaków śpiewających, ani żywej duszy tam nie było. W samym środku była altana. Idzie on do tej altany i patrzy, a tam jest stół, kanapa, a na tej kanapie okrutny niedźwiedź leży. Z początku przeraził go ten widok, ale po chwili rozwagi, postanowił wejść do altany. Skoro tylko drzwi otworzył, zaraz niedźwiedź zerwał się na równe nogi i zawołał: Witaj królewiczu Szymonie! On się bardzo zdziwił, że niedźwiedź gada. Ale on pocieszając go mówi: Niebój się królewiczu Szymonie! ten świniarz posłał cię tu po śmierć, ale jego prędzej djabli wezmą, tobie się nie złego niestanie, i narwał najpiękniejszych owoców, zawiązał do chustki: to dasz twemu

bratu, a potem narwał co najpodlejszych i dał w płachtę brudną, to dasz temu świniarzowi, on cię tu jeszcze raz przyszle, śmiało tu przychodź, ty niezginiessz. Podziękowawszy za te dary, wyszedł z ogrodu. Wszyscy cieszą się z jego powrotu, on rozdaje owoce według tego, jak było przykazano. Król nie może się nachwalić tego lokaja, a świniarza djabli biorą ze złości, że on zdrowo powrócił. Myśli tedy, jakby się go pozbyć; wtem wpada mu złote pióro w oczy, które było za zwierciadłem przymocowane. Pyta króla, zkąd on ma to pióro? Król mu powiada, że leciał tedy ptak złoty, on strzelił do niego, lecz go nietrafił, jedno tylko pióro spadło z niego, a on poleciał do zaklętego ogrodu. Ja muszę mieć tego ptaszka, zawołał świniarz, zaraz poszlę mego lokaja po niego. Król już się niesprzeciwiał tak mocno, gdyż miał nadzieję, że biednemu słudze nie złego się niestanie. Rozkazał mu tedy, żeby poszedł do zaklętego ogrodu po tego ptaszka.

Idzie królewicz prosto do niedźwiedzia i mówi mu: że go wysłano po złotego ptaszka. Niedźwiedź na to powiada: ty dostaniesz tego ptaka, ale dłużej tu bawić będziesz musiał. Oto masz złote berło, a jak będziesz koło jednej skały, ztamąd lew wyskoczy i będzie na ciebie ogniem sypał; ty uderzysz go trzy razy tem berłem, wsiądziesz na niego i pojedziesz tam, gdzie ten ptak się znajduje. Minął on jedną skałę, nic, minął drugą, nic, aż tu z trzeciej skały wyskakuje lew i ryczy i ogniem sypie na niego. On go trzy razy berłem uderzył, a lew w uniesieniu zawołał: Witaj królewiczu Szymonie! siadaj na mnie. Siadł on na lwa, jadą tedy cały dzień i całą noc, na drugi dzień dopiero stanęli pod pałacem. Lew powiada: idźże do pałacu, bierz jeno ptaka i wracaj do mnie. Idzie on do pałacu, tam wszyscy spali jeszcze, spostrzegł ptaka w złotej klatce, śpiewającego. Myśli sobie: co mnie po ptaku bez klatki, wezmę ja go z klatką. Lecz zaledwie do rąk wziął, wnet obskoczyła go służba dworska i do króla zaprowadziła. Król pyta: co ty za jeden? Jestem królewicz Szymon. Jeżeli ty Szymon królewicz, to przyprowadź mi konia złotego, a wtedy dam ci ptaka z klatką. Wraca on do lwa i mówi co się stało. Lew strofując go. powiada: ja z tobą i tam

pojadę, ale ty i tam tak zrobisz jak tu. Jadą oni znowu przez noc i przez cały dzień, dopiero na drugi dzień stanęli przed pałacem. Idźże teraz, powiada lew, do stajni, bierz tylko samego konia i wracaj do mnie. Idzie on do stajni, a tam konie ziemię drą pod sobą, w kąciku zaś stoi jego koń złoty, a na nim przesłiczne siodło złote. Myśli on sobie, co mi z konia bez siodła? Wezmę ja konia z siodłem. Lecz zaledwie wsiadł na konia, słudzy zatrzymali go i zaprowadzili do króla, który zapytał: ktoś ty jest? Jestem królewicz Szymon. Jeżeliś ty królewicz Szymon, to przyprowadź mi pannę złotą, a wtedy otrzymasz konia. Wraca on do lwa i mówi, co się stało. Lew bardziej się jeszcze rozgniewał i powiada: cóżes dobrego zrobił? pojadę i tam z tobą, ale jak niezrobisz po mojej woli, to cię zabiję. Jadą oni i przyjechali pod łoży. Lew mówi: idźże ty w łoży, natnij sobie sto prętów, żeby ona cię niewidziała, skoro zaś przyjdzie, chwytaj za rękę i bij co się wlezie. Idzie on w łęgi, naciał pręcików sto, związał, schował się i myśli sobie: jak tu bić pannę, żal mu jej było, ale cóż miał robić? Panna ta była zaklęta, codziennie musiała iść w łęgi, by uderzyć się prętem, a tę pokutę przez sto dni jeszcze odprawiać miała. Przyszła tedy według swego zwyczaju w łęgi i schyliła się po pręt, a królewicz uchwycił ją za rękę. Ona zaczęła się prosić, ale on na to niezważając, jak zacznie smagać prętami, tak z niej skorupa brzydka spadła i ukazała się śliczna panna złota i zaczęła mu dziękować za tę przysługę. Miała ona pieska, który także łasił się i lizał ręce królewicza. Idzie on tedy do lwa, który mocno się ucieszył, że przecie raz uczynił według jego woli. Jadą więc do pałacu, gdzie mieli dostać konia złotego. Lecz królewiczowi żal było panny, lew to spostrzegł i powiada: ja przemienię się w pannę, pójdziemy do pałacu, a królowna niech tymczasem zaczeka na nas. Idą do pałacu, król niezmiernie uradowany oddaje konia z siodłem a pannę bierze. Królewicz siada na konia, przyjeżdża do panny, bierze ją z sobą i do lasu zajechali. A w pałacu muzyka od ucha tnie, skaczą wszyscy z radości. Król też uchwycił pannę i dalej z nią krakowiaka, a ona się w lwa przemieniła i ogniem na niego sypnęła. Ihi! szczezaj do licha, zawołał

król rozgniewany, muzyka ucichła, a lew przybiegł do królowicza Szymona i powiada: udała nam się jedna sztuka, teraz przemienię się w konia i pojedziemy po ptaka; królowna niech tymczasem naprzód jedzie. Pojechali oni do pałacu. Król z wielkiej radości oddał ptaka z klatką, a konia kazał do stajni zaprowadzić. Po objedzie kazał osiodłać konia i wyjechał na spacer, lecz zaledwie kilkaset kroków zrobił, koń zrzucił króla z siebie i gdzieś zniknął. A królewicz pojechał z panną i ptakiem złotym do pałacu swego. Lecz gdy zbliżył się do zaklętego ogrodu, na środku nie było już altany, jeno pałac wspinały, gwarny, wesoly, pełno gości, pełno panów i ludzi wołających: Witaj królewiczu Szymonie! i proszą go, by wstał w te błogosławione progi. Ale on się spieszył do brata, przed którym gdy stanął, wielka była radość, gdyż prócz ptaka złotego, przyprowadził konia złotego i pannę złotą. Świniarz wścieka się ze złości i namawia ludzi, żeby koniecznie go zabili, a ktokolwiek wykona morderstwo, ten otrzyma sto dukatów. Namówili go tedy na polowanie, jeden z strzelców zaczął się na niego za krzakiem, a tak celnie ku niemu wymierzył, że ugodzony kulą na miejscu pozostał.

Wielką miał radość świniarz, że się pozbył swego lokaja i wypłacił sto dukatów zabójcy nieszczęśliwego królewicza. Ale koń złoty skulił się, zwiesił głowę smutny bardzo; ptaszek naburzył się i główkę pod skrzydła schował, gdyż niemiłe mu było życie; a piesek skomlał i do drzwi panny póty stukał, póki drzwi niewywalił. Panna złota wybiegła za psem, który aż na miejsce zabójstwa pobieżał. Skoro królewicza martwego spostrzegła, tak ręce załamała i gorzkimi łzami lice zalewała. Zbliżył się do niej staruszek i pyta, dla czego ona tak lamentuje. Ona mu powiada: że jej kochanie zamordowane zostało. On pociesza strapioną i mówi: tam na polu jest źródółko małe, które ożywia; udaj się klęcząc a z ufnością do tej krynicy, naczerpaj cokolwiek wody, a cudu wielkiego doznasz. Klęka tedy na kolana, sunie za staruszką naprzód idącym. Naczerpła cokolwiek wody, obmyła ranę królewicza, który natychmiast zerwał się na nogi i powiada: otom się wyspał. Tyś niespał, mówi złota panna, tyś był zabity. Co ty

powiadasz? odzywa się królewicz, byłem zabity? To moja wygrana, gdyż ja tylko do śmierci obowiązałem się być lokajem tego świniarza, teraz mam ręce rozwiązane i wyjawiał jej całe swoje położenie. I ptaszyna podniosła główkę szczebiocząc z radości; koń zadarł głowę dumnie, a rżeniem wesołem objawił swą radość; lecz nad wszystkich weselszy był piesek, skakał, łasił się i czekał od radości. Panna złota czekała aż do wieczora w lesie i przyprowadziła królewicza pokryjomu, żeby nikt nie wiedział, i kazała mu się przebrać za pannę. Na kolację przysła do stołu królewskiego i powiada: że do niej przyjechała panna, która już różnych przygód w świecie doznała, a opowiadaniem swoim, wielką by sprawiła przyjemność, gdyby król na to pozwolił. Król kazał ją przyprowadzić, a ona tak zaczęła: szłam przez las i zdybałam towarzyszkę z którą dalszą odbywałam podróż. Ale zachciało mi się koniecznie wody. Spozstrzegłam pastucha, który nam pokazał słudnię, gdy nie było czem zacerpać tej wody, moja towarzyszka spuściła mię za nogi do studni i dopóty trzymała, pókim nie przysięgła, że jej służącą aż do śmierci zostaną. Swiniarz jak to usłyszał, porwał za nóż i chciał ją przebić, ale go wstrzymali. Wtedy wykrył wszystko królewicz, a świniarza korzystającego z cudzej pracy na szubienicy powieszono. Królewicz Szymon ożenił się z tą złotą panną, a po śmierci ojca przeniósł się do swego miasta rodzinnego i królem został.

Skarb. Było dwóch braci: jeden wielki bogacz, a drugi bardzo biedny, nie mający nawet kawałka chleba. Razu pewnego śni mu się, że pod gruszą wielki jest skarb zakopany. Mówi on to żonie i udaje się z nią pod gruszę, by dobrać się do tego skarbu. W samej istocie wykopali duży kociołek pieniędzy, które zaledwie oboje przynieśli do chaty. Zaraz posłali dziecko do brata by im pożyczył kwartę. Brat pyta chłopca, co wy mierzyć będziecie? Chłopiec mówi: że nie wie. Aby się dowiedzieć, co oni będą mierzyć, przylepił do dna kwarty cokolwiek smoły i oddał chłopcu. Przemierzili oni 32 kwart dukatów i oddali kwartę bratu, który zaraz za-

glądnał do kwarty, a tam na spodzie przylepił się jeden dukat. Myśli on, pewnie już gdzie jaki skarb wykopali, trzeba im to odebrać. Idzie tedy do krawca, i każe sobie zrobić mundur djabelski. Krawiec powiada: że to grzech wielki; ale jak mu podsunął dosyć pieniędzy, tak te cwancygiery przemogły skrupuła krawiecki. Zrobił on mu ten mundur djabelski; przebiera się chłop i idzie do domu swego brata o jedenastej godzinie w nocy, tłucze po drzwiach, szuruje i drapie po oknach i woła: A oddajże mi ten skarb, ja cię nauczę, ruszać to, czegoś niepołożył. Na drugą noc znowu on przyszedł, tłukł i krzyczał: jeżeli mi ten skarb nie zanieziesz, to ci łeb urwę, obaczysz! Na trzecią noc, żona z dziećmi poszła do sąsiada, a on kazał sobie pieczenie upiec i wina przynieść, najadł się i napił dobrze i czekał spokojnie śmierci. W nocy przychodzi brat jego przebrany niby za dyabła, ale więcej on był podobny do strzelca i prosi, żeby go przenocować. Przyjął go na nocleg i dał mu kawał pieczeni i wina. Aż tu o północy przylatuje taki prawdziwy djabeł, strzelec wsunął się w kącik koło komina, ten zaś, co się śmierci spodziewał, aż pod łóżko wlaźł ze strachu. Ale djabeł nic mu nie robił, jeno kazał mu wyleść z pod łóżka, żeby się niczego niebał, że on temu strzelcowi, co przyszedł go zabić, zaraz łeb ukreśli. Przystąpił też do onego strzelca i pyta: co ty za jeden? A on mu powiada: że jest djabełem. Ja także djabeł, powiada prawdziwy szatan, teraz tak nastało, żeby się djabeł z djabełem bił, i urwał mu głowę i poleciał z nim kominem. Gdy się to stało, wylazł ten z pod łóżka i położył się wygodnie na pościeli i zasnął. Rano przychodzi żona by widzieć, co się z mężem stało. Ale tylko okno było wybite, którem djabeł przyleciał, a mąż jej spał jak za dobrych czasów; gdy się przebudził opowiedział wszystko co widział, i został wielkim panem, gdyż go nikt więcej nie-
napastował.

Skarby. Ubogi nosiwoda modlił się często i prosił, żeby mu Pan Bóg jak dopomógł, żeby już tak ciężko niepracował. Dopomógł mu Pan Bóg, że kupił sobie konika i wózek, którym o tyle sobie dopomógł, że już nie był nosi-

wodą, ale woziwodą. Razu pewnego przyjechawszy do wody, zastał tam Turka siedzącego, który prosił go, żeby mógł u niego przenocować. Wziął go na swój wózek, przywiózł do domu, przyjął należycie i zrobił mu wygodne posłanie, ale Turek w nocy czegoś nagle umarł. Wywiózł go rano i pochował za miastem. Wróciwszy do domu przepatrywał, co ten Turek zostawił, lecz nie było prócz kawałka świeczki i papieru po turecku zapisanego. Idzie on do Turka, by przeczytał to pismo. Turek czyta i powiada, do tego potrzeba jeszcze świeczki. Woziwoda mówi: że jest i świeczka. Turek aż podskoczył z radości wołając: dziś jeszcze będziem panami. Tam za miastem jest zaklęta piwnica, a w tej piwnicy ogromne skarby są złożone. A do tych skarbów prowadzi oto ten świstek papieru i ten kawałek świeczki. Czekali oni aż do wieczora, poszli razem na to miejsce, zapalili świeczkę, a Turek zaczął czytać. Natychmiast drzwi otworzyły się do piwnicy. Oni weszli i nabrali pieniędzy dosyć i sukni bogatych, świeczkę zagasili i poszli do domu uszczęśliwieni. W domu pokazywał te skarby woziwoda swojej żonie i dzieciom swoim. A żona jego skoro tylko zaświtało, zaraz ubrała się w te suknie bogate i stanęła w oknie, które wychodziło naprzeciwko świetlicy cyrulika. Zerwał się ze snu cyrulik spostrzegłszy taki blask w swojej świetlicy. Patrzy do okna skąd taka łuna bije do jego świetlicy, a zdziwiony przekonał się, że żona woziwody przebrała się w złote szaty. Zaraz poleciał do izby sądowej i oznajmił sędziemu co widział. Sędzia z cyrulikiem idzie do woziwody i pyta: skąd on przyszedł do tego majątku? Woziwoda przyznał się do wszystkiego. Oni każą mu milczeć, a wieczorem zajechali dwoma wozami po te skarby. Woziwoda zapalił świeczkę, a Turek czyta kartkę, a oni wynoszą i pakują na wozy. Już napakowali, ale jeszcze po coś udali się sędzia z cyrulikiem do piwnicy, a tymczasem woziwoda zgasił świeczkę, Turek zaś przestał czytać, zostali więc w piwnicy na zawsze, a woziwoda z Turkiem podzielił się temi skarbami i został wielkim panem.

Sędz. Pewien filut podczas znacznego zbiegowiska ludzi zrobił zapytanie: co jest najsmaczniejszego w śledziu?

Jeden mówi: że głowa. Nieprawda! dawaj grosz. Drugi: że ogon. Nie zgadłeś! dawaj grosz. Mnożą się grosze, ale też i kupa ciekawych przybywa, zgadywaniom niema końca. Narreszeie śmielsi przystąpiwszy do niego zapytali: powiedz że nam, co jest najsmaczniejszego w śledziu? Ja sam nie wiem, odpowiedział filut z największą flegmą.

Sławosz Sulima. U samego podnóża Karpat na Pokuciu, gdzie skalny olej płynie i źródło soli wytryska, znajduje się posępna kotlina, którą starunią przezwano. Tam było starożytne Sulimów gniazdo, z którego niegdyś dzielni w Polsce rycerze wychodzili. Tam też w szlacheckiej komnacie w kilka lat po pierwszym rozbiorze Polski dogorywający towarzysz konfederacji barskiej przywoławszy do siebie drobne pacholę rzekł: Sławoszu! ja kończę już, ty zostajesz... miej w Bogu nadzieję, a gdy podrośniesz i zmężniejesz, a pora będzie ku temu, stawaj w obronie ziemi rodzinnej. Synu mój! żyj dla ojczyzny, bo... dalsze słowa przerwało osłabienie. Jeszcze ręce wzniesić chciał nad pacholęciem, lecz i te bezwładnie opadły, potem lekkie westchnienie przerwało bicie serca... znękany Sulima nie żył więcej. Biedna sierota płacząc i żałując rączką, wołała: Boże mój! Boże! co ja teraz robić będę? Straszne to zadanie, bez ojea i matki, bez szczerego przewodnika puszczać się w przestwor życia ludzkiego. A jednak trzeba naprzód stawiać kroki, gdyż istnienie człowieka nie jest igraszką dziecinną. Trzeba koniecznie wytknąć cel pochodzenia swego, i wszelkimi siłami zdążyć ku tej mecie, która ma być pożądaną przystanią gorących pragnień naszych. Śmiało tedy naprzód lekliwy pielgrzymie! nieuniknione przeciwności są najlepszą szkołą rozumu i roztropności świata tego. Bo kto nie był w tej szkole doświadczeń, tego życie, upływa bez powabu, jednostajnie, ten nigdy nie doznał tej miłej, tej szlachetnej, tej potężnej rozkoszy, którą uczucie zwycięstwa w sercu człowieka rodzi. Lecz niestety! bez walki niemasz zwycięstwa. Właśnie też wstąpił Sławosz na drogę ciernistą, ciężkiej pracy i boleśnego zawodu. Może też z wyższego natchnienia ukrył cały plik papierów w pewnej pieczarze, gdy

opiekun sądowy własne dobro mając na celu, pragnął go wyzuć z intratnej ojcowizny. Zaniedbywał jego wychowanie i używał go do posług zwyczajnych, by w nim zatrzeć wszelkie poczucie wyższego wykształcenia, do którego piękna spuścizna drogę utorować mogła. W tem smutnem położeniu, jedyną znachodził pociechę, gdy mógł niespostrzeżony przemukać się przez niedostępne zarośla do owej pieczary, gdzie ukrył familijne dokumenta. Zdawało mu się, że jakaś tajemnicza postać otacza go życzliwością swoją, że mu sił dodaje do dźwigania jarzma tak wczesnie nań włożonego. Ztąd też niezmierna w nim urosła ciekawość do zbadania tych szczątków piśmiennych. Ale do wykrycia tej tajemnicy, trzeba było koniecznie nauczyć się czytać i pisać.

Na samym brzegu zgniłej Bystrzycy, była niewielka siedziba Dobromira, starej daty szlachcica, do którego Sławosz miał największe zaufanie. Razu pewnego zbliżył się do niego, a skrobiąc się w głowę, rzekł: Dobromirze! jabym wam coś powiedział, gdybyście się niegniewali. Zagadnięty poczciwy starowina wcale się nieobruszył, zwłaszcza, że z nieboszczykiem ojcem jego wyprawiając niegdyś podczas konfederacji barskiej wojenne harce, w przyjaźnych zostawał stosunkach. A mówże śmiało, mój Sławoszu! Jabym się chciał nauczyć czytać i pisać, dopomóżcie mi do tego! Bóg wam to wynagrodzi. Wiem ja, co się święci! Twój opiekun skórka mu na buty, chce ciebie na chłopca wykierować, ale z tego nic niebędzie. Święci garnków nie lepia, dlaczegoż byś ty nieumiał czytać i pisać? Dalibóg! że będziesz czytał, skórka mu na buty. Lecz nie tylko z książką się obeznasz, ale patrz! i wskazał mu na ścianę, na której pośród zbroi rycerskiej wisiał wizerunek Matki Najświętszej Częstochowskiej na blasze olejno malowany, co to jest? Szablica i strzelba, powiada Sławosz. Tak jest, szablica, która pod Wiedniem łby muzułmańskie płała; a to strzelba dwururna, to jest: jeżeli raz chybisz, natychmiast popraw z drugiej rury, nie niepytaj, jeno pal! skórka mu na buty. Oto tem robić będziesz. W Sławoszu krew zawrzała i oczy zaiskrzyły się na widok takich pięknych rzeczy. Jakoż w chwilach wolnych od zatrudnień

gospodarskich, rozpoczęło się na dobre bakałarstwo i szermierka rycerska. Starowina też bardzo sobie lubował w tem mistrzostwie. Nieraz jak młokos dwudziestoletni rumienił się, gdy broń do ręki brał, a krzyczał: trzymaj rusznicę prawą ręką dobrze, lewe oko zamknij, prawe wybałusz należyście, pociągnij prostą linię do celu, a skoro co uchwycisz na cel, zaraz palnij go po łbie, żeby go aż jucha oblała, skórka mu na buty. Na wojnie mospanie nie ma czasu składać się i na tempa uważać; jeno co żywo tnij z całej siły, skórka mu na buty. Ciągnęła się ta nauka lat kilka z wielką korzyścią dla ucznia, gdyż prócz czytania i pisania po polsku, liźnął cokolwiek łaciny, rąbał i strzelał wyśmienicie. Jak na pierwsze w świat wystąpienie dostatecznie był wyćwiczony. Tak pięknymi wiadomościami zaopatrzonej, wybrał się pewnej niedzieli po południu do pieczary, by przegłądać skarby swe ukryte. Rozwiązawszy plik papierów, najprzód ukazał mu się na pergaminie dyplom szlachectwa, potem dokładne opisanie granic ojcowizny, dalej rachunki gospodarskie przez lat kilkanaście skrupulatnie prowadzone, a przy końcu tychże był arcyważny ustęp, który z wielkiem zajęciem czytać począł: Mój Boże! co się z nami dzieje? Panie Jezu Chryste! pomnożyłeś wrogi nasze, natehniż nas Twoją łaską przenajświętszą, żebyśmy tym wrogom naszym poddać mogli. Polska jest najpiękniejszym krajem na całej kuli ziemskiej. U nas najdokładniej wydają się cztery pory roku. Góry nasze, to Szwajcarja nasza! Dwa morza zasilają rzeki nasze. Nieprzebrane skarby ukrywa ziemia nasza. Mamy sól, olej skalny, złoto, srebro, miedź i żelazo. Obfitem zbożem okrywają się co roku niwy nasze. Lasy nasze pełne dzikiego zwierza, słowem powiedziałwszy: na niczem nam nie zbywa. Do nas co roku z całego świata przylatuje w gościnę ptactwo niebieskie. Na naszej ziemi buduje sobie gniazda, wylęga pisklęta, karmi i przyśpiewuje nam w pracach gospodarskich. A gdy zmienia się postać rzeczy i zielone łąki szronem białym pokryć się mają, wtedy gromadnie zbiera się ptactwo do odlotu, by gdzieindziej przebyć zimową porę, i zostawia nas pośród niemego otrętwienia całej przyrody. Lecz i ta posępna przestrzeń czasu, nie jest u nas

bez powabu. Wtedy bardziej skupiamy się około rodzinnego ogniska, pożywamy swobodnie owoce pracy naszej, rozstrzygamy o losie dzieci naszych, a co najważniejsza, że podnosimy ducha naszego do tego Pana, który nam kiedyś po trudach ziemskiej pielgrzymki da wypocząć w przybytkach niebieskich. Z nami łączyła się Ruś i Litwa, do nas byłyby się zbliżyły wszystkie szczepy słowiańskie, a natenczas moglibyśmy zaimponować całemu światu. Lecz na nieszczęście nasze nie wyrobiliśmy w narodzie odwagi cywilnej; zawsześmy się oglądali na wszystkie strony, a podobno nigdy nie pozbędziem się tego zgubnego narowu. To też znając słabość naszą, wrogowie nasi darli nas zewsząd. Przez cztery wieki dokuczali nam Turcy i Tatarzy. Bóg posłał nam Sobieskiego, który ostatni cios zadał pod Wiedniem potędze bisurmańskiej, już oni więcej głowy nie podniosą. Ale za to moralnie i materialnie zniszczyły nas rządy Sasów. A na ostatek caryca Katarzyna ustroiwszy jak lalkę w koronę swego Adonisa, na tron polski go posadziła. Niedługo lalka szcztka weźmie i nie będzie tronu polskiego. Dnia 20. Stycznia 1773 roku otrzymaliśmy manifest trzech Dworów Polsce sąsiednich, że niektóre województwa i ziemie Polski, Litwy i Rusi wróciły pod panowanie dawnych swych władców. Ta wiadomość tak mię przeraziła, iż gdyby mi był kto żywcem serce wydarł, nie tylu uczułym bolu, żal mój nie miał granic. A moja kochana, moja biedna Bogunia strwożona do łóżka się położyła, wśród najsroższych bólów powiła mi Sławosza i życie zakończyła. W rozpaczach pochwyciłem kwilące niemowlę i udałem się przed wizerunek Pana Jezusa Milatyńskiego, wołając, a łkając: Panie! wzięłeś matkę i mnie za nią wybierać się trzeba, zachowajże przynajmniej to niemowlę dla nieszczęśliwej Ojczyzny.

Jakieś światło nadzwyczajne otoczyło te szcztaki rodzinne. Zdawało mu się, że widzi białą postać wskazującego na tę spuściznę, i nieodgadnione uczucie owładnęło serce jego, on pokochał czystą, świętą, nieskałaną miłością nieszczęśliwą Ojczyznę. W tym szlachetnym zapale poznał, że dla niej dostatki, szczęście, zdrowie i życie poświęcić był gotów. Ukrył na nowo te papiery, a wyszedłszy z pieczary, spostrzegł na

wyniosłej wyżynie człowieka, który jak zóraw na czatach stał wyprężony i przypatrywał się słońcu zachodzącemu, które ostatniem promieniem ozłacało gór niebotycznych wierzchołki. Właśnie gdy mu tędy iść wypadało, zbliżył się ku nieznanemu młodemu człowiekowi, który od słowa do słowa przechodząc, podał mu rękę i zwierzył się ze wszystkich swoich planów, któremi na wskrós był przenikniony. Powiedział mu: że Moskale po raz drugi rozszarpali Polskę, że rozprószeni za granicą kraju patrjoci pracują usilnie nad dźwignieniem sprawy narodowej, że wszelkich używają sposobów. by skruszyć pęta dzicyz mongolskiej, że się już zbierają liczne drużyny ochotników, by rozpocząć krwawy bój o całość i niepodległość matki-ojczyzny. A możebys z nami poszedł walny młodzieńcze? zapytał nieznanomy wędrowiec. Tego też właśnie było mu potrzeba, on gorzał jeszcze pod świeżem wrażeniem, jakie pismo ojca na nim zrobiło. Bez najmniejszego wahania podał rękę nieznanomemu i podążyli obaj do Stanisławowa, gdzie złączyć się mieli z oddziałem udającym się w granice Polski haniebnie rozszarpanej.

Na początku roku 1794 był Sławosz w Krakowie i słyssał ogłoszony akt powierzający Kościuszce władzę naczelnictwa narodowego. Widział tę nikłą co do ciała, ale wzniosłą co do duszy postać obrońcy ojczyzny, który dzieło okupu bardzo ładnie rozpoczął, ale nie było woli Bożej, żeby one tak, jako chciał, do skutku przyprowadził. Pod rozkazami tego znakomitego wodza po raz pierwszy walczył Sławosz pod Racławicami, gdzie według nauki Dobromira nie nie pytał, jeno ciał, co mu sił starczyło, a wszyscy przyznawali mu talent dzielnego rębajły. Pierwsza wygrana popchnęła go dalej aż pod Maciejowice, gdzie był koniec zwycięstw jego i zawodu rycerskiego. Strasznie bowiem przez Moskalów pokiereszowany padł bezwładnie i leżał długi czas bez przytomności. Dopiero nad wieczorem, kazała go pewna zamożna pani z pobjowiska odnieść do domu swego. Z wielką znajomością rzeczy zaopatrzyła rany jego i pielęgnowała go prawdziwie z poświęceniem matki polskiej, a pocieszając go tkliwemi słowy podnosiła ducha jego do tej silnej, a koniecznej potęgi przekonania, że sprawa dobra

musi kiedyś zwyciężyć. W rok przyszedłszy do zdrowia i podziękowawszy swej dobrodziejce za wspaniałomyślną gościnę, puścił się w podróż ku rodzinnej ziemi. Z wiosną roku 1796 stanął na granicach Pokucia. Smutno powiódł okiem ku tej stronie, gdzie nadzieja jego wyswobodzenia ojczyzny na zawsze pogrzebaną została. Nareszcie zasłoniwszy dłonią oczy, zawołał: wolałbym żywcem być pogrzebanym, niżeli patrzeć na niewolę braci moich. Ha, nu! cóż robić? dopełniłem powinności mojej, a teraz stań się wola Twoja Panie, jako w niebie, tak i na ziemi, którą całuję w niemem upokorzeniu. Tak powitawszy ziemię rodzinną, podwoił kroku, i w kilka dni stanął wieczorem przy cerkwi w Staruniu. Zaraz wpadła mu w oczy świeżo usypana mogiła i krzyż biały dębowy, na którym przy blasku księżyca wyczytał: Tu spoczywa Dobromir. Tak, i ciebie już niema, czcigodny mój mistrzu! nie będzie nawet słowa do kogo przemówić. Zasepiony powłókł się ku rodzinnym progom. Lecz podwórze murawą zarosło, a z budynków i śladu nie pozostało. Oslupiał na ten widok boleśny. Tak, i ciebie świadku! druhu moich lat dziecińczych, nie masz więcej! nie ma nawet i głowy gdzie położyć! Siadł tedy na kamieniu. Całą noc oka nawet nie zmrzył, jeno dumał i wpatrywał się w to widmo, w to nieszczęście, do jakich rozmiarów ono spotęgować może prześladowanie swoje. Z rana udał się on do pieczary, gdzie wszystkie papiery znalazł w porządku. Na widok drogich tych szczątków, rozplakał się jak dziecko i nie mógł się z płaczu utulić. W tym srogim bólu zdawało mu się, że postać ojca zbliżyła się ku niemu i zawołała: Sławoszu! Bóg doświadcza całą ojczyznę, a ty jesteś częścią tej ojczyzny utrapionej, uspokój się! Otarł łzy z twarzy, schował papiery i poszedł prosto do opiekuna, który na widok Sławosza nie mógł przyjść do siebie, gdyż wieści go dochodziły, że on poległ pod Maciejowicami. Zrazu ani mówić nie chciał o oddaniu ojcowizny jego. Lecz gdy z zannadrze dobył papiery i rozłożył one na stole, tak szlachcie zgłupiał, zmiękł i peczął się skłaniać do ugody. Każdy inny byłby korzystał z pierwszego wrażenia, ale Sławosz szlachetnością uniesiony, poprzestał na zwróceniu pustych gruntów

i zapłacenie stu złotych, któremi rozpoczął pierwsze gospodarstwo. Ciężka to była praca, gdy z łaski opiekuna i ziemia była jałowa i budynki wszystkie popalone. Jednak te trudy i niedogodności, nie tyle mu dojmywały, ile niedobre mowy, które i duchowni i uczeni ludzie różnego stanu ciągle prowadzili, że szlachta bezbożna zgubiła Polskę, że sami Polacy przyczynili się do swego upadku. Martwiły go te smalone duby i względem Polski wyrobił w sobie następujące przekonanie: Tak gdy lekarz zamorduje chorego, powiada: że pacjent miał raka w kiszkiach, aby tem usprawiedliwić nieuctwo swoje. Żaden człowiek tak głęboko upaść nie może, żeby w sobie nie znalazł zapasu sił do podźwignienia się z tego upadku, bo człowiek jest istotą postępową; wszystko z siebie zrobić może. A co się dzieje z pojedynczym człowiekiem, toż samo dzieje się z całym narodem. Za dni naszych, żaden naród niżej nie upadł nad Francją, gdzie bezrząd, bezbożność i bezprawia wyszcigały się w przewrotności swojej. Gilotyna ciągle ruchliwa, tysiące a tysiące głów najniewinniejszych obywateli codziennie zmiatała. Na ołtarzach Bogu poświęconych, publicznym nierządnicom cześć oddawano; słowem wszelkie bezczelności działy się bezkarnie. A jednak nikomu na myśl nie przyszło rozszarpać Francję i wymazać z rzędu państw europejskich. Francja jak upadła, tak też sama powstała i oczyściła się z tego kału zgrozy i przewrotności. Były i u nas błędy, a gdzież ich nie ma? lecz mogliśmy się ich pozbyć; byliśmy już nawet na dobrej drodze; ale mieliśmy złych sąsiadów, którzy czychali na naszą zgubę, — ci bezprawnie dokonali upadku królestwa naszego; naród pozostał i żywotnej siły żadna przemoc ludzka w nim nie pokona.

Przy takim zdrowem pojęciu rzeczy, praca postępowała naprzód i mnożył się znacznie dobytek. Puste podwórze ożywiło się porządnym dworkiem szlacheckim, a budynki gospodarskie napełniły się bydłem wybornem różnego rodzaju. Nadewszystko starał się służyć ludziom dobrą radą i środkami materyalnymi według swej możności, dowodząc, że i tym sposobem wypłaca się dług kochanej ojczyźnie. Padł też na szczególniejszy pomysł, by umożliwić pielgrzymkę braciom,

przez niedostępne góry i wąwozy, zakopał wysoki słup na wyniosłej wyżynie i sprawił dużą latarnię, którą wśród ciemnych nocy zapalał, aby zbłąkany wędrownik mógł się orjentować podług tego światła, które z daleka widzieć było można. Człowiekowi od kolebki aż do grobu idącemu ciernistą drogą, zdarzy się czasem zażyć roskoszy. Lecz ten stan błogi, który jak sen, jak błyskawica przemyka się przez duszę jego, częstokroć wzmacnia tylko pasmo zgryzoty nieprzerwanej. Podobnie stało się z dobroczynnością Sławosza. Pewnego wieczora zimowego, gdy się miał udać na spoczynek, nagle pies zaszecekał. Przeraziło go to mocno, gdyż okolica którą zamieszkiwał, często nawiedzana bywała przez opryszków. Zdjął tedy ze ściany rusznicę i poszedł do piekarni po parobka z którym wyszedł na podwórze. Nie było nikogo. Zabój ciągle ujadał i ku bramie pomykał. Ostrożnie otworzyli bramę. A jakież było ich zdziwienie, gdy zamiast opryszków, młodziutką panienczkę spostrzegli, która trzęsąc się od zimna ratunku błagała. Sprowadzona do świetlicy cieplej, opowiadała, że jadąc z matką do Sołotwiny, gdy konie spłoszyły się, ona wypadła z sanek, matkę zaś pociągnęły prosto ku wąwózowi. Powstawszy z ziemi spostrzegłam światło i za niem zdążyłam do pana; Bóg mię tu przyprowadził; ratuj pan matkę moją! Natychmiast wzięwszy latarnię, udał się Sławosz z parobkiem na miejsce tego nieszczęścia. Zastał w głębokim wąwozie sanie, koni i woźnicę. A gdy matkę wydobył, pierwsze jej słowo było: gdzie moje dziecko? gdzie moja Ludomira? Uspokój się pani! wołał Sławosz. Ludomira jest u mnie. Zaspokojoną przywiózł do siebie, a jakaż była jego radość, gdy w matce poznał córkę siostry nieboszczyka Dobromira, mistrza swego. Trzy dni gościły niewiasty w samotnym domku jego, a gdy odjeżdżały, prosiły go bardzo, żeby ich kiedy odwiedził. Długo wpatrywał się w to miejsce, dokąd one pojechały, nareszcie przyszedłszy do świetlicy, siadł pod oknem i zesmutniał bardzo. Po raz pierwszy w życiu poznał tę posępną samotność, która jeżeli nie ma wyższego celu, częstokroć stać się może moralnem zabójstwem człowieka. Ta młoda panienska, ta ładna postać niewinnej dziewicy, ta łagodna Ludomira, ciągle mu stała przed

oczyma; uczuł niestety! że bez niej dalsze życie byłoby tylko nieznośną męczarnią. Pojechał do Sołotwiny raz, drugi i trzeci raz, wreszcie oświadczył się i wesele odprawił skromne w roku 1808. We dwa lata po weselu, powiła mu Ludomira synaczka, którego Jasiem przezwała, więcej też dzieci nie miała. Jedyne to dziecko otaczała pieczyotami czulej matki, gdyż ojciec wyéwiczony w szkole cierpkich doświadczeń, był surowy cokolwiek. Razu nawet pewnego przekonawszy się, że chłopaczek na kłamstwa się zdobywa, ztkliżył się do żony i zawołał: Ludomiro! z Jasia nie będzie, bo ty go psujesz. Bóg karze rodziców, jeżeli dziatki swe w karności nie utrzymują. To ona położyła na ramieniu jego rękę i poczęła słodko szczebiotać: Sławoszu! to jedynak, to biedneńkie, to nasza nadzieja jedyna! tak Sławosz zmiękł i nie nie mówił. Walnego chłopaka według widzenia matki, oddał do szkół w Stanisławowie, gdzie wzrastał i dobrze się uczył. Gdy już był w szkołach łacińskich, zapytał go ojciec, czego też w tych szkołach uczą? Syn mu na to odpowiada: że uczą greki, łaciny i niemieczyzny, abyśmy poznali zwyczaje i obyczaje tych narodów. Ojciec westchnął ciężko, że tyle płacić musi, aby syn jego cuda o niemieczyźnie się dowiedział. A o Polsce nie słyszycie tam co kiedy? Rozśmiał się Jasio z lekceważeniem i powiada; że o Polsce podczas spaceru prywatnie rozprawia ksiądz Donigiewicz, a dowodzi: że każdy człowiek najprzód Pana Boga, a potem Ojczyznę swą kochać powinien na wzór Chrystusa Pana, który nie jeździł po cudzych krajach, jeno żył w swojej ojczyźnie, pracował i umarł dla dobra swej ojczyzny, a którego śmierć w ojczyźnie dokonana, stała się przyczyną zbawienia całego świata. Synu! zawołał ojciec rozczulony, ksiądz Donigiewicz święte rzeczy wam prawi, rękami i nogami imaj się tych słów, które z ust tego czcigodnego męża wychodzą; one niech się staną hasłem całego twego życia, które dobru Ojczyzny masz poświęcić. Najuroczyściej przyrzekł Jaś trzymać się tej drogi, jaką podówczas ksiądz Donigiewicz wskazywał młodzieży polskiej. Jakoż trzeba mu przyznać, że chwaćko postępując w naukach, chwalebnie zakończył szkoły gimnazyalne w Stanisławowie. Gdy zaś wy-

bierał się na filozofię, matka rozplakała się mocno, jak gdyby go na śmierć wyprawiała; serce jej matezynie przeczuwało coś złego w tej naukowej wyprawie. Ale Sławosz przedstawiał jej po swojemu, że dla młodzieży polskiej prócz nauki i pracy, nie ma innej mety. Wywiózł go tedy w roku 1827 do Lwowa, gdzie podówczas był słynny matematyk, Bonifacy Jaworowski, którego też dla skrócenia „Fasiem“ nazywano. Niepoczesna ta figura szczególnym odznaczała się talentem udzielania nauk filozoficznych. To też, kto tylko mógł, garnął się do niego, by za pomocą jego metody egzamina składać publicznie. Uczył tedy ale też i psuł młodzież, gdyż wszystko co zarobił, przez gardło przepuszczał; piętnaście kwart piwa codziennie wypijał i wcale niedbał o siebie, prawdziwie o nim powiedzieć było można, że mieszkał wszędzie i nigdzie. Zresztą jak to mówią, był najpocziwszym człowiekiem na świecie. W jego to ręce dostał się młody, a niedoświadczony jeszcze Jan Sulima, na którego wykształcenie nie szczędził ojciec pocziwie zapracowanego grosza.

W mieście wielkiem, większa jest sposobność wykształcenia i zepsucia. Tu młodzież częstokroć majątek, zdrowie i czas niezem nie powetowany marnuje. Dziś, kiedy koło nas i głodno i chłodno, może nie tyle młodzież pustuje, ale co wtedy, kiedy jakoś lepiej się działo, panieze po kawiarniach i cukierniach pijąc i zgrywając się w karty, rajskie gody w gmachu teatralnym wyprawiali, które jednego tylko wieczora parę tysięcy guldenów pochłaniały. Ubożsi mniej wybredni w prostych knajpach toż samo czynili. Ulubioną wtedy knajpą była szynkownia na Łyczakowie pod imieniem: „Hotel de Bas“ albo Laus z tego podobno powodu, że tam cymbały i basy często przegrywały. Byli też tam dwaj kapłani Bachusa: Batuszka i ojciec Florus. Obaj opoje zawołani, obaj przeciwnicy nieprzebłagani, a mieli pałki tak twarde, że gdy się macali kosturami po tych łbach, odskakiwały jak gdyby od muru dotkliwie te razy. Już wtedy różnili się co do zdań i mowy. Strona Batuszki mówiła po rusku, czyli hawrylsku jak wtedy nazywano; strona ojca Florusa czysto po polsku. Po stronie Batuszki był Solski, kapłan Merkurego, który wyuczał młodzież grywać w karty,

w faryny, w kupki i tym podobne. Był też i Dieczuk twarda głowa, który bez systemu wszystko mięszał, było też i inne mniej znaczące tałałajstwo. Po stronie ojca Florusa był Pekas kapłan Wenery, który okrutnie znęcał się nad biednymi kobietami, bijąc one trzećnią w żelazo okutą. To też co wieczora prawie rozlegał się po ulicach głos tych utrapionych niewiast: Pekas! Pekas! szelma Pekas! Był też Kijowski chory na panicza, który niekiedy z wielkiej fantazyi banknotami fajkę zapalał, i inni drobniejsi panicze. Właśnie co już kipiało jak w garnku, gdy wszedł Fasio z Jasiem, a stanąwszy w drzwiach, zawołał: rekomenduję szanownym kolegom pana Jana Sulimę, najlepszych nadziei młodzieńca. Zaraz poczęto krzyczeć: Neuer giebt Feuer! niech się wkupi! naj zapłatyt! A gdy młody Sulimeczyk położył na stole pięć guldenów; taki powstał hałas, jakiego w piekle nawet nie słyhać. Tak spienione fale rozhukanego morza nie wyją, jaką wrzawę uczyniło czcigodne grono biesiadników. Wszystko rzuciło się ku niemu, wołając: to nasz! to pocziwiec! czesny czołownik. A nuż go głaskać, ścisnąć i całować, o ledwie, że go nie udusili. Jaś po raz pierwszy w życiu znajdując się w takich serdecznych obrotach, na wszystkie strony wywijał się i błagał, żeby mu dano spokój. Ehe ci! powiada ojciec Florus, musisz wiedzieć, cny kolego, ehe ci! że nasze towarzystwo jest najcelniejsze na świecie, ehe ci! Od najwyższego aż do najniższego wszystko pije, ehe ci! Piją pany, piją stany; i panie i łanie ehe ci piją! Ot ne ma szczo howoryty, wsi pijut! odezwał się Batuszka. Hej bracia! wzniesmy pieśń chwały, niechaj brzmi sława grona naszego:

Huczą dzbany, grzmią puhary,
Lud z szynkowni buchnął chmarą,
Rojem wali młody, stary,
W dom rodowy silny czarą.

Pfe! pfe! to nie ma sensu, to nie ma umu, rozumu! Jak to? Kiedy tę pieśń znakomity poeta wymyślił i basta. Ale ditońki, skazit no myni kotryj czołownik najperwsze upyw sia? Noe! Noe! Otóż ja proponuję, żeby Noemu postawić pomnik, lub kopiec usypać. A gdzie? a gdzie? Na wronowskiej górze, gdzie był turecki szaniec. Planu żądamy, planu! Oto tak na wysokim kamieniu siedzi sobie Noe i trzyma

skopiec w rękę i doi krowę, z której zamiast mleka, wino do skopca płynie. Hej wino, wino! lepsze niż przedtem było panie Galiński. Dalej już nie mógł wytrzymać Jasio, cichaczem wyniósł się z knajpy, a przez całą drogę i dni kilka huczało mu i bębniło w uszach nieustannie, gdyż podobnego zgiełku jeszcze nie słyszał. Rzadko kiedy tam chodził, jeno pilnował nauki, i zepechał jakoś dosyć dobrze dwa lata filozofii. Miał tedy poświęcić się prawnictwu. Lecz zamiast na prawo, to on prościusiętko począł chodzić codziennie do knajpy pod Hotel de Bas. W takim stanie zaskoczyła go rewolucya polska przy końcu roku 1830. Błoga ta wiadomość jak iskra elektryczna szybko rozchodząc się dokoła, tknęła w swym pochodzie nie jedno serce poczciwego patrioty. Jaki taki spieszył, by wcześniej stanąć na placu i wypłacić dług, jaki się od każdego prawego syna matce Ojczyźnie przynależy. W Staruni krzątał się też Sławosz, by ułożywszy interesa gospodarskie, zdążyć tam, dokąd go tajemny głos Ojczyzny wzywał. Ludomira tylko zamysliła się i sposepniała. Straszna bowiem walkę wewnętrzną toczyła. Dwadzieścia i dwa lat żyjąc z mężem, żadnej nie doświadczyła przygody. Marnego słowa nigdy nie słyszała z ust męża swego. Zawsze wierny, czuły i troskliwy otaczał ją najtkliwszą miłością. To też trudno jej było rozstać się z nim może na zawsze. Zgadzała się z tą myślą, że potrzeba Polskę ratować, że potrzeba męża nawet poświęcając wyswobodzić Ojczyznę, a jednak zwyczajnie jak kobieta zgadzała się, a płakała. W piątek rano miała go pożegnać; w tem zjawia się posłaniec ze Lwowa z listem ręką Bonifacego Jaworskiego pisany, w którym najwybitniejszy był ten ustęp: Jakże państwo szczęśliwi, że takiego macie syna; to serce poczciwe! to złota dusza! Wszystko opuścił i polecił na plac boju. W tej chwili, kiedy to piszę, może już ostatnią kroplę krwi wylewa dla zbawienia Ojczyzny. Pieniądze dla niego proszę na moje ręce posyłać. Załączam też mały bilecik, który do państwa na bębnie pisał. Był to w samej istocie świstek nie wielki, na którym ołówkiem skreślone stały te wyrazy: Ojeze dobrodzieju! i matko dobrodziejko! Jestem w obozie. Niesłychany tu panuje zapał. Stałem raz na widecie, dwa

razy wyjeżdżałem na rekonensans. Do bitwy gotujemy się wszyscy, Bogu was polecam, a gdy padnę, nie żałujcie tej krwi odrobiny dla utrapionej Polski. Syn ojezyzny.

Chwała Panu Bogu, zawołał ojciec odczytawszy te słowa. Co słysząc Ludomira przystąpiła do niego z ufnością i rzekła: Sławoszu! Bóg żądał od Abrahama jednej tylko ofiary, niekazał mu razem z synem Izaakiem płonąć na ołtarzu. Jeżeli Jasio stanął już na placu boju, ty zostań w domu, nierób mnie sierotą. A te ostatnie słowa z takim uczuciem wyrzekła, że Sławoszowi żal się zrobiło; spojrzął na nią lękliwie, westchnął ciężko i w domu pozostał. Wojna z Moskwą i bez niego byłaby się udała. Cała ta wyprawa do śmiałych oczekiwań torowała drogę, lecz niestety! niebyło człowieka, któryby ten zapał narodowy do świetnego zwycięstwa mógł doprowadzić. Bo gdy starsi rządili, ciągle oglądając się na świadectwo maturitatis od postronnych narodów, a dowództwo jak szalone biegało z rąk do rąk mniej uzdolnionych generałów, nastąpiła straszna klęska biednych Polaków. To też w krótkce po przegranej bitwie pod Warszawą, nadesłał Jasio pudełko z Wiednia z listem treści następującej: Rodzice! dobrodzieje kochani! Wszystko stracone! nadzieje i poświęcenia nasze marnie przepadły! Unieśliśmy tylko srogi ból doznanego zawodu. Na pamiątkę posełam wam moją jak rzeszoto podziurawioną konfederatkę. Dwa razy byłem kontuzjowany, a raz postrzelony. Obecnie jestem w stolicy państwa rakuzkiego na pierwszym roku medycyny, gdyż we Lwowie z powodu branego udziału w rewolucyi polskiej, niechciano mię dopuścić do akademii. Spodziewam się, że gdy zostanę lekarzem dobrym, potrafię działać dla dobra swoich współbliźnich. Mieszkam przy ulicy Mondscheingasse liczba 13. Z wielkiem rozrzewnieniem odczytali rodzice tę smutną wprawdzie wiadomość, ale zato wysoko stawiającą wartość ich syna, że nie tracąc czasu, wziął się do nauki w celu ustalenia przyszłego bytu swego. A gdy z pudełka wydobyli konfederatkę, Matko Boska! zawołał Sławosz zdziwiony! a wszakżesz to istne rzeszoto. Patrzajno, Ludomiro! tu; tędy przeszła kula moskiewska, tu otrzymał kontuzję; tu cięcie pałasza widoczne; zdaje się, że gdzie indziej został po-

strzelony, nie w głowę. Całowali tedy płacząc i weseląc się konfederatką, którą z wielkiem uszanowaniem na kominku lokowali. Kto tylko zjawił się w gościnę, zaraz wskazywali mu na kominek mówiąc: oto konfederatka Jasia naszego! przedziurawiona strzałami nieprzyjaciela srogiego. Wśród gradu kul stał nasz Jasio nieustraszony, dwa razy był kontuzjowany, a raz postrzelony. Ostatnią dewizę powtarzali oni codziennie z wielkim zapalem. A któż rodzicom za złe poczyta? że czcili pamiątkę walecznego chłopaka swego. Posyłali mu też co miesiąc grube pieniądze na utrzymanie. Jaś dziękował zawsze, a po skończeniu pierwszego roku, napisał, że na wakacje nie przybędzie, gdyż ma odprawić wycieczki botaniczne, a może nawet będzie na Alpach. Ojciec cieszył się, ale matka płakała mówiąc: dla czegoż on do nas nieprzyjedzie? ludzkie dzieci, przyjeżdżają do domu, by się nacieszyć z rodzicami, a nasz Jasio szuka po Alpach tego, czego by i u nas w Karpatach znalazł. Dajno pokój Ludomiro, mówił ojciec: Jasio będzie wielkim człowiekiem, to rycerz medyk! tak, medyk rycerz! Na drugi rok toż samo było; znowu pisał, że z powodu wycieczek balneologicznych nieprzyjedzie na wakacje. Matka znowu w płacz że dziecka swego nieobaczy, że niepopieści przedmiot najtkliwszej swej miłości. Dajno pokój Ludomiro! mówił Sławosz! zbadanie zdrojowisk przyrody, jest także celem doktorów, a nasz Jasio, to rycerz medyk! tak medyk rycerz! Na trzeci rok znowu pisał Jasio, że nieprzybędzie na wakacje z powodu wycieczek ortodrapatycznych. Ludomira już nie płakała, jeno znacząco spojrziała na Sławosza, który badawczo przebiegał dalsze ustępy listu syna swego.

Jakoś te niezne, giczne, a szczególnie te drapatyczne wycieczki zaniepokoiły Sławosza. Złożył list do kieszeni i udał się za sprawunkami domowemi do Stanisławowa. Tam zdybał dwóch młodych Eskulapów, których serdecznie powitawszy, zapytał: a co tam mój Jasio porabia w Wiedniu? Eskulapy powiadali: że Jasia wcale niewidzieli. On im dowodził, że jest na trzecim roku medycyny i list prezentował świeżo z Wiednia pisany. Jako żywo! Jasia nie widzieliśmy, powtórzyli Eskulapy. Bardziej jeszcze zakłopotany, wrócił do Staruni, gdzie

z Ludomirą ułożył się, żeby jechać do Wiednia i naocznie przekonać się o stanie dziecka swego. Wybrał się tedy kolosą staropolską i tłukł się przez półtora tygodnia, nim stanął we Wiedniu. Znalazłszy tłumacza, gdyż po niemiecku nieumiał, chodził z nim od Anasza do Kaifasza. Wszystkie wydziały uniwersyteckie zbadał, na żadnym nie znalazł imienia syna swego Chdził do policyi. Niemcy ugrzecznieni przetrzęśli wszystkie akta z lat kilku i nie znaleźli Jana Sulimy. Włóczył się jeszcze po różnych zakładach, lecz wszystkie jego poszukiwania były bezskuteczne. Wracając z Wiednia, nocował we Lwowie, z kąd zrana jadąc ku rogatce na Zielonem, obaczył z góry schodzącego Bonifacego Jaworskiego. Jak się acpan masz, panie Bonifacy? zawołał na niego. Kolaska stanęła. Fasio zbliżył się do kolaski, a kłaniając się ciągle, mówił: witam! witam! pana Sulimę, a zkadże to Pan Bóg prowadzi? A z Wiednia, szukam Jasia mego. A wszakże on tu we Lwowie, powiada Fasio, co za serce pocziwe, to dusza złota! niech pan Sulima wróci, pojedziemy na Chorążczyznę i zobaczymy czciogodną postać walnego chłopaka. Wspomnienie Chorążczyzny podówczas bardzo osławionej, niemiłe sprawiło wrażenie na Sławoszu; ale woźnica zawrócił i jechał już na miejsce wskazane. Właśnie wtedy siedział Jasio za stołem w brudnej izdebce, bosi zupełnie, w koszuli tylko i w kalesonach, lecz na samym kulminacyjnym szczycie zagorzałego ferblarza, gdyż miał przed sobą dwa asy, a w ręce dusił dwie szandle. Wtem drzwi się otworzyły i stanęła poważna postać ojca. Od razu zgłębił całą przestrzeń zgrozy i rozpusty syna swego i zawołał: tu odbywasz wycieczki drapatyczne, rycerzu medyku! gadał byłeś we Wiedniu? Jasiowi karty z rąk wypadły i oczy w dół spuścił, i lekliwie wycedził te słowa: niebyłem w Wiedniu. A byłeś przynajmniej w powstaniu polskim? I tam niebyłem, ojcze. Zbierajże się czem, prędzej wyrodny synu! Ja już, ojcze zebrany. Co to za serce pocziwe, to złota dusza, każdym szlągiem dzielił się z koleżkami, jakże oni go kochają, powiada Fasio. Milcz asan! ofuknął go Sławosz. Tobie mam podziękować za całe to nieszczęście. Bodaj cię Bóg ciężko skarał, żeś tyle dzieci ludzkich zgorszył i spodlił. Wiedz o tem, że u mnie

podłe to szczenie, co nie kocha swej Ojczyzny. I zawołał na woźnicę: dawaj derchę: zawiń panicza w derchę i przywiąż go z tyłu do tłumoka. Zaspokoiwszy małe dłużki w knajpie, wyjechał z tym przepysznym towarem ze Lwowa. Od żalu i trwogi, mało mu serce nie pękło. Tyle nadziei pięknych, tyle cudnych marzeń, widział przed sobą rozwianych. Ta praca ciężka, te zabiegi mozolne, te niewczasy dojmujące, w niwecz się obróciły, nieczuła obojętność owładnęła poczeiwą jego duszę, a ponuro patrząc przed siebie machinalnie odbywał funkeye podróży. Nazajutrz przed wieczorem stanął w Staruni. Ludomira rękę ku niemu wyciągnęła i zapytała: gdzie nasz Jasio? Wnet go obaczysz, odpowiedział Sławosz ocierając łzy z oczu. Wprowadzono bosego Jasia do świetlicy. Serce matezyne przeniknęło całą otchłan nieszczęścia; ręce załamała i padła. Ojciec zdjął z kominka konfederatkę i włożył mu na głowę: oto masz twoją pamiątkę rycerzu medyku! a teraz marsz do kuchni; będziesz z czeladzią jadał i owce pasł. Znalazł się tedy Jasio pośród najwyraźniejszej sielskości. Bosy, w czapce podartej, z batogiem w ręku, obok trzody baranców i pasterek zamurdzanych, a żalił nieprzedstawiał rzeczywisty obraz sielanki?

Ale w komnacie bardzo źle się działo. Lekarz ze Stanisławowa przywołany oświadczył, że Ludomira ma nerwową gorączkę i że niema nadziei wyzdrowienia. W nocy przyszła cokolwiek do siebie i zawołała męża, by jej opowiedział, co się stało z Jasiem. On jej wszystko wykrył: że nie był w powstaniu, że nie był w Wiedniu, że się rozpił i grywał w karty. Biedna Ludomira ścisnęła konwulsyjnie ręką męża i rzekła: przebacz mi Sławoszu! żem ci łotra porodziła! i padła znowu w malignę i majaczyła ciągle przez dni kilka, póki ducha Panu Bogu nie oddała. Patrz! zawołał utrapiony Sławosz do Jasia, który klęczał przy łożu śmiertelnem. Patrz! wyrodny synu! matkę zabiłeś! podłe szczenie, co niekocha swej Ojczyzny. Jako surowy pokutnik, boso, w czapce podartej i z dużą świecą szedł Jasio za trumną; a ludzie ze zgrozą nań wskazywali: oto syn! który matkę wtrącił do grobu. W miesiąc po tym wypadku, upatrzwszy dogodną chwilę, padł ojcu do nóg

i błagał o przebaczenie. Synu! powiada zboląły ojciec: a wiesz ty co to Ojczyzna? Jest to ziemia, na której urodziłeś się, która cię wykarmiła i wychowała. Jest to ziemia po której chodzili przodkowie nasi, dla której pracowali, którą osłaniali pierśią swoją. Jest to ziemia, która doświadczyła cnoty ojców naszych, która oglądała straszliwe walki z przewrotnościami, jakie tylko srogie piekło mogło na nas wyzionąć. Ta ziemia okrywała drogie szczątki naddziadów naszych, a gdy gromka trąba przeniknie pokłady ziemskie, ożywią się te prochy i świadczą będą całemu światu o prawości dzielnej, z jaką wywiązali się dla tej ziemi, którą im Bóg oddał w dziedzictwo. Żądaj odemnie ofiary dla Ojczyzny. Oto mię masz całego. Ręce, nogi i wszystkie członki kraj w drobne kawałki, a ja dumny będę, że kochana matka moja taką ceną okupuje swobody rodzinne. Synu! dla ciebie niema przebaczenia, bo cię Ojczyzna potępiła, bo cię skazała na hańbę i pośmiewisko ludzkie; znamię przekleństwa wyrzyła na czole twojem, a gdy padniesz, kiedyś kości nawet twoje wyrzuci z wnętrza swego, aby nieskałały poczeiwych braci po znoju dziennym wypoczywających. Precz odemnie! podłe szczenie, co niekocha swej Ojczyzny. Po tej sztrasznej odprawie, jeszcze kilka miesięcy biedował Jasio; nareszcie przyszła mu myśl zbawienna do głowy, udać się do pewnego kapłana w którym ojciec miał wielkie zaufanie. Piechotą tedy kilka mil odbył, nim stanął przed duchownym. Tu rozwinał całą potęgę swej wymowy, by go nakłonić do wyjednania łaski u ojca, oświadczając, że chce zostać księdzem byleby go ojciec cokolwiek oporządził. Kapłan lubo w duchu pochwalał zupełnie postępowanie jego ojca, jednak tknięty niedolą młodego człowieka, podjął się tej przysługi. Kazał konie zaprządzić i przyjechał razem z Jasiem do Staruni. W dworcu szlacheckim było bardzo smutno. Sławosz po desperacku wyglądał, a zatem nie tak łatwa była sprawa pojednania. Wszelako sługa boży nietracąc nadziei, użył wszelkich sposobów, by po przejednać. Lecz on uszy sobie zatykał i niecheiał słyszeć takiej mowy. Nareszcie po wielu molestowaniach bezskutecznych, powiada kapłan: Panie Sulimo! a wszakże i złe ma swoją dobrą stronę; nie mielibyśmy trzeźwych, gdyby

niebyło pijaków, niebyłoby sprawiedliwych, gdyby szachrajów niebyło. Zły przykład Jasia tysiące nawróci; chwiejących utwierdzi na dobrej drodze, nauczy kochać tę ziemię, którą on bezczelnie zdradził. Ziemia rodzinna na tem nie nie straci i owszem niezmiernie zyskuje. Jasio chce być księdzem, dopomóż mu do tego, w imieniu Boga żądam od ciebie tej ofiary dla Ojczyzny. Do takiej ofiary jestem zawsze gotów, ale mu przebaczyć nie mogę, a pożegnawszy czcigodnego Kapłana, natychmiast kazał sprawić lepsze odzienie dla Jasia i wyliczywszy mu sto guldenów, wyprawił go do Lwowa.

Mając pieniądze w kieszeni, łatwo mu było uzyskać świadectwo od doktorów, że tych kilka lat po filozofii przechorował, że niebrał udziału w rewolucyi polskiej, na których to świadectwach poprzesztano w Kousystorzu i przyjęto go do Seminarium, gdzie doznawszy miłego obejścia się pracował nad wykształceniem swoim przez nabycie potrzebnych wiadomości w tak ciężkim zawodzie. Po wyjeździe syna, zupełnie opuścił się ojciec. Już go nie nie wiązało do ziemskiego dobytku. Widocznie pasował się według słów Mickiewicza patrząc na długą skonania katuszę stojąc z daleka, klnąc swoją duszę, że w niej pozostały jeszcze resztki uczucia. Złamany moralnie, celu przed sobą niewidział, grób jedyną był dla niego meta. To też godzinami stał w oknie i patrzył w tę stronę, w którą żonę jego do wiecznego odprowadzono spoczynku. Nie tylko ludzie, ale też i bydło ręką jego niegdyś głaskane, smutnie na niego pozieralo. Aby i tych świadków chwilowego szczęścia pozbyć się, począł wszystko rozdawać. Gromadnie cisnęli się do niego ubodzy. Temu dał konia, temu krowę, innemu wołu, między służbę domową podzielił ojcowiznę, a tak rozdawszy majątek przyszedł sam do ostatniej nędzy. W roku 1839 śpiewał Jasio prymicie w kościele Maryi Magdaleny we Lwowie, a w Staruni na śmiertelnej pościeli leżał rozciągnięty Sulima i szeptał pacierze za kapłanem obok niego siedzącym, nareszcie zebrał wszystkie siły gasnące, wznosił ręce do góry i zawołał: Wielki Boże! czy już nie zlitujesz się nad biedną Polską? bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Ręce opadły... a po chwili dodał: syn mój zdrajca ojczyzny... i odpuść nam nasze

winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, Amen, rzekł kapłan, i wszyscy stojący powtórzyli za nim Amen. Sławosz przebaczył synowi i zamknął powieki.

Śmiech. Była królowna, której nikt nie mógł do śmiechu pobudzić. Rodzice bardzo się martwili, że mają córkę jak posąg nieczułą i zimną, gdyż człowiek nigdy nieśmiejący się, przykre zawsze sprawia wrażenie i niemoże być lubiany. W tym tedy smutku ogłosili rodzice, że ktokolwiek potrafi królownę rozśmieszyć, ten będzie jej mężem. Królowna była ładną, bogatą i nie jeden kusił się o jej rękę, lecz gdy rozśmieszyć jej niemógł z rozkazu królewskiego tracił głowę. Już też nikt nieśmiało podejmować się tak niebezpiecznego poselstwa. Był jeszcze jeden król opodał, który miał trzech synów, dwóch rozumnych, a jeden był głupi. Powiada najstarszy do ojca: daj mi moją część majątku, a ja pójdę do tej królowny. Opierał się bardzo ojciec, gdyż to był syn najmądrzejszy, a do tego pierworodny i następca tronu. Ale naleganiom syna musiał uleść i wyprawił go w drogę. Nabrawszy tedy dosyć jedzenia i pieniędzy, wziął też magiel z sobą, sądząc, że hurkotaniem potrafi rozśmieszyć królownę! Idzie tedy i zdybuje dziadka siedzącego nad wodą. Usiadł sobie, a wyjąwszy z sakwy wiktuały, począł sobie zajadać. Dziadek też przysunął się do niego i prosi o kawałek chleba. A nie pójdziesz ty stary cyganie, jak cię tu laską pociągnę, to obaczysz, zawołał królewicz dumny i napiwszy się wody, udał się w dalszą drogę. Przychodzi do tego miasta, gdzie była królowna, hurkotał tedy maglem, królowna nieśmiała się, jeno głowę mu precz zhurkotali. Dowiedział się o tem brat, młodszy królewicz i powiada: wezmę ja wałek do rąk i niby z berłem będę szedł do królowny, a ona pewnie rozśmieje się. Jak myślał, tak też zrobił, a nabrawszy wiele pieniędzy i jedzenia w torbę, idzie z wałkiem niby z berłem jakim. Przychodzi tak samo, jak brat do studzienki nad którą siedział dziadek wynędziały. Siadł sobie przy studzience i zajada smacznie różne przekąski. Dziadek także począł go prosić o kawałek chleba. A nie pójdziesz ty kalicunie, jak cię kijem pociągnę, to obaczysz, zawołał rozgnie-

wany królewicz za to, że taki obdartus śmiał do niego mówić a napiwszy się wody, udał się w dalszą drogę. Przyszedłszy do tego miasta, gdzie była królowna, ubrał się jak najśmieszniej i z wałkiem niby z berłem idzie do królowny. A królowna nie rozśmiała się, jeno rozkazała temu dutkowi uciąć głowę.

Dowiedziawszy się o tem ojciec, bardzo się smucił, do którego głupi syn powiada: pozwólże mi ojcze do tego miasta, gdzie jest królowna, która się nigdy nie śmieje. Idź na cztery wiatry, błaznie! zawołał ojciec strapiony i wyprawił go bez grosza złamanego z domu. Służąca zmiłowawszy się nad nimi, dała mu kawał suchara na drogę. Idzie on tedy i przychodzi do owej studzienki, a zobaczywszy biednego dziadka, zawołał: pomaga Bóg dziadku znękany! i siadł sobie koło studni. Dziadek zbliżył się do niego i prosi o kawałek chleba. Ja bym ci dał dziadku, ale mam tylko kawał suchara, jeżeli masz jeszcze zęby, to gryź razem ze mną. Gryzą tedy razem, a zjadłszy napili się wody. Poczem padł sen na głupiego i zasnął bardzo twardo. Przebudziwszy się, patrzy, a tu karetą złota stoi przed nim i złota kaczka z kaczorem złotym ciągnie tę karetę. Wstawaj! powiada dziadek: Jam Pan Jezus, z którym suchar twój pocziwie dzieliłeś, jedź w imię Boże, a będziesz miał królownę. Siada głupi do karety, kaczor z kawką ciągną i przyjechali do miasta pewnego i stanęli na nocleg w oberzy. Dziwią się wszyscy, a dwie córki oberzysty poszły do wozowni pchły płoszyć i porzuciły z siebie koszulki; jednej przyszło na myśl upiłować sobie kawał złota z karety i porwała nóż i poczęła piłować złoto. Lecz piłując żadną miarą odstąpić nie mogła karety. druga siostra przelekła się i uciekła. Nazajutrz wstawszy głupi siadł do karety, jedzie dalej, a biedna dziewczyna bez odzienia biegnie i piłuje złoto. Przejeżdżają przez miasteczko, ludzie wychodzą i dziwią się bardzo. Wybiegł piekarz i tak się zagapił na to widowisko, że wszystek chleb spalił się w piecu, co widząc, porwał ze złości zapaloną łopatę, a wybiegłszy z domu, począł łopatą walić dziewczynę po tylnej części ciała: a ty szelmo! ja przez ciebie chleb spaliłem; ale bijąc niemoże się już oderwać od karety, biegnie

dalej i wali nieustannie. Aż tu nad wodą, pierze bieliznę kobieta, która spostrzegłszy takie widowisko. wytrzeszczyła ślipy i niewiedziała kiedy woda uniosła wszystką bieliznę. Po niewczasie spostrzegłszy szkodę, rozgniewana leci z prannikiem, nuż tedy okładać dziewczynę i piekarza prannikiem. A wy szelmy! ja przez was bieliznę straciłam. Ale bijąc, już nie mogła oderwać się od karety. Jadą tedy dalej i przyjechali do tego miasta na noc, gdzie była królowna, która się nigdy nie śmiała. Rano idzie głupi do pałacu i prosi, żeby mu wolno było rozśmieszyć królownę. Wszyscy bardzo ciekawi co to za figiel będzie, weszli na balkon wraz z królowną. Aż tu jedzie złota karetą, ciągnie złoty kaczor z kawką złotą, a przy karecie panna bez odzienia piłuje złoto, a piekarz wrzeszczy: a ty szelmo! ja przez ciebie chleb spaliłem, nuż tedy pannę rozpaloną łopatą po tylnej części ciała. A wy szelmy! woła praczek, ja przez was bieliznę straciłam. Nuż tedy raz piekarza, drugi raz pannę po tylnej części ciała prannikiem. Cały balkon pęka od śmiechu widząc taką robotę, a królowna niewiele myśląc za nimi w śmiech, ale już nie śmiała się jeno ryczała od radości. Głupi wygrał, ożenił się z królowną, odziedzyczył wielki majątek i tron po ojeu, a karetą złota z kaczorem i kawką zniknęła.

Sny. W Kulikowie był nauczyciel bardzo ubogi. Który miał trzech synów i niewiedział co z nimi począć, gdyż dochody nauczycielskie były bardzo szczupłe, a wydatki z każdym dniem powiększały się. Postanowił tedy udać się do miasta, gdzieby miał większy zarobek i łatwiejsze dla dzieci utrzymanie. Oznajmując takie przedsięwzięcie swoje synom, rzekł do nich: porzucimy wieś i przeniesiemy się do miasta, dziś ostatnią noc tu przepędzimy, a co się komu przyśni, niech się tego chwyci w mieście i znajdzie swoje utrzymanie. Nazajutrz pytał ojciec synów, co się któremu śniło? Najstarszy powiada, że mu się śniło stolarstwo. Dobrze więc, odpowiedział ojciec, będziesz stolarzem. Średni powiada, że widział miech, kuźnię i kowadło. Więc będziesz kowalem, powiada ojciec. Najmłodszemu zaś śniło się, że on będzie nogi mył, a ojciec je-

go będzie brud pił, ale kochając bardzo ojca, niechciał tego w żaden sposób wyjawić. Rozgniewał się bardzo ojciec i dał mu jeszcze jeden dzień do namysłu. Ale w nocy znowu mieli synowie te same sny, najmłodszy znowu dowiedział się, że on będzie nogi mył, a ojciec jego będzie brud pił, ale niechciał tego ojcu wyjawić. Ojciec tedy wypędził go z domu, i zabrał się z dwoma synami do miasta. Biedny synaczek pozbawiony opieki ojca, szedł dokąd go oczy własne niosły. Bardzo zmęczony po odbytych kilkunastu milach, przybył do wielkiego lasu, gdzie nadybawszy lisia dziurę, spoczął w niej i mocno zasnął. W tym lesie polował wtedy sam cesarz i postrzelił lisa, który ugodzony strzałą pomknął do tej samej jamy, w której biedny chłopczyna spał i położył mu się na szyi. Gończe psy dotarli aż do tej jamy za lisem i poczęli bardzo szczeleć. Na ten odgłos ogarów zdażył i minister cesarski, wziął lisa zabitego i z niemałym podziwieniem spostrzegł przebudzone pacholę cudnej urody. A czyżże ty, synu? zapytał go łagodnie. Jestem tatka mego synem, powiada chłopczyna, nazywam się Jasio, tatko mię wypędził z domu, zem mu niechciał snu wyjawić. Zlitował się nad nim minister i przedstawił go cesarzowi, któremu się bardzo podobało biedne dziecko i nakazał, żeby się zajął nim minister starannie, za co będzie miał koszta powrócone. Wzrastał tedy Jasio pod dobrem okiem, w lata i zdolności tak dalece, że pozyskał wielką miłość swego opiekuna. Razu pewnego dawał cesarz wielki bal, na który minister był także zaproszonym, ale nie miał kogo, żeby go ufryzował. Jaś podjął się tej przysługi i tak go ufryzował pięknie, że był podziwem wszystkich gości na balu zebranych. Sam cesarz niemógł się dosyć nacieszyć, a gdy się dowiedział, że to Jasio taki sprytny, zwrócił wszystkie koszta utrzymania ministrowi i wziął go do siebie. Jaś w naukach znacznie postępował i w rycerskim zawodzie szczególnie swej zdolności dawał dowody. Cesarz bardzo go polubił i zrobił go swoim ministrem. Ale prócz cesarza polubiła go też serdecznie córka jedynaczka samego cesarza. Wiedział o tem cesarz i nieganił tego swojej córki. Lecz dawniej podobne związki zależały od zbadania losu, przeto cesarz dał wielki bal, na który ministro-

wie wszyscy i znakomitsi rycerze byli zaproszeni. A gdy się już goście zebrali, cesarz ogłosił, że kogo córka jego obierze sobie, ten będzie jej mężem i następcą tronu. Wybór już był gotowy, ale zawisł jeszcze od wyższego przeznaczenia, gdyż zawiązano córce oczy i złożono hełmy i szyszaki wszystkich rycerzy razem, a którego hełm i szyszak wzięłaby do rąk córka, ten miał być jej mężem. Serce i przecucie pociągnęło jej ręce do hełma i szyszaka Jasia, którego pośród okrzyku biesiadującej drużyny uroczystym głosem witano i przed cesarza stawiono. Cesarz był z tego niezmiernie kontent i połączył czułą parę węzłem małżeństwa. W kilka lat po weselu, umarł cesarz, a Jaś objął rządy całego państwa. Zdarzyło się też, że gdy objeżdżał swoje kraje, stanął w pewnym miasteczku na gospodę w domu swego ojca, który się już był mocno postarzał i niepoznał Jasia, syna swego. Cesarz poznał od razu ojca ale że to było już późno, więc niechciał go tem przerażać, jeno kazał sobie dać wodę, w której nogi obmywszy spać się, położył. Lecz w nocy obudził się staruszek i chciał się napić wody, a że niebyło żadnej innej pod ręką, poszedł cichuteńko do świetlicy cesarza i chciał się tej wody napić, w której on moczył nogi. W sam raz ocknął się cesarz, gdy już ojciec wodę do ust przykładał, zawołał na służbę, żeby ojcu innej dali wody, a sam zastanowił się nad tem fatalnem przeznaczeniem, które wysniło mu się w jego dzieciństwie, że on będzie nogi mył, a jego ojciec będzie brud pić. Nazajutrz zbliżył się do swego ojca i przypomniał mu, jak został przez niego z domu wypędzonym. Ojciec bardzo się przeląkł, ale on pocieszył ojca i wziął go do swego pałacu, gdzie w dostatkach życie zakończył.

Spekulacya. Podróżujący jegomość zajechał do karczmy na nocleg, o której wiedział, że znajdują się w niej złodzieje, dlatego też nakazał furmanowi, aby na konie uważał i spał koło drzwi. Gdy tak zabezpieczył się, położył się na łóżko i zasnął. W nocy przebudził się i woła na furmana: Antoni ty spisz? Nie, panie, ja niespię. A cóż ty robisz? Ja spekuluję. Nad czemże ty spekulujesz? Ja niemogę pojąć, jak

drzewo pałą, to się dym nad ogniskiem wznosi, a z tyłu kominów codziennie się kurzy i niewiedzieć gdzie się ten dym podziewa? Otóż ja ci wytłumaczę: dym jest parą, gęstnieje w powietrzu i tworzy chmury, z których kroplami deszcz spada. Jakże to pan rozumnie wytłumaczył, teraz mijasno w głowie, powiada furman. Pan uradowany czujnością furmana, znowu zasnął, ale po chwili zerwał się i zawołał: Autoni ty spisz? Nie panie, ja spekuluję. A nad czymże ty spekulujesz? Ja nie wiem tego, gdy kół do ziemi wbija się, przecież robi się dziura, a gdzież się ziemia podziła? Widzisz, ty tego nierozumiesz, za pomocą hydrauliki tak się to tłumaczy, ziemia ustępuje ciężarowi i w miarę onego ścieśnia się i tyle miejsca pozostawia, aby tłoczony ciężar miał swoje umieszczenie. Po tym znowu pan zasnął, ale nadedniem zrywa się i woła: Antoni ty spisz? Nie, panie, ja spekuluję. A nad czymże ty spekulujesz? Czym my teraz pojedziemy, bo już koni niema. A niech cię licho weźmie z twoją spekulacją, zawołał pan rozgniewany. Teraz pan radź, nie sztuka było pierwej radzić i z hydrauliką wyjeżdżać, ale teraz pan wyjaśnij moje zapytanie, powiada furman.

Swieca. Krzyżacy wzięwszy Malborg, wystawili w zamku świecę żelazną, niby zapaloną z tym napisem: wtenczas odbiorą Polacy Malborg, jak ta świeca dogorze.

Szczęście. Bogacz wysłał ubogiego na tamten świat, żeby podziękował jego szczęściu za to dobro, którego obficie sobie używał. Idzie tedy ubogi na tamten świat i stawa u bramy wielkiej. Brama się otwiera i patrzy, że jakiś bardzo chudy człowieczek już ledwie łązi, a jednak ciężko bardzo pracuje. Człowiecze, czego ty się tak biedzisz na tym świecie, pyta ubogi przybysz. Mój pielgrzymie, odpowiada mizerak, o to ja jestem szczęście tego bogacza, który cię do mnie wysłał, ja mu dziękuję za to, że on przecie uznał moje usługi, ale powiedz mu, czy on zechce, czy niezechce, to ja zawsze pracować będę dla niego, bo takie jest moje przeznaczenie. Ubogi ciekawo wypytuje się także o swoje szczęście jak ono wygląda.

Mizerak wskazał mu ręką: widzisz tam tego tułumbasa, to twoje szczęście. Idzie tedy ubogi do swego szczęścia, które spalone siedzi i fuka sobie i fajkę na długim cybuchu pali. Ej, zmiłuj się, patrz jak ja bieduję na świecie, a ty sobie rozkoszujesz, powiada ubogi. Milez, chamie, wrzasnął tułumbas, ja na ciebie pracować nie będę, niedosyć, że musiałem się fatygować sam po ogień do fajki właśnie w tym momencie, kiedy bogacz cię najął, byś szedł złożyć dzięki szczęściu jego! Precz mi z oczu!

Szewe. W pewnej wiosce na Ukrainie mieszkał Antoni, szewe, bardzo ubogi. A ponieważ biedny człowiek musi być chcąc nie chcąc bardzo głupi, więc przezywano go „Hanczar“, a czasem „Połatajko“. Miał on żonę Katarzynę, bardzo uległą i pobożną, która nikomu wody niezamąciła. Chata jego niewielka przypierała do małego ogródka, a na całe gospodarstwo miał tylko jedną kozę, którą często na sznurku sam w pole prowadził. Trafiła się też, że owa koza pusta, wracając z pola często z rąk mu się wrywała, by zaglądnąć do cudzego ogrodu. Ztąd bywały krotochwilne nieraz nalegania do zachowania porządku psotnicy, ztąd też powstała satyryczna pieśń na biednego posiadacza kozy, którą swawolna dziatwa ile razy się tylko pojawił, wrzaśliwie za nim wygłaszała:

Hanczar kozu wede,
A wona jemu wypynaje,
A win jeji wytynaje,
Dla czoho ne ide.

Ubogi szewe znosił cierpliwie to upokorzenie, sądząc, że tą uległością uśmierzy swawolę dziatwy wiejskiej. Ale to lekceważenie od dziatwy, przeszło do starszych tak dalece, że go nawet i za boże stworzenie niepoczytywano. W podobnych zdarzeniach nigdy gniewu nie okazał, udawał, że go to mało obchodzi. Ale powracając do swej chaty, skarżył się przed żoną, a Kasunia nieboga gorzkimi zalewała się łzami. Razem tedy płakali dzieląc się czarnym chlebem i Bogu się kłaniali, ażeby ich łaskawie pocieszyć raczył. Tak schodził dzień po

dniu w biedzie, smutku i utrapieniu, a przecie nikt niesłyszał, żeby kiedy narzekali na los srogi, którym ich Bóg opatrzyć raczył. Na dobitkę nieszczęścia urodziło się im dziecko, a w całej chacie niebyło grosza złamanego, żeby choć ubożuchne sprawić chrzciny. Udał się szewc strapiony do Hospodyna, by raczył dla miłości Boga ochrzcić syna jego. Hospodyn wyzna- czył mu na to czas wieczorny i nakazał, żeby bez kumów nie przychodził. Biegał tedy biedny ojciec od chaty do chaty, wzy- wając kogo w kumy. Ale wszędzie pogardliwie zbywano go: ja do połatajka ne pidu w kumy, a dywy Honezar maje kozu, nechaj kozu bere w kumy. Wtem niepowodzeniu udał się na drogę za wieś, sądząc, że mu się uda jakiego przybysza obcego zwabić do siebie na chrzciny. Lecz zamiast człowieka, oba- czył w oddaleniu najwyraźniejszą śmierć, tak jak ją malują, długą, jasnokościstą, bez ocz, bez języka, bez serca i z kosą w rękach. Nieuląkł się jej, nieuciekał przed nią, jeno pomy- ślał sobie: chwała Panu Bogu, że się już raz nędza moja skończy! Ale gdy sobie wspomniął, że Kasunia sierota sama w chacie z dzieckiem, że niebędzie nawet komu łyżkę wody niebodze podać, tak mu się przykro zrobiło, że strumieniem puściły mu się łzy z oczów i rzewliwie płakać począł. Wtem zbliżyła się śmierć do niego i zapytała: czego ty płaczesz, człowiecze, możebym ci w czem dopomogła? Weź mię z sobą, prócz tego żadnej innej pomocy od ciebie żądać nie mogę, powiada szewc. Nie bój się, ty jeszcze długo żyć będziesz, ale powiedz mi, czego płaczesz człowiecze? śmierć nalega. Jestem ubogi szewc Antoni, dziecko mi się urodziło, chodzę od rana do południa, wzywając kogo w kumy. Całą wieś ob- szedłem i nie znalazłem żywej duszy, któraby mnie tę chrześci- jańską przysługę wyświadczyć raczyła. Jakże tedy nie mam ubolewać nad mojem nieszczęśliwym położeniem? Uspokój się! powiada śmierć, jeżeli ludzie tobą gardzą, to ja muszę przyjść do ciebie na chrzciny, czy przyjmiesz mię w kumy? Całem sercem rad tobie będę. Ale zmiłuj się, sama przyznaj, któryż ksiądz zechce mi dziecko ochrzcić, widząc śmierć przed sobą? Tem się wcale nie turbuj, już to jakoś w tem poradzę, powiedz mi tylko, kiedy ma się ten chrzest odbyć? Dzisiaj jeszcze

skoro słońce zajdzie. Dobrze więc, przyłagodź wszystko i cze- kaj na mnie.

Z dobrą fantazyą powrócił szewc do domu i pocieszał swą Kasunię, ciągle powtarzając: dał Bóg dziecko, musi dać i na dziecko, muszą być i chrzciny. Niewspominał atoli przed nią, kogo zaprosił w kumy. Zaledwie znierzchać počęło, aż tu do wsi sadzi chwacki kozak na koniu wronym i wali z bata, a za nim cztery precudne taranty ciągną karetę ozdobną, na której stangret i lokaje siedzieli, a liberya na nich od złota i srebra świeciła się. Stanęli przed gospodą dla wzniecenia większej uwagi. Hej jest tam kto? zawołał kozak. Wszystko, co tylko żyło wybiegło z gospody z niskimi bardzo pokłona- mi. Powiedzcie nam, gdzie mieszka szewc Antoni, dziś u nie- go chrzciny, wieziemy do niego księcia Pana w kumy. Natych- miast wskazano miejsce przybyłym, a karetą potoczyła się pędem błyskawicy i stanęli przed chatą szewca Antoniego. Wyskoczył z karety książę pan, a stanąwszy u progu chaty, zawołał: Jak się masz Antosiu, stawię się na twoje rozkazy, zabieraj dziecię i jedźmy do cerkwi. Tymczasem we wsi, jak gdyby piorun uderzył; wszystko w poruszeniu, wszyscy lecą jak na złamanie karku do cerkwi. Już Hospodyn dowiedział się o tem zdarzeniu, smaruje tedy słoniną buty, myje się, czesze się, guzdra się i we wszystkie dzwony uderzyć każe. Dzwonią tedy na chrzest Hanczara synowi, którego już wie- zli w poczwórnej karecie, a kozak na przodzie jak z armaty wali z bicia. Stanęli wreszcie, a Hospodyn w najlepszym apa- racie i z wodą święconą czeka na gościa u drzwi cerkiewnych. Wziął więc książę pan dziecię na ręce i bardzo słodko zapy- tał: czy nie będzie która z kobiet łaskawą stanąć z nim do pary. Na te słowa zerwała się jak oparzona pani podstarościna z potężnym mandrygugiem na głowie i zamasyście posunęła, by stanąć obok księcia pana. Za nią stanął podstarość z wój- tową, a za nimi wójt z gumienną. Szewc z daleka przypatru- jąc się tej komedji, w duchu pomyślał: Mój Boże! zrana nikt nie chciał patrzeć na mnie, a teraz pełna cerkiew ludzi, a trzy par stanęło do chrztu synowi memu, taki to świat. Skończył się poważny obrzęd chrztu świętego, a rejenty

z poddakami zaspiewał. Mnohaja lita. Jak zaczęli nareszcie wszyscy wybijać: lita! lita! to aż serce skakało z radości przytomnego ludu. Lecz czemu z rana nikomu serce nieskałało na widok ubogiego połatajka? bo taki jest świat, zawsze obłudny, Hospodyn rozłożył księgę cerkiewną i wpisał nowo ochrzczonego i wezwał świadków do stwierdzenia tego uroczystego aktu. Książę pan własnoręcznie zapisał: Saturnin książę Grobowski, a gdy rzucił na tacę dwa portugaly, tak Hospodyn zapomniał języka w gębie, gdyż od kiedy Ukraina cała istniała, nikt jeszcze za chrzest dwadzieścia dukatów w złocie niezapłacił. Po skończonym zapisie, szewc zaprosił Hospodyna i wszystkich kumów na ucztę do siebie. Sam zaś z dzieckiem i księciem Panem siadł do karety. Nieprawdaż że wszystko dobrze poszło? cieszyła się śmierć kłapiąc kościami: dziękuję ci szczerze, żeś mną niepogardził, odtąd skończy się twoja bieda, będziesz lekarzem. Ale zmiłuj się! ja na ziołach nierozumiem się, ja ledwie buty załatać mogę. To bagatela, jak tylko przyjdiesz do chorego i zobaczysz mię, że będę stała w nogach, natenczas dawaj co bądź, każda chepta pomoże. Ale skoro spostrzeżesz, że stoję nad głową chorego, wtedy daj pokój, bo chory umierać musi.

Tak rozmawiając zbliżyli się do chaty, gdzie stół był suto bardzo zastawiony. Za nimi przyszli Hospodyn z dobrodziejką swoją, podstarości z podstarością i dwie podstarościanki, pisarz prowentowy, wójt z wójtową i gumienny z gumienną. Niema co mówić, była to sama starszyzna wiejska, mogłoby to co znaczyć, gdyby się to niedziało z komplementu dla księcia Pana. Zaraz uchwyciły podstarościanki dziecko, nuż tedy cackać i całować, a to wszystko czyniły, ażeby książę Pan wiedział jakie one słodziutki i pieścizotliwe. Siedli nareszcie wszyscy do stołu. Książę Pan na pierwszym miejscu, po prawej stronie niewiasty, a po lewej mężczyźni. Jakoś pannom podstarościankom pomimo obecności młodego pisarza prowentowego, książę Pan bardzo przypadł do smaku, bo ciągle się do niego przymilały, a uśmiechając się, usta swe korallowe tak misternie układały, żeby ząbki białe widzieć się da-

wały. Mizdrzyły się, kręciły się, wierciły się, oczkami i sercem strzeliste afekta wysyłały ku księciu panu. Ale cóż to było dziwnego, że młode panienki wdzięczyły się, kiedy nawet w gumieną djabeł strzelił, by przypodobać się księciu Panu. Już to z natury była gumienna świdrowata i oczy miała wypukłe, a duże, jak dwie cebule. Nuż tedy cebulkami chłypać, głową kręcić i nosem forkać jak koń znarowiony. A gdy wykrzywiła wargi i nosem jak pytlem machać poczęła, gumienny trącił ją nogą, żeby już raz cicho siedziała. Najskromniej zachowały się: wójtowa z dobrodziejką, a Hospodyn sam musiał być wielkim dyplomatą, gdyż na wszystko potakiwał i kłaniał się ciągle księciu Panu, którego przytomność bez przesady mówiąc, zainteresowała bardzo całe towarzystwo. Tłumy ciekawych na dworze obiegły chatę, by przez szczeliny dojrzec, co się wewnątrz działo, a ciekawie nosy powściubiali przez szyby stłuczone, by przynajmniej powąchać tych specyjałów, któremi stół był zastawiony. A była tam gęś pieczona ze śliwkami, prosie wątróbką i rodzynkami nadziewane, kiełbasy, kiszki, pierniki i marcypany. Lało się też wino, sama małmazya. O północy powstał książę Pan, pożegnał wszystkich i udał się spiesźnie do księstwa swego. Skoro odjechał, wszyscy obstarpił szewca. Majstruniu, kumciu! powiedz nam, skąd ten książę, a jaki miły, jaki uprzejmy, ach co za słodycz westchnęły podstarościanki. Szewcowi duszno się zrobiło, patrząc na te obłudne twarze: powiem wam, ale pod największym sekretem. To był sam Lucyper z piekła, napoił was smołą, boście mię znać niechcieli. Chodim! zawołał Hospodyn, nie czekając dalszych powodów, gdyż całe zdarzenie było prawdopodobne. Za Hospodynem, tłoczyła się cała kompania do drzwi. Co do jednego wynieśli się, aż się kurzyło za nimi.

Przez cały ten czas przypatrywała się pilnie szewcowa za piecem leżąca, nie mogło się jej w głowie pomieścić, co by to znaczyło, i z kądem się to wszystko bierze. Zdawało się niebodze, że spi, dla tego tak cichutko zachowała się, aby nie przerwać tego snu przyjemnego, bo i sen bardzo często uszczęśliwia. Dopiero gdy wrzawa ustała i Antoś do niej podsko-

czył, ochłonęła z wielkiego podziwu. Wszystko jej opowiedział, co się stało, nadmienił, że się ich bieda skończyła, że nie będzie Kasunia dratwy przędła, że będzie wielką panią w atłasowej szubie, i wiele innych miłych rzeczy, które to marzenia oboje do snu ukołysały. Z rana wstawszy, szewc upadł na kolana, dla złożenia hołdu Stwórcy za łaskę Jego przynajświętszą. Jedzenia pozostało jeszcze tyle, że dosyć mieli przez kilka dni do pożywienia swego. Ale po tych kilku dniach, zabrakło kawałka chleba i nie było żadnej roboty. W takim krytycznem położeniu, udał się do arendarza szewc strapiony, sądząc, że go żyd w nieszczęściu wspomůže. Lecz widocznie na prawdę uwierzono, że chrzestna przygoda była sprawą szatańską, gdyż idącemu starzy ludzie ustępowali z drogi, a dziatwa spłoszona do chat uciekała. Sam arendarz, lubo zawsze rad każdemu gościowi, na pana Antoniego ukośnie spoglądał, i nie chciał mu nawet złotego pożyczyć. Dowiedział się atoli od niego, że pani Wojewodzina niebezpiecznie była słabą i że wielką bardzo nagrodę obiecano temu, ktoby ją wykurował. Postanowił tedy korzystać z tej wiadomości i udać się pieszo do Harasymowa, gdzie mieszkał Wojewoda. Wprzód jednak wrócił do swej chaty oznajmić Kasuni, że idzie szukać szczęścia w dalsze strony, zkąd albo wróci bogaczem, albo większym jeszcze nędzarzem. Niech cię Bóg prowadzi, mój Antosiu, odezwała się żona, i powracaj prędko do twojej Kasuni.

Szewc dobre miał nogi, mila za milą prędko pomykała, sam się zdziwił, że cztery mil ubiegłszy, dosyć wczesnie stanął w Harasymowie. Lecz tam wszystko było jak powarzone. Froncymery szlochały, hajducy płakali, sam Wojewoda był w największej rozpacz. Czekał tedy Antoni chwilę na dworze może się sam Wojewoda pojawi, gdyż nikt nie chciał go wprowadzić do jego pokojów. Jak na szczęście sam wyszedł, a że to był bardzo ludzki człowiek, wnet spostrzegł obcego przybysza, i zapytał: zkąd waszmość i czego żadasz? schylił się do nóg przybysz tłumacząc się pokornie dla czego przybył: Jestem z Kalinówki, szewc Antoni, znam się cokolwiek na ziołach, a ponieważ słyszałem, że pani Wojewodzina bardzo

jest słabą, więc przybyłem, możebym jej pomógł. Trudna to już rada, mój kochany. Wojewodzina jest konającą. Wola to boża, On chce żebyśmy żyli, każe też umierać, ale od śmierci uwolnić może, bo jest wskrzesicielem umarłych. Panie Wojewodo! nie uważaj na moje liche ubranie, jestem pewny swego, byłem tylko obaczył chorą, powiem i niezawiodę się, że umrze, lub żyć będzie. Ty widzę z Bogiem żyjesz i mówisz powiada Wojewoda, chodź za mną. I zaprowadził go do komnaty swojej żony i wskazał na łóżko, sam zaś odwrócił się od niej i oczy jego zapełniły się łzami. Wojewodzina miała oczy zamknięte, kiedy niekiedy wydawała ciężkie westchnienie z piersi, a ksiądz kapelan czytał modlitwy konających nad nią. Szewc skoro tylko wszedł do komnaty, ledwie nie podskoczył z radości, bo kuma jego stała przy nogach cierpiącej Wojewodziny. Panie Wojewodo, nie płacz! twoja żona nie umrze, a jeżeli za trzy dni chodzić nie będzie, możesz mi kazać głowę uciąć. Co ty mówisz, człowiecze boży! zawołał Wojewoda biorąc w swe objęcia szewca biednego, złotem cię zasypię, jeżeli mi uzdrowisz Krzysię kochaną. Pozwól że mi panie Wojewodo, wejść do twego ogrodu dla zbierania ziół potrzebnych. Ale proszę cię idź, wrywaj, wycinaj wszystkie kwiaty i drzewa, byleś uratował serce moje.

Skoro się szewc oddalił, ks. kapelan zaczął namawiać Wojewodę, żeby szarlatanowi nie powierzał życia żony swojej. Ojcie Alanie! o coż tu chodzi? wszak nie mamy nic do stracenia, wszakże ja sam do śmierci sposobisz, pozwólże jeszcze tej ostatniej pomocy dla niej. Tymczasem szewc nabierał różnego zielska, kazał dać miodu przasnego i to wszystko razem zgotowawszy precedził i przyniósł szklaneczkę tego likworu do komnaty, gdzie małą łyżeczką po kilka kropel wpuszczał do ust nieprzytomnej Wojewodziny. Smaczno połykała ziółka, nalał drugą szklaneczkę, wypła; nalał trzecią i tą wypła. Poczem jak groch wystąpił pot na czoło chorej. Już! już! zawołał ks. kapelan, szarlatan dobił ją, dawajcie prędko gromnicę. Ale co robisz księżu Dobrodzieju, ja nie pozwolę straszyc Wojewodzinę i wyrwał z rąk gromnicę szewc nieco rozgniewany, a poty jak gdyby ze źródła strumieniem się

puściły. Całą noc spała spokojnie cierpiąca. Nad ranem odmieniono bieliznę i w całym dworze niezwykła panowała radość, z powodu przesilenia się tak ciężkiej choroby, a Wojewoda dowiedziawszy się o tem, pędem pobiegł do komnaty, wołając: wasze serdeńko moje żyjesz jeszcze? Żyję z łaski Najwyższego i wcale mam się dobrze, ale powiedz mi panie mężu, cóżem zawiniła ojcowi kapelanowi, że mię gwałtem chciał na tamtem świat wyprawić. Nie miej mu za złe, Krzysiu. Doktor Dubas nagadał mu, że Wasze serdeńko moje umrzeć musi, więc tak troskliwy był o zbawienie twej duszy, zresztą sama wiesz, że to z kośćcami pocziwe mniszysko. A cóż to znowu za figura ten obdartus ewangeliczny, co gromnicę ojcui Alanowi z rąk wydzierał? To szewc Antoni, lekarz twój, który cię od śmierci wybawił, muszę go ozłocić za tę przysługę. Dzwonek kapliczny przerwał dalszą rozmowę. Wszyscy dworzanie byli w kaplicy, pan Wojewoda przez całą mszę krzyżem leżał, a ojciec Alan po mszy treścią miał przemowę do tej okoliczności od tych słów poczynając: Bóg częstokroć obiera maluczki, aby zawstydził wielkich. Po mszy tych samych ziołek pierwszą, drugą i trzecią szklaneczkę napiwszy się, Wojewodzina w potach spała i nazajutrz wstała zupełnie zdrową jak gdyby nigdy nie chorowała. Wojewoda w nadmiarze swego szczęścia oddając złożony pergamin z wiszącą pieczęcią szewcowi rzekł: Ten dokument stanie waści za złoto, Kalinówka twoją jest, niech ci Bóg błogosławi. Szewc upadł do nóg państwu, a powstawszy, zawołał: Wiedziałem, że Polak potrafi być wdzięcznym i wspaniałomyślnym, ale tego wcale się nie spodziewałem, teraz widzę, że Polak tylko kocha swoją żonę.

Wyszedł szewc i skoczył na rumaka darowanego sobie, na którym też wisały sakwy dobrze zaopatrzone. Pędził co tchu do Kalinówki, radby był skrzydła do nóg koniowi przywiązać, byle prędzej nakarmić i pocieszyć zgłodniałą Kasunię. Stanął wreszcie i przywiązał konia do płota, a sakwy zdjawszy, wpadł do chaty wołając: Kasuniu! powracam bogaczem do ciebie, i wydobył z zanadru pergamin: patrz! co to jest? Kawałek skóry, będzie czem trzewiki i buty łątać, odpowiedziała Kasunia. Na co z indygnacją odezwał się: ty tego nie

rozumiesz, to jest zapis; Kalinówka jest naszą! będziem figle ludziom płątać, nie trzewiki stare łątać. Rękami czem raz zwawiej począł machać. Kasunia ręce załamała sądząc, że jej Antos z biedy oszalał. Ty nie wierzysz, więc słuchaj, co tu napisano: Na wieczną pamiątkę. Wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, oznajmuję tem pisaniem, iż zawdzięczając wierne usługi Antoniego szewca około poratowania zdrowia mojej pani małżonki, postanowiłem mu nadać, jakoż nadaję i daruję wieś dziedziczną Kalinówka zwaną temuż Antoniemu i jego successorom, teraz i na wieczne czasy ze wszystkimi robocznymi, daninami, polami, łąkami, rolami, lasami, borami i wszystkimi przynależnościami. Co dla lepszej powagi przy wyciśnięciu herbu rodowego własnoręcznie stwierdzam. Dan w Harasymowie w dzień świętego Krzyszpina. Roku od Narodzenia Pańskiego 777. Lassota Kiszka, Wojewoda połocki. Uwierzyła Kasunia, ale skromnie odpowiedziała: nie ciesz się, że masz, nie śmuć się że nie masz, a nawet gdy wyborne jądło z sakwy dobywała, jeszcze go przestrzegała, żeby na widok majątku nie uniół się dumą, gdyż to byłoby obrazą Pana Boga, a dla niej nieszczęściem. Sprowadził się tedy do dworu, a na miejscu, gdzie stała jego chata, wystawił piękną kaplicę Przemienienia Pańskiego. Rosła też sława jego lekarska tak dalece, że na dwieście i trzysta mil wzywano go do pomocy chorym. Srebro i złoto lało się potokiem do jego domu. Wystawił wspaniały pałac i dzieci więcej przybyło. Lat kilkanaście używał rozkoszy pełną garścią, swobodnie i bez trosków.

Razu jednego przysła do niego śmierć w odwiedziny i zawołała: jak się masz kumciu Antosiu? Z łaski Najwyższego bardzo mi się dobrze powodzi, gdyby to kumcia łaska wa była przydłużyć mi jeszcze tego życia. Kumciu serdeńciu! to nie odemnie zależy. Każdy człowiek ma swoje światło, skoro zgaśnie światło, kończy się i życie jego. Kumciu serce pokazuje mi to światło życia ludzkiego. Chodź jeżeliś tak ciekawo! I uchwyciła go w swe kościaste ręce i długo bardzo leciała przez morza, przez góry i lasy, nareszcie stanęła przed wysoką górą, którą trąciwszy kosą, otworzyło się jej wnętrze

oświetlone nieprzeliczonemi świecami. Oto masz życie ludzkie! Każdy człowiek ma swoją świecę, póki się pali, póty też żyje; skoro zaś świeca zgaśnie, to i człowiek umierać musi. Ot tam w kącie jest twoja świeca, jeszcze jest spory kawałek, wystarczy na lat dziesięć. Kumciu serduńciu! to mało lat dziesięć, czy nie możnaby świecę nadsztukować? Można, ale to rzecz niebezpieczna, gdyż światło bardzo jest delikatne, może bardzo łatwo zgasnąć, kontentuj się tem, jakie jest. Ale kumciu serduńciu! pozwól mi tę świecę nadsztukować. I wziął szewc cheiwy na boku jedną z leżących świec, nuż tedy przytulać, spajać, chuchać, ale niestety! jak chuchnął, tak i zgasił. Teraz już po tobie, kumciu Antosiu i odniosła go śmierć do pałacu, gdzie się rozchorował, a kumcia stanęła nad jego głową. Ale biedny szewc wziął się do przebiegłości, a używszy śruby Archimedesowej, obracał łóżko na wszystkie strony, aby tam gdzie była głowa, były nogi sądząc, że tym sposobem omamiona śmierć pozycę swą zmieni. Ale kuma znała się na figlach mądrości, ile razy obrócił szewc łóżko, tyle razy spieszyła ona, by stanąć nad głową jego. Zmęczony tym manewrem niepożytecznym, wyrzekł pamiętne słowa: Kruty! werty! treba umerty, a pojednawszy się z Bogiem przeniósł się do wieczności. Długo jeszcze żyła po nim jego Kasunia, zajęta wykonaniem cnót chrześcijańskich. Darowała pańszczyznę poddanym, zgłodniałych karmiła, nagich przyodziewała, dom jej był przytułkiem nieszczęśliwych wdów i sierót, a gdy umarła, gromada cała usypała jej dużą mogiłę, którą nazwano: Hanczarychy mohyla.

Teatr. Pani Kulbuszewska idąc do teatru, wzięła też z sobą dla okazałości lokaja, któremu zapłaciła wstęp na galeryę. Znalazł się on tam między wielu swymi kolegami, a ponieważ po raz pierwszy zdarzyło mu się być w teatrze, przeto bardzo dziwaczne swoim kolegom dawał zapytania. Przy końcu przedstawienia zaczęto wywoływać aktorów po imieniu. A to co? pyta nowicyusz swoich kolegów. To każdy lokaj wywołuje teraz swego pana, lub panią, powiedzieli mu żartując koledzy.

On tedy z całego gardła począł wołać z mazowiecka: pani Kolbusewska! pani Kolbusewska! ja tutaj!

Testament. Jeden bliski śmierci, gdy mu kazano robić testament, odpowiedział: wszak macie dwa testamenta: jeden stary, drugi nowy, na cóż wam trzeciego?

Trójca Ksiądz ucząc chłopca co jest Trójca święta, dawał mu podobieństwo takie: masz syna i żonę, to ty ojeiec, syn synem, a żona twoja niech będzie zamiast ducha świętego; wszak choć wasz troje, a jedno wiedziecie gospodarstwo. Na co chłop odpowiedział: juźci miły ojcze! ja i syn na jedno się zgodzimy, ale w tego złego ducha nie wierzę, bo co ja i syn zarobimy, to nam ten zły duch wszystko przepije.

Trzewik. Król miał córkę na wydaniu, której przyszło do głowy, żeby szczura złapać, skórę zdjąć i dać z tego trzewik zrobić, w celu stawiania siebie na los szczęścia. Jak myślała, tak też zrobiła. Jej powiernica złapawszy szczura, kazała z niego skórę zdjąć i trzewik zrobić. Szewc usłużny wykonał ten rozkaz dziwaczny, a gdy przyniósł, zapłaciła mu dobrze królowna i prosiła, żeby nikomu niepowiadał z czego ten trzewik. Toż samo powiedziała i powiernicy swojej. Mnóstwo przyjeżdżało królewiczów, książąt i hrabiów, lecz żaden z nich niemogąc zgadnąć z czego ten trzewik był zrobiony, niemógł też pozyskać jej rękę. Już się też królownie sprzykrzyła ta zagadka i wyrzekła: że ktokolwiek zgadnie, czy pan, czy ubogi, czy młody czy stary, to pójdzie za niego, a to powiedziawszy wyjechała do krewnych. Tymczasem przybył ładny królewicz w celu pozyskania jej ręki, lecz jej nie zastał w pałacu. Powiernica bardzo go polubiła i często powtarzała: szkoda, że on nieubogi, byłby moim. Wszelako zbliżyła się do niego i pod wielkim sekretem wyjawiała mu, z czego ten trzewik był zrobiony. On dał jej dużo pieniędzy i prosił żeby nikomu o tem nie mówiła, sam zaś precz odjechał. Gdy królowna do pałacu wróciła, przychodzi on za dziada przebrany i powiada: że on zgadnie z czego ten trzewik zrobiony. Królowna mówi:

jeżeli do trzeciego razu niezgadniesz, to ci każę głowę uciąć. On powiada, że z kota. Nieprawda. Drugi raz: że z psa. Nieprawda. Aż nareszcie powiada: wszakże to ze szczura ten trzewik. Królowna aż podskoczyła z radości, że przecie znalazł się taki, który doszedł tajemnicy. Ale z drugiej strony zasmuciła się, że za dziada iść miała. Lecz gdy słowa swego cofnąć już nie mogła, oddała mu rękę i wesele odprawiła.

Po weselu bierze ją dziadek na wózek biedą zwany o dwóch kołach i ciągnie po grudzie i kamienistej drodze za sobą. Królowna trzęsie się, tłucze się, lży połyka, że taka dola jej się dostała. Nareszcie przyjechała do jakiejś chatki bardzo ubogiej, tam dał jej kawałek czarnego suchara. Z początku królowna nosem krzywiła, ale jak wygłodniała, to zjadła kawałek suchara tak smacznie, że aż palce obliżała. Jak mogła, tak biedowała ona z dziadkiem już dwa miesiące, podczas którego to czasu przekonał się dziadek, że był kochanym, ale jeszcze chciał wiedzieć, czy będzie ona mu posłuszną. Poszedł tedy do swego pałacu i rozkazał marszałkowi swemu, żeby tajemnicę zachował i pilnował żonę jego, gdy będzie w ogrodzie robiła. Gdy się umówił w pałacu, wrócił do chaty i powiada: jutro pójdziesz do ogrodu królewskiego kopać pietruszkę, pamiętaj też przynieść dla mnie kilka pietruszek. Królowna z największą ochotą biegnie do ogrodu, żeby zarobić kilka groszy. Kopie pilnie, ukradkiem schowała też kilka pietruszek. Ale dozorca widział, co ona zrobiła i wieczorem odebrał te pietruszki. Ona się bardzo zawstydziła i smutna bardzo przyszła do domu żaląc się przed dziadkiem na swoją przygodę. Dziadek mówi: to nie! to nie! jutro pójdziesz marchew kopać, pamiętaj też o mnie. Poszła ona marchew kopać, znowu schowała kilka marchewek, ale dozorca znowu to odebrał. Żali się przed dziadkiem na to niepowodzenie. To nie! to nie! powiada dziadek, jutro pójdziesz suknię szyć, pamiętaj też gdy będziesz guziczki przyszywała, schowaj dla mnie parę guziczków. Królowna ucieszyła się, że do lepszej roboty pójdzie. Szyje tedy jeden dzień, szyje drugi dzień. Tymczasem dziadek przebrał się za królewicza. Gdy suknia już była gotową, spostrzeżono, że dwóch guziczków brakowało. Znalezione

przy niej guziczki. Ona się bardzo zawstydziła, a królewicz przez drzwi grubym głosem zawołał: ubrać ją za karę w tę suknię. Gdy już była ubrana, drzwi się otworzyły, a królewicz wybiegł do niej i mówi: Chodź złoto moje, perło moja najdroższa! jam nie dziadek, ja król, a ty królowa moja. Zaraz była suta uczta dla wielu magnatów i ministrów, którym żonę swoją uroczyście przedstawiał i żył z nią długo i szczęśliwie.

Turkuł. Powiadają, że ten pan wielkie figle ludziom płatał, a nakoniec i jemu niemałego zrobiono figla. Gdy trzymał Zastawnę na Bukowinie w dzierżawie, przyjechali Hucuły po zboże, a naładowawszy fury zbożem, już się mieli wybierać, ale jeszcze chcieli strzelby swoje opatrzeć. Jeden z nich naprzód poszedł z strzelbą pytając się: de tutki gwintówki szlufjut? Jakiś filut wskazał mu na pana Turkuła. Idzie Hucuł i kłania się, mówiąc: kobyście były łaskawi myni gwintówku wyszlufowały. Hej kozacy! zawołał Turkuł, wyszlufujcie no mu gwintówkę. Położono hucuła i dano mu ze dwadzieścia batołów. Wstawszy hucuł z dobrą miną powraca do swoich mówiąc: ażeż to fajno myni wyszlufowały gwintówku. Abo? zawołali wszyscy uradowani, a hde? Hucuł wskazał im na mieszkanie pana Turkuła, dokąd wszyscy ze strzelbami zabrali się. Pan Turkuł sądząc, że to odwet Huculów, zwołał wszystkich kozaków i rozkazał jednego po drugim batem okładać. Doradca usłyszawszy krzyk swoich kolegów, zaciął konie i pojechał, bo byliby mu powróciwszy, niezawodnie drugi raz gwintówkę wyszlufowali.

Razu pewnego przyszła baba skarżyć na swego syna, że jej niesłucha, że teraz uderzywszy nawet, uciekł z domu. Pan Turkuł wysłuchawszy skargi, zawołał: za tydzień przyprowadzisz mi syna, a jak go nieprzyprowadzisz, to trzydzieści rózeg weźmiesz, a teraz precz mi ztąd babo. Biedna matka kręciła się i żalowała tego, że chodziła skarżyć na syna, poty śmiertelne na nią występowały, gdyż syna jak niebyło, tak niebyło. Na szczęście zjawiła się banda cyganów, i rozbiła swoje szatra koło Zastawni. Idzie tedy baba do cyganów czy nie poradziliby oni co w tej przygodzie.

Zaraz na samym wstępie wpadł jej w oczy cygańczyk młody. Nuż tedy do niego. Czy nebuw ty moim synom? Czo-mu ni, odpowiada cygańczyk. Bierze go tedy do domu, myje, czesze. ubiera czysto w nową switę i prowadzi do dworu. Stał wtedy na ganku pan Turkuł, baba mu się kłania i powiada, że przyprowadziła według rozkazu swego syna. Aha! zawołał Turkuł, hej kozacy! połóżcie no tego poganina. Kozacy biją, pan Turkuł moralizuje: szanuj szelmo matkę. Cygańcio dorozumiał się o co rzecz, idzie i zawołał: tabo sese ne moja mama. Patrzcie! szelma, odezwał się Turkuł, rodzonej matki się zapiera, a bijcie dobrze. Po tej najniesprawiedliwszej egzekucyi, powiada Turkuł: teraz za karę weźmiesz matkę na plecy i przez całą wieś będziesz wołał: że to twoja matka. Bierze cygańczyk babę na plecy i woła przez całą wieś: sese moja mama. Nareszcie przechodzi przez tabor cyganów, matka jego rodzona wybiega za nim wołając synu a ty szczo nesesz? Mamu, odpowiada cygańcio, sese ne twoja mama, ja twoja mama. Aha idy do Zastawny, tam skaży, że ty moja mama, teper to moja mama.

Trzeci raz wyprawiono figla samemu panu Turkułowi. W Tarnopolu mieszkała wdowa staruszka proces prowadząca o swoją spuściznę. W tym samym domu, w którym ona mieszkała, była także pewna wdowa mająca syna jedynaka w szkołach gimnazjalnych. A jak to zwykle wdowa z wdową rada przystaje, przywiązała się też szczerze staruszka do niej i syna jej serdecznie pokochała, który wywdzięczając się za szlachetną życzliwość, pudełeczka klei i łakocie różne z miasta przynosił. Ukończywszy szkoły w Tarnopolu, wyjechał do Lwowa w celu słuchania wyższych nauk i w tym czasie staruszka wyprocesowała swoją spuściznę i przeniosła się na wieś. Lecz niedługo trwała jej radość z odzyskania mająteczku staruszka rozchorowała się i Panu Bogu ducha oddała. Najbliższym jej krewnym był Turkuł, który dowiedziawszy się o śmierci staruszki, ani wątpił, że będzie jej sukcesorem. Jakoż w tej myśli zjechał na wieś i rozgospodarował się jak szara gęś w obcym majątku. Jeszcze tylko chodziło o oddanie prawne przez komornika sądowego tego majątku. Uprosił

tedy komornika, żeby zjechał na pewny dzień dla oddania poddaństwa osady wiejskiej. W tym samym czasie, przybył ów młodzieniec ze Lwowa, któremu niebardzodobrze tam powodziło się i niewiedział, co miał dalej z sobą począć, gdyż z powodu braku funduszów, nie mógł słuchać wyższych nauk. Przypadkiem zdybuje go na ulicy komornik, który go znał dobrze i przywitał go bardzo serdecznie. Twoja dobrodziejka umarła, ot dobrze żeś przyjechał, pojedziesz ze mną pojutrze na wieś, gdzie będzie tradycya oddania majątku panu Turkułowi; ot tak niby za aktuarjusza wezmę cię z sobą. Przyjechali tedy na wieś, a po smacznym objadku, weszli wszyscy na ganek, przed którym stała w pokorze gromadka miejscowa. Pan Turkuł sam rozpoczął mowę: Po ś. p. nieboszce dziedzicze waszej, prawem naturalnym przypada mi majątek, należy mi się posłuszeństwo od was, jestem panem waszym. Nie panowie gromada, odezwał się na to komornik, to nie jest wasz Pan, ale to jest wasz Pan! wskazując na młodzieńca i wy dobył testament prawnie zrobiony, z największą flegmą odczytał intromisę sądową, a trzeba było widzieć, jak gromada ogromnie wytrzeszczyła oczy na pana Turkuła, który nos spuścił na kwintę.

Twardowski. Słynny ten czarnoksiężnik sprzedał żydowi konia na pozór bardzo powolnego. Żyd chcąc onego konia napoić, wjechał z nim w rzekę, gdzie się woda zdawała być mialką, a jednak była bardzo głęboka. Ow koni zostawwszy żyda na głębiznie, wypłynął z pod niego i zniknął. Żyd i pieniędzy niemiał i ledwie życiem nieprzeplacił.

Tenże w podróży, gdy mu chłopci pijani w karczmie w dudy grając i hałasując, spać niedali, kazał cicho gospodarzowi kołek grabowy uciesać i wścianę wbić. W tem zawołał: chłopci na kołek! Aż tu zaraz wszystkich z dudą djabli na on kołek powsadzali i trzymali aż do dnia białego. A on rano wstawszy na instancję gospodarza, puścił i rozwiązał, którzy ze strachu z izby oknem powylatywali na łeb, ledwie karków niepołamali, ale się trochę lepiej utrzęśli, niż w tańcu, bo aż chorowali.

Ubogi. Było dwóch braci, jeden bogacz a drugi ubogi. Bogacz nie chciał zaratować biednego brata, jeno kazał mu pracować. Chodził tedy, biedny brat do bogacza i pracował u niego ciężko przez cały dzień, za co dostawał miarkę mąki i nic więcej. Rozpacz go pożerała, że zarobek taki niemógł utrzymać licznej jego rodziny, postanowił tedy opuścić dom i pójść w świat za oczy, jak powiadają. Idzie tedy cały dzień głodny i zanocewał w jednej kaplicy. W nocy przyszli Aniołowie i nasypali mu do worka pełno dukatów. Wstaje ubogi, dziękuje Bogu za te dary, które zaledwie zdołał przynieść do domu. Żona i dzieci weselą się sprawią huczne chrzciny, na których nawet Hrabia miejscowy był obecnym. Brat bogacz z ciekawości prawie odchodzi od siebie, z kąd jego brat nabył tyle majątku? Ale jak to kobiety zwykle ciekawe i gadatliwsze, zaprosiła bogaczka żonę ubogiego niegdys brata. i tak ją grzecznie uczęstowała, że ta wszystko wygadała, jakim sposobem przyszli do takiego majątku. Wyprawiła, tedy bogaczka swego męża z workiem próżnym na wędrówkę. Idzie tedy bogacz i zanocewał także w kaplicy. Ale w nocy przyszli diabli i nasypali mu do worka pełno plugastwa, a na niego dopuścili krosty. Plugactwo rozłazi się, szczypie, kąsa swoją drogą a krosty ze swojej strony dokuczają. Zrywa się bogacz wśród takiego bogactwa, ucieka z kaplicy, lecz to wszystko za nim goni. Przychodzi do domu, bij żonę, co się wlezie. Miała tedy zamiast dukatów, krosty i plugastwo, które modlitwami i najęciem mszy świętej zaledwie od siebie oddaliła.

Udało się. Pewien generał sprzykrzył się bardzo podwładnym. Razu pewnego zapowiedział wielki przegląd wojska, co wszystkim niebyło na rękę, zwłaszcza, że to były ostatki zapust, z których każdy prawie żołnierz chciał korzystać. Co tu robić? pan każe, sługa musi. Układają się tedy, żeby generałowi wykraść mundur galowy, bez którego on na żadną paradę nie wychodził. Przebiera się jeden z wojskowych po cywilnemu bardzo elegancko i wchodzi do przedpokoju generała w tej samej chwili, w której służący czyścił mundur galowy i prosi, żeby go wprowadził do generała, z któ-

rym ma kilka słów pomówić, a to powiedziawszy sam do siebie rzekł: uda się, nieuda się. Służący myśląc, że przybyły tak o swoim interesie rozprawia, poszedł do generała. Tymczasem przybyły uchwycił mundur galowy i z tryumfem przybył do swoich towarzyszków. Generał zezwolił na posłuchanie. Ale służący wyszedłszy, spostrzegł, że niema przybysza, że i munduru niebyło, a załamując ręce, wpada do generała wołając: udało się! udało się! Co kpie udało się? zapytał generał. To był złodziej, ukradł pański mundur z orderami. Cicho bądź, odezwał się generał, teraz pójdziesz do półkownika i powiesz, że niebędzie przeglądu z powodu nagłej słabości mojej. Wszyscy żołnierze dobrze się bawili, a po zapustach podrzucili mundur generałowi.

Upór. Człowiak miał żonę bardzo upartą, która zawsze i wszystkiemu stanowczo się opierała. Razu pewnego ogolił się i mówi do żony: Krasneńko hołenym. Na co mu odpowiedziała: to ne hołeno, ale streżeno. Ale hołeno, spiera się mąż; streżeno, odpowiada żona. Tak go tem zniecierpliwiła, że postanowił ją utopić. Ciągnie tedy do wody: każe hołeno; streżeno odpowiedziała i rzucił ją w wodę, a tonąca podniosła rękę do góry, i dwoma palcami ruszając, pokazała, że nehołeno jeno stryżeno.

Wilk. Wszystkie plany udawałyby się na świecie, gdyby niebyło przeszkód. Najszczytniejsze czasem pomysły rozbijają się o twardą mózgowicę nieuków. Doświadczył tego wilk żarłoczny marząc o przedziwnym jakim bankiecie dla siebie. Idąc polem stanął nad pewną jamą niebardzo obszerną, nad którą duży kamień sterczał. Wnet przyszło mu na myśl, czy nie jest to kryjówka ptactwa, owiec, lub tym podobnego stworzenia. A może tam wieprz tłusty spoczywa dla ochłodzenia się, ach! cóżby to za uczta była dla mnie. Wlazł tedy do jamy, a kamień sterczący jak gdyby naumyślnie zapadłszy się, zakrył otwór jamy. Postrzegł wilk całe swoje nieszczęście. Nuż tedy narzekania: trzeba ci być ciekawym? pocześ tu wlaź? czy schowałeś co? czy jamnikiem jesteś, że byś po norach szukał dla siebie zdobyczy? Ach ja nieszczęśliwy, skończy się swoboda moja! i rozbeczał się jak poku-

tnik surowy szcękając i wyjąc przeraźliwie. Lament ten żałośny sprowadził człowieka, który domyślając się, że to głos wilka, z podziwieniem zapytał: cóż ty tu robisz? Ach, mój dobrodziej! mój wybawicielu! mój łaskawco! uwolnij mię z tej biedy, a ja ci sowicie za to wynagrodzę. Złakomiwszy się na zapłatę, odważył, a wilezysko uwięzione wylazło na wolność i dalejże do człowieka, by go rozszarpać. Stój, co robisz? Taka twoja wdzięczność za wyświadczone ci dobrodziejstwo gdzież twoje słowa, wszakżeś obiecał mi zapłacić? Zjeść powinienem ciebie, gdyż tak cały świat płaci. Wdzięczność jest złudzeniem tylko, a dobre złem się wypłaca. Takie jest zdanie twoje ale posłuchajmy kogo innego, może znajdę przecie sprawiedliwość. Tam biegnie psisko stare, pójdźmy do niego, niech on nas rozsądzi. Poszli tedy do psa i opowiedzieli mu całe zdarzenie. Pies pokiwawszy głową, wydał wcale niekorzystny wyrok, zjedz go wilku, tak świat płaci. Patrzcie! póki byłem młody, cały dwór mną się zajmował, wszyscy mię pieścili. Azorka lubego cukierkami karmili, a teraz kiedym się postarzał, wypędzono mię na cztery wiatry; zjedz go wilku! tak świat płaci. Wyrok ten jest jednostronny, pies rozżalony widocznie tu zemstę na ludzi miał na celu. Pójdźmy dalej. Tam na drzewie siedzi sroka, ta przecie niebyła we dworze, przeto sprawiedliwszą będzie. I poszli do sroki z opowiedzeniem dziwnego wypadku. Sroka wysłuchawszy i ogonem machnąwszy, rzekła: zjedz go wilku, tak świat płaci. Patrzcie! biedna srokonia co komu winna? gości głosi, w nocy na złodzieja skrzecze, pilnuje domu gospodarza, a za to biedną sroczką strzelają, aby jej trupa powiesić w stajni dla zabobonu i przesądu. Zjedz go wilku, tak świat płaci! Sroka brechaczka, smalone duby plecie; ot tam pomyka lis, pójdźmy jeszcze do niego, może on roztropniejszy wyda wyrok. I pokłonili się lisowi przedkładając mu swoją sprawę. Lis prawnik zauważał, że ta sprawa nie da się sumarycznie załagodzić; przeto wezwał każdego z osobna na ustęp. A najprzód rozmówił się z wilkiem, jakiej może się od niego nagrody spodziewać. Wilk nieobiecował mu zapłaty, zwłaszcza czując słusność po swej stronie. Przystąpił tedy do człowieka, który w nagrodę przy-

chylnego dla siebie wyroku, obiecał mu codziennie jedną kurkę. Teraz zaś dla bliższego rozpoznania rzeczy, trzeba nam się udać na miejsce tego zdarzenia, zaproponował lis chytry.

A skoro stanęli nad jamą, obrócił się lis do wilka: pokażże nam wilku, jak tu siedziałeś? Wilk wlaźł do jamy i usiadłszy sobie, począł wyć doskonale, dając do zrozumienia, jak się w tej jamie sprawował. A teraz ty człowiecze pokaż, jak była jama kamieniem przykryta? Człowiek zasunął potężny kamień nad wilkiem. Teraz panie wilku siedźże sobie w jamie, póki cię znowu człowiek głupi nie uwolni, rzekł lis uradowany, i udał się za człowiekiem po kurę. Pierwszego dnia dał człowiek kurę, drugiego dnia także dał kurę, ale trzeciego dnia pomiarkował się, że podobna nagroda pochłonie cały jego majątek; postanowił zatem pozbyć się lisa. Trzeciego dnia gdy przyszedł, człowiek udał, że ma pod kapotą kurę ukrytą przed widokiem żony, że mu da, gdy w pewny kącik szpiechlerzyka udadzą się; tam tedy gdy stanęli, wy dobył pałkę z pod kapoty człowiek, a zabiwszy łapikurę, mimowolnie zawołał: tak świat płaci!

Tymczasem wilk w jamie wszystkie psy wieszał na lisa i człowieka, skomlał i wył, ale nikt nieprzybył, by go wyratować. Drugiego dnia dopiero postrzegł szczelinę małą między kamieniem, a jamą. Nuż tedy pazurami drapać póty, póki nie wyrobił dziury, przez którąby się mógł przedzierzgnąć. Obszarpany i wygłodzony, wydobywszy się na wolność, począł siebie łajać. Jaki to z ciebie dureń, potrzeba ci było kompromisu? miałeś człowieka, trzeba go było zjeść; kto zdobycze swoje na sądy zdaje? Ale co teraz to mię już nikt nieoszuka. Właśnie pasie się kobyła, rzucę się na nią bez ceremonii i zjem z kośćcami, bom strasznie głodny. Poskoczył więc z dzikością do swej ofiary. Ale kobyłka przybrawszy minkę owieczki niewinnej, poczęła się do wilka przymilać. Mój przyjacielu, ja nieuciekam przed tobą, sama cię proszę o to, żebyś mię zjadł. Lecz oderwij mi podkowy najprzód, abys sobie i gospodarzowi memu przysługę uczynił. Usłuchawszy tej mowy wilk, zbliżył

się do tylnych nóg kobyły, któremi go tak palnęła w mordę, że aż się przewrócił. Leżał jakiś czas prawie bez ducha, nareszcie przyszedłszy do siebie zawołał: a trzeba mi tego było? czy kowalem jestem, ażebym się brał do rozkuwania koni? A teraz i kobyła uciekła i parę zębów straciłem. Wtem nadleciały gęsi i usiadły niedaleko. Zerwał się wilk do gęsi z niezmyślonym apetytem; to to będę jadł, jak kluski będę połykał. Postrzegły go gęsi i zawołały: a czego ty wilku od nas żadasz? Chcę was pojeść, odpowiedział zapytany. Pozwól że nam przed śmiercią zaśmiać się. I owszem, śmieJCie się! zawołał wilk ciesząc się z ich głupoty. A tymczasem gęsie ruszając skrzydłami i wołając: gę! gę! gę! wzniosły się do góry i precz odleciały. A czy mi lieho nadało z temi koncesjami, wszystkim żyć pozwalam, a sam chyba z głodu zdechnę. Czy niesłyszałem gęgania głupich gąsek? Durny gąsiorze! Tak narzekając, wyszedł na górę, z której w dolinie obaczył capa, pasącego się nad brzegiem płynącej rzeki. Aha! jesteś capuniu! ty mię nieoszukasz. Ach cóż to za balędzie? zjem capunia i zaraz wodę się napiję. W tryumfie tedy spuszczał się z góry do swej ofiary, wołając: capuś! capuś! Jestem na twoje rozkazy, odezwał się cap, czegoż ty chcesz odemnie wilku? Aha! chcesz mię ocyganić, nieuda ci się sztuka, stawaj capie, niech cię w kawałki rozszarpię. I owszem, mój wilku, ja ci chcę ułatwić twoją zdobycz, widzę, że masz pysek pokrławiony, a zatem niemożesz dobrze ani szarpać, ani jeść. Ale wiesz co, stań tu na dolinie, otwórz paszczkę, a ja pójdę na ten pagórek i ztamtąd prosto wleczę ci do brzucha twe-go. Usłuchał wilk tej rady, a capuniu jak się rzucił z pagórka, rogami swemi obydwą ślipaki wyszturkał wilkowi, który potoczywszy się z bolu w rzekę upadł i utonął. A cap filut jak djabeł śmiał się do rozpuku i bródką potrząsając chociaż niebardzo poetycznie, jednak pamiętne, a pouczające wyrzekł słowa:

Teraz wilku napij się czystej wody,
Niedrwij z szkapy, gąski i capiej brody.

Wisielecy. W Gdańsku prowadzono złodzieja na szubienicę, a przed nim i za nim ludzie cisnęli się. Rzekł: czego się tak ciśnienie? wszak tam bez was obejdzie się, mię tylko tam potrzeba. Potem w bramę idąc, rzekł do straży: już teraz możecie prędzej bramę zamknąć, na mię nie czekajcie. Ksiądz mu rzecze: widzisz, do czego cię ta zła kompanija przywiodła? Nie miał ja w całym życiu gorszej kompanii jak teraz, z jednej strony kata, a z drugiej księdza.

Innego, gdy miano ścinać, prosił, żeby go powieszono, gdyż nie może na krew patrzeć, zaraz mdleje.

Innego pytano, co też w życiu najgorszego zrobił? odpowiedział: to było najgorzej odemnie, zem się dał złapać.

Innego ksiądz na śmierć dysponując, pytał: czy czego złego jeszcze więcej nie zrobił? odpowiedział: ja katu, który mię dręczył i męczył, nieprzyznałem się, a tobie bym się miał przyznać.

Inny pod szubienicę kazał sobie podać szklanekę piwa, a gdy mu podano, zdmuchnął pianę, twierdząc, że z piany kamień się w człowieku tworzy.

Inny znowu zapalił sobie fajkę przed straceniem i czekał aż się hubka dopali, twierdząc, że dym hubki szkodzi bardzo na piersi.

W Stanisławowie prowadzono opryszka na szubienicę, który idąc, nieustannie powtarzał: ależ to bołoto! ależ to bida! Żołnierz obok niego idący, miał się odezwać: szczo tobi za bida, ty sia tam łyszysz, ale my musimy powertaty. Jak na bankiecie jakim odpowiedział mu łotr: łyszit wy sia, pane wojak, a ja powernu.

Wybiegi. Macocha mając pasierbice dwie i córek własnych tyleż, chcąc doświadczyć, która pasierbica była życzliwszą jej córkom, dała pasierbicom po jabłku, a swoim córkom nie, mówiąc: widzicie, że ja swoim nie nie daję, a wam tylko daję. Z nich jedna, żeby się w oczy pokazała być życzliwszą, dała całe jabłko jej córce, a drugiej dała tylko połowę jabłka druga córka. Macocha tedy rzekła: że życzliwsza ta, co połowę dała, bo bez pochlebstwa.

Druga macocha, także miała sześć pasierbic, a jedną córkę; kiedy chleb piekła, sześć kuciek upiekła dla pasierbic, a córce swojej nic. Rozdawszy u stołu, rzecze: widzicie, ja wam upiekła, a córce mojej nic, jeżeli chcecie, to jej też dajcie. Każda odkroiwszy połowę, dała jej; a tak one zjadły po połowie, córce zaś z sześciu połówek, dostały się trzy kucielki

Wykradzenie. Król miał syna, którego bardzo kochał, ale znachory przepowiadali, że królewicza czarnoksiężnik wykradnie, co też było powodem większej troskliwości króla dla swego jedynaka. Kazał go nieustannie pilnować, nigdzie go od boku swego nie oddalał. Naparł się razu pewnego królewicz na polowanie. Król dał mu karety i nakazał, żeby niewysiadając z karety strzelał, toż samo przykazał i służbie, żeby baczne oko na niego zwracała. Rozpoczęło się polowanie, myśliwi rozbiegli się po lesie, a tu biegnie sarna smukła i staje przed drzewkami karety królewicza. Zrywa się do niej królewicz, strzela i trafia w nogę. Sarna niby pada. Królewicz wyłazi z karety, by sarnę podnieść, ale sarna wstała i ucieka. Królewicz za nią, sarna między krzaki kryje się. Królewicz tak się był zawikłał, że już do swoich trafić nie mógł. Tam przemieniła się sarna w czarnoksiężnika, który uchwycił królewicza i zaprowadził do swego pałacu, gdzie rozgniewany, że tak długo nań czekał, chciał go zabić. Ale królewicz wyprosił się pod tym warunkiem, że przez jedną noc cały las wytnie i drzewo w stopy złoży. Było to tylko odwłoką śmierci, gdyż niepodobna było cały las przez noc wyrąbać. Chodzi tedy smutny bardzo i narzeka, ale królowna, która go od razu pokochała, wybiegła z pałacu pokryjomu do niego i pocieszając go, rzekła: nie turbuj się! świśnij tylko trzy razy w nocy, a wszystko będzie po twojej woli. Gdy się noc zrobiła, świsnął trzy razy królewicz, a djabli zbiegli się, cały las wycięli i przed północą jeszcze wszystko drzewo w stopy ułożyli. Czarnoksiężnik dziwował się temu bardzo, i rozkazał mu, żeby przez jedną noc cały staw wysuszył, zaorał, zasiał, zebrał i pszenicę w kopy złożył. Jeszcze bardziej zesmutniał królewicz, rozważając niepodobienstwo wykonania. Ale króle-

wna znowu wybiegła do niego, pocieszając i nauczając go, żeby tylko trzy razy świsnął, to się wszystko podług jego życzenia stanie. W nocy świsnął trzy razy, djabli zbiegli się, staw wysuszyli, wyorali, zasiali, zebrał i przed północą jeszcze pszenicę w kopy złożył, pod którymi spał sobie królewicz. Czarnoksiężnik rozstrozył się na niego, że mu ktoś bruzdzi i postanowił go zabić. Ale królowna wykradła się do niego i namówiła go, żeby razem uciekli za morze, gdzie też długo bardzo szczęśliwie z sobą żyli.

Żaba. Było w domu pewnego gospodarza trzech synów, dwóch rozumnych a trzeci głupi. Rozumni bardzo dokuczali upośledzonemu bratu, który niemogąc sobie rady dać z nimi, wybrał się na polowanie. Ale jak to mówią: za niezdara złotą wierzba rośnie, wrona, gdy zasnął, ukradła mu rusznicę. Przebudziwszy się, począł narzekać i płakać, a najbardziej z tej przyczyny, że powróciwszy do domu, stanie się przedmiotem szyderstwa nieubłaganych swych braci. Lament ten sprowadził doń dużego odyńca, który wypytawszy się o wszystko, zawezwał go do siebie na służbę. Głupi Maciuś przyjął bardzo chętnie wezwanie i udał się za nim do ogrodu, gdzie było bardzo dużo owoców. Odyniec kazał mu pilnować ten sad, aby nie nie zginęło, a wskazując na drzewo, rzekł: wyleż na tę jabłoń, gdyż tu jest niepocziwa gadzina, która mi wszystkie jabłka zjada. Ja tymczasem pójdę za górę paść się, a gdy przyjdzie gadzina, to zawołaj na mnie. Wylazł tedy Maciuś na jabłoń, żywi się jabłkami i rozkoszuje sobie. Aż tu sunie ogoniasta, a podniósłszy chytrą główkę do góry, zawołała: Maciusiu kochany! dajże mi też jedno jabłuszko. Maciuś myśli sobie: dać, czy nie dać, ale kiedy tak pięknie prosi, to trzeba jej rzucić jedno jabłko. Jak pomyślał, tak też zrobił. Ale gadzina koniecznie nalegała, żeby jej ręką swoją podał jabłko. Myśli sobie Maciuś, może to przecie nie zaszkodzi, gdy grzeźnej gadzinie podam jabłko. I zerwał jabłko i podał gadzinie, która uchwyciwszy go za rękę, poczęła ciągnąć za sobą. Maciuś przerażony zawołał na odyńca: Pryjdy! pryjdy! dykij wepre, wże do mene jazi drepte. Wnet przybiegł ody-

niec, uwolnił go z paszczy gadziny i zawołał: nie mówiłem ci osle, żebyś gadzinę pędził od siebie, a ty się z nią wdałeś w konszachty! teraz idę aż za trzecią górę paść się, pilnujże się, gdyż jak będziesz wołał, nie usłyszę głosu twego i nie będę mógł pospieszyć na twój ratunek. Maciuś przyrzekł być rozumniejszym. Lecz niestety! jak zaczęła mu się przymilać i dogadywać, tak Maciuś zmiękł i rzucił jabłka gadzinie, sądząc, że to nie jest złego, byle jej rąk nie podawał. Ale gadzina mądra, innym sposobem go podeszła. Mój Maciusiu! nachyl mi o to tą gałązkę. Jabyś chciała to czerwoniutkie jabłuszko zjeść. Maciuś myśli: przecież jej ręki nie podam, jeno gałązkę, i nachylił gałęz z jabłkami, a gadzina uchwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Napróżno biedny Maciuś wołał: przyjdy! przyjdy! dykij wepre, wże mene jazi za soboju drepte. Odyniec nie słyszał tego głosu i gadzina przywlekła Maciusia do swego domu i zamknęła go w tak ciasnej komórce, że się nawet obrócić nie mógł. Tam go karmiła samymi orzechami, a gdy już był tłusty, napaliła w piecu i kazała córce wsadzić Maciusia do pieca, sama zaś poszła sprzązać gości na ucztę. Córka usłuchała matki rozkazu, wymietła ogień z pieca i przyprowadziła Maciusia, żeby go w piec wsadzić. Ale Maciuś zmiarkowawszy, że mu tam gorąco będzie, udawał, że niewie, jak się położyć na łopate i prosił córki gadziny, żeby mu pokazała, jak się kłaść na łopate. Córka położyła się na łopate, a Maciuś przyskoczył prędko, uciał jej głowę, zdjął pierścień z jej palca i włożył na swój palec, tułów wsunął do pieca, głowę zaś złożył na poduszkę i przykrył kołdrą, a sam czempredzej w nogi. Tymczasem zbiegły się gadziny z całej okolicy, dobyły pieczeń, zajadają, śmieją się i weselą. Nareszcie powiada matka: trzeba też i córkę zbudzić, niech się i ona pożywi. Lecz gdy poruszyła kołdrę, głowa spadła na ziemię, dopiero przekonała się, że córka jej nie spała, jeno spieczoną i zjedzoną została. Powstał tedy niesłychany rwetes w domu, gadziny syczące rzuciły się za biednym Maciusiem. Ale Maciuś nie głupi wyczekiwać, aż go gadziny dosięgną. Nadleciało stado gęsi, prosił ich, żeby go wzięły do tatunia. Lecz gęsie nie chciały go wziąć z sobą.

Nadleciał stary gęsior, a on się do niego składa i prosi, żeby go wziął do tatunia. Gęsior spuścił się na dół i wziął Maciusia na swoje barki i zaniósł go do domu, a tatuś uradowany dał gęsiorowi za to korzec hreczki.

Tatuś wprawdzie bardzo się cieszył z powrotu jego, ale bracia wydziwiali i narzekali, że nietylko nic nie przyniósł do domu, ale jeszcze stracił rusznicę i korzec hreczki trzeba było zań zapłacić. Tak mu ciągle dokuczali, że biedny Maciuś postanowił opuścić tatusia i powędrować gdzie w świat daleki. Poszedł tedy; jak idzie tak idzie, aż nareszcie wpadł w ręce zbojców, którzy go związawszy, sprzedali ludożercom. Znowu karmią Maciusia, żeby był tłusty, już dzień nazaczyli, którego mieli go zabić. Maciuś począł bardzo płakać i załamywać ręce, przyczem przypadkowo potarł ten pierścień zdjęty z palca córki gadziny. Wnet stanął przed nim djabeł i zapytał: czego żądasz? Ratuj mię, odpowiedział Maciuś. Szatan porwał go i zaniósłszy na wysoką skałę, na samym cyplu położył. Maciuś biedny siedzi sobie i myśli: jaka to przysługa djabelska, skała wysoka, a pod skałą morze głębokie, jak tu teraz sobie poradzić. Z nudów począł się bawić pierścieniem i potarł go znacznie, a djabeł stanął znowu obok niego. — Oho! pomyślał sobie, kiedy ty bratku jesteś na moje zawołanie, to teraz ja sobie pan. Już nieprosił biesa, ale rozkazał mu, żeby go zaniósł do tatusia. Ale tatuś już nie żyli, jeno bracia uwijali się mocno i łagodzili do jakiejś wyprawy. Po wielu prośbach przyznali się Maciusiowi, że jadą do dalekiego kraju, gdzie jest góra szklanna, a na tej górze znajduje się piękny pałac, a w tym pałacu jest królowna zaklęta, kto potrafi wyskoczyć na tę górę, ten będzie miał tę królownę i wielki majątek. Skoro dowiedział się o tem Maciuś, prosił braci bardzo, żeby go z sobą wzięli. Ale oni śmiejąc się z niego, mówili mu, żeby w domu został i świnie pasł. Zebrali się nareszcie bracia, a gdy na dziele swe rumaki siadali, Maciuś czepiał się ich i prosił, żeby go też z sobą wzięli. Siadaj na świnie i ruszaj za nami, zawołali bracia szydyczko. Siadł tedy Maciuś na świnie i jedzie. Świnia psiabestja z początku jak szalona leciała, Maciuś dotrzymał kroku braciom, ale później

położyła się i ani kroku dalej postąpić nie chciała, bracia zaś z tryumfem pojechali. Ale Maciuś nie dał się zawstydzić, potarł pierścień, a skoro djabeł stanął przed nim, rozkazał, żeby mu dał najpiękniejszego konia, którym by mógł góry przeskakiwać. Stanął koń dzielny, a Maciuś pędem błyskawicy poleciał do nieznanego kraju. Poznali go bracia w przelocie i zawołali: Maciuś! Maciuś! lecz on jak gdyby ich nie znał, dalej poczwalał. Mnóstwo rycerzy stanęło pod górą, a wszyscy dziwną się, że taki obdartus jakim był Maciuś, na takim dzielnym koniu przybył. Już dano znak do spinania się na górę. Rycerze łamią karki spadając z koni, bracia Maciusia też karki pokręcili. Przyszła wreszcie kolej na Maciusia, który od razu skoczył na górę szczęśliwie wśród odgłosu trąb i kottłów i huku bomb i granatów. W samej istocie był na górze piękny pałac, ale prócz niego, były dokoła pustki, żywej duszy nie było widać. Maciuś chodził od kąta do kąta, krzyczał, wołał, nikt się doń nie odzywał, nareszcie znużony, rzucił się na łoże przepyszne, gdzie też i zasnął. O północy przebudził się smutny bardzo, że znowu dostał się do takiej niewoli, a najbardziej z tej przyczyny, że królowny zakłętej nie pozyskał. W tem zaczyna coś przesuwac się po pokoju, szłap, szłap! patrzy, a to wielka żaba. Nie ulekł się jej, gdyż samotnika każde zwierzątko żyjące rozwesela. Wstał do żabuni. Nuż tedy przymilać się żabsztelowi, wziął na rękę i posadził obok siebie na łożku, aż tu z tej żaby zrobiła się panna przedudnej urody. Blask śliczności dziewczęcej odurzył Maciusia do tego stopnia, iż z podziwu i zachwycenia długo nie mógł przyjsć do siebie. Sam nie wiedział, gdzie zostaje. Zdawało mu się, że słyszy głos Anioła, że niebo roztoczyło wszystkie rozkosze obok niego. A królowna jak ptaszyna wypieszczona, szezebiotała mu o różnych rzeczach, których ani widział, ani też pojąć nie mógł. Między innemi powiedziała mu, że ona od dawna jest zakłętą, że o północy powraca zawsze do swojej ludzkiej postaci, że przechadza się po pałacu, ale skoro nadedniem ryknie straszny smok, natenczas powraca znowu do stanu szkaradnej ropuchy. Ale gdyby się kto znalazł, żeby pokonać mógł tego smoka i świeżą krwią jego posmarować żabę,

jużby się skończyła jej pokuta i wszystko by się ożywiło w pałacu. Zaledwie dokończyła tej mowy, okropny głos podobny do huku gromu, rozległ się po pałacu i owa piękność przemieniła się w obrzydliwą ropuchę. Maciuś rozgniewany za tyraństwo owego smoka, potarł pierścień, a skoro stanął przed nim szatan, rozkazał, żeby mu przyniósł taki miecz, którymby mógł pokonać smoka. Bies usłużny przyniósł miecz, którym Maciuś zniszczył smoka i posmarował świeżą krwią żabę, która przemieniła się w śliczną królownę i wszyscy domownicy ożyli i było bardzo wielkie wesele, bo wszyscy mieszkańcy zakłętego królestwa życzyli szczęścia Maciusiowi i dziękowali mu za swe wybawienie, a Maciuś żył długo i szczęśliwie z swoją zakłętą królowną.

Zakłęta. Za czasów jeszcze pogańskich, żył bardzo bogobojny miotlarz. Miał żonę i synaczka Jasia, któremu w lichej chatce dawał naukę o miłości Boga i bliźniego, lubo nędza całej rodziny od dnia do dnia czem raz bardziej się pomnażała. Bóg atoli widząc ich niedostatek, ulitował się nad nimi, a może też i nad zamkiem, w którym była królowna zakłęta i wysłał swego Anioła w postaci stareca nieznanego. Wechodzi staruszek do ubogiej chaty miotlarza, a pochwaliwszy Boga, począł wypytywać się o stanie domowym całej rodziny. Miotlarz bardzo się rozżalił na dokuczliwą nędzę, której mimo ciężkiej swej pracy od siebie wydalić nie mógł. Staruszek cieszy go, mówiąc: skończyła się bieda wasza, dam wam tyle złota, że panami odtąd będziecie, ale zato musicie mi dać swego syna Jasia; nie bójcie się, jemu nic złego nie stanie się u mnie. Z bolem serca wydali rodzice syna swego staruszkowi, ale za to uboga chata miotlarza przemieniła się w pałac rozkoszy i dostatki otoczyły ubogiego niegdyś człowieka. Jasio podróżuje przez nieznanne kraje, nareszcie stanął nad morzem, przez które przeprowadził go suchą nogą aż na drugą stronę pielgrzym stary, a wskazawszy na zamek, zniknął w powietrzu. Jasio idzie do zamku, otwiera pokoje, widzi rzeczy najpiękniejsze, ale prócz tego, nie było nikogo w zamku; głucha posepność wielkie na nim zrobiła wrażenie, posmutniał

bardzo i tęsknił za ubogą chatą swoich rodziców. Jednej nocy odezwał się do niego głos niewidomej osoby, mówiąc: Jasiu, będziesz tu cały rok, pamiętaj, abyś przez cały ten czas nie złego nie czynił, nie myślał nawet, nie bał się i nie tęsknił za rodzicami. Odtąd przychodził ktoś do niego w nocy, rozmawiał z nim, lecz postaci żadnej nie spostrzegał. Czasami przechadzała się po zamku postać niewiasty do połowy jak śnieg białej, a drugiej połowy jak węgiel czarnej, której twarz codziennie widocznej nabierała wesołości. Jaś miał wszystkiego podostatkiem, bawił się zbroją rycerską, pomyślał sobie: ej, żeby to ja teraz mógł być u swoich rodziców. Lecz zaledwie myśl ta przebiegła, natychmiast powstało wielkie narzekanie w zamku, a z płaczem wielkim przemówiła niewidoma osoba: Jasiu! twoja myśl bardzo mi zaszkodziła, pamiętaj na moją przestrożę, a teraz idź do swoich rodziców, a za hasłem po raz drugi danem, wracaj natychmiast do zamku. Idzie on do tego miasta, lecz chaty już nie było, pyta ludzi, gdzie się chata podziała? Ludzie mu powiadają, że miotlarz został wielkim panem i w pałacu mieszka. Idzie on do pałacu i przedstawia się rodzicom, którzy go przez pół roku niewidzenia codziennie opłakiwali. Opowiada on im co się w tym zamku dzieje i prosi żeby mu dali świecę, za pomocą której, mógłby widzieć osobę codziennie z nim w nocy rozmawiającą. W tem nagle ziemia się zatrzęsła. Matka zaledwie zdołała mu podać świecę, w tem drugi znak dał się słyszeć, a Jaś pospieszył do zamku. W kilka miesięcy przechodzi koło niego postać niewiasty, on z ciekawości zapalił świecę. Ale natychmiast powstały krzyki i narzekania: precz! precz nędzniku podły! z tego miejsca.

Wypędzony Jasio sam nie wiedział, w którą miał się udać stronę. Drogi do miasta rodzinnego już nie było, z jednej strony wisały nad nim urwiska skał nieprzebranych, a z drugiej strony było głębokie morze. Padł tedy na kolana i długo bardzo modlił się do Pana, by go z tej toni wyswobodzić raczył. Gdy powstał od modlitwy, zbliżyła się do brzegu łódka niewielka, która go na przeciwną stronę morza przeprowała. Tam stanąwszy, zobaczył jak ptactwo z czworonożnymi

zwierzętami walczyło o zdobycz, której dotknąć się nie mogło. Z początku przelał się tej drapieżnej zgrai, ale pomyślał sobie: mam ja tu nożyk przy sobie, pokraję im to ścierwo i podzielę, może oni się pogodzą. Jak pomyślał, tak też zrobił, a zwierzęta zgłodzone najadły się i darowały mu piórka i sierście z siebie, mówiąc: to masz od nas na pamiątkę, a jeżeli kiedy będziesz potrzebywał naszej pomocy, to tylko poćśnij to wszystko, a my zbiegniemy się duchem ku twemu żądaniu. Bierze on te dary i podróżuje dalej. Za kilka lat przyszedł do miasta pustego, w którym prócz króla, jego żony, królowny i furmana, nikogo więcej nie było. Zbliżył się on do okna pałacu, z którego sam król wyglądał, i pyta: dlaczego tu tak smutno? Król powiada: Synu! jeżeli żyć pragniesz, uciekaj z tego miasta. Ale Jasio nie chciał uciekać, jeno prosił, żeby mu powiedziano, dlaczego w mieście taka żałoba panuje. Król mu powiada: że jest taka żmija, która wszystkich ludzi z miasta pożarła, a teraz mam jej dać moją córkę na pożarcie. A gdzież ona siedzi? Jaś zapytał. Ot tam za miastem, król wskazał ręką. Poszedł Jaś do pieczary smoka, a z ciekawości udał się za nim furman królewski. Skoro tylko zbliżył się do pieczary, zaraz wypadła żmija o kilkunastu głowach. Jaś ścisnął pióra i sierście, a ptactwo i inne czworonożne zwierzęta zbiegły się i rozszarpały żmiję w drobne kawałki, z której jajko wypadło. Jaś schował to jajko do kieszeni wraz z językami tej żmiji i chciał pospieszyć do króla z radośną nowiną. Ale furman zazdrośny palnął go po łbie tak mocno, że aż na ziemię nieżywy prawie upadł. Furman tedy przyszedł do króla z tą nowiną, że on pokonał smoka, że tamten panicz był oszustem. Król pochwalił furmana i w nagrodę takiego czynu bohaterskiego, obiecał mu dać królownę za żonę. Tymczasem przyszedł do siebie Jaś i stawiał się przed królem z dowodami swemi, że on pokonał smoka. Furman przyznał się do winy i został powieszony. Król zaś ofiarował królownę Jasiowi, ale on za to bardzo pięknie podziękował królowi i udał się w dalszą drogę. Po kilku latach pielgrzymki stanął w tym zamku, w którym był po raz pierwszy. W nocy ponurym głosem zapytała go postać niewidoma: ktoś ty? tu

nie ma dla ciebie przytułku, precz mi ztąd, jeżeli chcesz przy życiu zostać. Zapewne byłby on zginął, gdyby nie Opatrzność Boska, czuwająca nad losem opuszczonego człowieka. Bóg nie dopuścił zguby jego, a po kilku dniach bytności jego w zamku, usłyszał głos niewiasty: znak to bohaterstwa twego, że dotąd żyjesz, ale tej nocy przyjdzie na ciebie straszycło, jeżeli one niezabijesz, to sam niezawodnie zginiesz! Dowiedziawszy się o tem, trząsł się od bojaźni i poty śmiertelne nań występowały. Lecz w chwili, gdy to straszycło zbliżyło się ku niemu, dobył się ostatnie i smoczym jajkiem palnął w łeb potwora, straszycło jęło tylko i potoczyło się nieżywe na ziemię. A wtem ukazała się prześliczna królewna i rzuciła się na swego wybawcę, wołając: mam ciebie, Jasiu mój kochany! jakżem długo czekała na ciebie. Żyli już z sobą bardzo szczęśliwie aż do samej śmierci.

Zart. Dąbski wymalowawszy obraz świętej Anny samotrzeciej do kościoła, napisał u dołu te słowa: Proś matko córkę a córka zaś syna, by się do nieba dostała dębina. Ktoś złośliwy dopisał: Niepalą w niebie: nie tam po dębinie. Tam drzew pełna izba, gdzie ogień nie ginie.

Złodzieje. Zamożny książę miał córkę jedynaczkę, a do tego jeszcze bardzo ładną i rozumną, a nie wiedział, za kogo by ją wydał. Razu jednego, przychodzi mu myśl dziwna, żeby córkę wydać za takiego, któryby wszystkie rzemiosła umiał. Myśl tę oryginalną ogłosił po gazetach: że ktokolwiek, czy to szlachcic, lub chłop, bogacz, lub ubogi, znajdzie się, któryby umiał wszystkie rzemiosła, ten będzie mężem córki jego. Był student niestety, który pisał sonety, za każdym słowem ach, że aż strach, widząc że z tych sonetów niedorobi się kawałka chleba, jął się projektu książęcego i po kilku latach wielkiej pracy, gdy już był biegłym we wszystkich rzemiosłach, przyszedł do księcia i prosił go o rękę córki jego. Książę wypytywał go o każdym rzemiosle z osobna, nareszcie powiada: umiesz ty kraść? Nie umiem. No, to naucz się kraść, wtedy otrzymasz rękę córki mojej. Zawiedziony student w rozpaczy największej

opuścił pałac książęcy i poszedł do lasu, żeby sobie życie odebrać. A tak gdy w smutku rozważa, ile lat on zmarnował w celu posiadania żony zamożnej, i w głęboką zadumę się zapuszcza, przychodzi chłop i pyta go, kto on jest? Student odpowiada mu i również zapytuje go, a ty kto jesteś? Złodziej jestem. Ta wiadomość wskrós go przeniknęła, swobodniej odechnął i zawołał: nauczże mię kraść, ja ci dobrze za to zapłacę.

Bierze chłop studenta do domu na naukę. O wieczornej godzinie wychodzą obydwaj na zdobycz. Nakradli tyle, że cały dzień dobrze bankietowali. Drugiego wieczora powiada terminator do majstra: chodźmy okraść kasę księcia. Wara od kasy! powiada majster, a wiesz ty, czem to pachnie? Ale zaczął student dogadywać, że zna dobrze miejscowość, że ta wycieczka powiedzie się; Poszli oni razem i ukradli dużo pieniędzy. Kradzież ta wywołała wielką wrzawę w pałacu. Miał książę wiernika bardzo mądrego, którego rady we wszystkim zaciągał. Semen! powiada do niego, poradź! co tu robić, żeby można złapać złodzieja? Radzi on: żeby około kasy głęboki rów wykopać. Złodzieje znowu przyjdą po pieniądze i popadają do rowu, a tak ich połapiemy. Kazał książę rów wykopać i szeroki i głęboki, żeby na pewno złapać złodzieja. Chłopowi zasmakowała pierwsza wycieczka i powiada do studenta: chodźmy i dziś po pieniądze do kasy książęcej. Student odradza: źle będzie! bo oni czuwają teraz nad kasą, odłożmy na później tę wycieczkę. Ale chłop jak się uparł, tak na swoim postawił. Sam poszedł, a gdy się zbliżył do kasy, wdół wleciał i począł krzyżeć. Student przybiegł, chwycił go za głowę i urwał w pospiechu. Warta też przybiegła, patrzy, w rowie leży człowiek bez głowy. Przynoszą tego człowieka do księcia. Semen radzi, żeby go wsadzić na furę i wozic po całym mieście, to żona wyjdzie i będzie płakać, pójdziemy do jej domu i pieniądze skradzione odbierzemy. Wiezą tedy! ludzie wychodzą i patrzą, wyszła i żona, chciała płakać, ale student dał jej kilka kułaków w plecy i zaciągnął do chałupy. Dworzanie za nim przyszli i pytają, dlaczego ona płacze? Niewidzieliście, powiada student, że dałem jej kilka kułaków

w plecy, żeby kuchni pilnowała i niebyła tak ciekawą. Wyszli dworzanie nie niewskórawszy. Semen radzi, żeby na głowę kozy włożyć skrzyneczkę z pieniędzmi i puścić wolno, to złodziej ukradnie kożę i złapiemy go. Student widzi, że koza idzie ze skrzyneczką na głowie, zatrzymał ją, patrzy, a w skrzyneczce pieniądze. Schował pieniądze, skrzyneczkę porąbał na ogień, kożę zabił i gotuje. Przypadkiem wszedł dworzanin do chaty i zobaczył co się dzieje. Wielce uradowany, że wpadł na trop złodziejski, wychodząc, napisał na drzwiach: tu się gotuje kozina. Student wyszedł też za nim, a gdy spostrzegł napis, zaraz na wszystkich domach to samo napisał. Idą siepaki z pałacu, by złapać złodzieja. Aż tu na każdym domie widzą: tu się gotuje kozina! Obalamuceni tym napisem, z niczem wrócili do pałacu.

Semen radzi: żeby tego chłopca powiesić na szubienicy i dodać siedm żołnierzy na wartę w nocy. Student kupił siedm habitów mniszych, siedm okularów, dwa garncy wódki, wziął takiego konia, co miał już zdychać i wózek lichy i jedzie w nocy koło szubienicy i zajechał umyślnie w bajurę błota i zaczął prosić żołnierzy, żeby mu pomogli. Żołnierze zaczęli pomagać i wyciągnęli wózek z błota. On ich za to począł częstować wódką i tak ich popoił, że bez pamięci pokładli się. On ich poubierał w habity mniszę, nasadził okulary na nosy, chłopca zdjął z szubienicy i pochował w ogrodzie. Rano ludzie widzą, że pod szubienicą śpią żołnierze, zabrali ich do pałacu z gniewem, że plan znowu się nieudał. Semen radzi: żeby książę sprawił bal wielki i rozsypał dukaty po podłodze. Złodziej zechce ukraść, to go zaraz złapiemy. Zrobił tak książę. Zebrali się goście, przyszedł i student. Skoro zobaczył dukaty, wyszedł, posmarował podeszwy smołą i wrócił na bal. Dworzanie uważają, że po dukaty nikt nie sięga, a dukatów nie ma. Książę kazał drzwi pozamykać i nikogo nie puścić. Goście porozbierali się i spać zaczęli, a gdy dworzanie obaczyli na podeszwach jednego gościa dukaty, odpruli podeszwy z dukatami i buty nazad położyli w największej pewności, że już mają złodzieja. Ale student w nocy patrzy, że dukatów niema, poodpruwał wszystkie podeszwy i przez okno wyrzucił,

a buty znowu jak byli na kupie ułożył. Rano widzą dworzanie, że wszystkie buty bez podeszew, więc niewiedzieli do kogo podeszwy z dukatami należały. Książę domyślając się powiada: to ten student tak dokazuje, trzeba z nim skończyć, bo tym figlom końca nie będzie. Semen radzi: żeby jeszcze raz bal wydać dla wszystkich. W salonie żeby się goście bawili, a naprzeciwko w pokoju, żeby sama księżniczka za stołem siedziała, przed drzwiami tego pokoju wykopać dużą jamę i przykryć dywanem, to on zechce iść do księżniczki i wpadnie w jamę. Tak się też stało. Ale gdy upadł, począł przeraźliwie wrzeszczeć. Goście lecą za nim i jeden za drugim do jamy padają. A zmiłujcież się woła książę, nie spieszcie się! bo tam niezawodnie na samym spodzie student. Jakoż gdy wyciągnięto gości, na samym końcu wygramolił się student, kłania się księciu i powiada, że się kraść nauczył i wylicza swoje sprawki. Książę dał mu córkę i oboje byli szczęśliwi.

Wieczorem żydowina jadąc, obaczył na polu stertę siana; myślał, że tam nikogo niema, chciał tedy nabrać sobie siana. Idzie więc powoli do sterty, a gdy się już zbliżył, szydyczko rzekł: dobry wieczyr kopyci. A z za kopycy wyleciał chłop i pociągnął patykem żyda po plecach mówiąc: daj Boże zdrowia, kupec.

Spowiadał się złodziej przed księdzem z różnych grzechów. Nareszcie zręcznie ściągawszy zegarek księdzu z konfesyonału, powiada: że ma bardzo wielki grzech, tylko boi się powiedzieć, żeby go ksiądz niewydał. Ksiądz wpadł w wielki zapał, mówiąc o obowiązku dotrzymania tajemnicy, przytem też nadmienił o karach, a między innymi karami przytoczył, że takiemu księdzu język by urznęli. Uspokojony złodziej wyjawia, że ukradł zegarek, ale księdzu ani na myśl przyszło, że to był jego zegarek. Po nauce o restytucyi wypuścił swego penitenta. Złodziej ukląkł sobie między ludźmi i modlił się, jednak po jakimś czasie, spostrzega ksiądz, że niema zegarka. Kiwa tedy na złodzieja, a złodziej wywalił język i palcem nad nim ruszając, pokazuje księdzu, że mu język urzną. Ksiądz szamocze się w konfesyonale, a on mu język pokazuje, palcem urznięcie naśladując.

Zmartwychwstanie. Tatarzynowi do chrztu się zabierającemu, między innymi artykułami, wierzyć kazano, że wszyscy zmartwychwstaniemy. Odpowiedział: jużci ja wierzę, ale obaczycie, że z tego nie niebędzie.

Żołnierze. Puszczonego za urlopem do domu żołnierz, gdy przybył do chaty swej matki, zawołał: wie gehts, Frau Mutter? Matka niezważając na to powitanie, rzuciła mu się na szyję, a po pieszczotach macierzyńskich, zapytała go: Synońku mij! może ty budesz jisty, może tobi kuritko zarizaty? Na co syn odpowiedział: niks kukurykus. A może tobi porosietko speczy? Niks kwikis, mir Fleisz. Bidnaż moja hołowońko! to ty może zabuw po ruski howoryty! zawołała matka i pobiegła do Moszka arendarza, żeby się z nim rozmówił. Przyszedł żyd, gada z nim, lecz po kilku słowach poznał, że żołnierz tylko z fanaberyi wielkiej udaje Niemca. Po cichu tedy powiedział do matki: ne dajte jemu jisty, to win bude po ruski howoryty. Matka też tak zrobiła. Siedzi syn do wieczora, spluwa tylko od czasu do czasu, nareszcie odezwał się: Mamuniu! dajte meni szczo jisty. Ach synońku mij! zawołała biedna matka, czemu ty w pered ne kazaw? Bo myni komandirka nimecka buła w hołowi, odpowiedział żołnierz.

Nakazano młodemu żołnierzowi, żeby przed starszym broń prezentował. Brał on to sobie do serca, zwłaszcza że za każde przewinienie obiecano dać 26 kijów. Razu pewnego stał na straży przy jednym domie, gdzie była straż podwójna: jedna na górze, druga na dole. Przeszedł jakiś starszy, którego on nieuznał za starszego, ale widząc, że na górze broń prezentują, pobiegł czem prędzej za nim, chwycił go za kołnierz wołając: werny sia! naj rusznyciu sprezentuju. Sprowadził go tedy na dół, postawił przed sobą, a sprezentowawszy broń, powiedział: teper idy do ditczoji matery.

Przyszedł żołnierz na kwaterę i prosi o jedzenie, ale gospodyni powiada, że niema nic dla niego. Filut pyta: czy niema siekiery przynajmniej, to on sobie zgotuje, bo mu się

bardzo jeść chce. Baba ciekawa, jak on siekiere jeść będzie; daje mu siekiere, którą on w garnek włożył i gotuje. Nareszcie pyta: czy niema jakiej zakryszki do tego, pietruszki, marchwi, lub kartofli. Baba daje kawał słoniny. Ugotował tedy doskonały krupnik, wylał na miskę i zmiata. Baba patrzy co będzie z siekiere? Dobył noża i chce krajać siekiere; twierdzi jeszcze; woźmu do tornistry, budu jeszcze raz warty i poszedł w dalszą drogę, a baba ślipie ogromnie wybaższyła.

Dobra żona. Na Mazowszu był zagrodnik, który miał żonę potulną, zgodliwą w niczem niesprzeciwiającą się, powszechnie zwano ją: dobrą żoną. Pewnego razu wybrał się mąż z krową na jarmark, żona w domu została. Przyszedł on do miasta, gdzie mu drogę zaszedł ebłop trzymający na powrozie cielę i pyta go żartem: czyby nie zamienił krowę za cielę? On nie wiele myśląc, daje krowę, a bierze cielę. Przychodzi drugi z pięknym kogutem i podobnie zapytał, ażaliby nie zamieniał cielę za koguta? Bierze on koguta, a daje cielę. Nareszcie idzie żyd i krzesze ogień. Krzesiwo bardzo mu się podobało i mienia za koguta. Zmarnowawszy dobytek swój na jarmarku, wraca do domu. Ale gdy go noc zaskoczyła w lesie, gdzie znalazł dwóch ludzi palących drzewo w celu zgotowania dla siebie wieczery, zbliżył on się do nich i opowiada im, co zrobił. Ludzie ci byli solarze, handlujący solą po różnych miejscach, a zatem jako przemysłowcy, wytrzeszczyli nań oczy, że takiego niezdare obaczyli i powiadają: toż to wam żona głowę zmyje, żeście się tak spisali. Żona wszystko to, com zrobił, pochwali. Co ty mówisz, człowiecze? Jeżeli żona twoja to pochwali, damy ci dwie bryk soli, a jeżeli zgani, to będziesz musiał u nas cały rok bezpłatnie służyć. Zgodził się na to i skoro świt ruszyli razem do domu człowieka. Żona jak tylko męża obaczyła, radośnie wybiegła ku niemu i zapytała: jakżeś jarmarkował? On mówi: że krowę zamienił za cielę. Żona odpowiada: toś dobrze zrobił, bo krowa była niespokojna przy dojeniu, a z cielęciami może się dochowamy lepszej krowy. Ale on mówi: że cielę zamienił za koguta. Tem lepiej, bo nie mamy zegara, a kogut jak

zapieje, będziemy wiedzieli, kiedy mamy wstawać. Ale on powiada: że koguta odmieniał za krzesiwo. Toś dobrze zrobił, bo rano jak mi przyjdzie chodzić za ogniem, to mi się nieraz jeść odechce, a tak będziemy mieli własny ogień. Zdziwieni solarze zostawili dwie bryki soli według umowy, co także za krowę stanęło.

Zwyczaj. Na Pokuciu podczas burzy, łopatę z kociubą na krzyż złożoną i gałązkę sztuki święconej na dwór wyrzucają. Gdy pierwszy raz grzmi, chwytając za kamień, mówią: kamień hołowa! kamień hołowa! A czynią to dla tego, żeby ich głowa niebolała. Gdy się tęcza pokaże, natenczas biorą się chłopcy za ręce i wołają: tęczo, tęczo, niepij wody! bo jak cię wsadzę do gąsiora, będziesz siedzieć do wieczora. Po tych słowach tęcza rozrywa się. Znalazłszy ślimaka, aby rogi pokazał, mówią do niego: Petre! Pawle! wystaw rohy, na czotyry porohy, tobi dwa, myni dwa, podilim się obydwu. Ślimak po tej przemowie zwykle wyłazi z skorupy. Gdy sroka skrzekocze, wychodzą do niej i mówią: jak dobri hosti budut, to czerwoni czereweczki tobi sprawlu. Kota umywającego się brano za łapkę, którą się umywał. Jeżeli łapka była ciepła, to prędko goście przyjść miały, jeżeli zaś zimna, to później cokolwiek. Rozmaj, ziel, gotuje kochanka i łyżkę kładzie do garnka, jak łyżka zacznie się ruszać, wtedy sprowadza miłego powietrzem, chociażby niewiedzieć jak był daleko. Razu pewnego leciał żołnierz tylko w jednym bucie, gdyż drugiego nie mógł już włożyć na nogę.

Hanusz wspomina w swojej Mitologii słowiańskiej (stron. 413) o zwyczaju rzeźniania baby (babu rzezati). Na Pokuciu zaś mówiono: że w środopóście rzną żyda, a z jednego gardła wypadały rodzynki, daktyle i figi, a z drugiego zaś gardła: żur, śledzie, wyzina i sztorkfisz. Powiada Nowosielski w dziele „Lud ukraiński“ T. II. Wilno 1857 str. 131 o nocy wróblęcej (worobiniacza nicz) że na świętego Semena djabeł bierze dziesięcinę z wróbli, że tylko ścięty czubek z miarki pozostaje przy życiu. Na Pokuciu djabeł łaskawszy, gdyż dziewięć korey wróblów puszcza na wolność, a dziesiąty korzec dla siebie

zatrzymuje. Na stron. 140 twierdzi: że na Ukrainie wilki są pod opieką świętego Jerzego. Na Pokuciu zaś patronem wilków jest święty Mikołaj. Ludzie uważają, gdzie wilcy wyją na św. Mikołaj, tam też i młode mieć będą. Na uroczystość św. Mikołaja, schodzą się wilki, a każdy dostaje przeznaczenie swoje, kogo ma pożreć. Razu pewnego wylazł na drzewo ciekawy człowiek, aby się dowiedzieć, co mówi św. Mikołaj do wilków. Zebrali się wilki, a św. Mikołaj każdemu mówił: ty zjesz wołu, ty owcę, ty świnię, ty konia itp., nareszcie jeden jeszcze pozostał i pyta: kogo ja mam zjeść? Tego, co jest na drzewie, powiada św. Mikołaj. Poczem wszyscy się rozbiegli: Zlazł i człowiek z drzewa i miał się na ostrożności. Trafiło mu się nocować w polu, ale wiedząc o tem przeznaczeniu, niekładał się z boku, jeno w sam środek między parobki. Wilk przyszedł w nocy, wyciągnął go ze środka i zjadł.

W wigilię Bożego Narodzenia niepożyczają ognia a niewiasta w ciąży, gdyby po ogień przyszła, porodzi dziecię, glinę jedzące. Gościa przybyłego proszą siadać, mówiąc: żeby nam dzieci spały. Umarłemu troskliwie zamykają oczy, kładąc co ciężkiego na powieki, gdyż umarły otwarte mający oczy, jeszcze kogoś z domu tego, w którym umarł, lub z rodziny, do której należał, za sobą pociągnie. Do trumny kładą różne rzeczy życząc sobie, żeby umarły wszystko złe, co było w domu, z sobą zabrał. Donosząc o śmierci krewnego, mówią: pan Bazyli podziękował nam, aby my zdrowi byli. Jeżeli co złego mówią, którego spełnienia obawiają się, powiadają zwykle, żeby tego w złą godzinę niewymówił. Faryzeuszów kreśląc, powiadają bajkę o ojcu, który z synem swoim wlaźł do cerkwi, żeby obraz Matki Boskiej z ozdób i kosztowności obejrzeć. Wlaźszy tedy na ołtarz, powalał obrus nogami, syn do niego mówi: tatuniu, obrus powalaliście. Na co odpowiada: Synu! co tam po obrusie, żeby tylko dusza była czysta. Dodają też, od pobożnego człowieka poły urzynaj i uciekaj. Ulubioną była na Rusi wódka buczacka i kieliszek trembowelski, jak to zwrotka następująca wskazuje:

Hosa, hosa, hosasa, hosasa, hosasa,
Horiwoczka z Buczacza, z Buczacza, z Buczacza.

A kieliszek z Trembowla, z Trembomwla, z Trebowla,
Daj nam Boże zdorowla, zdorowla, zdorowla.

O ptakach dziwne krążą podania. Powiadają: że jest ptak taki, który nad wodami miewa gniazdo, gdy wysiedzi pisklęta. natenczas przynosi kamyk do gniazdka, które staje się odtąd niewidzialne, ale do lustra patrząc, można gniazdo zobaczyć. Zwierzęta są częstokroć ich mistrzami, one zwiastują pogodę i niepogodę, one też szczęścia lub przygody wskazicielami, o nich twierdzą, że się Bogu modlą, że współczucie okazują dla człowieka. Ładne porównanie istnieje w przysłowiu od zwierząt wzięte:

Kiedy miech wypchany jak ciele,
Znajdą się i przyjacielle.
Kiedy miech pusty jak łatka,
Niemasz ni siostry ni bratka.

Naśladowają oni mowy tych zwierząt jakoby się wspólnie rozumieli. Kogut powiada: Gazdyni chlib pohoriw. Na co mu gospodyni odpowiada: Neżurysia kohuteńko, nebudesz ho jiw. A tam co takiego? woła kogut. Goście, goście, odpowiadają gęsie. Kłopot, kłopot, narzeka indyk. Panie gumieny, proszę trochę pośladu, woła indyczka. A tybyś ciągle żarła, strofuje indyk. Kiedy owce strzyżą, baran mówi: bude zyma! owca biedna trzęsąc się od zimna, mówi: może wżeje. Strzynadel na wiosnę powiada do rolnika: pokiń sany, bery wiz. Nawet żaby mają swoją mowę. Szczęś waryła? Borszcz, borszcz, burakiki, burakiki. Kumo! kumo! a co tam? Umarł. Kto taki? Bocian. To pan. A my temu rady, rady, ra, ra, ra. Dzieci rade zabijają żaby, starsi mówią, ne byj, bo maty umre. Podobnież nie zabijają węże. Zabity wąż rusza się aż do zachodu słońca. Gdzie bez rośnie, tam djabeł mieszka: bzu tedy wytepiac nienależy, gdyż wycinający bardzo łatwo na szkody wielkie narazić się może. Ziele przystupnik ciągnie się po płotach, ma być dobrą wróżbą dla gospodarza; nie wolno go obrażać, gdyż przeniesie się na inne miejsce. Korzeń tego ziele podobny jest do dziecka maleńkiego. Z tego korzenia robią maść na rany. Lecz nie zawsze da się ono wykopać. Chcąc wydotyc z ziemi, trzeba wprzódy rzucić

mały bocheneczek chleba i grajcar na miejsce, gdzie ono rośnie. Ziola ulubione po ogrodach: barwinek, wasylek, rutka, luby-styk, szalwija i mięta. Stroją się nimi krasawice i do czarów używają. Paproć uważają za święte ziele, które raz do roku na święty Jan kwitnie. Ktoby mógł o północy tego kwiatu dostać, ten będzie bardzo szczęśliwy. Cudowną siłę przyznają ziołom. To też święcone zioła wtykają w strzechy domu i w świetlicy obrazy niemi przystrajają. Wianuszki święcone na Boże Ciało zakopują w czterech rogach swej zagrody. Piśmienni dodają cztery Ewangelie, każdą z osobna na kartce napisaną. Powiadają: że ziołami wszystkiego dokonać można, że jest takie ziele, które otwiera zamki bez klucza, ale trzeba znaleźć gniazdo czarapachy, zaogrodzić i zamknąć. Czarapacha przyniesie trawkę i otworzy sobie. Bierze się tedy tę trawkę i wkłada w skórę przerznąętą między palcami, aby zarosła. Tą zatem ręką dotknawszy się zamku zamkniętego, sam się otworzy bez klucza.

Sielanie w ogóle są niezmiernie zabobonni, gdyż najwyższą zasadą ich życia jest: Boga niegniewać, a djabła niezaczepiać. To też z butami na drzewo owocowe niewylezie, jeno bosy, aby drzewo się niepogniewało i nieprzestało rodzić. Bajury niezasypie, bo w bajurze djabeł siedzi, howory do tohoszczo w bołoti sedyt, więc woli kołować, objeżdżać, bajury nietknie się. Bywały zatem po wsiach i miasteczkach na drodze publicznej istne topiele, w których nie jeden śmierć znalazł, bo zasypać tego niegodziło się, aby djabła niezaczepiać. Powiadają: że pewien pan podróżując zmylił drogę, stanął niewiedząc, którądy miał jechać, ale postrzegłszy niedaleko chałupę, wysłał furmana, żeby się o drogę wypytał. Wracając furman powiada; że w chacie niema nikogo, jeno mały chłopczyna, który mówił: jeżeli prosto pojedziemy, to niezajedziemy, a jeżeli kołować będziemy, to zajedziemy. Pójdę ja sam, mówi Pan, co to ma znaczyć? Pyta chłopca, który mu to samo powiada. Dał mu kilka groszy i prosi, żeby mu to wytłumaczył jaśniej. Uradowany chłopiec datkiem, powiada:

jeżeli prosto jechać będziecie, to wpakujecie się w bajurę taką z której was nikt niewyciągnie, a jeżeli kołować będziecie, to do domu traficie.

Z tej zasady wychodząc siedzenia na dwóch krzesłach, na wszystko uważają: najdrobniejsza rzecz ma dla nich jakieś znaczenie. Jeżeli oko prawe świerzbie: to będzie płacz, jeżeli drgają powieki, to wesoła nowina; jeżeli stół trzeszcze lub łyżka upadnie, gość niedaleko; jeżeli kawałek chleba od gęby upadnie, ubogi przyjdzie; jeżeli sól wywróci się lub na ziemię upadnie, będzie w domu kłótnia, lub jakie nieszczęście; jeżeli pajak snuje się z głowy, to będzie szczęście; jeżeli zazała pierwszy raz koło domu zakuka, wielkie szczęście; jeżeli ptak do chaty wlecie, pomyślność niespodziana; sowa gdy woła: pójdz! pójdz! ktoś umrze. Kichanie samo jest dla nich wróżbą, gdyż uważają, którego dnia bywa to kichanie; jeżeli w niedzielę bardzo rano, to cały tydzień będzie pomyślny, jeżeli w poniedziałek z rana, to będzie jakiś prezent, jeżeli we wtorek, to droga się ściele, we środę coś się powiedzie; jeżeli we czwartek, coś będzie nieprzyjemnego; jeżeli w piątek, dobry początek, można coś znaleźć, lub zgubić; w sobotę źle. Rozumieją się też na astronomii, lubo się jej w szkołach nie uczyli. Mają pewne znaki na słońcu i księżycu. Wiedzą kiedy południe, kiedy będzie pogoda, lub deszcz. Jeżeli księżyc w pełni, a stanie koło niego gwiazda, niezawodnie jakiś panujący umrze. Wszystkie stworzenia są dla nich horoskopem i barometrem. Łasica gdy na zimę przyjdzie do chaty, szczęście przyniesie. Kogut gdy na ziemi pieje, będzie deszcz, gdy na płocie, będzie pogoda.

Powiadają: że sielanin to wielki filozof, bo na małym przestaje. Prawda, że na małym przestaje, bo musi. Ale on też pragnie być wielkim panem, zwłaszcza gdy do pracy nie ma ochoty. Wiele razy słyszałem u nich gawędy o inkluzach, czyli pieniądzach, które zawsze wracają się do człowieka. Radzą, żeby płoskonki jeżeli zapomni kto na roli wyjąć i ukreć sznureczek i związać nim pieniądz jaki, to będzie miał inkluzę. Starannie ochraniają oni siebie i cały swój dobytek. Smiecia po zachodzie słońca niewyrzucają, gdyż kto stanie na

niem dostanie kurczą ślepotę. Unikają takich, którzy uroki rzucać mogą. Urokrzuca człowiek, którego w dzieciństwie gdy raz odłączono potem po raz drugi do ssania piersi przypuszczono. Podobnie i taki, który ma brwi razem zrosnięte. Tacy ludzie zniecka gdy spojrzą na dobytek, lub na człowieka, urzekną. Jeżeli zaś uczuje kto uroku, natenczas bierze się dziewięć węgli żarzących do szklanki wody rachując węgle na odwrot: dziewięć, ośm, siedm, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden i rzuca się do wody: jeżeli na dół spadają, to są uroki. Tej wody cokolwiek pic należy, obmyć twarz, na czole zrobić tą wodą krzyż święty i na oknie, resztę wylać po za głowę na zawiasy drzwi od wchodu. Dobrze mieć węgle i wodę poświęconą.

Życzenia. Chłop. cygan i żyd rozprawiali nad prawą swego losu, przyczem też każdy z nich objawił swe życzenie, coby robił, gdyby został wielkim panem. Chłop powiada: gdybym był królem, tobym pierogi ze słoniną zjadał, kiełbasy smarzył, wódkę pił, fajkę palił i nic nie robił. Cygan powiada: gdybym został królem, tobym najpiękniejsze konie kradł, słoninę nad ogniem przypiekał, wódkę pił i tarztał bym się jak pies po słomie. Żyd zaś powiada: ja gdybym został królem, tobym sobie taką wybudował kamienicę, żeby żaden lampart do okna kamieniem nie dosięgnął.

Żydzi. W pewnej karczmie było dwóch żydów bardzo uczonych. Zwyczajnie siadywał jeden na przeciwko drugiego, kiwali głowami tylko, nie mówili. Ciekawy gość zapytał karczmarza, coby to byli za żydzi? Aj waj! to bardzo mądry ludzie! A czemuż oni nie gadają? Na co im gadać, kiedy jeden wie, co drugi myśli.

Żyd dumał lat kilka, śmielszym o to pytającym się: nad czem by dumał? odpowiedział: że on nie wie, co się z wróblami stanie? jak się karczma spali.

W Brodach był żyd zamożny. Powydawał córki za mężów, synów pozenił i zadumał się bardzo. Moszku! pyta się żona, czego ty taki smutny? A jakże nie mam być smutny, dawniej

był u nas ruch w domu, a teraz zostaliśmy sami i niema się czem weselić. Ale wiesz ty co, Ruchlo! Rozwiódmy się. Ja ci dam rozwód, a potem znowu się pobierzemy i będziemy mieli wesele. Dobrze, powiada Ruchla. Stary uradowany daje rozwód ale myśli sobie, na co mi starej żony, postaram się o jaką młodą dziewczynę, przecież to lepiej będzie. Jakoż upatrzył sobie ładną dziewczynkę w Założcach i zaskławił sobie. Rozwódka w lament przed dziećmi: patrzcie! co wasz ojciec robi. Synowie uspokoiwszy matkę, pojechali do Załoziec, zapłacili trzysta guldenów żydóweczce i prosili ją, żeby w dniu, oznaczonym do ślubu, nie przyjeżdżała. W dzień ślubu wystroili matkę i namówili furmana, żeby od komory wioził pomału starenkę. Jadą tedy z muzyką, a synowie do okna pukają: Taty! taty! Majdel furt! Rozmarzony starowina wyszedł i cieszył się jak dziecko na widok nowoprzybyłej, która miała twarz zasłoniętą; wziął ślub, a po ślubie skakali około niego synowie: Taty! Majdel! Taty! Majdel. Posadzili ich za stół, a gdy stary zasłonę odkrył z wielkiem uniesieniem, patrzy! a tu ta sama starenka Ruchla. Aj waj! A richin zan tatyn a ran! Własni synowie rodzonego oszukali ojca.

Kiedy bieda, to do żyda, mawiali starzy, od żyda rzeczy nadzwyczajnych wymagano. To też z tego powodu powstał wiersz następujący:

Ja jedną panię znam, co mi mówi wciąż,
Żydku! ja dwie córki mam, szukaj dla nich męż,
Ach waj! haj daj dum, biednaż moja głów,
Gdzie ja będę szukać męż, dla tych panien dwóch.

Najechali żyda konfederaci z krzykiem: Żydku! z kim trzymasz? Żyd śmiało odpowiedział, że z królem trzyma. A ty parchu! to ty z nami nie trzymasz? bij żyda. Drugą razą przyjechali królewscy i wołają: Żydku! z kim trzymasz? Żyd powiedział: że z konfederatami trzyma. Ty hultaju! buntowniku! ty przeciw królowi jesteś! bij żyda. Trzeci raz znowu jacyś najechali żyda, wołając: Żydku! z kim trzymasz? Żyd nie wiedząc co odpowiedzieć, zawołał: nie pytaj pan, tylko bij.

Nad wodą dosyć szeroką kręcił się żydowina, nie mogąc sobie poradzić, jakim by sposobem dostał się na przeciwną stronę. Nadchodzi tegi Bernardyn, zrzuca treпки i wstępuje do wody. Żyd do niego: proszę jegomości, niech mię jegomość weźmie na drugą stronę. A dobrze! siadaj na barana żydzie. Bierze go tedy na plecy Bernardyn i idzie. W samym środku rzeki, pyta go: słuchaj no żydzie, czy nie masz ty pieniędzy? Żyd odpowiada: mam. Mnie nie wolno, powiada Bernardyn, pieniądze nosić i zrzucił żyda, który aż po szyję zanurzył się w wodzie, a wyszedłszy z wody, począł wołać za Bernardynem: Na, di Rewizor! di Mandator!

A czemu ty Moszku do horiwki wodu lejesz? Aches mir! a szczo to myni szkodyt?

Icku, zrobisz mi kontusz na Wszystkich Świętych, powiada obywatel polski. Icyk z największą radością bierze sukno do domu, kraje kontusiki i szyje. Narobiwszy tych kontusików co niemiara, zawinął w chustkę i przyniósł do obywatela, który obaczywszy to dureństwo zawołał: a dla Boga co ty zrobił! Icyk powiada: acheśmir pamiętał ja i na pana Boga, pokazując obywatelowi jeden kontusik cokolwiek większy od innych.

Przed Wielkanocą oddalają żydzi chleb kwaszony od siebie, a po świętach przywołują go do siebie mówiąc: ny, werny sia cham, cham, ne protyw sia durnym żydam.

My niżej podpisanych i pieczęcią przyklepanych dajem niniejszem Abraham Ickiewiczowi plenipotencyą, że win może w naszego sprawa, chodzić, przychodzić, zachodzić i wchodzić, a to dla czemu? a to dla temu; że jego nogi, jest nasze nogi. Że win może w naszego sprawa pisać, zapisać, dopisać, przypisać i widpisać, a co on napisze, to niech stoi. A to dla czemu? a to dla temu; że jego ręki są naszego ręki. Że win może w naszego sprawa gadać, przegadać, zagadać i wygadać. A to dla czemu? a to dla temu, że jego gęby jest naszego gęba. A co win robi, to my się jego nie możemy zapytać, Icku: na co ty tak zrobił? Ale jak wun jemu proces sfuszeruje, to my powiemy: że my go nie znamy.

W roku 1830 podsłuchano we Lwowie na Zarwanicy następującą rozmowę: Aj waj! nu, nu, wus bist di? Ech byn a Zeldner. Pu! pu! Aj waj mir, wus is a Zeldner? A Zeldner ist, wus a karabin trugt. Sug że mir, wusis a karabin? A karabin is a biks, von ojben gedrehet, unten auf a drewiszcze angeczepet, hat a żelazny drączyk, ryrk, panewkes mit a kihit. Der Zeldner trugt a skórzane skrzyneczki, was an tuches هنگت, dort hat er a pilwer. Aber was machst di parch! a pilwer, was man auf di drogi zamitajt? taki salitrany pilwer, poroch! nimt dus pilwer, gibt etwas auf di, panewkes und das ibrige in die eiserne rirki, und szlagt mit dem drączek gut ci. Dan nimt er a kigel, aber was machst di ganew, a szabas kigel? taki ołowiany kigel, und gibt in die eiserne rirki, und szlagt mit dem drączyk taki sehr git ci. Dan gur wajt, das man dich kaum kiken kann, taki auf hundertschritt, cit den kihit und di panewkes macht eie, blask, und die kigel cerloift sich mit grossen hałas, und gibt dir Zetz, und die bist toid wie a hind. Nu, nu, wi bist di cu die Zeldner gekimmen? Wie man hat auf die licytacyi gebuzen und gebenbenet, so haben mich die łapa cajnykes gechapt und cu die Zeldner abgegeben. Sug że mir, wus is a Kadet? A Kadet ist epes dus, epes jenes, taki gur nyszt.

Przysłowia.

Aitanaz bat'ko nasz.
A dywy, jak łys chwist prysiw.
A szczo łyłyki, projeły my byki? Koby my zdrowy, pro-
[imo i korowy.
A wydiw ty karmazyn? Oho ja wże jiw. Taże to sukno.
[Aha zelene.
Bat'ko zberaw łyżkoju, a dity zjiły warechow.
Bida ne zhyne.
Bodaj mu wlece buło.
Brat sobi rad, sestra sobi nesła, newistka psiakistka,
[swekrucha psiajucha.
Breszesz jak pes.

Buw tu mnich, szczo maw bohato knyh, a neznaw,
[szczo je w nych.

Chodyt jak Oremus*
Chrest i motyka nas rozłuczyt.
Czekaj hrybe, doki tia kto nezdybłe.
Czołowik jak bańka na wodi, bańka myk, a czołowik fik.
Czy i Hapka lude?
Didu, seło horyt; naj horyt, ja pijdu na druhe.
Dity! a de was podity?
Ej czuk, barańczuk, sprodaw kozu za tatarczuk.
Ej pane Ubysz, i sebe i nas zhubysz.
Hospody zliż, ta podywysia.
Horiwka z neho howoryt.
Howory do toho, szczo w bołoti sedyt.
Hraj, abo kroszi widdaj!
Hirkij twij świt, korolu, koły tebe tuz bije.
Jak pryszło tak pijszło.
Jeż, nepytaj niczoho, szczo by łysze szkira wytrzymała.
Kazaw pan służy, słuha słuźci.
Koby zdrowie, a hrichy budut'
Koły popowy dzwoniut, popadiu z seła honiat.
Komu na wik, tomu na lik.
Koždyj swoju smert' maje.
Kožda ricz maje swoju szatenzajtu.
Kto do dwajcit' nerozum, do tryjeit' nezenat, do sorok ne
[bohat, kruhom durak.
Kto ne czytaw Hudry (sławny kaznodzieja), toj ne bude
[mudry.
Kupywjeś sobi Oтынiju, trymajże sobi Oтынiju.

* W Stanisławowie był profesor gimnazjalny stary kawaler, zawsze był zamyślony, czy to do szkoły, czy do domu przychodząc zdejmował kapelusz i mówił: „Oremus“. Chodził często po ulicach zupełnie bez celu, gdyż często wracał się, jak gdyby czego zapomniał, potem znowu i samą szedł ulicą. Bywało i to, że kłaniając się komu mówił: Oremus zamiast: upadam do nóg. Otóż z tej przyezyny powiadano, jeżeli się kto włóczył niepotrzebnie: Chodyt jak Oremus.

Małeńkij, ale ważneńkij.
Mazur slipijj sia rodyt, a durnyj umyraje.
Mowczy jazyczku, budete jisty kaszku.
Mrut' lude, tak i nam bude.
Murchaj, nemurchaj, niezoho z toho ne bude.
My wsi durni u naszoho Boha.
Naduw sia, jak wosz na moroz.
Najlipszyj jenerał, moroz.
Nebezbak.
Nebiszeczka besidowała do samoi smerty.
Nedaj Boże powoli na bidu schodyty.
Nedaj Boże z Iwana pana.
Nemaje bilsze, łysz to szczo za kownierom.
Ne durnyj kruk, daty z ruk.
Ne rano ne pizno, w sam dobryj deń.
Nesamowytyj.
Nezawsze w seredu Petra.
Nowe sitce na kiłku, stare pid ławoju.
Obyjdesia cyhańskie wesile bez marcipaniw.
Oden za wisimnajcit' a druhyj bez dwoch dwajcit'
Pide czortowy pid chwist.
Perežechnajsia, ta liż w bołoto.
Pohano pysze.
Pomoże jak umerłomu kadyło.
Po pański do południa spaty, a do wczera ne jisty.
Prymcha ho maje.
Sydy tycho, szczo by tebe neznało łycho.
Soroczka błyższa niż kaftan.
Spustywsia did na obid, taj bez wczery spaty lih.
Stare drytsia, a na nowe neberytsia.
Swiatyj Mykołaj Bohom bude, jak Boh umre.
Swij choť nezapłacze, to sia skrywyť
Switysz misiaciu, a ne hrijesz.
Szauj horby mosty, budete maty cili kasty.
Teń, teń, aby sia mynuw deń.
Teper duszeńko.
Teper myni ne do soły, koły hrajut na bosoly.

Tońkij jak bobowyj snip.
Trink serce, zabudesz smutku.
Uczenyj, ale netowezenyj.
Wasze by sia mołoło.
W chati duże tisno (znak żeby dzieci wynosiły się z cha-
ty, gdyż starsi mają coś do mówienia, czem dzieci wie-
[dziec niepowinny].
W czobotach honyt, „a bosy slidy robyť“.
Wełykie a durne.
Wsiu wódku neperepiosz.
Zachotiło sia, zaprihaj; widehtiło sia, rozprihaj.
Zachonesty.
Z porochóm sprawa ne z paperom.

K o l ę d a.

I. Stała nam się dziś nowina
Panna porodziła Syna,
W Betleem miasteczku
Na sianku w żłobeczku.

Panna Syna porodziła
W białe pieluszki powiła,
Na Józefa pospieszała,
Do Egiptu uciekała.

Obaczyła chłopka siejącego,
Przemówiła Marya do niego,
Siej pszeniczkę w Imię moje.
Jutro zbierzesz jako swoje.

Zydowie się dowiedzieli,
Za Maryą pobieźeli,
Pomagaj Boże chłopku żący,
Czyś nie widział Maryi bieżącej.

Widziałem, gdym siał i orał,
A nawoły hola wolał,

Uderzyli żydzi w obie dłonie
Już Maryi więcej nie dogonim.

Czem prędzej żydzi powracali
Długo się po lasach błakali,
Heród nie mógł się dalej wstrzymać,
Rozkazał dziatwę powycinać.

Płakały stroskane matki
Gdy widziały swoje dziatki,
Srogo od katów męczone
Na pastwę ich wystawione.

Wielkie było zdziwienie,
Po nad wszelkie stworzenie,
Gdy cały świat wielce strwożony.
Jezus w Egipcie ocalony.

2. Małeńkie dziatki
Zbierały kwiatki,
Na polu stali
Pana witali.

Witajże Panie
Niebieski Hetmanie,
Dajże nam kołacza wielkiego
I masła świeżego.
A jak sobie podjem,
To lepiej powiem.

Pieśni Światowe.

3. Przez litewski łan, jedzie, jedzie Pan,
Przed nim, za nim jego cugi
W złocie, srebrze jego sługi
Jedzie w gościnę, jedzie w gościnę.

Przyjechał na dwór do matki dwóch cór —
Matko! matko! masz dwie róże
Obie kraśne, obie hoże,
Daj mi jedną z nich, daj mi jedną z nich.

Matka prosi wejść, każe córkom przyjść
Lecz Pan obie równo kocha
I tę trocha i tę trocha,
Którą sy wybrać, którą sy wybrać?

Dwa im dzbany daj, niechaj idą w gaj,
Która więcej malin zbierze
Tę za żonę Pan obierze,
Ta będzie Panią, ta będzie Panią,

Słońce w cieniu drzew, rumieni jak krew,
Krwawa łuna gaj ozłaca
Starsza córka sama wraca,
A młodszej nie ma, a młodszej nie ma.

Oto malin dzban, gdzie mój mąż i Pan,
Siostra już nie wróci z gaju
Może wpadła do ruczaju,
Może wilk pożarł, może wilk pożarł.

Na jej czarnej brwi, niży kropla krwi
Kto wie z jakiej to przyczyny
Czy z kaliny lub z maliny,
Może to nie krew, może to nie krew.

Pan miał złota wór, murowany dwór,
Szczyśliwy z panią szczyśliwą,
Urodliwą, osobliwą
Z twą starszą córką, z twą starszą córką.

Pan rozesał sług, do gaju na strug.
Cały dzień w gaju szukali
Cały dzień stróża wołali,
Nie ma i nie ma, nie ma i nie ma.

Lecz gdy przyszedł Maj, poszedł panicz w gaj,
Skręcał dutki, zrywał kwiatki,
Wrzaskiem klaskiem biegł do matki
O mammo! mammo! O mammo! mammo!

Oto dutki mam, oto sobie gram,
Dutka moja osobliwa
Co siostrzyczka urodziła
Słuchaj piosnkę, słuchaj piosnkę.

Graj, Michasiu graj, jak dziś kwitnie Maj,
Jak nad róże, nad bławatki
Dwie nas kwitło w domu matki
O wiosno moja, o wiosno moja!

W tem pani pobladła, jak stała, upadła,
Ile straty ile szkody
Więś tak wielka, mąż nie młody,
Dziatki nieletne, dziatki nieletne.

Kogutku, kogutku! nie chodź po ogródku
Niezbieraj lilije, bo cię pan zabije.
Jak mię pan zabije, to mnie pochowają
Przed wielkim ołtarzem gdzie panny klękają.
Która panna przyjdzie pokłonić się musi
A to wszystko będzie za kogutka duszę.

5. Niepij koniu wody, bo woda zmacona,
Niewierz nigdy chłopcu, bo będziesz zdradzona
Niepij koniu wody, bo cię woda zduje,
Niechodź do dziewczyny, bo cię oczaruje.

6. Moja matka bałamutka
Wydała mnie za kogutka,
A kogutek rano pieje
Wstawaj dziewczę do kązieli.

7. Siwe oczy miała
Siwemi patrzyła,
Siwemi mrugała
Bo innych nie miała.

8. Z tamtej strony Wisły kąpała się wrona,
A porucznik myślał, że to jego żona,

Nie myśl poruczniku, że to twoja żona,
Bo to taki ptaszek, co się zowie wrona.

9. Ej pójdę ja do mazura,
Podajcież mi ręce która,
Podajcież mi obie ręce,
Niech się z wami raz obkręcę.

Hejże dalej, a wesoło,
I obróćmy się raz w koło,
A gdyśmy się rozchulali,
Hejże dalej, dalej, dalej.

R u s k i e.

10. Ej Iwasiu, Iwasenku, imię twoje lube.
A któż mene przyhołubyt, jak tebe ne bude.

11. Oj umru! maty umru, czerez marne diło,
Czerez czorni oczy, czerez biłe tiło.
Ne umeraj synoczku! postaw sy cerkwoczku
W seli na horbooczku.

Wsi diwoczki pryjduť Bohu chwału daty,
Czej wdowena pryjde, czej pustyt jej maty.
Wsi diwoczki przyszły, Bohu chwału daty,
Wdowenoi nema, nepuskaje maty.

Oj umru! maty umru! czerez marne diło,
Czerez czorni oczy, czerez biłe tiło.
Neumeraj synoczku, postawsy karczmozczku.
W seli na horbooczku.

Wsi diwoczki pryjduť do korezmy hulaty,
Czej wdowena pryjde, czej pustyt jej maty.
Wsi diwoczki przyszły do korezmy hulaty,
Wdoweni nema, nepuskaje maty.

Oj umru! maty umru, czerez marne diło,
Czerez czorni oczy, czerez biłe tiło.
Neumeraj synoczku! zroby swoju sławu,
Pokład'sia na ławu.

Wsi diwozki pryjduť tiľo ohladaty,
Czej wdowena pryjde, czej pustyt jej maty.
Wsi diwozki pryszľy tiľo ohladaty,
Wdowenoi nema, nepuskaje maty.

Oj pustysz mene maty, tiľo ohladaty,
Ne puszczu tia doniu, mudre to to ptasze,
Z pokolinia Lasze.

Ono tia prubuje, ono tia zmudruje.

Maty lahľa spaty, donia w toj czas z chaty.
Wsi diwozki pryszľy, koneć nizok staľy,
I wdowena pryszľa, koneć hoľowy staľa,
Duże promawlaľa, wirne zapľakala.

Ej družu! mij družu! lubyľam tia duże,
Teper tebe, ruszu, zapľakaty muszu.

A win w toj czas z ławy,
Boże bľahosławy!

I oteć i maty, czas do ślubu staty.

12. Łeżyť nasza kumuszeňka za skaľoju
I trymaje flaszu medu za soboju,
A światyi anheľoňki prylitajut,
A vse tuju flaszu medu proľywajut.
Pryjde bľyźsze mij myľenkij. taj napyjsia,
Tilko mene moľoduju nepokiňsia.

Nepokinu moja myľa, nepokinu,
I woźmu tia na ruczeňki, jak dytynu,
I woźmu tia na ruczeňki, boś ľebeňka,
Prytuliu tia do serdeňka, boś myľeňka.

13. Wczora buľo hola, hola, a neňki nehoja,
Kaźut' myni na paňszczynu, hoľowoňko moj a,
Jak my skazut', woliwbym ja umerty,
Jak zahrajut muzyki, to idu w perewerty.

Siuda bida, tuda bida, a Pawľowy harazd,
Jak ne wyjdu na paňszczynu, pokľadajut zaraz,

Sikora pokľadaje, Werhonye trymaje,
A wokonom z paľyczkow koľo zadku hraje.

14. Sama sobi kowaľycha, narobyľa ľycha,
Szezo puskaľa kowaľeňka do komory stycha.

15. Na hori para woliw, na doľyni w pľuzi,
Ne rik, ne dwa, ne try lita, jak moje serce w tuzi.

16. Majete diwku, poszlit po horiwku,
Majete syna, naskrobajte syra,
Pyrohiw nalepit, nas na weczery zaprosit,

17. Pytaľa sia maty doczki,
Czy sijaľa ohiroczki?
Oj sijaľam, pidľewaľam,
Nema toho, szezom kochaľa.

Pytaľa sia maty syna,
Szezo kosztuje diwczyna?
Tobi maty nepytaty
Szezo kosztuje treba daty.

18. Czyji woľy po dubrowi, a moji po pisoňku,
Kto lubyť daľekoju, a ja susidoňku.
Ja tuju susidoňku ludiam podaruju,
A do toji daľekoji, sam powandruju.
Wziaw źinku w torbeňku i piszow na wandriwku
Wandruwaw, wandruwaw, rik mynuw na Petra
Pryjszow did'ko, wziaw źinku i ponis do peķľa.

19. Zosiu czernosiu,
Myjsia, czeszysia
Zamuź berysia
Choeczut' tebe ludy wziaty
My tia chozczem zamuź daty.

A za koho matynoňko,
A za koho ľastywoňko?
Za stolara, za syna jeho.

Oj ne pidu matynońko
Oj ne pidu łastywońko,
Bo win bude doszki struhaty
Myni skaże pomahaty.

Zosiu czernusiu itd.
A za koho matynońko itd.

Za szewcia, za syna jeha.
Oj ne pidu matynońko,
Oj ne pidu łastywońko,
Bo win bude czoboty szyty,
Meni skaże szkiry wołoczyty.

Zosiu czernusiu itd.
A za koho matynońko? itd.

Za mulara, za syna jeha.
Oj ne pidu itd.
Bo win bude murowaty,
Meni skaże wapno podawaty.

Zosiu czernusiu itd.
A za koho matynońku? itd.

Za sidlara, za syna jeha.
Oj ne pidu matynońko itd.
Bo win bude koni sidłaty,
A meni skaże pomahaty.

Zosiu czernusiu itd.
A za koho matynońko? itd.

Za storoża, za syna jeha.
Oj ne pidu matynońko itd.
Bo win bude w hrubi pałyty,
Meni skaże drewa rubaty.

Zosiu czernusiu itd.
A za koho matynońko itd.

Za rolnyka, za syna jeha.
Oj pidu matynońko,
Oj pidu łastywońko,

Bo win bude pole oraty.
A ja zbiże zasiwaty.

20. Zainku za hołowońku,
Zainku sińcia kolińcia,
Ani tobi zainku wychlanuty,
Ani tobi zainku wyskoczyty.

Zainku zapietoczki,
Pokaż swoi skoczki.
Ani tobi zainku wychlanuty,
Ani tobi zainku wyskoczyty.

Zainku zahołowońku,
Zainku za pidboeczki obyjmysia,
Koho lubysz, pociđuj sia.

21. Piszow did po hryby, baba po pidpeńki,
Did swoji posuszYW, baby wsi syreńky.
Żeby ty babuneńko, ta na twoje mysły,
Bułyb twoi łupynoczki ta z moimy wyschły.
Żeby ty babuneńko mene posłuchała,
Tobys pizšla na łotoki, tam bys sia skupała.
Pizšla baba na łotoki, taj utonuła,
Did za babow szukajeczy, baba popłynuła.
Tecze woda z pid horoda, berehamy rize,
Ide did z wisilom, baba z wody lize.
Pomahaj Bih diduneńko i matery twoji,
Taka u mene synu dymka, jak u mołodoji.

22. Chodyła Hucułycha z hory na dołynu,
Nosyła Hucułewy w źmeni sołonynu,
Ej Hucułe, Hucułeńku! treba trochi sisty,
Maju w źmeni sołonynu, budem trochi jisty.
Hucuły, Hucułeńki! de wy baćka diły,
Czy zwaryły, czy spekły, czy syroho zjily?
Oj ne zwaryły, ni spekły, ni syroho zjily,
Łysz do syroji zemli do sudu zložyły.

23. Żuryły sia worohy, szczo ja w kosi chodzu,
A ja swoju kosoju płota nehorodzu,

Ani płota, ni horoda, ni żadnoho kila,
Rosty kosa do pojasa, jak w horodi zila.
Rosty kosa do pojasa, steły sia po szyji,
Neznajesz ty moja maty, z kim ja wirne żyju.

24. Oj Wasylu, Wasyleńku! daj meni jaku radu,
Bo ja z tymy konoplamy na wiki propadu.
A u koho cztery kopy, to sia pomoczyły.
A u mene cztery źmeni swyni zwołuczły.
A u koho cztery kopy, to sia pereterły,
A u mene cztery źmeni i stojut za dwermy.

25. Iszow ja w noczy o piw noczy,
Nadybaw ja sołowija w koreczy.
Sołowiju skaży meni prawdu,
De ja swoju diwczynońku znajdu?

Czy na medu, czy na horiwci?
Czy u batenka na biłoj postilci?
Ni na medu, ni na horiwci,
Jeno u batenka na biłoj postilci.

Wertajusia do tatunia i mamuni,
Dajże Boże dobrydeń, mamuniu moja,
Deś tu je diwczyna moja.

Ona w polu wyberaje kąkol,
Triba po nei posła pošyłaty,
Do domu zakłykaty.

26. Kałynu, małynu, hołowa bolida,
Świta newydyła,
Łyst napysała
I na pocztu dała.
Do toho żownira, szczo wirno kochała.

A żownir wziawszy,
Łyst pereczytawszy,
Kochanie zbadawszy,
Serdeczno zapłakaw.

Ne wernem sia ne wernem sia! neznajesz dla czoho!
Ne umiłaś nas szanowaty. ni zdorowla swoho.

Ani najiła, ani napyła, ni choroszo uchodyła,
Tylko mojej rozkoszońki, szczo sia narobyła.¹⁾

¹⁾ Tych przysłów niema ani Nowosielski w dziele Lud ukraiński ani Przyjaciel domowy we Lwowie wydawany w r. 1855. Równie też pieśni tych niema, ani Waclaw z Oleska, ani Żegota Pauli.



OO. Dominikante
Bibl. Studium Gen.

Pomyłki druku.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
21	36	Wszystkie	Wszystkie
30	24	(dodać na początku)	ba
30	26	(dodać na początku)	i
43	29	lec	lecz
59	6	kroju	kraju
66	32	poziolnioje	pozielenieje
74	27	który	którą
92	13	ciąg	ciągi
96	18	dastać	dostać
105	28	sia	się
110	32	jak	tak
111	28	odpowladał	odpowiadał
138	28	odprawieniu	odprawienia
175	36	grzy	grzywą
205	34	po	go



27568